

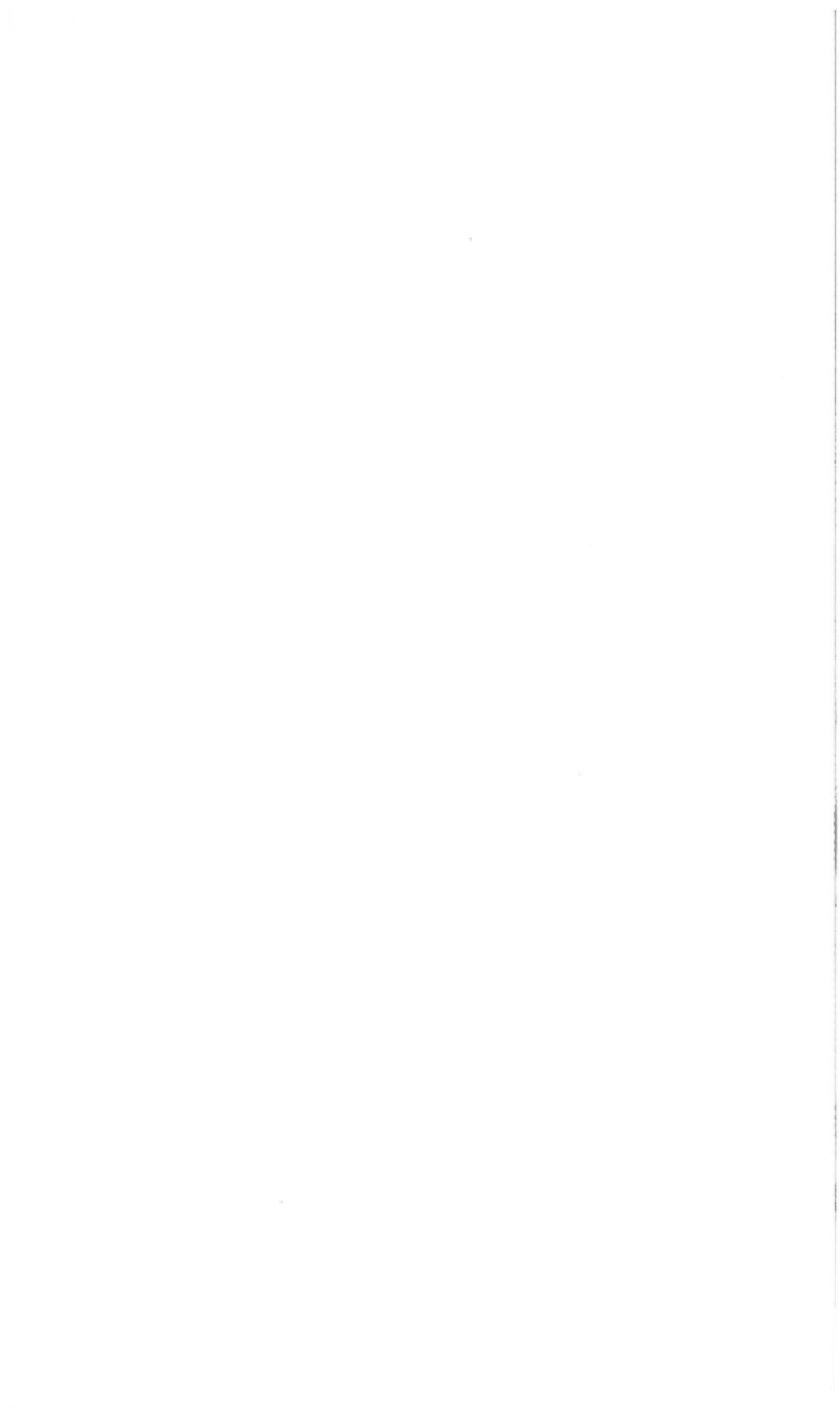
ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY

ZESZYTY  
HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1986





ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY

ZESZYTY  
HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1986

**BIBLIOTEKA « KULTURY »**

**TOM 423**

**ISBN 2-7168-0088-X**

**IMPRIME EN FRANCE**

---

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

Tadeusz WYRWA

## HISTORYK NA OBCZYŹNIE<sup>1</sup>

*„Żeby dotrzeć do źródła,  
trzeba płynąć pod prąd”.*

Stanisław Jerzy Lec

W przeciwieństwie do literatów, którzy lubują się w dyskusjach „jedna czy dwie literatury” — tzn. krajowa i emigracyjna — historycy podobnych dysput nie toczą, gdyż są zgodni, że historia Polski jest jedna, niepodzielna, bez względu na to, jak się ją interpretuje i jaki przypisuje się jej charakter.

Pomimo, że wszyscy wiemy, czym jest historia, różnimy się czasem odnośnie roli, jaką spełnia lub też winna spełniać. W lapidarnym ujęciu można powiedzieć, że historia jest zbiorową pamięcią doświadczeń wielu pokoleń. Jest ogniwem łączącym przeszłość z teraźniejszością i z myślą o przyszłości. Stanowi o dziejowym rozwoju jednostek, społeczeństw, narodów i w sumie całej ludzkości. Wszystko co dzieje się na tym świecie ograniczone jest w czasie i w przestrzeni i właśnie dzięki historii, która jest spójnią między poszczególnymi fazami ewolucji globu ziemskiego, nic z postępu ludzi nie ginie.



Okres drugiej wojny światowej, oprócz zdrady sprzymierzeńców, był jednocześnie okresem, który raz jeszcze w naszych dziejach wykazał brak zmysłu politycznego i ubóstwo polskiej myśli politycznej. A przecież historia naszych idei politycznych jest bogata. Wcielenie jednak tych idei było u nas zwykle unicestwiane przez głupotę jednych i wygórowaną ambicję — umiejętnie wykorzystywaną przez obcych — drugich. W Polsce historia zbyt

---

1. Skrócona wersja referatu, wygłoszonego 16 września 1985 roku w Londynie na Kongresie Kultury Polskiej na Obczyźnie.

często rehabilitowała politykę i usprawiedliwiała to, co należało zganić; różni spekulanci potrafili to bez żadnych skrupułów wykorzystać. Pod tym względem nic się do dzisiaj nie zmieniło.

Jednym z głównych powodów stagnacji polskiej myśli politycznej, w Kraju i na emigracji, jest niedorozwój naszej historiografii. Kiedy winna była służyć nauką, okazała się bezradna, nieprzygotowana na wypadki otaczającego ją świata. Dziejopisarstwo polskie trzyma się przeważnie dwóch schematów: katastrofy i heroizmu. Z jednej strony punktem wyjścia naszej historiografii są rozbiory, klęski — z drugiej kult bohaterstwa. Trzecim schematem jest zwalanie win za nasze niepowodzenie wyłącznie na obcych, zamiast szukania ich przede wszystkim w nas samych.

Rola historii winna polegać na jak najwierniejszym odtwarzaniu tego wszystkiego, co się działo w przeszłości, bez upiększania i bez przemilczania fragmentów koniunkturalnie niewygodnych. Wiele się u nas mówi o potrzebie edukacji historycznej, ale bardzo mało lub prawie nic o tym, jak ta edukacja ma wyglądać, jaką należy wyciągnąć naukę z przeszłości, jak dostosować do wymogów chwili obecnej ideał wychowawczy, który znowu — w większości wypadków — ogranicza się do obchodzenia rocznic, wzniosłych przemówień, wystawiania pomników i składania wieńców. Żałobne pojmowanie dziejów nie należy jednak do najlepszych metod pedagogicznych.

Obracamy się stale w kręgu tych samych problemów z odrzucaniem wszystkiego, co nie pasuje do ustalonych schematów. Od czasu do czasu robimy powstania, które pochłaniają najżywotniejsze siły narodu, a w okresach między jednym a drugim zrywem toczone są zawzięte dysputy — warto było czy nie? — z których nie wyciągamy żadnej nauki na przyszłość. Chyba nie tyle „bić się czy nie bić”, lecz bić się czy być bitym winno być punktem wyjścia dyskusji. Nie chodzi oczywiście o negację czynu zbrojnego, ale o krytyczny stosunek do tego, co było źle przemyślane i czego można było uniknąć.

Z legendy powstań naród czerpie siłę duchową w ciężkich chwilach, ale czy rzeczywiście gleba polska jest tak jałowa, że trzeba ją użyźnić krwią setek tysięcy ofiar? Czy specyfiką polskiej historiografii musi być ciągle masochistyczne kulturowanie ideału poniesionych klęsk?



Historyk na obczyźnie, badający najnowsze dzieje Polski, jeżeli jest wrażliwy na potrzeby doby dzisiejszej, może je widzieć i odczuwać — wzbogacając ogromnie swoje pole widzenia — przez pryzmat kraju osiedlenia, emigracji i kraju rodzinnego.

Złożonym zagadnieniem jest ustalenie tego, co rozumiemy przez „najnowsze dzieje”, tzn. określenie, kiedy one się zaczynają. Periodyzacja historii zawsze nastęrczała wiele trudności. Dokład-

ny podział na okresy nigdy nie był możliwy, gdyż procesy dziejowe kształtowały się i dojrzały stopniowo i nie da się oznaczyć dokładnej granicy między jedną a drugą epoką. Nadto wiek XX narzucił nam tak zawrotne tempo życia, że wiele pojęć nie wytrzymało próby czasu i straciło dawne znaczenie, a kryteria uległy zmianie. Nie chodzi tutaj o akademickie spory o okresy, a tym bardziej o terminologię, lecz o ustalenie przedmiotu badań i jego wpływu na współczesne stosunki społeczno-polityczne. Do nie tak dawna było ogólnie przyjęte, że najnowsze dzieje Polski zaczynają się po upadku powstania styczniowego.

Jeżeli w ogóle można ustalić w przybliżeniu datę, to przypada ona — wydaje mi się — na lata 1939-1945. Za przyjęciem tej daty przemawia głównie to, że druga wojna światowa stanowiła punkt zwrotny nie tylko w naszych dziejach, ale i w historii powszechnej. Bez względu na to, czy akceptujemy lata 1939/1945 za datę rozpoczynającą najnowszą historię, czy nie, jedno nie ulega wątpliwości, mianowicie to, że nauka płynąca z doświadczeń drugiej wojny światowej jest niezbędna do zrozumienia wszystkiego, co przeżywa obecnie świat. Na tym okresie winna skoncentrować się praca historyków dziejów najnowszych, ale pod warunkiem, że będzie obejmować całokształt zagadnień, a nie tylko koniunkturalnie wybrane tematy.

Tak przybliżony w czasie przedmiot badań wymaga od historyka większej odpowiedzialności, sumienności i odwagi cywilnej; ma on bowiem często do czynienia nie tylko z tym, co było, lecz i z tym, co ciągle jeszcze jest widoczne. W danym wypadku historyk zna niejednokrotnie osobiście wydarzenia, które bada i ich współfaktorów, od których jest czasem uzależniony, mniejsza już z tym czy materialnie, czy też prestiżowo.

Jeżeli dziejopisarz nie oprze się w tej sytuacji pokusie schlebiana, stanie się nadwornym historiografem swojego środowiska, kliki, partii lub też panującego ustroju, pisząc ku ich chwale panegyryki. W podobnych okolicznościach nie zawsze zresztą trzeba chwalić, wystarczy umieć wybrać „nieszkodliwy” temat, przemilczeć jakieś zagadnienie, lub też po prostu „obsmarować” tych, którzy myślą odmiennie i nie płyną z prądem. Wydaje mi się, że nie ma potrzeby przytaczania przykładów, można je łatwo znaleźć w każdym otoczeniu.



Falszowanie historii w Polsce, zwłaszcza historii najnowszej, jest wszystkim znane, na każdym kroku przypominane i byłoby bezużytecznym traceniem czasu powracanie tutaj do tego problemu. Tematem mojego odczytu nie jest to, co robi się z historią w Polsce, lecz co robi historyk na obczyźnie. W 1950 roku Józef Czapski stwierdził na łamach *Kultury*<sup>2</sup>: „Historię piszą zwycięz-

---

2. *Kultura* nr 6/32, 1950. Przedruk w: J. Czapski, „Tumult i widma”, Instytut Literacki, Paryż 1981, str. 87.

cy, dokumenty zbierają zwycięzcy, zafałszowują historię zwycięzcy. O Galii wiemy tyle, co o niej piszą Rzymianie, zniszczywszy ją pierwiej. Co będą ludzie wiedzieć o Polsce, o roku 1939, 1940, 1944, zależy od tego, kto będzie zwycięzcą”.

Gdybyśmy dzisiaj zrobili bilans naszego dorobku w dziedzinie historiografii i oparli się na wyżej cytowanym kryterium Czapskiego, to można chyba byłoby żywić obawę, że pozostalibyśmy już na zawsze w obozie zwyciężonych. Nie biorąc tutaj w rachubę nieocenionych *Zeszytów Historycznych* redaktora Jerzego Giedroycia i sporej ilości literatury pamiętnikarskiej, to przecież nie wolno zamykać oczu na fakt, że emigracja zostawia po sobie duże połacie tematów zupełnie nieruszonych. Czy można się później dziwić i mieć pretensję, że te tematy są lub też będą opracowane przez tych, którzy są krytykowani i oskarżani przez emigrację o fałszowanie historii Polski?

W 1984 roku kierownik Wydawnictwa „Znak” oświadczył na łamach wydawanej w Kraju *Więzi*: „Potrzebujemy — i to jak — więcej porządnej informacji historycznej, więcej refleksji nad historią i historycznej refleksji nad współczesnością”<sup>3</sup>. Tej informacji i refleksji należało przede wszystkim oczekiwać od emigracji, która miała wszelkie dane po temu, by wypracować nową syntezę historii Polski, widzianej na przełomie dwóch epok przez pokolenie czynnie zaangażowane w odbudowę Polski niepodległej z lat 1918-1939. Niestety emigracja nie przekazała i już nie przekaże w spadku własnej interpretacji naszych dziejów, co gorzej, nie zostawi nawet systematycznie opracowanych dziejów najnowszych, w których tworzeniu uczestniczyła. Jakże w tych warunkach może być mowa o wyciągnięciu z tego okresu dziejowego nauki, jeżeli jest on ciągle mało znany i zawiera wiele celowo przemilczanych problemów?

Na Zachodzie jest nadmiar emigracyjnych kronikarzy własnych dziejów, lecz brak historyków dziejów Polski. Stąd częste omijanie tematów „źle widzianych”, do których zalicza się wiele epizodów z historii wychodźstwa polskiego. Skutki tego są takie, że emigracja „solidarnościowa” — mimo odmiennej przeważnie formacji politycznej — brnie w błędy analogiczne do błędów popełnionych przez emigrację wywodzącą się z „września zagwiącego”. Z jednej strony brak zmysłu krytycznego, a z drugiej trudności wydawnicze niezależnych pisarzy-historyków są główną przyczyną stagnacji polskiej historiografii.

Dziesięć lat temu jeden z dziennikarzy pisał na łamach *Kultury* paryskiej: „Przez wiele lat działalność emigracji zasilana była pieniędzmi amerykańskimi. Tak się złożyło, że zasiłki te kanalizowano przez wywiad, czyli wojsko, a że sprawa polska miała i ma bardzo niski priorytet, więc do zawiadowania nią delegowano wojskowych niskiego szczebla. Obrazowo powiedzieć można, że w sprawach polskich decydowali sierżanci amerykań-

3. Jacek Woźniakowski, *Więź* nr 8/1984, str. 94, Warszawa.



szy. Stąd chyba przyjęło się u nas szereg 'kowbojskich' dogmatów"<sup>4</sup>. Dzisiaj, po zrywie „Solidarności” i popularności jej idei, do spraw polskich delegowano może i generałów; byłoby jednak lepiej, gdyby naszymi sprawami kierowali nawet kaprale, ale polscy.

Skarżymy się — i słusznie — że od zakończenia drugiej wojny światowej Zachód niczego się nie nauczył i niczego nie chce pamiętać, co jest dla niego niewygodne. A czy Polacy nie przyjmują podobnej postawy? W 1940 roku, na łamach konspiracyjnego pisma, w artykule bez podpisu — podobno pióra Witolda Hulewicza — autor zaliczył do charakterystycznych wad Polaków „Łatwość przywyknięcia, zapomnienia. Dziś zdrójca godzien szubienicy, jutro, ot, niczego sobie człowiek. Kiedyś podobno pobałdził, ale ostatecznie po co mu to wypominać?...”<sup>5</sup>, zwłaszcza jeżeli znowu wypłynął i może się przydać... Na pomniku w Gdańsku napis przypomina, że „poeta pamięta”; na emigracji przydałby się pomnik z napisem, że historyk winien również pamiętać.

Chełpimy się naszym katolicyzmem i obnosimy dumnie wizjerunki Papieża i kardynałów. Warto więc przypomnieć słowa kardynała Wyszyńskiego z przemówienia, jakie wygłosił w okresie „Solidarności” — 28 marca 1981 — na zakończenie rekolekcji pisarzy i literatów w Warszawie: „Gdy dzisiaj czytamy prasę, zwłaszcza polityczną, człowiek zdumiewa się tym, jakie mnóstwo ludzi, którzy znali prawdę, żyje wśród nas. Dlaczego więc milczeli do tej pory?”. Kilka miesięcy wcześniej, w przemówieniu z 24 października 1980, kardynał Wyszyński powiedział: „Przychożdżą momenty, w których ludzie nabierają odwagi, aby mówić to, co myślą. Wtedy powstaje pytanie: dlaczego tak późno, dlaczego dopiero dziś mówicie? Gdybyście wcześniej mówili, zapewne uchroniliby to nasze życie od niejednego nieszczęścia i niejednej niedoli. I jeszcze dziś nie daje się pełnej odpowiedzi na postawione problemy, bo jakieś wyrachowanie czy fałszywa roztropność radzą poczekać”<sup>6</sup>. Gdyby to na emigracji jakiś duchowny — można oddać się marzeniom — zechciał wypowiedzieć podobne słowa, zaskarbiłby sobie łaski chyba i u samego Pana Boga!

Autor broszury konspiracyjnej pt. „O powołaniu naszego pokolenia”, napisanej i wydanej w okresie okupacji niemieckiej, zastanawiając się nad naszymi wadami i brakami, doszedł do wniosku, że gubią nas „schorzenia w naszym charakterze narodowym”, stąd konieczność wyciągania konsekwencji z doświadczeń historii, zwłaszcza najnowszej: „Nie może bowiem naród żyć bez rachunku sumienia narodowego”<sup>7</sup>.

W 1984 roku, na łamach katolickiego pisma w Kraju, autorka

4. Bohdan Brodziński, *Kultura* nr 7-8/1975, str. 75, Paryż.

5. *Polska żyje* nr 30/1940, str. 2, Warszawa.

6. „Prymas tysiąclecia”, str. 174 i 189, *Nasza Rodzina*, Paryż 1982.

7. Andrzej Brzoza, „O powołaniu naszego pokolenia”, bez daty, Warszawa, str. 6.

pisze, że Polacy przyzwyczaili się do tego, że najważniejsze jest „urządzić się w życiu”. Liczyło się „cwaniactwo, a nie drugi człowiek... stanęliśmy nad przepaścią egoizmu jednostkowego, który może doprowadzić do zatarcia naszej tożsamości — jako społeczeństwa i jako narodu!... Potrzebne są narodowe rekolekcje, które za główny temat przyjęłyby solidarność międzyludzką”<sup>8</sup>. Na emigracji nie mówi się ani o rekolekcjach, ani też o rachunku sumienia, ale o rozgrzeszeniu również nie...

Trudno oczywiście podciągać całą emigrację pod jeden strychulec. Historyk jednak musi mieć globalną wizję całości, tak jak globalne winno być wartościowanie faktów, z uwzględnieniem oczywiście wszystkich elementów, jakie się na tę wizję składają.

Emigracja z września 1939 roku, mimo napływu później nowego narybku, zachowała przez wiele lat jednolity na ogół charakter, jeśli chodzi o sposób myślenia. Najlichnieszym narybkiem byli akowcy z Powstania Warszawskiego, którzy przyczynili się do zachowania ciągłości tego, co było, ale co pod wieloma względami wymagało zmian, żeby dostosować instytucje emigracyjne do nowych potrzeb i odbudować zaufanie i wiarę we własne siły. Tego niestety nie uczyniono, stąd zupełny marazm, ożywiany jedynie hucznymi demonstracjami, wzajemnymi kłótniami i wzajemnym neutralizowaniem działalności jednych przez drugich, inspirowanym częstokroć przez różnych „protektorów”.

Duch krytyki, któremu towarzyszy zwykle chęć poprawy, obcy był i jest naszej emigracji. Ograniczono się do krytykowania tego, co działo się w Kraju, a czego emigracja i tak zmienić nie mogła. Historycy emigracyjni też milczeli o stosunkach na obczyźnie i wnioskach, jakie należało wyciągnąć z działalności wychodźstwa z drugiej wojny światowej. Bardzo nieliczni autorzy, którzy na te tematy pisali, w oparciu o fakty i z myślą o prawdzie, okrzyczani byli przeważnie zgodnym chórem za paszkwilantów. Pod tym przynajmniej względem emigracja — z bardzo nielicznymi wyjątkami — okazała się jednomyślna. W tym zacietrzewieniu zapomniano o przyszłości, nie własnej, lecz kultury polskiej.

Wytworzyła się próżnia, w której rozlega się dzisiaj echo tego, co było, ale czego już nie ma, jak w głębokiej, lecz pustej studni. Pobojowiska bitew wojennych będzie można w przyszłości poznać nawet, gdy nie są opisane, lecz pobojowisk harcownictwa emigracyjnego nikt nie odtworzy, jeżeli nie utrwalą ich teraz historycy, nie tyle ku chwale, ile ku rozwadze i przestrodze przyszłych pokoleń.

Radykalnego wstrząsu doznała nasza emigracja dopiero wskutek napływu tzw. emigracji „solidarnościowej”. Pojęcie tej ostatniej jest coraz bardziej mgliste, składa się bowiem ona z wielu różnych nawarstwień i z ludzi, którzy częstokroć zachowali paszporty reżymowe, otwarcie mówią, że nie są właściwie emigrantami politycznymi, a żyją jedynie poza granicami swojego kraju.

---

8. Ewa Jabłońska-Deptuła, *Gość Niedzielny* nr 13/1984, Katowice.

Powoływanie się wszystkich na rodowód solidarnościowy przypomina powoływanie się na rodowód niektórych stronnictw sprzed 1939 roku. Najbardziej ruchliwi i najbardziej zasobni w środki materialne, wśród nowej emigracji, są dysydenci marksistowscy. Pomimo niskich ukłonów emigracji wojennej w stronę emigracji solidarnościowej nie ma między nimi bliższego związku i w rzeczywistości są to dwie odrębne emigracje.

Unizone ukłony rzadko wzbudzają szczerzy szacunek, a w żadnym wypadku nie zastąpią duchowej więzi ludzi legitymujących się tym samym pochodzeniem. Okres dwudziestolecia Polski niepodległej, mimo różnych niedoskonałości, ugruntował świadomość narodową we wszystkich warstwach społecznych, które bez wahania, solidarnie, stanęły do walki z okupantem hitlerowskim, toczonyj pod przewodnictwem naszego rządu na wychodźstwie. Emigracja natomiast, rozczłonkowana, bez zgodnie uznanego autorytetu, nie rozbudziła stałego poczucia zbiorowej świadomości wspólnego celu, którego realizacja łączyłaby wszystkie pokolenia na obczyźnie.



W ustabilizowanym społeczeństwie historiografia i literatura — dwie odnogi wyrastające z tego samego pnia — odgrywają ważną rolę w kształtowaniu świadomości, a cóż dopiero w warunkach emigracyjnych, gdzie słowo drukowane jest często w ogóle jedynym orędownikiem sprawy polskiej i łącznikiem między rozszanymi po świecie uchodźcami i ich krajem rodzinnym.

O tym, jak emigracja wojenna zagubiła busołę, lub też po prostu źle określiła swój kierunek, świadczy jej stosunek, diametralnie zmienny, do publikowania utworów pisarzy emigracyjnych w Polsce i odwrotnie — autorów krajowych na łamach pism emigracyjnych. Oto konkretne przykłady:

Gdy *Oficina Poetów*, kwartalnik redagowany i wydawany przez Czesława i Krystynę Bednarczyków w Londynie, zaczęła publikować utwory pisarzy krajowych, uważano to w Wielkiej Brytanii za współpracę z reżymem komunistycznym<sup>9</sup>. Bednarczyków potępiono i bojkotowano. A wiadomo, że na emigracji nie ma nic bardziej trwałego jak raz przypięta komuś łątka, tak też jest i do dzisiaj ze stosunkiem do Bednarczyków i do ich *Oficyny Poetów* i *Malarzy*, mimo że w międzyczasie, od wielu już lat, wszystkie pisma emigracyjne bardzo chętnie drukują pisarzy krajowych.

Podobnie jest też, tylko w odwrotnym kierunku, z drukowaniem w Polsce. Dawniej Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie zabraniał publikowania w Kraju, a z czasem doszło do tego, że wielu pisarzy emigracyjnych zabiega o druk swoich prac w wydawnictwach krajowych. Wymowny pod tym względem jest wy-

9. Pierwszy numer tego kwartalnika wyszedł w maju 1966, a ostatni w maju 1980 roku.

jątek recenzji o wydanej w Warszawie książce pisarza emigracyjnego.

Recenzja ta, pióra Jana Koprowskiego, ukazała się w warszawskim tygodniku *Kierunki* 31 marca 1985, pod dość dwuznacznym tytułem: „Teatr Tymona Terleckiego”. Na wstępie czytamy: „14 czerwca 1947 roku Związek Pisarzy Polskich na obczyźnie podjął uchwałę o niepublikowaniu swoich rzeczy w czasopiśmie i wydawnictwach krajowych. Jednym z inicjatorów tej uchwały i jej gorącym orędownikiem był Tymon Terlecki. W blisko dziesięć lat później (na posiedzeniu 20 i 21 października 1956 roku) Związek podtrzymał swoją dawną uchwałę i wśród jej sygnatariuszy znalazł się także Terlecki, pełniący podówczas funkcję przewodniczącego organizacji pisarskiej na emigracji. I oto niedawno ukazał się, nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego, obszerny tom szkiców i esejów Tymona Terleckiego 'Rzeczy teatralne'. Zgoda autora na wydanie jego książki w kraju jest tym samym przyznaniem się do pomyłki i przekreśleniem owego postanowienia, któremu z czasem sprzeciwiało się coraz więcej pisarzy w świecie”.

Rejtanowskim gestem: „nie pozwalam!”, przeniesionym z innej epoki i z innego układu historycznego, elita intelektualna na obczyźnie usiłowała podtrzymać załamującą się coraz bardziej wiarę we własne siły i możliwości, co też nie wytrzymało próby czasu, albowiem gestowi nie towarzyszył potrzebny do odbudowy tej wiary wspólny wysiłek emigracji. Niezłomności i wierności zasadom nie wystarczy dzisiaj zrobienie gestu.



Wydarzenia ostatnich lat zacieśniły więź Polski z Europą i zwiększyły odpowiedzialność naukowców za granicą wobec własnego kraju i krajów osiedlenia. Wzmocnienie tej więzi zależy w dużym stopniu od umiejętnego przekazywania Zachodowi dorobku naszych idei i tradycji humanistycznych — zadanie do spełnienia przede wszystkim dla historyków — oraz motywacji podjętej walki, która winna być wspólną z innymi narodami walką o odbudowę chrześcijańskiej kultury Europy. Zmarnowanie przez Polaków tej historycznej szansy stawiałoby pod znakiem zapytania celowość naszej wojennej emigracji.

Jeden z historyków krajowych, Stefan Kieniewicz, stosunkowo niedawno przypomniał, że „polska historiografia zupełnie nie jest znana w świecie, nawet wśród naszych najbliższych sąsiadów”<sup>10</sup>. Nieznajomość polskiej historiografii na Zachodzie jest głównym powodem zniekształcania i celowego fałszowania naszych dziejów, co też wywołuje później protesty emigracji, która widzi skutek, ale nie dostrzega przyczyny. Nie zrobiono też pra-

---

10. Stefan Kieniewicz, „Historia a świadomość narodowa”, Warszawa 1982, Czytelnik, str. 232.

wie nic, żeby polskie procesy dziejowe przedstawić na tle historii powszechnej. Bezkrytyczny kult naszych klęsk nie jest poważnie rozumiały dla przeciętnego Europejczyka; nie jest dla niego nauką historii, lecz raczej mazgajstwem historycznym.

Emigracji wystarczają natomiast gesty, jeżeli nie rejtanowskie to rocznicowe, obchodzenie narodowych świąt, paradowanie z portretami Papieża i innych sławnych Polaków, służących raczej za parawan własnej beczynności i nieudolności. W jaki sposób może być znana w świecie polska historiografia, jeżeli wydanie książki niezależnego autora na Zachodzie napotyka często na trudne do pokonania przeszkody natury finansowej. Emigracja dysponowała różnymi funduszami, ale nigdy nie zatroszczyła się o zorganizowanie funduszu wydawniczego.



Piętnaście lat temu, w pierwszej połowie września 1970 roku, odbył się w Londynie Kongres Nauki i Kultury Polskiej na Obczyźnie, w którym uczestniczyłem z referatem pt. „Geneza, ewolucja i kryzys inteligencji polskiej jako przodującej warstwy społecznej”. W następnym miesiącu, dnia 16 października, miało miejsce w Bibliotece Polskiej w Paryżu zebranie informacyjne, pod przewodnictwem prof. R. Wajdy, w którym wzięli udział uczestnicy tego Kongresu z terenu Francji.

Pozwolę sobie przytoczyć wyjątki ze złożonego wówczas przeze mnie raportu, który znajduje się zapewne gdzieś w archiwach londyńskich. Pomimo upływu piętnastu lat zagadnienia, które wtedy poruszyłem, niewiele straciły na aktualności. Oto wyjątki, o których mowa:

„Każdy właściwie kongres jest w większym stopniu imprezą turystyczno-towarzystwą niż naukową, czy też kulturalną. Podobnie było i z polskim Kongresem w Londynie, który tym bardziej miał charakter turystyczny, że znaczną część uczestników, biorących udział w tym Kongresie, nazwać można byłoby 'Turystami z bocianich gniazd' — używając tytułu noweli Cz. Straszewicza. Turyści, którzy przed wieloma laty opuścić musieli swoje ojczyste gniazda i obecnie, jak bociany w jesieni — z emigracyjnych już gniazd — przeczuwają swój odlot, ostatni odlot... Wszyscy jednak ubolewamy, że tak nielicznie reprezentowane było pokolenie średnie, a prawie zupełnie nieobecne pokolenie młodsze... Miejsmy nadzieję, iż Kongres przyczyni się do bardziej szczerego przemyślenia nagłych problemów emigracji. Wszelkie bowiem dyskusje na temat Kongresu poruszać muszą siłą faktów najistotniejsze zagadnienia teraźniejszości, a zwłaszcza przyszłości polskiego życia na obczyźnie”.

„Istnieje w Londynie Instytut Badań Krajowych, może jednak powstanie również — i to na skutek kongresowych rozważań — bardziej jeszcze aktualny Instytut Badań Emigracyjnych, który w oparciu o konkretne dane wypracowałby nowe formy, mające

na celu ułatwienie rozwoju kultury polskiej za granicą. Jeżeli będziemy potrafili rozszerzyć i urealnić polskie życie na obczyźnie, to przypuszczalnie nie brak będzie młodego pokolenia nie tylko na przyszłym kongresie, ale i w różnych organizacjach”.

„... Każda emigracja polityczna jest symbolem klęski. Klęska jednak może być zarzewiem przyszłego zwycięstwa. Jeżeli chcemy zostawić przyszłym pokoleniom zarzewie zwycięstwa wspólnej sprawy, przysypane obecnie popiołem niezgody i egoizmu, winniśmy to zrobić jak najszybciej, gdyż wkrótce może być za późno i zostaną po nas, jak po bocianach, puste gniazda, będące — jak głosi legenda — zwiastunem nieszczęścia”.



W Polsce, po piętnastu miesiącach panowania „Solidarności”, orędownicy odnowy życia intelektualnego zwołali do Warszawy, na 11, 12 i 13 grudnia 1981, Kongres Kultury Polskiej, przerwany zamachem Jaruzelskiego i stanem wojennym. Dwudniowe obrady uczestników Kongresu — oprócz wystąpień Andrzeja Kijowskiego i Andrzeja Szczypiorskiego — nie były na zbyt wysokim poziomie, brak było „szerszych horyzontów myślowych”.

Szczypiorski taką daje ocenę Kongresu: „Oto w kraju dzieją się sprawy doniosłe, może rozstrzygające dla losu narodowego, a w tej sali elita intelektualna Polski debatuje powściągliwie i dystygowanie o kwestiach na pewno ważnych i na pewno godnych uwagi, jednak trochę osobliwych w takim momencie. Jak to ujął obrazowo pewien publicysta — 'Parter płonie, a na piętrze podlewają kwiatki'”<sup>11</sup>.

Proszę Państwa! Czy przypadkowo nie usłyszymy podobnej oceny o naszym Kongresie w Londynie i o nas, że świat płonie, a my usadowiliśmy się bezpiecznie na którymś tam pięterku i podlewamy patriotycznym sosem różne latorośle naszych pobożnych życzeń?

Andrzej Kijowski w przemówieniu na wyżej wspomnianym Kongresie w Warszawie stwierdził: „Stan dzisiejszy polskich obywateli i polskiego myślenia przypomina czasy saskie. Literatura musi zdobyć się na okrucieństwo takie, do jakiego zdolni byli pisarze, którzy wówczas postawili narodowi zwierciadło przed oczy i zdołali go tym wizerunkiem przerazić”<sup>12</sup>.

Okrucieństwo w naszej epoce jest rozpowszechnione do tego stopnia, że coraz mniej przeraża. Brak jednocześnie odwagi spojrzienia prawdzie w oczy, zobaczenia rzeczywistości bez osłonek, co też potwierdza obawę przed prawdą i jej niezniszczalną siłę, tam oczywiście, gdzie prawda jest znana. Jeżeli literaci i historycy na obczyźnie przedstawiają dzieje emigracji — które są

11. Według T. P. Dobrzyńskiego w *Zeszytach Historycznych* nr 70, str. 210, Instytut Literacki, Paryż 1984.

12. *Kultura* nr 6/1982, str. 12, Paryż.



dziejami Polski — w krzywym zwierciadle, to jak można oczekiwać, żeby z historii naszego Kraju, zwłaszcza najnowszej, rodacy zaczęli wreszcie wyciągać wnioski niezbędne do odbudowy życia polskiego, żeby teraźniejszość widzieli w świetle nauki wypływającej z przeszłości?



W rozkrzyczanej, hałaśliwej cywilizacji doby dzisiejszej, słuch ludzi jest przytępiony, głos sumienia zagłuszany, a słowo drukowane nadużywane jak nigdy dotychczas. Aluzje już dzisiaj nie wystarczają i aby móc być zrozumiałym — jeżeli jest to jeszcze w ogóle możliwe — trzeba używać ciężkich argumentów. Tym też należy tłumaczyć styl mojego referatu, cierpkie słowa i sposób ujęcia problemów.

*Tadeusz WYRWA*

Jan KARSKI

## TAJNA DYPLMACJA CHURCHILLA I ROOSEVELTA W SPRAWIE POLSKI (1940-1945)

Zagadnienia, o których będę mówił oraz wiele innych spraw zawarte są w mojej książce *The Great Powers and Poland 1939-1945 (From Versailles to Yalta)*. W moim artykule nie będę podawał dokumentacji. Znajdzie ją zainteresowany czytelnik w książce. Zależy mi na rozprowadzeniu tej książki. Opracowanie jej wymagało około piętnastu lat uciążliwych i często przygnębiających studiów angielskich, francuskich, niemieckich, amerykańskich, sowieckich i polskich dokumentów i nieujawnionych jeszcze materiałów archiwalnych.

Wydaje mi się, iż książka ta jest aktualna i użyteczna. Ujawnia wiele faktów, nieznanymi szerszemu ogółowi lub pomijanych w politycznej literaturze. Dla polskiego czytelnika być może będzie stanowiła przestrożę w jego działalności na rzecz ojczystego kraju. U angielskiego czy amerykańskiego czytelnika na pewno wywoła zakłopotanie, może wstyd, a może — co najważniejsze — refleksje na przyszłość.

Wstępem do moich rozważań jest zakwestionowanie ogólnie przyjętej tezy, iż Anglia i Francja wydały Niemcom wojnę w obronie Polski. Niezależnie od ogólnie znanych argumentów i retoryki mężów stanu, angielskie gwarancje, po czym angielsko-polski sojusz, jak i rozszerzenie zobowiązań Francji, wynikających z jej sojuszu z Polską — wszystko to w 1939 roku — miało na celu:

- 1) zapobiec wojnie — odstraszyć Hitlera od nowej agresji;
- 2) powstrzymać Polskę od włączenia się pod naciskiem Hitle-

ra w orbitę tzw. Nowego Ładu. Polski minister Spraw Zagranicznych Józef Beck — którego całkowity autorytet w polityce zagranicznej Polski nie był kwestionowany przez nikogo — nie cieszył się zaufaniem nie tylko w Moskwie czy Pradze, ale także w Paryżu i w Londynie;

3) skłonić opierającą się Polskę drogą pośrednią do włączenia się w planowany sojusz francusko-angielsko-sowiecki. Ten sojusz — i przede wszystkim on — był uważany w Londynie i Paryżu za istotny dla szybkiego pokonania Niemiec, gdyby mimo wszystkich ostrzeżeń zaczęły wojnę.

Już w maju 1939 roku, a potem w lipcu tegoż roku, sztaby generalne Francji i Anglii uzgodniły w tajnych naradach, iż jeśli Niemcy napadną na Polskę, a ich rządy wypowiedzą Niemcom wojnę, nie należy Polsce udzielić wojskowej pomocy, ponieważ byłoby to niepraktyczne: Polska zostanie zmiażdżona w krótkim czasie, Anglia i Francja nie są zdolne do natychmiastowej akcji zaczepnej — muszą się dozbroić, a wojna będzie trwała długo. Losy Polski będą zależały od wyniku wojny.

Tak, jak się stało.

Przechodząc do właściwego tematu:

Po upadku Francji Anglia została sama. Co więcej Rosja, choć formalnie neutralna, wspomagała Niemcy i materialnie, i dyplomatycznie. Już w lipcu 1940 roku, a potem w październiku tegoż roku Churchill zaapelował tajnie do Stalina poprzez ambasadora Sir Stafford Crippsa. Jeśli rząd sowiecki zamieni neutralność „życzliwą dla Niemiec” na neutralność „życzliwą dla Anglii — Rząd Jego Królewskiej Mości uzna po wojnie przywództwo Związku Sowieckiego na Bałkanach”. Stalin zignorował ofertę Churchilla, ale przecież z pewnością jej nie zapomniał.

Tymczasem piątego września 1940 roku Churchill wygłosił ważne przemówienie w Izbie Gmin. Anglia nie uzna zmian terytorialnych, które miały miejsce w Europie, chyba, że zostały one dokonane za zgodą obu stron. Przecież nie mógł mieć na myśli zmian dokonanych pod egidą Niemiec i Włoch, z którymi Anglia była w wojnie. Można przypuszczać, iż jego przemówienie — niezależnie od zadowolenia, jakie wywołało w obozie alianckim — było także rodzajem politycznego szyfru, który tylko Stalin był w stanie zrozumieć. Wszakże na wszystkich terenach, zagarniętych przez Sowiety, odbyły się plebiscyty, w których prawie wszyscy mieszkańcy opowiedzieli się za przystąpieniem do „Rodziny Socjalistycznych Narodów Związku Radzieckiego” — naturalnie pod czujnym okiem sowieckiego aparatu terroru.

Po napaści hitlerowskich Niemiec na Rosję Związek Sowiecki automatycznie stał się bezcennym aliantem Anglii. Utrzymanie Rosji w wojnie i pozyskanie zaufania Stalina stało się pierwszorzędnym celem w polityce Churchilla. Już dziewiątego lipca 1941 roku zredagował tajną depezę do Stalina, zawierającą znamieny paragraf, iż „po wojnie (wschodnie) granice Polski zostaną ustalone w myśl życzeń miejscowej ludności i na etnicznej zasadzie”. Było to za wiele nawet dla brytyjskiego Gabinetu Wojennego. Polecono Churchillowi paragraf ten skreślić. Tak więc osobiste, choć nieujawnione Polakom stanowisko Churchilla w czasie polsko-sowieckich negocjacji o pakt nie może ulegać wątpliwości. Formalne oświadczenie Edena z trzydziestego lipca 1941 roku — złożone na żądanie Generała Sikorskiego — iż „Rząd Jego Królewskiej Mości nie uznaje terytorialnych zmian, które miały miejsce w Polsce po Sierpniu 1939 roku”, było dla Churchilla nie więcej niż zasłoną dymną. Nie może być co do tego żadnych wątpliwości. Bezlitosne dokumenty to stwierdzają.

W pierwszej połowie grudnia 1941 roku Eden udał się do Moskwy dla wszczęcia negocjacji o formalny brytyjsko-sowiecki sojusz oraz zasięgnięcia informacji, pod jakimi warunkami Stalin zgodzi się na zawarcie tego sojuszu. W tym samym czasie Churchill udał się drogą morską do Waszyngtonu, aby uzgodnić z prezydentem Rooseveltem wojenną strategię.

W Moskwie Stalin zażądał, aby do sojuszu dołączony został tajny protokół, w którym rząd brytyjski uzna, iż część Finlandii, Estonia, Łotwa, Litwa, Besarabia Północna, Bukowina oraz wschodnia prawie połowa Polski — to znaczy tereny zajęte przez Rosję w okresie sowiecko-niemieckiej współpracy — stanowią integralną część Związku Sowieckiego.

W tymże czasie, siódmego grudnia 1941 roku, Japonia zaatakowała Pearl Harbor i Ameryka weszła do wojny. Churchill poczuł się silniejszy wobec Stalina. Co więcej, został poinformowany przez amerykańskiego Sekretarza Stanu, Cordell Hulla, iż rząd amerykański stanowczo sprzeciwia się zawieraniu tajnych układów, które przesądzałyby zmiany terytorialne w Europie przed zakończeniem wojny. Churchill pośpiesznie wysłał Edenowi instrukcje. Na skutek stanowiska Stanów Zjednoczonych Anglia nie jest w stanie podpisać żądanego protokołu. Zantagonizowanie rządu amerykańskiego miałoby „daleko idące konsekwencje”. Wysłał depezę do szefa Opozycji w Izbie Gmin, Clementa Attlee, iż nie ustąpi wobec żądań Stalina, ponieważ są one sprzeczne z „pierwszym, drugim i trzecim artykułem Karty Atlantyckiej” — którą rząd sowiecki podpisał.

Po powrocie Edena do Londynu i wobec ponowionych żądań Mołotowa co do tajnego protokołu, Churchill wysłała Edenowi instrukcję z Waszyngtonu:

Nigdy nie uznaliśmy granic Rosji z 1941 roku jak tylko *de facto*. Zostały one ustalone poprzez agresję w bezwstydną współpracę z Hitlerem... Nie może być mowy o ustalaniu granic przed Konferencją Pokojową...

Pełen optymizmu dodał, iż po wojnie „brytyjsko-amerykański blok” stanie się decydującym. „Związek Sowiecki będzie potrzebował naszej pomocy o wiele bardziej niż my ich” — zakończył telegram.

Tym razem zmieniony układ sił trzech wielkich mocarstw stał się korzystny dla Polski. Nie na długo jednak.

Już po kilku tygodniach Churchill zmienił swoje stanowisko. Anglia ponosiła ogromne straty na lądzie, na morzach i w powietrzu. Niepowodzenia w Egipcie. Zwycięstwa japońskie na wschodzie. Upadek Singapuru. Straszliwe straty zadawane przez niemieckie torpedowce. Niemożność otwarcia drugiego frontu, którego Stalin się domagał. Depesze Stalina wyrażające niezadowolony. Coraz niecierpliwsze naciski ambasadora Majskiego w Londynie o tajne uznanie sowieckich żądań terytorialnych. Wreszcie zawołane groźby Stalina. W publicznym rozkazie z dwudziestego trzeciego lutego 1942 roku Stalin nie wspominał o pokonaniu Niemców hitlerowskich. Mówił tylko o uwolnieniu sowieckich terytoriów. Czyżby miało to znaczyć, rozumował Churchill, że w razie wyparcia Niemców z Rosji Stalin zamierza wstrzymać dalsze operacje wojenne?

Bo Rosja w rozpaczliwej walce nie uległa. Nie uległy Moskwa i Leningrad. Ponadto „rosyjska zima” zaskoczyła nieprzygotowany na to Wehrmacht bez zapowiedzianego przez Hitlera, błyskawicznego zwycięstwa Niemiec.

Już siódmego marca 1942 roku Churchill informuje Roosevelta, iż sytuacja wojenna wymaga od Anglii zgody na żądania sowieckie:

„Zasady Karty Atlantyckiej nie powinny być tak interpretowane, aby odmówić Rosji granic, które posiadała, gdy Niemcy ją zaatakowały. Przecież na tej podstawie Rosja podpisała tę Kartę... Mam zatem nadzieję, że da nam Pan wolną rękę przy podpisaniu traktatu, jakiego Stalin wymaga”.

Dodał znacząco, iż Niemcy wkrótce zaczną wiosenną ofensywę w Rosji i, że zachodni alianci niewiele będą mogli zrobić, aby odciążyć Armię Czerwoną. Churchill stracił pewność siebie wobec Rosji i tym razem gotów był poświęcić kraje Europy Wschodniej i Polskę.

Cordell Hull był ciągle niewzruszony i na skutek jego nacisku Roosevelt go poparł, nie na długo jednak.

Dwa dni później, dziewiątego marca 1942 roku, Churchill wysłał telegram do Stalina sumitując się. Zgadzał się na żądanie Stalina tajnego protokołu i naciskał Roosevelta, aby i on się zgodził. Spotkał się jednak z odmową. Nie może sobie pozwolić na antagonizowanie Stanów Zjednoczonych. Stalin w odpowiedzi wyraził niezadowolenie. Sprawy europejskie powinny być załatwiane przez europejskie mocarstwa. Stany Zjednoczone nie mają prawa ingerowania w te sprawy. Dowiedział się jednak raz jeszcze, jakie jest stanowisko Anglii — tym razem w marcu 1942 roku.

W tym czasie Cordell Hull wyjechał na dłuższy urlop zdrowotny. Pamiętam go z mojej z nim rozmowy. Był stary, zmęczony i wyraźnie słabego zdrowia. Roosevelt skorzystał z jego nieobecności i bez jego wiedzy wysłał uspokajające telegramy do Churchilla i do Stalina: Stany Zjednoczone zgodzą się na to, aby część Finlandii, Estonia, Łotwa i Litwa zostały włączone do „sowieckiej strefy bezpieczeństwa” pod warunkiem, iż po ich uwolnieniu przez Armię Czerwoną odbędą się tam plebiscyty, po czym ci mieszkańcy, którzy nie zechcą żyć pod sowieckim rządem otrzymają pozwolenie na wyjazd ze swych krajów i zabranie ze sobą swego dobytku. Cordell Hull, dowiedziawszy się o tym po powrocie do Waszyngtonu wytłumaczył Rooseveltowi, iż popełnił błąd i poprzez amerykańskiego ambasadora w Londynie, Johna Winanta, na własną rękę zawiadomił Edena, że rząd amerykański sprzeciwia się żądaniom sowieckim.

Hull był republikaninem w rządzie Roosevelta, prezydent musiał być z nim ostrożny. Nie zdezawuował go.

20 maja 1942 roku Mołotow zjechał do Londynu dla podpisania sojuszu, domagając się jednak, aby tajny protokół został włączony. Dowiedziawszy się o tym, Hull złożył prezydentowi ostre memorandum, zawiadamiając Londyn, iż w razie włączenia tajnego protokołu Stany Zjednoczone w publicznej deklaracji odgródzą się od anglo-sowieckiego układu. I tym razem prezydent Roosevelt nie sprzeciwił się Sekretarzowi Stanu. I tym razem nie zdezawuował jego stanowiska.

Dwudziestego czwartego maja Eden oświadczył Mołotowowi, iż angielsko-polski sojusz z sierpnia 1939 roku nie pozwala mu na włączenie tajnego protokołu do sojuszu angielsko-sowieckiego. Tego samego dnia Churchill wysłał długi telegram do Stalina: polsko-angielski sojusz, opinia publiczna w Anglii i stanowisko Stanów Zjednoczonych uniemożliwiają mu włączenie tajnego protokołu do układu. Mołotow zwlekał dwa dni, czekając



zapewne na instrukcje od Stalina, po czym podpisał sojusz — bez tajnego protokołu.

Tego samego dnia Churchill wysłał ekstatyczny telegram do Roosevelta, informując go, iż projekt układu z Rosją został „całkowicie zmieniony”, iż jest „wolny od zastrzeżeń, które i on (*sic*) i Prezydent mieli” oraz jest w „całkowitej zgodzie z Kartą Atlantycką”. Nade wszystko uradowany był Cordell Hull i powiedział to ambasadorowi Janowi Ciechanowskiemu. Być może nie przypuszczał jednak, iż jego urzędowanie miało potrwać niewiele dłużej niż jeden rok. Na konferencję w Teheranie prezydent udał się bez własnego Sekretarza Stanu.

W 1943 roku pozycja Rosji i prestiż Stalina w opinii światowej osiągnęły szczyt. W lutym przyszło zwycięstwo Armii Czerwonej pod Stalingradem — przełomowy moment w wojnie na froncie wschodnim. Otwarcie drugiego frontu, którego Stalin coraz natarczywiej się domagał, było ciągle odwlekane, przede wszystkim za sprawą Churchilla. Aż do drugiej połowy 1943 roku Rosja walczyła w Europie samotnie — i zwyciężała, opłacając zwycięstwa niebywałymi stratami w ludziach i materiale. Żądania sowieckie wobec Polski doszły do publicznej wiadomości, znajdując aprobatę w coraz liczniejszych ośrodkach i w międzynarodowej prasie. Nieustępliwe stanowisko rządu polskiego coraz częściej i w coraz liczniejszych ośrodkach wywoływało wątpliwości lub zgorzienie. W Anglii skargi lub krytyka polityki sowieckiej w prasie polskiej zostały zabronione. Sprawa polska słabła.

W grudniu 1942 roku Generał Sikorski udał się do Waszyngtonu dla nawiązania kontaktu z Rooseveltem. Między innymi zachęcał prezydenta do poparcia Churchilla w jego planach inwazji Europy poprzez Bałkany. Szczegółowo zapoznał Roosevelta z własnymi planami federacyjnymi w powojennej Europie Wschodniej. Prezydent odnosił się do Sikorskiego przyjaźnie i wydawał się sympatyzować z jego projektami. Pamiętam, iż wkrótce po powrocie do Londynu Generał zawezwał mnie dla złożenia mu raportu o sytuacji w kraju. Był styczeń 1943 roku. Pamiętam to dobrze. Był nad wyraz zadowolony. Nim zacząłem mój raport, powiedział, że wynik jego rozmów z Rooseveltem przeszedł jego oczekiwania. Znalazł z prezydentem wspólny język. Nawiązał z nim osobistą przyjaźń. Zgodni są obaj co do najważniejszych spraw wojennej strategii. Pozycja Polski wzmocniła się w obozie alianckim. Pamiętam, jak głębokie zrobiło to na mnie wrażenie po tym, co widziałem i przeżyłem niedawno w kraju.

W osłoniętych tajemnicą gabinetach rządowych sprawa Polski wyglądała inaczej. W marcu tegoż roku, tuż po klęsce niemieckiej pod Stalingradem, Eden przybył do Waszyngtonu, aby uzgodnić stanowisko Anglii i Stanów Zjednoczonych w sprawie państw Europy Wschodniej. W kluczowej konferencji z prezydentem, czternastego marca, chwalił rząd sowiecki za powściągliwość i dobrą wolę. Od Polski, powiedział, Rosja chce „bardzo mało”, tylko tereny na wschód od linii Curzona. Ustąpienie tych terenów nie osłabi Polski gospodarczo. Stalin chce „silnej Polski, pod warunkiem jednak, iż będą nią zarządzili właściwi ludzie”. Ostro krytykował Sikorskiego i jego rząd za „bardzo ambitne” plany. Planują jakieś powojenne „federacje” czy „konfederacje” we Wschodniej Europie. Stwierdził, że rząd sowiecki ma ważne i słuszne powody, aby nie wierzyć ani Sikorskiemu, ani jego rządowi. Dokumenty świadczą, iż powtarzał prawie dosłownie to, co oświadczył mu ambasador Majski, z którym konferował tuż przed odlotem do Waszyngtonu.

Roosevelt zgodził się z Edenem, oświadczając, iż jemu także nie podoba się postawa Polaków. Uważa, że wielkie mocarstwa — Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Rosja — powinny zdecydować „we właściwym czasie”, jakie granice Polska otrzyma. Polacy będą musieli pogodzić się z tą decyzją. On nie ma zamiaru udać się na Konferencję Pokojową i „przekomarzać się z Polską lub z innymi małymi krajami. Wielkie mocarstwa mają obowiązek trzymać w ryzach (*to police*) małe kraje”.

W konsekwencji obaj mężowie stanu zgodzili się, iż państwa bałtyckie zostaną włączone do Związku Sowieckiego z tym, iż Roosevelt wolałby tam plebiscyty. Wierzy, iż ludność po uwolnieniu jej przez Armię Czerwoną opowie się za Rosją, zadowolając w ten sposób opinię publiczną w Stanach Zjednoczonych. Rosja otrzyma tereny zabrane w 1940 roku Finlandii i Rumunii. Co do Polski, ustąpi ona Rosji tereny, których wielkość zostanie zdecydowana później. Jako rekompensatę otrzyma Prusy Wschodnie, Gdańsk i część Górnego Śląska. Pozwoli się Polakom wysiedlić ludność niemiecką z tych terenów.

W Waszyngtonie Eden przeprowadził rozmowy z kilku kluczowymi doradcami Roosevelta. Wszyscy byli sceptyczni co do szans rządu polskiego w powojennej Polsce. Jedyne Generał Sikorski być może utrzyma się. Reszta zostanie odrzucona. Po powrocie do Londynu Eden poinformował Majskiego o tym, co usłyszał. Parę dni później Stalin przesłał depeszę do Churchilla. Chwalił w niej Edena i wyraził zadowolenie z jego działalności w Waszyngtonie.

W drugiej połowie października 1943 roku miała miejsce w Moskwie tajna konferencja ministrów Spraw Zagranicznych Anglii, Stanów Zjednoczonych i Rosji dla przygotowania konferencji tzw. Wielkiej Trójki, tzn. Churchilla, Roosevelta i Stalina. Tuż przed swym odlotem z Waszyngtonu Cordell Hull otrzymał ostateczne instrukcje co do stanowiska prezydenta. Zaapeluje on do Stalina o plebiscyty na spornych terenach po ich uwolnieniu przez Armię Czerwoną. Co do Polski, to jej wschodnią granicę będzie stanowiła linia Curzona.

Tuż przed konferencją ministrów Spraw Zagranicznych Eden i Hull uzgodnili projekt deklaracji odnoszącej się do uwalnianych krajów. Centralnym punktem tej deklaracji było zobowiązanie, że uwalniające rządy będą *działały razem we wszystkich sprawach* w uwolnionych krajach. Mołotow zaaprobował tekst tej deklaracji z poprawką: wykreślił powyższy paragraf. Tuż po konferencji odwiedził Averell Harrimana — nie Hulla — zobowiązując go, aby poinformował swego prezydenta, iż jego rząd przywiązuje wielkie znaczenie do tej poprawki. Wyjaśnił, iż każdy z uwalnianych rządów powinien mieć swobodę kierowania się własną racją stanu. Harriman bezzwłocznie wysłał telegram do Roosevelta. Nie otrzymał odpowiedzi. Późniejsze jednak deklaracje o uwalnianych krajach nie zawierały proponowanego sformułowania, zastępując je ambiwalentnymi stwierdzeniami.

Uwzględniona poprawka Mołotowa stała się źródłem podziału powojennej Europy na strefy wpływów. Jeszcze przed konferencją w Teheranie, na żądanie Moskwy.

Stanowisko prezydenta na konferencji teherańskiej zostało ujawnione w dokumentach kilka lat po wojnie. Znane jest ono Polakom. Pierwszego grudnia 1943 roku, tuż przed ostatnią plenarną sesją, na której miały zapadć decyzje w sprawach polskich, zaprosił Stalina do swoich apartamentów w największym sekrecie — nawet wobec Churchilla. Powiedział, że zgadza się ze Stalinem co do Polski. Nie może jednak tego oświadczyć formalnie na sesji. Zbliżają się wybory na prezydenta w jego kraju. Zdecydował się raz jeszcze kandydować. W Stanach Zjednoczonych żyje sześć do siedmiu milionów obywateli polskiego pochodzenia. Potrzebuje ich głosów. Ujawni formalnie swą decyzję po wyborach. Towarzyszyli Rooseveltowi w rozmowie Harriman i ekspert od spraw Europy Wschodniej, Charles Bohlen.

Na plenarnej sesji głos zabierali głównie Churchill i Stalin. Zgodzili się, iż linia Curzona będzie stanowiła wschodnią, a Odra zachodnią granicę Polski, która otrzyma także część Prus Wschodnich na południe od Królewca. Aby uzyskać zgodę ociągającego

się rządu polskiego, Churchill zaproponował następującą procedurę, którą nazwał „polską formułą”. Nie powie Polakom, że decyzje już zapadły. Zażąda jednak od nich, aby go upoważnili do negocjacji z rządem sowieckim w sprawie granic. Uprzedzi ich, iż prawdopodobnie na wschodzie będzie to linia Curzona. Po otrzymaniu upoważnienia powie im, iż nic więcej nie mógł dla nich otrzymać. Stalin zaaprobował tę procedurę. Roosevelt nie wypowiadał się w tej sprawie.

W Londynie Churchill i Eden odbyli kilka dramatycznych konferencji z Polakami, naciskając, aby dano im upoważnienie. Zawiedli się i w konsekwencji Churchill wygłosił słynne przemówienie w Izbie Gmin dwudziestego drugiego lutego 1944 roku. Podał w nim surowej krytyce rząd Mikołajczyka i chwalił rząd sowiecki za umiarkowanie wobec Polski w sprawach terytorialnych. Powiedział, iż on także jest zdania, że linia Curzona powinna stanowić wschodnią granicę Polski. Cóż mógł powiedzieć innego wobec tajnie powziętych decyzji w Teheranie?

Po przemówieniu Churchilla Mikołajczyk zrozumiał, iż może liczyć jedynie na przyjaznego Polsce Roosevelta. Zaczął zabiegać o wizytę u niego. Roosevelt odwlekał ją przez kilka miesięcy, w końcu jednak zgodził się i Mikołajczyk zjechał do Waszyngtonu szóstego czerwca 1944 — przypadkowo akurat w dniu inwazji Francji przez zachodnich aliantów.

Byłem wtedy przydzielony do ambasady w Waszyngtonie i wykańczałem swą książkę *Story of a Secret State*. W czasie całej wojny poza generałem Sikorskim i profesorem Stanisławem Kotem moim bezpośrednim szefem w służbie kurierskiej był Mikołajczyk. Łączyło nas wzajemne zaufanie. Widywałem go codziennie, posługując mu w drobnych, codziennych potrzebach. Został przyjęty po królewsku. Cały czas mieszkał w Blair House. Prezydent odbył z nim cztery konferencje. Był bardziej niż przyjazny i zapewniał, że uczyni wszystko, aby przyjść Polsce z pomocą. Sekretarz Stanu, Edward Stettinius, wizytował Mikołajczyka i osobiście odwoził do Białego Domu. Raz — widziałem to i słyszałem — objął go i powiedział „my dear Stan” — mój drogi Stasiu. Mikołajczyk odjechał podniesiony na duchu.

Dokumenty, opublikowane po wojnie, ujawniają inny stan rzeczy. Tuż przed przyjazdem Mikołajczyka Roosevelt polecił Harrimanowi poinformować Stalina, że odwlekał wizytę Mikołajczyka tak długo jak mógł; że zabroni mu jakichkolwiek wystąpień publicznych; że poradzi mu, aby pozbył się tych ministrów, którzy nie chcą współpracować z Rosją. Prosi Stalina, aby tymczasem powstrzymał się od kontrowersyjnych wypowiedzi w pol-

skich sprawach. Linia Curzona będzie stanowiła powojenną granicę Polski. Nie jest jedynie pewny, komu należy przydzielić Lwów.

Ledwo Mikołajczyk opuścił Waszyngton, prezydent wysłał drugi telegram do Stalina, zapewniając go, iż w rozmowach z Mikołajczykiem nie próbował ingerować w stosunki polsko-sowieckie i nie ma nowego planu lub propozycji, które mogłyby na te stosunki mieć wpływ. Zalecił Mikołajczykowi bezpośrednio rozmowy z marszałkiem Stalinem.

Nadszedł październik 1944 roku. W Polsce działał Komitet Lubelski, któremu władze sowieckie przekazały funkcje rządu tymczasowego. Poza Grecją wszystkie państwa bałkańskie zostały zajęte przez Armię Czerwoną. Wszędzie panował terror, aresztowania, egzekucje niekomunistycznych działaczy. Churchill postanowił rozmówić się ze Stalinem. Wszak rząd sowiecki nie był związany żadnymi formalnymi zobowiązaniami co do swych aktów na tych terenach. Churchill planował także połączenie polskiego rządu w Londynie z Komitetem Lubelskim i na konferencję w Moskwie zostały wezwane delegacje obu tych ośrodków.

Na jednej z sesji Mikołajczyk podniósł sprawę wschodnich granic Polski. Zniecierpliwiony Mołotow burknął, iż ta sprawa została ostatecznie zdecydowana w Teheranie z aprobatą obecnego tu premiera Churchilla i prezydenta Roosevelta. Churchill to potwierdził. Obecny Harriman milczał.

Wzburzony Mikołajczyk skomponował długi list do Harrimana, prosząc o wytłumaczenie, dlaczego nie zaprzeczył słowom Mołotowa. Wszak cztery miesiące temu prezydent zapewniał go, iż w Teheranie argumentował *przeciw* linii Curzona i sprzeciwiał się przesądzeniu spraw terytorialnych przed zakończeniem wojny. Poszedł z listem do Harrimana i zażądał odpowiedzi na piśmie. Reakcję opisał sam Harriman w dwu telegramach do Roosevelta. Zaprzeczył, iż prezydent wypowiedział się na konferencji w Teheranie w sprawie polskich granic. Ani on, ani Churchill nie przypominają sobie tego. Dodał znacząco, iż nie dał niczego Mikołajczykowi na piśmie i że zobowiązał go, aby we własnym interesie o tym incydencie nikomu nie wspominał.

Telegramy Harrimana były politycznym szyfrem, który jedynie Roosevelt mógł zrozumieć. Wszak Harriman był świadkiem super-tajnej rozmowy Roosevelta ze Stalinem.

Churchill był nie mniej od Mikołajczyka zaskoczony wypowiedzią Mołotowa o prezydencie i poszedł do Stalina. Ten powiedział mu wszystko. Tego samego dnia Churchill wysłał telegram do Roosevelta, aby się nie martwił. Nie będzie „niedyskrecji

ze strony sowieckiej”, ponieważ Stalin pragnie zwycięstwa Roosevelta w wyborach.

Trzy tygodnie później Franklin Delano Roosevelt został po raz czwarty wybrany prezydentem. Amerykanie polskiego pochodzenia głosowali na niego gremialnie.

A potem miała miejsce konferencja jałtańska, na której Churchill, Stalin i Roosevelt zdecydowali o losach wielu narodów z Polską włącznie. Pod koniec konferencji prezydenta ogarnęły obawy, czy Senat, którego opinii nie zasięgnął, zaskoczony decyzjami o tak historycznym znaczeniu — decyzje te zaaprobuje. Wahał się, czy może układy jałtańskie podpisać. Konstytucyjnie, bez aprobaty Senatu jego podpis stałby się nieobowiązujący. Ani Stettinius, ani wierny doradca, Harry Hopkins, nie znaleźli rozwiązania tej trudności. Znalazł je natomiast jeden z najbardziej zaufanych ludzi w delegacji amerykańskiej, Alger Hiss. Doradził procedurę tzw. *executive agreements*, zobowiązujących prezydenta tylko osobiście i tylko na czas jego kadencji. Takie umowy nie podlegają ratyfikacji przez Senat. Poza tym i on, i inni doradcy prezydenta dokonali w ostatecznej wersji dokumentu subtelnych zmian, które zresztą z prawnego punktu widzenia uczyniły z porozumień jałtańskich jakieś bezprecedensowe monstrum — fakt, który został uwypuklony w doskonałej i cennej, niedawno wydanej przez Rząd Polski na Obczyźnie *Białej Księdze*.

Gdy Roosevelt składał przed Kongresem Stanów Zjednoczonych raport o decyzjach w sprawach polskich w umowach jałtańskich, użył formuły, iż decyzje te zostały powzięte przez „Rosję, Brytanię i przeze mnie”. O! Prezydent Roosevelt umiał pokonywać trudności i przeszkody. Był przecież takim wielkim mężem stanu!

Kończąc mój wywód, pragnę sparafrazować Sienkiewicza w jego ocenie książąt Janusza i Bogusława Radziwiłłów. W sprawach polskich Churchill był winniejszy, Roosevelt był szkodliwszy.

Jan KARSKI  
Georgetown University



Michał HELLER

## WIACZESŁAW MOŁOTOW — NAJWIERNIEJSZY Z WIERNYCH

Latem 1984 roku zachodnie agencje prasowe doniosły, że Wiaczesław Mołotow został ponownie przyjęty do partii. Wiadomość ta wielu ludzi zaskoczyła: mało kto wiedział, że najwierniejszy ze stalinowskich adiutantów jeszcze żyje, mało kto pamiętał, że dwadzieścia trzy lata temu wyrzucono go z partii. Przywrócenie mu legitymacji partyjnej było gestem symbolicznym i dowodziło nie tylko tego, że najbliższy współpracownik Stalina zawsze pozostał wierny partii, do której wstąpił w 1906 roku, ale i tego, że partia pozostała wierna sobie. Od Lenina, który wprowadził Mołotowa w szeregi przywódców partyjnych poprzez Stalina, który przez trzydzieści lat opierał się na tym najwierniejszym z wiernych aż po Czernienkę, który naprawił niewybaczalną zuchwałość Chruszczowa, wodzowie KPZS wiedzieli, że Mołotow jest uosobieniem partii.

Los Mołotowa jest interesujący dlatego, że życie jego obejmuje cały XX wiek. Dane mu było uczestniczyć w decyzjach, które decydowały o biegu historii. Popęnił przestępstwa, które stawiają go w jednym rzędzie z największymi zbrodniarzami, w których nasz wiek szczególnie obfituje. Gdyby Mołotow żył w innym kraju, pisaliby o nim historycy i pisarze. Może jednak w innym kraju taki człowiek nigdy nie zdobyłby takiej władzy i nie mógłby popełnić takich zbrodni.

Poza światem sowietyzmu nazwisko sekretarza KC, prezesa Rady Ministrów ZSSR, ministra spraw zagranicznych, istnieje jako nazwa najprymitywniejszej ale skutecznej broni: koktajl Moło-

towa — butelka z płynem zapalnym. Jest pewna sprawiedliwość w fakcie, że nazwisko Mołotowa związane jest z bronią i że broń ta przypomina o winie Mołotowa w rozpetaniu drugiej wojny światowej, do której Związek Sowiecki przystąpił tak dalece nieprzygotowany, że przez pierwsze miesiące jedyną bronią przeciwko czołgom niemieckim były butelki z benzyną, przy czym nie zawsze starczało butelek. W świecie sowietyzmu wszyscy o Mołotowie zapomnieli poza nielicznymi (najodważniejszymi) historykami i najwyższym kierownictwem partyjnym.

Dwukrotnie próbowano napisać biografię Mołotowa. Sowiecki dyplomata S. Dmitriewskij, który w 1930 roku wybrał wolność, w 1932 opublikował książkę pt. „Sowieckie portrety”, w której zebrał biografie sowieckich wodzów lat 20-tych. W 1984 roku Roj Miedwiediew naszkicował w Moskwie sześć portretów ludzi ze ścisłego kierownictwa partyjnego i wydał je w Nowym Jorku pod tytułem „Oni otaczali Stalina”<sup>1</sup>. I Dmitriewskij i Miedwiediew piszą naturalnie o Mołotowie. O spotkaniach z Mołotowem pisali też dwaj znani dyplomaci zachodni, ale najlepsza charakterystyka Mołotowa wyszła spod pióra Churchilla: „Wiaczesław Mołotow był człowiekiem o wybitnych zdolnościach i zimnokrwistej bezwzględności... Żył i doszedł do szczytów władzy w społeczeństwie, w którym bezustannym intrygom towarzyszyła groźba własnej likwidacji”<sup>2</sup>. O Mołotowie piszą w swych wspomnieniach A. Mikojan (są to jedyne wspomnienia członka Politbiura, jakie się kiedykolwiek ukazały w Moskwie), N. Chruszczow, Swietłana Stalin, Trocki...

Biografia W. Mołotowa jest niezwykle pouczająca. Pozwala zrozumieć, kto i w jaki sposób staje się przywódcą sowieckim i dochodzi niemal do samego szczytu hierarchii.

Wiaczesław Skriabin, rewolucyjny pseudonim „Mołotow”, urodził się w marcu 1890 roku w zamożnej mieszczańskiej rodzinie, w osadzie Kukarka wiatskiej guberni. Michaił Skriabin dał swoim synom (Wiaczesław był trzecim) średnie wykształcenie i uczył ich nawet muzyki. W otoczeniu Stalina Mołotow uchodził za człowieka bardzo wykształconego i „kulturalnego”. Nikita Chruszczow w swych opowieściach o pijackich nocach u Stalina wspomina, że Stalin lubił słuchać płyt i domagał się, żeby wszyscy

1. S. Dmitriewskij, *Sowietskije portriety*, „Strielca”, Berlin 1932; R. Miedwiediew, *Oni okružali Stalina*, Nowy Jork 1984.

2. W. Churchill, *Second World War*, t. I. *From War to War (1919-1939)*, Nowy Jork 1954, str. 387.

goście tańczyli. Chruszczow twierdzi, że tylko Mołotow umiał tańczyć „po miastowemu”<sup>3</sup>.

Rewolucyjna działalność Mołotowa zaczęła się w Kazaniu, gdzie uczęszczał do gimnazjum realnego. Pierwsze aresztowanie, pierwsze zesłanie, i w 1911 roku przenosi się do Petersburga. Młody bolszewik wstępuje na politechnikę i z entuzjazmem pracuje w pierwszej legalnej gazecie partyjnej — *Prawdzie*. Swoje artykuły podpisuje pseudonimami, dowodzącymi absolutnego braku poczucia humoru: „W. Zwonow”, „Akim Prostota”... W braku talentów literackich W. Skriabin odnajduje swoje prawdziwe powołanie na stanowisku sekretarza redakcji *Prawy*. Nie wie jeszcze, jak ważne będzie to dla jego przyszłego życia.

Aresztowany w czasie wojny, W. Skriabin ucieka z zesłania do Piotrogradu. Organizacja bolszewicka jest praktycznie rozgromiona, wszyscy wodzowie znajdują się za granicą, w ocalałych komitetach jest więcej agentów i prowokatorów Ochrony aniżeli rewolucjonistów. Cały ciężar partyjnej roboty w stolicy imperium spoczywa na Aleksandrze Szlapnikowie, którego Lenin z Zurychu mianował kierownikiem rosyjskiego oddziału KC. W 1916 roku Szlapnikow kooptuje do oddziału W. Skriabina. Kiedy niespodziewanie dla rewolucjonistów spada na imperium Rewolucja Lutowa, W. Skriabin znajduje się wśród nielicznych przywódców bolszewickich przebywających w Rosji i na wolności. Przez jeden tydzień — aż do powrotu z zesłania Kamieniewa i Stalina — Mołotow redaguje *Prawdę* wespół ze Szlapnikowem. W 1912 roku poznaje przyszłego Stalina, a jako redaktor centralnego organu partii koresponduje z Leninem.

Luty i Październik pokazały, że rewolucja nie była prawdziwym żywiołem Wiaczesława Skriabina, którego ostateczne nazwisko będzie brzmiało „Mołotow”. Nie miał daru krasomówczego (co więcej jąkał się), nie umiał pisać apeli ani artykułów teoretycznych, nie miał talentów wojskowych i nie umiał porywać mas.

Umiał za to starannie spinać papiery, pisać protokoły, zwoływać narady. Jak się okazało, tego właśnie było trzeba, ledwie uciął wiatr rewolucji. Karol Radek tak zdefiniował nową erę: po epoce matriarchatu i patriarchatu nadeszła epoka sekretariatu. Wiaczesław Mołotow był urodzonym sekretarzem. W pierwszej jego biografii, opublikowanej w specjalnym tomie encyklopedii

---

3. Nikita Chruszczow, *Wspominanija (izbrannyje otrywki)*, Nowy Jork 1979, str. 203.

„Granat”<sup>4</sup>, szczegółowo opisano początkowe etapy kariery przyszłego doradcy Stalina: sekretarz gubernialnego komitetu partii w Donbasie, sekretarz KC komunistycznej partii Ukrainy, w 1921 roku — na polecenie Lenina — sekretarz KC RKP(b). Jednak talenty sekretarskie Mołotowa ujawniły się naprawdę dopiero po wyborze (w kwietniu 1922, z polecenia Lenina) generalnego sekretarza KC. Przed 1922 funkcja taka nie istniała. Istnieli sekretarze KC, którzy zajmowali się — a czasami nie zajmowali — sekretarską, biurową robotą. Lenin uznał, że Komitet Centralny potrzebuje silnego, prężnego sekretariatu, który zaprowadzi porządek w papierach. Dlatego zaproponował stworzenie stanowiska generalnego sekretarza i wysunął na nie Stalina.

W stosunkowo krótkim czasie Stalin przekształcił sekretariat w jeden z ośrodków władzy partyjnej, a potem w jedyny ośrodek władzy w partii i kraju. Mołotow był jego głównym pomocnikiem. Boris Bażanow, w 1923 roku pomocnik Stalina, po ucieczce na Zachód w 1928 roku pisał: „W doborze ludzi na strategiczne punkty aparatu państwowego Stalin korzysta przede wszystkim z bezpośredniej pomocy Mołotowa”<sup>5</sup>. Bażanow wspomina scenę, jaka rozegrała się na posiedzeniu Politbiura: „Trocki, patrząc na Mołotowa, gromi 'bezdusznych partyjnych biurokratów, którzy kamiennymi zadami duszą wszelkie przejawy swobodnej inicjatywy i twórczości mas pracujących', na co Mołotow odpowiada: 'Nie każdy może być geniuszem, towarzyszu Trocki'”.

Przez wisko „kamienny zad”, którym twórca Armii Czerwonej lekką ręką obdarzył Mołotowa, przyłgnęło doń na zawsze. Stalinowi nie trzeba było lepszej charakterystyki. Mołotow pozostaje w KC, zostaje wybrany do Biura Politycznego i po pogromie „prawych” zostaje sekretarzem moskiewskiej organizacji partyjnej. W grudniu 1930 roku z polecenia Stalina wybrano go przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych, czyli drugim po wodzu.

Mołotow był najwierniejszym pomocnikiem Stalina w czasie kolektywizacji, która według skromnych obliczeń Stalina kosztowała 10 milionów ofiar (angielski historyk Robert Conquest uważa, że zginęło 15 milionów chłopów) i industrializacji przy wykorzystaniu pracy milionów więźniów.

---

4. *Diejatieli SSSR i Oktiabrskoj rewolucji. Encyklopediczeskij słowar Russkowo biograficzeskowo Instituta „Granat”*, Moskwa, wyd. VII, 1927-1929.

5. Boris Bażanow, *Zamietki bywszewo pomoszcznika Stalina*, „Wozrozdienije”, 24. 11. 1928.

W 1936 roku Mołotow miał 46 lat. U szczytu władzy, szedł pod przewodnictwem Stalina od zwycięstwa do zwycięstwa. Czynnie pomagał Stalinowi w przygotowaniach do „wielkiej czystki”, która rozpoczęła się 1 grudnia 1934 roku zabójstwem Kirowa. Latem 1935 roku aresztowano Zinowiewa i Kamieniewa i oskarżono ich o zamordowanie Kirowa i o wiele innych, straszniejszych jeszcze zbrodni. Łatwo sobie wyobrazić szok Mołotowa, kiedy w sierpniu 1936 roku przeczytał akt oskarżenia, wymieniający nazwiska osób z najbliższego otoczenia Stalina, których wrogowie ludu chcieli zamordować. Mołotowa nie było na liście. Aleksander Orłow (Lew Feldbin), jeden z głównych zagranicznych agentów NKWD, szef sowieckiej agentury w Hiszpanii, opisuje jak to było we wspomnieniach, wydanych w 1953 roku w Stanach Zjednoczonych. Jeden z aresztowanych w sprawie Kamieniewa i Zinowiewa, Izaak Reingold, „przyznał się”, że pod naciskiem Zinowiewa spiskowcy postanowili zabić Stalina, Mołotowa, Kaganowicza i Kirowa. Kiedy jego zeznania pokazano Stalinowi, „genialny sekretarz” własnoręcznie wykreślił nazwisko Mołotowa<sup>6</sup>. Przez sześć tygodni Stalin trzymał swego najbliższego towarzysza między życiem a śmiercią. Na pierwszym procesie moskiewskim Mołotowa nie wymieniono wśród upatrzonych ofiar wrogów ludu. W międzyczasie jednak Stalin przywrócił go do łask. Na dwóch następnych moskiewskich procesach oskarżeni przyznawali się już, że zamierzali zabić także Mołotowa, najbliższego przyjaciela wodza narodów.

Nie ulega wątpliwości, że lekcja nie poszła na marne. Stalin mógł na Mołotowa liczyć. Kiedy w 1949 roku kazał aresztować jego żonę, Mołotow nadal z niewolniczym oddaniem służył wodzowi. Były generalny sekretarz komunistycznej partii Izraela, Mikunis, wspomina jak w 1955 roku spotkał Mołotowa w klinice kremłowskiej i zapytał go, dlaczego pozwolił aresztować swoją żonę. W odpowiedzi usłyszał: „Dlatego, że jestem członkiem Biura Politycznego i musiałem się podporządkować dyscyplinie partyjnej... Podporządkowałem się Biuru Politycznemu, które uznało, że moją żonę należy usunąć...”<sup>7</sup>.

Sześć tygodni wielkiego strachu dopełniło edukacji Mołotowa. Przez dwadzieścia porewolucyjnych lat Mołotow uczestniczył w budowie socjalizmu i kierował operacjami, które kosztowały życie milionów ludzi. Były to jednak zabójstwa „biurokratyczne”; Mołotow był — jak powiedziała Hannah Arendt o Eichmannie

6. Alexander Orlov, *The Secret History of Stalin's Crimes*, Londyn 1954, str. 81.

7. *Wzrost i my* nr 48/1979, str. 161-162.

— „mordercą za biurkiem”. Począwszy od 1936 roku staje się mordercą już nie bezimiennych milionów, lecz ludzi, których doskonale znał, przyjaciół, współpracowników. Podpisuje wspólnie ze Stalinem i innymi członkami Politbiura listy skazańców, nierzadko dołączając do swego podpisu obelgi pod adresem ofiar, sam proponuje aresztowania w aparacie Sownarkomu ZSSR, zdarza się, że proszony przez NKWD o sankcję na aresztowanie stawia obok nazwiska ofiary trzy litery — NWK — najwyższy wymiar kary. Na XXII Zjeździe (1961 rok), na którym Chruszczow postanowił ujawnić prawdziwe oblicza swoich przeciwników — Mołotowa, Malenkowa, Kaganowicza — cytowano straszne dokumenty krwawej działalności stalinowskiego Politbiura.

W maju 1939 roku Mołotow, będąc nadal szefem rządu, objął po Litwinowie stanowisko ludowego komisarza spraw zagranicznych. Ta nowa godność oznaczała nie tylko zwiększenie jego władzy, ale wskazywała przede wszystkim, że przygotowania do paktu z Hitlerem wkroczyły w fazę ostateczną. Mołotow wychodzi na arenę międzynarodową. 23 sierpnia 1939 roku podpisuje z Ribbentropem pakt o nieagresji między Niemcami a Związkiem Sowieckim. Jak pisze Albert Speer, Hitler dostał telegram o tym w czasie kolacji: „Szybko go przeczytał, cały poczerwieniał i stuknąwszy w stół tak, że zabrzęczały kieliszki, zakrzyczał falsetem: Mam ich! Mam ich!”<sup>8</sup>. Hitler był szczęśliwy, kiedy dostał od Stalina i Mołotowa zgodę na napaść na Polskę. 17 września Armia Czerwona wkroczyła na terytorium Polski „dla wyzwolenia Ukrainy Zachodniej i Zachodniej Białorusi”. 31 października Mołotow z dumą przedstawił Najwyższej Radzie ZSSR sukcesy wojsk niemiecko-sowieckich: „... wystarczyło krótkie uderzenie na Polskę wojsk niemieckich, a potem Armii Czerwonej, aby nic nie zostało po tym bękarcie traktatu wersalskiego...”. W dalszym ciągu swej markszystowsko-leninowskiej analizy charakteru rozpoczętej właśnie drugiej wojny światowej, najwierniejszy towarzysz Stalina wypowiedział swe najsłynniejsze słowa: „Ideologię hitleryzmu, podobnie jak każdy system ideologiczny, można uznawać albo odrzucać — to kwestia poglądów politycznych. Ale każdy rozumie, że ideologii nie można zniszczyć siłą... Dlatego prowadzenie takiej wojny jak 'wojna o zniszczenie hitleryzmu' pod fałszywym sztandarem 'wojny o demokrację' jest nie tylko bez sensu, ale jest przestępstwem”<sup>9</sup>. Kilka dni przed proklamacją, że wojna przeciw hitleryzmowi jest przestępstwem Mo-

8. Albert Speer, *Au cœur du Troisième Reich*, Paryż 1971, str. 230.

9. Stenogram posiedzenia, 1939, str. 8-10.

łotow podpisał „z polecenia rządu ZSSR” 28 września z Niemcami pakt „o przyjaźni i granicy”, a także szereg „tajnych protokołów uzupełniających”, w tym protokół o współpracy między NKWD i Gestapo, który postulował: „Obie strony nie będą tolerowały na swoim terytorium żadnych polskich zamieszek, które mogłyby zaszkodzić interesom drugiej strony”.

Łatwo zrozumieć urazę i gorycz Mołotowa, kiedy 22 czerwca 1941 roku poseł niemiecki von Schulenburg oznajmił mu o rozpoczęciu wojny, która szalała już od Białego do Czarnego Morza. Był to jeden z nielicznych momentów, kiedy Mołotow — zdaniem Churchilla ucieleśnienie robota — przejawiał zdenerwowanie. „Nie zasłużyliśmy na to” — zdołał tylko odpowiedzieć minister spraw zagranicznych ZSSR. Miał rację. Ani Stalin, ani on na to nie zasłużyli. Zrobili wszystko, aby pomóc Hitlerowi, surowo przestrzegali wszystkich punktów paktu z hitlerowskimi Niemcami. Kiedy Mołotow w listopadzie 1940 roku przyjechał do Berlina, w zasadzie przyjął propozycję Hitlera przystąpienia do Paktu Antykominternowskiego i wzięcia udziału w podziale świata. Nieliczne punkty sporne dotyczyły drobiazgów. Po powrocie do Moskwy i wysłuchaniu instrukcji Stalina Mołotow oznajmił niemieckiemu posłowi w Moskwie von Schulenburgowi, że Związek Sowiecki gotów jest przystąpić do Paktu Antykominternowskiego pod warunkiem, że strefa na południe od Batumi i Baku w kierunku Zatoki Perskiej zostanie uznana za strefę interesów sowieckich<sup>10</sup>.

W latach wojny Mołotow spełnia dyplomatyczne polecenia Stalina, jeździ do Londynu i Waszyngtonu umacniać koalicję antyhitlerowską, czyli domagać się od sojuszników pomocy, pomocy i jeszcze raz pomocy. To w tych latach definitywnie krzepną zasady dyplomacji sowieckiej, przede wszystkim zasada stosunków z Zachodem: Nigdy o nic nie prosić, zawsze żądać. Nigdy niczego nie dawać, za to brać co się da, przede wszystkim od sojuszników. To co zagarnięte uważać za swoje, a o to co należy do innych pertraktować. „Kamienny zad” Mołotow był ucieleśnieniem tej polityki. Samą swą obecnością, swą kamienną ciężałością i niewzruszonym milczeniem zmuszał rozmówców do ustępstw. Mołotow uczestniczył we wszystkich ważniejszych konferencjach lat wojny. Siedział koło Stalina podczas konferencji jałtańskiej, kiedy toczyła się słynna „wymiana zdań” Wielkiej Trójki na temat Polski, zanotowana przez tłumacza Stalina. Roosevelt wy-

10. P. Michał Heller i Aleksander Niekricz, *Utopia u władzi*, Londyn 1982.

raził pogląd, że problem Polski „na przestrzeni pięciu wieków przyprawiał świat o ból głowy”. Churchill zauważył, że należy się postarać o to, aby kwestia polska „przestała przyprawiać świat o ból głowy”. „Koniecznie należy to zrobić” — przytaknął Stalin<sup>11</sup>.

Stalin był zadowolony z działalności Mołotowa. 24 maja 1945 roku na przyjęciu na Kremlu ku czci dowódców Armii Czerwonej generalissimus zaproponował po niezliczonych toastach na cześć zwycięskich marszałków toast „za szefa naszej polityki zagranicznej Wiaczesława Michajłowicza Mołotowa. Nie zapominajcie, że dobra polityka zagraniczna niekiedy więcej znaczy niż dwie-trzy armie na froncie. Za naszego Wiaczesława!”.

„Nasz Wiaczesław” znajduje się niemal u szczytu władzy. Chruszczow wspomina: „Wszyscy uważaliśmy, że Mołotow jest przyszłym wodzem... który zastąpi Stalina, kiedy... jeśli Stalin umrze”<sup>12</sup>. W 1932 roku Dmitriewskij tak opisywał Mołotowa i jego mieszkanie: „Ubrany jest zwyczajnie w ciemną marynarczkę, pod nią rubaszka albo miękka koszula, na głowie cyklistówka... W jego malutkim mieszkaniu meble są jak najprostsze, najniezbędniejsze — zawsze w pokrowcach. Podłoga błyszczy jak lustro. Deski czyściuteńkie”<sup>13</sup>.

Dwadzieścia lat później wszystko wygląda inaczej: Mołotow nosi pyszny mundur obszyty złotem. Według świadectwa Swietłany Allilujewej „domy i dache Woroszyłowa, Mikojana i Mołotowa były pełne dywanów, złotej i srebrnej broni kaukaskiej, drogiej porcelany. Po drugiej wojnie światowej ruszyła fala prezentów z bratnich krajów socjalistycznych i z Chin. Jaspisowe wazony, rzeźby z kości słoniowej, hinduskie jedwabie, perskie dywany...”. Swietłana podkreśla, że „mieszkanie i dacha Mołotowa wyróżniały się... luksusem”<sup>14</sup>.

W latach powojennych Mołotow, wciąż minister spraw zagranicznych, pełnił, jako pierwszy zastępca Stalina, wiele innych funkcji. Między innymi uczestniczył w opracowaniu planu i przeprowadzeniu masowych represji okresu powojennego w ZSSR i w krajach „obozu socjalistycznego”.

W 1949 roku Stalin stracił zaufanie do „najwierniejszego z wiernych”. Powstała sytuacja, do której analogii można szukać tylko w biografii Swetoniusza: Mołotow zastępuje Stalina jako

11. W. M. Biereżkow, *Stranicy dyplomaticzeskoj istorii*, Moskwa 1982, str. 412.

12. Nikita Chruszczow, *op. cit.*, str. 96.

13. S. Dmitriewskij, *op. cit.*, str. 122.

14. Swietłana Allilujewa, *Tolko odin god*, Nowy Jork 1970, str. 347, 351.



przewodniczący prezydium na posiedzeniach Biura Politycznego, a jego żona zostaje aresztowana jako syjonistka; Mołotow zajmuje najwyższe stanowiska w partii i państwie, a Stalin wypytuje po nocach swych kompanów od butelki z Biura Politycznego, jakim cudem Mołotow mógł rozjeżdżać po Stanach Zjednoczonych „własnym wagonem”: skoro ma tam wagon, znaczy — szpieg. W 1952 roku Mołotow otwiera XIX Zjazd partii, zostaje wybrany do prezydium KC KPZS, ale nie do naczelnego organu — Biura prezydium. Nieoceniony Chruszczow wspomina, jak wszyscy „wodzowie” byli wstrząśnięci, kiedy Mołotowa nie wybrano: znaczyło to, że Stalin nie umieścił go na liście i że — jak wszyscy zrozumieli — nadszedł czas kolejnej „wielkiej czystki”.

Przyszli historycy rozwiążą być może „zagadkę śmierci Stalina”. Dzisiejszy stan wiedzy pozwala jedynie stwierdzić, że Stalin popełnił zasadniczy błąd, chcąc powtórzyć scenariusz „wielkiej czystki” lat 1935-1938. Jego towarzysze, którzy wraz z nim przeprowadzali pierwszą czystkę, wiedzieli, że na litość nie mają co liczyć. Dlatego przypuszczenie, że Stalina zamordowali jego wierni słudzy, jest jak najbardziej uzasadnione. Jeśli tak było, Mołotow powinien był należeć do wtajemniczonych spiskowców.

W 1949 roku Churchill wyraził nadzieję, że po śmierci Stalina powtórzy się sytuacja, która uratowała Europę zachodnią w XIII wieku: wojska mongolskie, gotowe rzucić się na niewiernych, zatrzymały się i wróciły na swe stepy, bo umarł „wielki chan” i następcy spieszyli na naradę, na której miano wybrać nowego. Rzeczywistość tylko częściowo spełniła nadzieje Churchilla: pretendenci do munduru Stalina zebrali się na naradę, ale — jak dziś widać — zatrzymali się tylko na chwilę. W 1986 roku imperium sowieckie i jego strefa wpływów przekraczają najśmielsze marzenia Stalina.

Nie będzie błędem stwierdzenie, że wybór następcy Stalina zdecydował o losach świata na następnych trzydzieści lat. Walka, do której przystąpiło pół tuzina pretendentów, sprowadziła się koniec końców do zapasów między dwiema liniami, które można nazwać linią Mołotowa i linią Chruszczowa. Charakterystyczną cechą „wojny diadochów” było to, że nie rozumieli natury systemu, który z takim oddaniem budowali pod kierownictwem Stalina. Ledwo wspólnicy wodza upewnili się, że zamknął oczy na zawsze, zaczęli, jak powiada Chruszczow, „dzielić portfele”<sup>15</sup>. Główny łup — tron — przypadł z woli pretendentów Georgijowi

---

15. Nikita Chruszczow, *op. cit.*, str. 144.

Malenkowowi: to on został przewodniczącym Rady Ministrów i opuścił stanowisko sekretarza KC. Drugi z kolei łup — drugi co do ważności ośrodek władzy, jak sądzili następcy w marcu 1953 roku — czyli stanowisko zastępcy Malenkowa i ministra spraw wewnętrznych (do gestii którego należy też ministerstwo bezpieczeństwa wewnętrznego) objął Ławrentij Beria. Mołotow zostaje wiceprzewodniczącym Rady Ministrów i ministrem spraw zagranicznych, Nikita Chruszczow faktycznym pierwszym sekretarzem KC, co w zamiarach jego kolegów miało go zepchnąć na drugi plan.

Upłynie około trzech i pół lat, zanim Chruszczow ostatecznie zwycięży. Zwycięstwo to przypieczętuje upadek Mołotowa. Najwierniejszy towarzysz Stalina przegrał walkę o władzę, bo chodziło mu tylko o to, żeby zachować nietknięty stalinowski model w takiej formie, w jakiej zostawił go Stalin w dniu swojej śmierci. Chruszczow zrozumiał, że w marcu 1953 roku system znalazł się w stanie entropii. Świadom był tego i Stalin, który zamierzał wprowadzić go na nowo w ruch wypróbowanym sposobem „wielkiego terroru”. Chruszczow, bojąc się stalinowskiego terroru, szukał dróg reform. Mołotow był kategorycznie przeciwny jakimkolwiek zmianom. Chruszczow wspomina, że nawet nie rozmawiał z Mołotowem (1955) o projekcie zwrotu baz sowieckich Finlandii, bo Mołotow był „zbyt sztywny, aby realistycznie ocenić sytuację i wyciągnąć poprawne wnioski”<sup>16</sup>. Mołotow sprzeciwia się podpisaniu układu pokojowego z Austrią, ale musi się podporządkować. Sprzeciwia się ułożeniu stosunków z wyklętą przez Stalina Jugosławią i nie zostaje włączony do sowieckiej delegacji, która udaje się do Belgradu.

W październiku 1956 roku Mołotow i Kaganowicz, myślący podobnie jak on, należą do delegacji, która udaje się do Warszawy. Mają reprezentować nieugiętą stalinowską linię wobec satelitów; Chruszczow i Mikojan, członkowie tej samej delegacji, reprezentują „giętkość”. Oцениwszy „realistycznie” sytuację w Polsce, Chruszczow „wyciąga poprawne wnioski” i wbrew Mołotowowi zgadza się na wybór Gomułki.

Mołotow nie tylko surowo osądza referat Chruszczowa na XX Zjeździe, „demaskujący kult jednostki”, ale stara się zrobić co w jego mocy — a moc jeszcze ma — aby nie dopuścić do rehabilitacji tych, których aresztowano na podstawie jego list. Latem 1956 roku Mołotow traci stanowisko ministra spraw zagranicznych i obejmuje ministerstwo kontroli państwowej. Usi-

16. *Khrushchev Remembers. The Last Testament*, Boston 1974, str. 223.

łuje zorganizować przewrót, tworząc w Biurze Politycznym antychruszczowowską frakcję. Odwieczny wykonawca, grający zawsze drugie skrzypce, okazuje się niezdolny do przejęcia władzy. Udaje mu się wymusić na Politbiurze poparcie dla swojej rezolucji, ale Chruszczow — po raz pierwszy w historii partii — opiera się na Komitecie Centralnym i zwycięża. „Antypartyjna grupa” zostaje rozgromiona. Mołotowa wyrzucają z KC, a w 1961 roku także z partii. Litość Chruszczowa dla powalonego przeciwnika obróciła się przeciw niemu. W październiku 1964 roku spiskowcy, pomni losu Mołotowa, przeciągają Biuro Polityczne na swoją stronę i obalają Chruszczowa.

Chruszczow swoją rolę spełnił: system sowiecki przetrwał śmierć wodza. Okres postalinowski, epoka rozłamu i wrzenia, zwana okresem odwilży, wprawiła system w niezbędny ruch, ale samego stalinowskiego modelu w niczym nie zmieniła. Osiemnastolecie Breżniewa było okresem niebywałej ekspansji Związku Sowieckiego.

Po swej porażce Mołotow stał się symbolem stalinizmu. Kiedy w marcu 1956 roku w Tyflisie ludzie demonstrowali przeciw „demaskowaniu kultu jednostki”, demonstranci krzyčili „precz z Chruszczowem”, „Mołotow na premiera”. Kiedy w 1957 roku w mieście Groznyj wybuchły zamieszki między Rosjanami a Czeceńcami, którym po 13 latach zesłania pozwolono wrócić do domu, demonstranci wysunęli żądania rosyjsko-sowieckie: „Domagamy się po pierwsze ponownego zesłania Czeceńców i Inguśców, po drugie postawienia na czele Rady Ministrów ZSSR towarzysza Mołotowa, po trzecie postawienia w mieście pomnika generała Jermołowa”<sup>17</sup>.

Ponowne przyjęcie do partii rencisty Mołotowa, zgrzybiałego starca, jest złowieszczym znakiem: Stalin znowu jest potrzebny. Dziś nie wystarczy już, że (jak brzmi hasło) Stalin umarł, ale dzieło jego żyje. Dziś dzieło Stalina potrzebuje Stalina.

*Michał HELLER*

---

17. Semion Lipkin, *Dekada*, Nowy Jork 1983, str. 164.

Andrzej KORBOŃSKI

## PAŹDZIERNIK 1956

### Wstęp

Naukowiec czy dziennikarz, któremu powierzono zadanie przeanalizowania kryzysu politycznego w danym kraju, musi przede wszystkim wybrać metodę badawczą czy też podejście analityczne, które dałyby ciekawe i użyteczne rezultaty. Jest to samo przez się dość skomplikowane zadanie, szczególnie jeśli przedmiotem analizy jest Polska — kraj, który od lat krzyżował plany badaczy próbujących go zaklasyfikować w taki czy inny sposób, i jeśli sytuacja kryzysowa odnosi się do Października 1956, okresu który (z wyjątkiem wypadków w latach 1980-1981) był prawdopodobnie najbardziej dramatycznym epizodem w historii powojennej Polski. Jednocześnie trzeba się pogodzić z tym, że w ciągu trzydziestu lat od Października 1956 wszystko chyba co można było o nim powiedzieć zostało już powiedziane czy napisane, i jest raczej wątpliwe, czy esej ten przedstawi jakieś nowe szczegóły czy odkryje świeże źródła dotyczące przyczyn i skutków przełomu październikowego.

Z drugiej jednak strony, trzeba sobie zdać sprawę z tego, że w drugiej połowie lat osiemdziesiątych ciągle jeszcze nie posiadamy szczegółowej analizy Października 1956, którą można by porównać z analizą rewolucji węgierskiej z 1956 roku, przeprowadzoną przez Paula Zinnera i Ferencza Valli<sup>1</sup>, czy też z monumentalnym studium „Wiosny Praskiej” 1968 roku, autorstwa Gordo-

---

1. Paul E. Zinner, *Revolution in Hungary* (Nowy Jork: Columbia University Press, 1962); Ferenc A. Valli, *Rift and Revolution in Hungary* (Cambridge, Mass.: Harvard University Press, 1961).

na Skillinga<sup>2</sup>. Istnieją co prawda dwa doskonałe dłuższe reportaże dziennikarskie dotyczące Października<sup>3</sup>, istnieje szereg rozdziałów w tomach zbiorowych<sup>4</sup>, i kilka innych interesujących artykułów<sup>5</sup>, ale ciągle brak mniej lub więcej autorytatywnej analizy kryzysu z 1956 roku, łącznie z jego różnymi komplikacjami i interpretacjami. Napisanie takiego studium powinno być teraz łatwiejsze niż przedtem, między innymi na skutek ukazania się ostatnio oficjalnych i nieoficjalnych (czytaj niecenzurowanych) wspomnień osobistych niektórych czołowych aktorów i uczestników wypadków październikowych<sup>6</sup>. Choć esej ten nie zamierza odpowiedzieć definitywnie na szereg intrygujących pytań dotyczących kryzysu w 1956, które nie znalazły jeszcze odpowiedzi w ciągu ostatnich trzydziestu lat, może stanowić podjętę do dalszych badań nad tym fascynującym tematem.

Znany słownik amerykański definiuje kryzys w następujący sposób: „chwijny okres czy stan rzeczy, który musi wywrzeć decydujący wpływ na lepszą lub gorszą przyszłość<sup>7</sup>”. Wydaje mi się, że definicja ta pasuje niezłe do sytuacji kryzysowej w Polsce, która osiągnęła swój szczyt jesienią 1956 i która od tej pory znana jest w literaturze jako „Polski Październik”.

Pozostaje jedynie kwestia wyboru metody czy podejścia do tematu. Wybór metody jest w dużym stopniu zależny od pytań, które zamierzamy postawić. W tym wypadku pytania dotyczą przyczyn kryzysu; powiązań między Październikiem a poprzednimi i następnymi kryzysami w kraju; głównych aktorów i ich rolę; środków i metod rozwiązywania kryzysu; długofalowego wpływu

---

2. H. Gordon Skillling, *Czechoslovakias Interrupted Revolution* (Princeton, N.J.: Princeton University Press, 1976).

3. Flora Lewis, *A Case History of Hope* (Garden City, H.Y.: Doubleday & Co., 1958); Konrad Syrop, *Spring in October* (Londyn: Weidenfeld and Nicolson, 1957).

4. Zbigniew K. Brzeziński, *The Soviet Bloc* (Zmienione i poszerzone wydanie), (Cambridge, Mass.: Harvard University Press, 1967), rozdział 11; Jan B. de Weydenthal, *The Communists of Poland* (Stanford, Calif.: Hoover Institution Press, 1978), rozdział 5; Richard Hiscocks, *Poland, Bridge for the Abyss?* (Londyn: Oxford University Press, 1963), rozdział IX; Paul E. Zinner, red., *National Communism and Popular Revolt in Eastern Europe* (Nowy Jork: Columbia University Press, 1956), część II, rozdziały I-V.

5. Witold Jedlicki, „Chamy i Żydy”, *Kultura* (Paryż), nr 12/182, grudzień 1962, str. 3-41; George Sakwa, „The Polish 'October': A Re-Appraisal Through Historiography”, *The Polish Review*, tom XXIII, nr 3, 1978, str. 62-78.

6. Teresa Torąńska, *Oni* (Londyn: Aneks, 1985); Jan Ptasieński, „Powrót Gomułki”, *Polityka* (Warszawa), 16 lutego 1985, str. 8-10.

7. *Webster's New Collegiate Dictionary* (Springfield, Mass.: G. C. Merriam Company, 1974), str. 270.

Października nie tylko na sprawy polskie, ale również na wydarzenia w innych krajach Europy Wschodniej.

Wydaje mi się, że metodą, którą można z powodzeniem zastosować do analizy kryzysu październikowego jest model, który w swoim czasie skonstruowałem w celu przestudiowania procesów liberalizacyjnych we Wschodniej Europie i który nazwałem po prostu „paradygmatem liberalizacji”<sup>8</sup>. Model ten będzie zastosowany tutaj w celu:

- 1) zidentyfikowania i sklasyfikowania czynników, które towarzyszyły narodzinom i eskalacji kryzysu;
- 2) zidentyfikowania czynników odpowiedzialnych za przejście z jednej fazy kryzysu do następnych; i
- 3) postulowania zależności funkcjonalno-przyczynowej między kryzysem 1956, traktowanym jako zmienna zależna, a szeregiem zmiennych niezależnych.

Dwa inne podejścia okazały się pomocne dla sprecyzowania różnych faz w kryzysie i zidentyfikowania najważniejszych zmiennych niezależnych. Pierwsze zadanie zostało spełnione głównie przy pomocy tzw. „modelu rozwojowego” związanego z nazwiskiem Gabriela Almonda<sup>9</sup>. Model ten jest oparty na analizie pięciu kryzysów rozwojowych napotykanym przez każde społeczeństwo w procesie szybkich zmian: chodzi o kryzysy tożsamości narodowej; penetracji społeczeństwa przez system polityczny; partycypacji ludności w podejmowaniu decyzji; dystrybucji w sferze gospodarczej; i legitymizacji systemu. Wielkim walorem modelu Almonda jest fakt, że „został on stworzony po to, aby analizować proces zmian niezależnie od kontekstu, w którym zmiany te przebiegają... Może on być zastosowany do analizy społeczeństw prymitywnych, jak również do miast starożytnej Grecji czy też nowoczesnego państwa narodowego<sup>10</sup>”. Wynika z tego, że jest on również przydatny do analizy sytuacji kryzysowej w Polsce, gdzie wpływ niektórych z wymienionych wyżej kryzysów był szczególnie silny.

---

8. Andrzej Korbonski, „Comparing Liberalization Processes in Eastern Europe: A Preliminary Analysis”, *Comparative politics*, tom 4, nr 2, styczeń 1972, str. 231-249; i „Liberalization Processes”, Carmelo Mesa-Lago i Carl Beck, red., *Comparative Socialist Systems: Essays on Politics and Economics* (Pittsburgh, University of Pittsburgh Center for International Studies, 1975), str. 192-214.

9. Gabriel A. Almond i C. Bingham Powell, Jr., *Comparative Politics* (Boston: Little, Brown & Co., 1966), str. 35-37 i 306-310.

10. Samuel P. Huntington, „The Change to Change: Modernization, Development, and Politics”, *Comparative Politics*, tom 3, nr 3, kwiecień 1971, str. 320.

Każdy system polityczny może być również widziany czy traktowany jako zbiór elementów, które podlegają stałym zmianom. Samuel Huntington wyróżnia pięć takich elementów: kulturę narodową; struktury polityczne; grupy nacisku; elity kierownicze; i decyzje polityczne, i sugeruje, że proces zmian politycznych, który może — chociaż nie musi — doprowadzić do kryzysu, jest pod silnym wpływem współzależności między tymi elementami, szybkości zachodzących w nich zmian, i kombinacji w jakich te zmiany zachodzą<sup>11</sup>. Biorąc pod uwagę kluczową rolę odegraną w Październiku 1956 przez elitę kierowniczą, niektóre grupy nacisku i polską kulturę polityczną, model Huntingtona również okazał się wielce przydatny dla naszej analizy.

Reasumując, chciałbym przeanalizować kryzys w Październiku 1956 koncentrując się z jednej strony na czynnikach, które w pierwszym rządzie przyczyniły się do narodzin kryzysu, a z drugiej strony przedyskutować wpływ różnych przemian systemowych wspomnianych przez Almonda, i rolę zmiennych systemowych zasugerowanych przez Huntingtona. Ponieważ kryzys październikowy nie powstał w próżni, chciałbym również poprzedzić moją analizę krótką dyskusją o wydarzeniach, które miały miejsce w Polsce i Europie Wschodniej kilka lat przedtem.

#### *Tło kryzysu: marzec 1953 - marzec 1956*

Można się chyba zgodzić z tym, że okres trzech lat po śmierci Stalina w marcu 1953 nie przyniósł wielkich zmian w stosunkach między Związkiem Sowieckim a jego satelitami w Europie Wschodniej. Oznaczało to również, że tak jak przedtem, jakiegokolwiek zmiany zachodzące w ZSSR były, prędzej czy później, imitowane automatycznie w całym rejonie. Innymi słowy, śmierć Stalina nie była od razu interpretowana, czy to w Moskwie czy w innych stolicach Europy Wschodniej, jako sygnał do demontażu monolitycznego imperium, chociaż osoba i autorytet Stalina były na ogół traktowane jako najsilniejsze ogniwo wiążące blok sowiecki przez poprzednie pięć lat. Stalinowska doktryna „jednej drogi do socjalizmu”, oznaczająca nadal niewolnicze posłuszeństwo i konformizm, funkcjonowała nadal bez zmian i nic nie wskazywało na to, aby miała być zmodyfikowana czy też porzucona na zawsze.

A jednak śmierć Stalina zapoczątkowała szereg ważnych zmian w Sowietach i, *ipso facto*, w Europie Wschodniej. Uwięzienie i potem stracenie Berii w grudniu 1953, oraz zniesienie Minister-

---

11. *Tamże*, str. 316.

stwa Bezpieczeństwa Wewnętrznego (MGB) i zastąpienie go mniej prestiżowym Komitetem Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KGB), były prawdopodobnie najważniejszymi sygnałami zmian. Wpływ tych zmian na sytuację w krajach satelickich był niewątpliwy, i każdy z nich przeprowadził podobne zmiany we własnym aparacie bezpieczeństwa. Podobnie, masowe zwalnianie więźniów politycznych przez Moskwę było naśladowane przez jej satelitów w Europie Wschodniej.

Na arenie politycznej podział władzy Stalina między Chruszczowem (partia) a Malenkowem (rząd), jak również coraz częstsze apele o powrót do „norm leninowskich” z podkreśleniem koncepcji „kierownictwa zbiorowego” i wiodącej roli partii, znajdowały echo w Europie Wschodniej, szczególnie na Węgrzech gdzie Matyas Rakosi musiał oddać premierostwo Imre Nagy’owi.

Wydarzenia na arenie międzynarodowej również wskazywały, że nadchodzi czas poważnych zmian na tym terenie. Zawieszenie broni w Korei; konferencja w Genewie w 1954, która przynajmniej chwilowo rozwiązała problem Indochin; proklamowanie zasad „pokojowego współistnienia” przez Sowiety i spotkanie na szczycie w Genewie w 1955 były niewątpliwie ważnymi oznakami polepszenia stosunków Wschód-Zachód i odwilży w Zimnej Wojnie.

Bez wątpienia, wszystkie te zmiany były przyjmowane w Europie Wschodniej z dużym zadowoleniem. Jakby nie było, od zakończenia wojny w 1945 reżymy komunistyczne w tym rejonie dobrze rozumiały, że ich los i możliwość przetrwania na dłuższą metę są ściśle związane ze stanem stosunków Wschód-Zachód. Przemiana Zimnej Wojny w zbrojną konfrontację, zakończoną możliwym zwycięstwem Stanów Zjednoczonych, oznaczałaby automatyczny koniec rządów komunistycznych w tej części Europy. Równocześnie zdawano sobie sprawę z tego, że dopóki istniało niebezpieczeństwo wojny między USA a ZSSR, trzy kluczowe państwa w Europie Wschodniej — Czechosłowacja, Niemcy Wschodnie i Polska — musiały, chcąc nie chcąc, polegać w dużej mierze na ochronie militarnej narzuconej przez Kreml. Każde zmniejszenie napięcia międzynarodowego oznaczało mniejszą potrzebę pomocy wojskowej Moskwy i musiało wzmacniać poczucie bezpieczeństwa poszczególnych krajów. Osłabienie władzy i aurytetu aparatu bezpieczeństwa i zwalnianie więźniów politycznych może być lepiej zrozumiane w świetle powyższych zmian.

Chociaż wpływ tych przemian był poważny, to jednak nie mógł równać się z wpływem dwóch innych wydarzeń w obozie komunistycznym: pojawienia się Chin jako współprzywódcy międzynarodowego ruchu komunistycznego i normalizacji stosunków



między ZSSR a Jugosławią w czerwcu 1955. Wpływ Chin na Europę Wschodnią był do tej pory marginesowy; po 1953 zaczął rosnać w szybkim tempie. Zawieszenie broni między Chruszczowem a Tito musiało również wyrzucić duży wpływ na cały rejon. Idea titoizmu czy narodowego komunizmu została *implicite* przyjęta przez Kreml jako alternatywny model budowy socjalizmu, i konsekwencje tego okazały się nieobliczalne w skutkach. Nie tylko oznaczały zmierzch doktryny „jednej drogi do socjalizmu”, ale zadały również śmiertelny cios grupom anty-titowskim, które do tej pory dominowały w oligarchii partyjnej w Europie Wschodniej. Stawało się coraz bardziej jasne, że po wypadkach w lecie 1955 dla całego rejonu nie było już powrotu do poprzedniego stanu rzeczy.

Paradoksalnie, śmierć Stalina w 1953 i początek stopniowego demontażu stalinowskiego monolitu spowodowały minimalne zmiany w Polsce w porównaniu z wypadkami w Czechosłowacji, Niemczech Wschodnich i na Węgrzech<sup>12</sup>. Podczas gdy kraje te doświadczyły szeregu mniej lub więcej dramatycznych zmian spowodowanych w dużej mierze przez początek destalinizacji w ZSSR, oficjalny kurs w Polsce nie tylko kontynuował dawne tradycje związane ze zmarłym wodzem, ale pod pewnymi względami przekroczył nawet próg, który był do tej pory respektowany przez elementy stalinowskie<sup>13</sup>.

Dopiero na jesieni 1953 „wiatry zmian” przywiały z dużym opóźnieniem do Polski. Okazji nastąpiło IX Plenum Komitetu Centralnego PZPR w październiku 1953. Główne przemówienie zostało wygłoszone przez Bolesława Bieruta i nosiło długi chociaż znamienny tytuł: „Zadania partii w walce o szybszy wzrost poziomu życia mas pracujących na obecnym etapie budowy socjalizmu<sup>14</sup>”.

Bierut rozpoczął od zacytowania mowy Malenkowa na sesji Najwyższego Sowiegu w sierpniu 1953, którą użył za podstawę proponowanych zmian w polityce partii. Według Bieruta, budowa socjalizmu musiała być ściśle związana ze stworzeniem odpowiednich warunków gwarantujących stały wzrost dobrobytu mas pracujących w miastach i na wsi. „Nowy kurs” proklamowany od pewnego czasu w innych krajach Europy Wschodniej powinien być rozumiany w tym świetle. Bierut stwierdził, że do tej pory wzrost dobrobytu i osiągnięcie wyższego poziomu życia — co

---

12. Mam tu na myśli rozruchy z czerwca 1953 we Wschodnim Berlinie, demonstracje w Pilźnie i początek konfliktu między Rakosi'm a Imre Nagy'm na Węgrzech.

13. Szczegóły, patrz Brzeziński, *The Soviet Bloc*, str. 239-245.

14. *Trybuna Ludu*, 6 listopada 1953.

miało być integralną częścią rewolucji społecznej w Polsce — zostały zniweczone przez brak postępu w rolnictwie i nierówny wzrost w innych gałęziach gospodarki.

Znaczenie IX Plenum było niezmiernie ważne, szczególnie dla przyszłości polskiego rolnictwa. Chociaż kolektywizacja w Polsce była formalnie zniesiona dopiero trzy lata później, oficjalne przyznanie się do negatywnych skutków polityki rolnej miało katastrofalny wpływ na dalszą socjalizację rolnictwa. Co prawda, spółdzielnie rolnicze były jeszcze tworzone po IX Plenum, ale w ciągu trzech lat między październikiem 1953 a październikiem 1956 powstało ich mniej niż w samym roku 1953<sup>15</sup>.

Na zewnątrz nic się właściwie nie zmieniło. Gwałtowne ataki na kułaków jako wrogów ludu były kontynuowane tak jak za dobrych stalinowskich czasów i *smyczka* (czyli sojusz robotniczo-chłopski) była ciągle cytowana jako podstawa socjalizmu w Polsce. Jednocześnie jednak coraz mniej mówiono o „zaostrażającej się walce klasowej”, która od lat była niezmiennym składnikiem wszelkich oficjalnych wypowiedzi na temat rolnictwa. Chociaż autor tej doktryny już nie żył i jego następcą na Kremlu odciął się od niej wyraźnie, ostre ataki na Kościół, poczynając od procesu Biskupa Kaczmarka we wrześniu 1953 a kończąc na aresztowaniu i internowaniu Kardynała Wyszyńskiego tego samego miesiąca, wskazywały na to, że polska partia stawiała na Stalina raczej aniżeli na Malenkowa.

II Zjazd PZPR odbył się w marcu 1954. Nie przyniósł on wielkich sensacji, gdyż główne zarysy proponowanych zmian były już przedtem ogłoszone na IX Plenum. Chodziło tylko o to jak dalece oligarchia partyjna była gotowa do wprowadzenia zasad „nowego kursu”. Nawet na to pytanie odpowiedział częściowo w lutym 1954 Chruszczow, w przemówieniu na temat sowieckiego rolnictwa<sup>16</sup>. Rezolucja przyjęta przez Zjazd sugerowała, że „nowy kurs”, zainicjowany w Polsce w październiku 1953, będzie wdrażany w życie. Obecność Chruszczowa na Zjeździe oznaczała, że nowa polityka otrzymała *imprimatur* Moskwy.

Pomimo to jednak, ogólna sytuacja pojazdowa w kraju nie różniła się wiele od sytuacji przed rokiem. Wszystko wskazywało, że „nowy kurs” nie przyniósł spodziewanych rezultatów. Rolnictwo kuszytko tak jak przedtem; poziom życia nie wyka-

---

15. Andrzej Korbonski, *Politics of Socialist Agriculture in Poland: 1945-1960* (Nowy Jork: Columbia University Press, 1965), str. 220.

16. Komitet Centralny KPZS na swych Plenach w styczniu i lutym 1954 zdecydował rozpocząć kampanię „dziewiętych ziem”.

zywał poprawy; członkowie aparatu partyjnego nie bardzo wiedzieli jak interpretować zmiany w polityce; a przeważająca część ludności uporczywie odcinała się od reżymu i odmawiała poparcia dla nowej linii politycznej. Atmosfera niezadowolenia i zniechęcenia rosła z dnia na dzień i w końcowych tygodniach 1954 stało się oczywiste, że partia będzie zmuszona, prędzej czy później, wprowadzić drugą fazę „nowego kursu”.

Z wyjątkiem Plenów KC w 1948 i 1949, prawdopodobnie żadne inne Plenum nie przyciągnęło tyle uwagi i nie stworzyło tyle napięcia co III Plenum zwołane na 21 stycznia 1955. Przyczyny tego nie były trudne do odgadnięcia: były to, po pierwsze, oficjalne przyznanie się w listopadzie 1954 — prawie rok po fakcie — do ucieczki na Zachód Józefa Światły, wysokiego urzędnika Bezpieki<sup>17</sup> i początek jego rewelacyjnych audycji radiowych nadawanych przez Radio Wolnej Europy; dalej, dymisja Stanisława Radkiewicza, Ministra Bezpieczeństwa Publicznego od 1944 i jego przeniesienie do Ministerstwa Państwowych Gospodarstw Rolnych; zniesienie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i jego zastąpienie dwiema instytucjami — Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i Komitetem dla Spraw Bezpieczeństwa Wewnętrznego<sup>18</sup>; burzliwe zebranie centralnego aktywu partyjnego w Warszawie w listopadzie 1954, gdzie po raz pierwszy przywódcy partyjni znaleźli się zupełnie odizolowani i w ogniu silnej krytyki<sup>19</sup>; i wreszcie zwolnienie samego Gomułki z aresztu w grudniu tegoż roku. W rezultacie i partia i cały naród oczekiwały oficjalnego wytłumaczenia dokonanych zmian, jak również odpowiedzi na pytanie dlaczego pomimo obietnic danych na IX Plenum i II Zjeździe, rok 1954 nie przyniósł żadnego polepszenia w poziomie życia i ogólnej sytuacji gospodarczej.

Kluczowe przemówienie na III Plenum wygłosił znowu Bierut, piastujący z powrotem swą dawną funkcję Pierwszego Sekretarza KC PZPR<sup>20</sup>. Pierwsza część jego mowy nie zawierała żadnych rewelacji. Bierut napomknął o „dewiacjach wykrytych w Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego” i przyrzekł respektować „normy leninowskie” w codziennej praktyce partyjnej, ale główny nacisk położył na kwestie gospodarcze. Druga część jego

17. Oficjalny komunikat o ucieczce Światły ukazał się w *Trybunie Ludu* z 25 października 1954.

18. *Tamże*, 9 grudnia 1954.

19. Ochab przyznał się do tego w swym przemówieniu na VIII Plenum KC w październiku 1956. *Nowe Drogi*, tom X, nr 10, październik 1956, str. 115.

20. Bolesław Bierut, „Zadania Partii w walce o umacnianie codziennej więzi z masami pracującymi”, *Trybuna Ludu*, 26 stycznia 1955.

przemówienia zawierała przyznanie się do winy w sprawie polityki organów bezpieczeństwa. Bierut wyliczył główne „błędy i wypaczenia” popełnione przez Bezpiekę i stwierdził, że po gruntownej reorganizacji aparatu bezpieczeństwa, przeprowadzonej przez Biuro Polityczne, osoby niesłusznie uwięzione zostały zwolnione i zrehabilitowane. Na zakończenie Plenum mianowało dwóch nowych Sekretarzy KC, Władysława Matwina i Jerzego Morawskiego, z których szczególnie ten drugi odegrał ważną rolę w Październiku 1956<sup>21</sup>.

Jakkolwiek przemówienie Bieruta nie mogło zbyt zdziwić jego słuchaczy, choćby dlatego, że użył on prawie tej samej frazeologii co przywódca sowieccy usprawiedliwiający aresztowania Berii i jego kliki, to jednak otwarte stwierdzenie, że władza Bezpieki w kraju zostanie poważnie ograniczona, musiało wywołać spory szok w społeczeństwie. W końcowej części swego przemówienia Bierut obiecał stworzyć warunki dla bliższej współpracy między partią a masami bezpartyjnych, szczególnie z inteligencją. Rządy terroru miały być zastąpione „rządami perswazji” i żądania ludności miały odgrywać coraz większą rolę w formułowaniu polityki przez partię.

Druga faza „nowego kursu”, która miała za zadanie demokratyzację wszelkich stron życia publicznego w kraju, zakończyła się wcześniej niż się tego spodziewano i trudno wskazać na przyczyny tej drastycznej zmiany w proklamowanej polityce. Prawdopodobnie kierownictwo partyjne doszło do wniosku, że partia poszła za daleko obiecując daleko idące zmiany w stosunkach ze społeczeństwem, szczególnie w obliczu przemian zachodzących w ZSSR i innych krajach Europy Wschodniej<sup>22</sup>.

Rezultatem było ogólne zamieszanie w kraju. Zwolnienie Go-

---

21. Morawski, urodzony w 1918, był na wiosnę 1956 odpowiedzialny za kontrolę nad prasą partyjną, łącznie z redagowaniem *Trybuny Ludu*. Został usunięty z tego stanowiska na początku lipca za wydrukowanie artykułu wstępnego na temat wypadków poznańskich, bez aprobaty Biura Politycznego. Zenobiusz Kozik, *PZPR w latach 1954-1957* (Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1982), str. 285. Wybrany do Biura Politycznego na VIII Plenum w październiku 1956, miał za zadanie przywrócenie kontroli partii nad młodzieżą i utrzymywanie kontaktów z partiami komunistycznymi za granicą. Opinię Morawskiego na temat Października można znaleźć w jego wywiadzie z Teresą Torańską w październiku 1981. „Zdrowy instynkt”, *Polityka* nr 48, 28 listopada 1981, str. 14-15. Jest rzeczą ciekawą, że wywiad ten nie został włączony do zbioru wywiadów przeprowadzonych przez Teresę Torańską z byłymi dygnitarzami partyjnymi i opublikowanych w książce *O ni*.

22. Malenkov podał się do dymisji jako premier ZSSR trzy tygodnie po III Plenum podczas gdy Imre Nagy został usunięty z premierostwa na Węgrzech w kwietniu 1955.

mułki z aresztu, znane tylko niewielu przywódcom PZPR, mogło być interpretowane jako ciche przyznanie się do tego, że jego poglądy nie były tak heretyckie jak do tej pory przedstawiała je partia. Z drugiej strony, uwolnienie Gomułki nie było publicznie ogłoszone i zarówno aktyw partyjny jak i całe społeczeństwo ciągle wierzyły w to, że pomimo pewnych zmian gomułkowszczyzna pozostała taką herezją jak przedtem. Interpretacja ta była wzmocniona przez wypadki w Czechosłowacji, Niemczech Wschodnich i na Węgrzech, gdzie po pewnej przerwie w latach 1953 i 1954, poszczególne partie zaczęły ponownie nawoływać do wznowienia kolektywizacji w lecie 1955. Co więcej, odsunięcie Malenkowa i ponowne podkreślenie priorytetu ciężkiego przemysłu w Sowietach przez Chruszczowa, przyczyniły się do wzrostu zamieszania w umysłach biurokratów partyjnych na różnych szczeblach.

Stawało się jasne, że w przeddzień XX Zjazdu KPZS polska partia stanęła w obliczu kryzysu. Rosnące niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy wzrosło jeszcze w rezultacie oficjalnego przyznania, że Plan Sześcioletni w rolnictwie nie został w dużej mierze wykonany. Chociaż nie było to niespodzianką, biorąc pod uwagę wypowiedzi na ten temat na IX Plenum w październiku 1953, to stopień niewypełnienia planu był znacznie wyższy niż się tego spodziewano. Na spotkaniu z aktywem KC, Hilary Minc, członek Biura Politycznego odpowiedzialny za gospodarkę, stwierdził, że wzrost produkcji rolnej wyniósł zaledwie 19 % wobec planowanych 50 %<sup>23</sup>. Jednocześnie Minc oświadczył, że dochody realne chłopów wzrosły szybciej niż dochody klasy robotniczej. Próbował osłodzić tę gorzką pigułkę, przypominając robotnikom, że chłopci ciągle jeszcze stanowią połowę ludności Polski, że są sojusznikami klasy robotniczej, i że trudno spodziewać się zwiększenia produkcji rolnej bez przyznania im odpowiednich bodźców materialnych.

Wkrótce po przemówieniu Minca, rząd ogłosił wyniki Planu Sześcioletniego odnośnie poziomu życia. Opublikowanie tych rezultatów okazało się dużym błędem. Oficjalna cyfra 26-procentowego wzrostu poziomu życia była tak wyraźnie przesadzona, że nawet najbardziej konserwatywni aparaczczyki nie mogli w nią uwierzyć. Fakt ten przyczynił się znacznie do narodzin „ducha rewizjonizmu” na niższych szczeblach biurokracji partyjnej<sup>24</sup>.

Bez wątpienia, „duch rewizjonizmu” zakorzenił się szczególnie głęboko w rolnictwie. Bez wchodzenia w szczegóły, wystarczy

23. Hilary Minc, „Pierwsze wnioski”, *Trybuna Ludu*, 31 grudnia 1955.

24. Michał Mirski, „W sprawie aktywu — polemicznie”, *Nowe Drogi*, tom XI, nr 9, wrzesień 1957, str. 69.

stwierdzić, że na początku 1956, siedem lat po ogłoszeniu kolektywizacji, rolnictwo polskie znalazło się w stadium rozgardiaszu, spowodowanym w dużym stopniu przez szereg sprzecznych rezolucji zaaprobowanych przez kilka poświęconych mu Plenów KC. Na przykład, rezolucje ogłoszone w 1954 i 1955 w gruncie rzeczy zalecały odwrót w polityce rolnej i zwolnienie tempa kolektywizacji. Z drugiej strony, V Plenum, zwołane na początek lutego 1956, w przeddzień XX Zjazdu KPZS, miało zupełnie inny charakter, zwiększając tylko zamieszanie wśród rolników i członków partii<sup>25</sup>.

Ton oficjalnych wypowiedzi na V Plenum wskazywał, że przywódcy polscy doszli do wniosku, że ponieważ „nowy kurs” nie przyniósł pozytywnych zmian w rolnictwie, należy przestawić dotychczasową politykę w kierunku konserwatywnym. Partia zdecydowała widocznie, że chłopci polscy ponownie znaleźli się pod wpływem tendencji kapitalistycznych szerzonych przez kułaków i reakcyjnych księży, którzy wykorzystywali trudną sytuację ekonomiczną dla zwiększenia swego autorytetu wśród chłopów. Wszystko to przypominało dawne czasy: kułacy, którzy parę miesięcy przedtem rzekomo robili bokami, w cudowny sposób zmartwychwstali w celu prowadzenia wrogiej agitacji. Podobnie, reakcyjny kler powrócił ponownie na scenę, szerząc negatywną propagandę dla swych własnych celów.

V Plenum było również ważne z dwóch innych względów. Po pierwsze, było to ostatnie Plenum KC w historii polskiego komunizmu, poświęcone kwestiom, które wkrótce zostały odrzucone przez światowy ruch komunistyczny. Sytuacja w rolnictwie była przedmiotem dyskusji na dalszych Plenach ale po Październiku 1956 większość z nich zajmowała się przede wszystkim zagadnieniami gospodarczymi w rolnictwie, ignorując przeważnie aspekty ideologiczne i polityczne polityki rolnej. Po drugie, V Plenum reprezentowało ostry odwrót od decyzji powziętych przez poprzednie Plena, co wskazywało na rosnące konflikty w kierownictwie partii.

Nie tylko sytuacja w rolnictwie odzwierciedlała rosnące zamieszanie w kraju, inne sygnały również wskazywały na to, że Polska zbliżała się do momentu poważnego kryzysu zaufania wobec systemu. Większość tych oznak jest dobrze znana i można je tylko tutaj krótko wymienić: rosnący ferment w szeregach inteligencji, potwierdzony ukazaniem się „Poematu dla dorosłych” Ważyka i noweli „Obrona Grenady” Brandysa; dalsze zwalnianie

25. Andrzej Korbonski, *Politics of Socialist Agriculture in Poland*, rozdział 9.

więźniów politycznych z okresu stalinowskiego, których większość stworzyła pewnego rodzaju *lobby* domagające się dalszych zmian; rosnąca alienacja młodzieży, szczególnie po Międzynarodowym Festiwalu Młodzieży w Warszawie w lecie 1955, podczas którego po raz pierwszy od wojny została podniesiona „żelazna kurtyna”, umożliwiając spotkanie młodzieży ze Wschodu i Zachodu; i oficjalne przyznanie się do poważnego załamania się Planu Sześcioletniego.

Szczególnie to ostatnie, łącznie z brakiem sukcesu w podwyższeniu poziomu życia ludności, w dużym stopniu wytrąciło z rąk partii ostatni oficjalny atut legitymizujący jej władzę. Do tej pory, reżym mógł zawsze wskazać z dumą na osiągnięcia w dziedzinie gospodarki, które wymagały poświęceń ale jednocześnie zwiększały popularność, jeśli nie powszechną akceptację rządów komunistycznych. Po roku 1955, partia znalazła się w defensywie prawdopodobnie po raz pierwszy od chwili objęcia władzy; konsekwencje tej niespodziewanej zmiany były trudne do przewidzenia.

*Czynniki warunkujące zmiany w systemie:  
marzec-październik 1956*

Okres ośmiu miesięcy między marcem a październikiem 1956 był widownią *quasi*-rewolucji w Europie Wschodniej, w rezultacie której rok 1956 był nazwany prawdziwym *annus mirabilis* w historii światowego komunizmu, zmieniając w dużym stopniu krajobraz polityczny w Europie Wschodniej. Poszczególne wydarzenia i fazy przemian są dobrze znane i były one analizowane *ad nauseam*: „tajny referat” Chruszczowa na XX Zjeździe; dalsze zbliżenie między ZSSR a Jugosławią; rosnące znaczenie Chin.

Chociaż Chruszczow nie krytykował polityki sowieckiej wobec Europy Wschodniej po 1945, jego całkowite potępienie metod stalinowskich musiało wywrzeć poważny wpływ na sytuację w tym rejonie. Niechętnie przyznanie się do bankructwa doktryny „jednej drogi do socjalizmu” i zastąpienie jej ideą „wielu dróg do socjalizmu”, jak również kontynuacja flirtu między Chruszczowem a Tito, musiały prędzej czy później przekonać mieszkańców Europy Wschodniej, że Kreml zapala zielone światło na dalszą destalinizację i eksperymentowanie z nowymi formami budownictwa socjalistycznego. Również powolne narastanie konfliktu między Moskwą a Pekinem po XX Zjeździe dawało Europie Wschodniej większą możliwość manewru i szereg opcji, które



kilka krajów (na przykład Albania i Rumunia) wybrało we wczesnych latach sześćdziesiątych.

Analizując proces destalinizacji w Europie Wschodniej, Zbigniew Brzeziński zbadał zróżnicowane konsekwencje tego procesu w poszczególnych krajach, biorąc pod uwagę cztery czynniki: głębie i rozmiar kryzysu społeczno-gospodarczego spowodowanego przez zbyt szybki proces uprzemysłowienia; konflikt między rządem a rządzonymi, a szczególnie między oligarchią rządzącą a elitą intelektualną; obecność alternatywnego kierownictwa partii; i stosunek do Jugosławii, mierzony nastawieniem wobec Tito. Na tej podstawie Brzeziński wskazał Polskę i Węgry jako dwóch logicznych kandydatów na poważny przełom<sup>26</sup>.

Podobnie jak wszelkie uogólnienia, konkluzje Brzezińskiego można dość łatwo skrytykować, szczególnie jeśli chodzi o metodologię, dane i interpretacje poszczególnych wydarzeń. Nie mam tutaj zamiaru kwestionować podstawowych założeń tezy Brzezińskiego: wymagałoby to oddzielnego artykułu. Wydaje mi się jednak, że ogólna sytuacja w Europie Wschodniej po XX Zjeździe była znacznie bardziej złożona, niż to przedstawił w dość uproszczony sposób autor *The Soviet Bloc*. Innymi słowy, myślę, że sowiecka polityka *Gleichschaltung* niosła ze sobą zarodek własnego zniszczenia: oznaczało to, że patyna uniformizmu i konformizmu była w gruncie rzeczy cienka i krucha, i że w chwili kryzysu, tradycyjne lub historyczne wartości, percepcje i tendencje musiały wyjść ponownie na powierzchnię w poszczególnych krajach. Fakt, że nawrót do dawnych tradycji przebiegał w tych krajach różnie wynikał głównie z przetrwania w nich tzw. *differentia specifica*, a nie z istnienia w rejonie wspólnych procesów czy przemian.

Sporo zostało napisane o rozwoju wypadków w Polsce w okresie między marcem a październikiem 1956<sup>27</sup>. Naszą analizę znacznie ułatwi podział tych wydarzeń na dwie kategorie: wewnętrzne i zewnętrzne. Linia podziału między nimi jest dość arbitralna: wypadki wewnętrzne były na pewno pod wpływem przemian zewnętrznych, zwłaszcza w ZSSR i *vice versa*, wydarzenia w Polsce wywierały wpływ na sytuację w Sowietach i reszcie bloku. Obie

26. Zbigniew K. Brzezinski, *The Soviet Bloc*, str. 200-205.

27. Ciekawe zeznania naocznych świadków — Ochaba, Pierwszego Sekretarza KC PZPR, Stefana Staszewskiego, sekretarza organizacji stołecznej PZPR, i Wiktora Kłosiewicza, przewodniczącego Centralnej Rady Związków Zawodowych — można znaleźć u Torąńskiej, *Oni*, str. 53-62; 133-147 i 177-187. Zobacz również, Zenobiusz Kozik, „Przemiany polityczne w Polsce w świetle VII i VIII Plenum KC PZPR w 1956 roku”. *Z Pola Walki*, tom XXIII, nr 2, 1980, str. 69-97.



kategorii wpływały na siebie i przyczyniały się do eskalacji kryzysu.

Chronologicznie, najważniejszym i zupełnie niespodziewanym wydarzeniem była śmierć Bieruta w marcu 1956. Bierut był ściśle związany z Moskwą i Stalinem i było jasne, że jego następcą będzie musiał rozwiązać szereg problemów, wyłonionych przez XX Zjazd. Było również oczywiste, że Kreml przywiązywał dużą wagę do sukcesji po Bierucie, czego dowodem była obecność Chruszczowa i jego osobisty udział w wyborach nowego kierownictwa<sup>28</sup>. Edward Ochab, którego ostatecznie wybrano następcą Bieruta, był ogólnie uważany za kandydata kompromisowego, którego głównym zadaniem miało być przyhamowanie zmian spowodowanych przez proces destalinizacji, zadekretowany przez Moskwę i zapobieżenie dalszemu rozbiću wewnątrz partii<sup>29</sup>.

W ciągu następnych paru miesięcy, rozwój wypadków świadczył o narastającym kryzysie w kraju, do czego przyczyniły się dwie decyzje podjęte w Moskwie: formalna deklaracja negująca „niesprawiedliwe” rozwiązanie przedwojennej Komunistycznej Partii Polski (KPP) w 1938, łącznie z pośmiertną rehabilitacją jej przywódców, i rezolucja rozwiązująca po dziesięcioletnim istnieniu Kominform<sup>30</sup>. Odwilży nadchodzącej ze wschodu towarzyszyły masowe dyskusje na temat „tajnego referatu” Chruszczowa, co jeszcze bardziej zaostrzyło ferment nie tylko w partii, ale i w całym społeczeństwie.

Wypadki w kwietniu 1956 były dobrym wskaźnikiem zmian zachodzących w kraju<sup>31</sup>. Po pierwsze, ogłoszono w prasie, że Gomułka i szereg przywódców politycznych i wojskowych zostało zwolnionych i zrehabilitowanych. Wkrótce potem, kilku prominentów z okresu stalinowskiego zostało usuniętych z rządu i część ich została aresztowana. W końcu, na swej normalnej sesji wiosennej sejm przegłosował ustawę o amnestii, której rezultatem było dalsze masowe zwolnienie więźniów politycznych.

Na zewnątrz wyglądało, że Ochab w pełni kierował procesem liberalizacji, tym niemniej coraz więcej wskazywało na to, że był on w gruncie rzeczy przywódcą przejściowym i że pręcej czy później będzie musiał być zastąpiony przez kogoś innego. Logicz-

28. Szczegóły, patrz wywiady ze Staszewskim i Kłosiewiczem: *Torańska, Oni*, str. 141-144 i 180-183.

29. Kontrkandydatem był Aleksander Zawadzki, wysunięty osobiście przez Ochabę, który rzekomo wzdragał się przed przyjęciem przywództwa partii. Wywiady z Ochabem i Staszewskim, *tamże*, str. 47 i 141.

30. *Prawda* (Moskwa), 21 lutego i 18 kwietnia 1956.

31. Szczegóły, patrz: „Kalendarium kryzysów w PRL (lata 1953-1980)”, *Zeszyty Historyczne* (Paryż), nr 66, 1983, str. 146-147.

nym kandydatem był Gomułka, który w maju nawiązał kontakt z Biurem Politycznym w celu przedyskutowania możliwości swego powrotu do aktywnej pracy w partii. Gomułka targował się i stawiał warunki, ale miał duży apetyt na powrót do władzy. Wynikało z tego, że liberalne skrzydło w partii powoli wygrywało walkę frakcyjną, przykładem czego było odejście z Biura Politycznego Jakuba Bermana, notorycznego stalinowca i szarej eminencji PZPR, którego od samego początku rządów komunistycznych uważano za zaufanego człowieka Moskwy.

Kluczowym wydarzeniem, które silnie przyczyniło się do eskalacji kryzysu, były naturalnie zajścia w Poznaniu przy końcu czerwca 1956. Szczegóły tych wypadków są dobrze znane i nie będą tutaj opisywane<sup>32</sup>. Wystarczy tylko stwierdzić, że demonstracje poznańskie, które przyniosły ofiary w ludziach i musiały być wstrzymane interwencją wojska, były pierwszym otwartym i gwałtownym wyzwaniem pod adresem istniejącego porządku politycznego w Europie Wschodniej, przewyższającym pod każdym względem poprzednie demonstracje i strajki w Berlinie Wschodnim i Pilźnie w 1953. Były one również kompletną niespodzianką dla ekipy rządzącej, która przez pewien czas nie bardzo wiedziała jak na nie zareagować. Pierwszym impulsem była chęć surowego ukarania demonstrantów ale po pewnym czasie przeważił zdrowy rozsądek i zamiast sięgnąć do tradycyjnych represji, Ochab zwołał Plenum KC w połowie lipca w celu przedyskutowania ogólnej sytuacji politycznej w kraju. Plenum to, które przeszło do historii jako VII Plenum, było najdłuższym zebraniem KC od końca wojny (10 dni) i sądząc po częściowo opublikowanych materiałach, stało się okazją do ujawnienia się ostrego konfliktu wewnątrz partii, bez jakichkolwiek oznak czy możliwości jego szybkiego zażegnania.

Jaka była reakcja Moskwy na rozwój wypadków w Polsce? Nie ulega kwestii, że Kreml śledził przemiany w Polsce z dużym zainteresowaniem, ale jednocześnie nie ma konkretnych dowodów na to, że Sowiety próbowały zahamować procesy liberalizacyjne zachodzące w kraju<sup>33</sup>. Można założyć, że Moskwa była po prostu

32. Szczegółową analizę wypadków poznańskich można znaleźć w: Jarosław Maciejewski i Zofia Trojanowiczowa, red., *Poznański Czerwiec 1956* (Poznań: Wydawnictwo Poznańskie, 1981). Zobacz również wywiad z Kłosewiczem u Torañskiej, *Oni*, str. 185-186.

33. Sądząc po jego pamiętnikach, nic nie wskazuje na to, że Chruszczow przejmował się wypadkami w Polsce, przynajmniej do momentu demonstracji poznańskich. Opis reakcji sowieckiej wobec Poznania można znaleźć w Strobe Talbott, red., *Khrushchev Remembers: The Last Testament* (Boston i Toronto: Little, Brown and Co.: 1974), str. 198-199, i Veljko Micunovic, *Moscow Diary* (Garden City, N.Y.: Doubleday & Co., 1980), str. 76-77.

zbyt zajęta gdzie indziej i zbyt pochłonięta innymi sprawami aby poświęcić pełną uwagę sytuacji w Polsce. ZSSR był już wtedy poważnie zaangażowany na Bliskim Wschodzie i równolegle kontynuował politykę zbliżenia wobec Jugosławii. Co więcej, Polska nie była jedynym krajem w Europie Wschodniej znajdującym się w stadium poważnego kryzysu. Węgry również przechodziły przez kryzys, który nie zapowiadał rychłego rozwiązania. Przynajmniej w Polsce elita rządząca nie próbowała zatrzymać procesów liberalizacji i demokratyzacji, podczas gdy przywódcy węgierscy przyjęli inną strategię: chociaż Rakosi został zmuszony do odejścia, partia w Budapeszcie nie była jeszcze gotowa do proklamowania dalszych reform.

Zainteresowanie Moskwy wypadkami w Polsce wzrosło znacznie po zajściach poznańskich. Na początku lipca, ZSSR przyznał Polsce nadzwyczajną pożyczkę w wysokości 100 milionów rubli w złocie, w celu poprawienia sytuacji gospodarczej. 22 lipca, delegacja z Moskwy pod przewodnictwem dwóch bliskich współpracowników Chruszczowa — premiera Bułganina i marszałka Żukowa — przybyła do Polski, rzekomo z okazji święta narodowego PRL. Istnieją dowody na to, że przywódcy sowieccy starali się przekonać Ochabę o konieczności osłabienia wpływów liberalnego skrzydła w partii i przyhamowania procesów liberalizacyjnych<sup>34</sup>.

Presja ze strony Sowietów niewiele przyniosła; wręcz odwrotnie, po prostu wzmocniła przekonanie grupy liberalnej o konieczności dalszych zmian. Jednocześnie zaczęło wyglądać na to, że nawet skrzydło konserwatywne reagowało negatywnie na próby ingerencji sowieckiej w wewnętrzne sprawy krajowe. Przykładem tego było formalne przywrócenie Gomułce i jego towarzyszom członkostwa w partii i kontynuowanie jego rozmów z kierownictwem partyjnym.

W tym samym czasie Ochab postanowił szukać poparcia dla swej polityki stopniowej liberalizacji gdzie indziej w obozie komunistycznym. We wrześniu PZPR przeprowadziła tajne rozmowy z Jugosłowianami, a przy końcu tego miesiąca Ochab przewodniczył delegacji polskiej na VIII Zjazd Chińskiej Partii Komunistycznej. Wiadomo dzisiaj, że Ochab uzyskał silne poparcie od przywódców chińskich, co bez wątpienia wzmocniło jego pozycję wobec grupy konserwatywnej w partii<sup>35</sup>. Wkrótce po powrocie Ochaba z Chin ukazała się wiadomość, że VIII Plenum KC zbierze się 19 października. Było już wtedy otwartą tajemnicą, że Plenum to wybierze Gomułkę na nowego przywódcę partii.

34. Flora Lewis, *A Case History of Hope*, str. 166.

35. Wywiad z Ochabem, Torańska, *Oni*, str. 56-60.

Tego już Kreml nie mógł ścierpieć i według źródeł polskich, w przeddzień Plenum, ambasador sowiecki zawiadomił Ochaba, że delegacja KPZS z Chruszczowem na czele przybędzie do Warszawy na otwarcie obrad. Stało się jasne, że była to ostatnia próba ze strony Sowietów powstrzymania Gomułki od objęcia władzy w PZPR.

... Szczegóły nagłej wizyty Chruszczowa i jego osobistej konfrontacji z Gomułką nie były do tej pory ogłoszone, co przyczyniło się do powstania na ten temat sporej mitologii, którą należy traktować z dużą dozą ostrożności<sup>36</sup>. Nie ulega wątpliwości, że Chruszczow próbował wyrzucić ostrą presję na przywódców polskich, łącznie z wydaniem rozkazów armii sowieckiej stacjonowanej w Polsce, aby ruszyła na Warszawę. Koniec końców, nie doszło jednak do zbrojnej konfrontacji i Chruszczow opuścił Warszawę osobiście przekonany, że wybór Gomułki nie stanowi poważnej groźby dla hegemonii sowieckiej i że będzie można Gomułkę nagiąć do linii Moskwy. Jednocześnie Chruszczow był gotów wobec nowego kierownictwa na szereg ustępstw; niektóre z nich były bezprecedensowe, jak rozwiązanie kołchozów i stworzenie *modus vivendi* z Kościołem. Kreml był skłonny zapłacić tę cenę by zapobiec eksplozji w Polsce, podobnej do tej, jaka za parę dni miała wybuchnąć na Węgrzech.

Nasuwa się tutaj naturalnie pytanie, dlaczego ZSSR nie interweniował zbrojnie w Polsce, jak to uczynił na Węgrzech. Można postawić hipotezę, że po pierwsze, Chruszczow nie miał w wypadku Polski dobrej wymówki: w przeciwieństwie do Węgier Polska nie wystąpiła formalnie z Paktu Warszawskiego, co Moskwa mogła interpretować jako *casus belli*. Po drugie, Kreml musiał sobie zdawać sprawę z tego, że stopniowa liberalizacja w Polsce nie miała charakteru spontanicznego a przebiegała pod większą lub mniejszą kontrolą partii. Po trzecie, spotkanie z Gomułką musiało przekonać Chruszczowa, że nowoobрани polski przywódca jest ortodoksyjnym komunistą, którego nie należy się bać. Fakt, że pomimo odsunięcia od władzy czołowych stalinowców takich jak Berman, Minc i Radkiewicz, ekipa Gomułki składała się z szeregu reprezentantów tzw. „zdrowych sił” aprobowanych przez Moskwę, dawał gwarancję że liberalizacja w Polsce nie pójdzie za daleko. Po czwarte, zmiany w Polsce spotkały się z aprobatą i Mao Tse-tunga i Tito, czego Kreml nie mógł lekceważyć. Wreszcie, ZSSR był w tym samym czasie poważnie zaan-

36. Wywiad z Ochabem; *tamże*, str. 63-64. Według Chruszczowa, „spotkanie to było burzliwe i odbyło się w zatrutej i zjadliwej atmosferze”. Strobe Talbott, *Khrushchev Remembers*, str. 200.

gażowany na Węgrzech i Bliskim Wschodzie i musiał traktować przełom w Polsce ze sporą dozą ostrożności. Z perspektywy lat, Chruszczow miał na pewno słuszność i jego początkowa konfrontacja z Gomułką przekształciła się po latach w dość bliską przyjaźń, podczas gdy polskie odchylenie zakończyło się w rok później bez większego hałasu.

Pomimo to jednak szanse interwencji sowieckiej były duże i fakt, że nie odbyła się ona tak jak na Węgrzech, musiał mieć jeszcze inne przyczyny. Wydaje mi się, że podobnie jak w okresie kryzysu 1980-1981, Chruszczow musiał dojść do wniosku, że inwazja sowiecka byłaby bardzo kosztowna, szczególnie w sferze militarnej. Chociaż niewiele jest nam wiadomo o sytuacji w wojsku polskim w latach 1953-1956, jego zachowanie się podczas wypadków poznańskich i jego gotowość bronięcia ekipy Gomułki przeciwko postępującym oddziałom armii czerwonej w październiku 1956, wskazywały na to, że zarówno korpus oficerski jak i reszta wojska akceptowały politykę liberalizacji, pomimo obecności „doradców” sowieckich na różnych szczeblach dowodzenia, z marszałkiem Rokossowskim na czele. Z punktu widzenia Sowietów, najbardziej niepokojące było nastawienie oddziałów Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, uważanego za główną podporę partii, które pierwsze stawily opór wojskom sowieckim na przedpolu Warszawy. Wszystko to wskazywało, że inwazja byłaby krwawa i kosztowna i dlatego chyba Chruszczow postanowił ją odwołać.

### *Październik 1956 a kryzys z 1948 roku*

Nie ulega wątpliwości, że kryzys z października 1956 był ściśle związany z poprzednim poważnym kryzysem w Polsce, który miał miejsce w 1948 i który *de facto* zainicjował proces stalinizacji w kraju. Niektóre aspekty kryzysu 1948 miały szczególne znaczenie i wpływ na wypadki w 1956 i wymagają bardziej szczegółowego omówienia.

*Gomułka jako alternatywny wódz partii.* Gomułka był, bez wątpienia, najważniejszą *dramatis persona* kryzysu z roku 1948 i jego powrót na arenę polityczną osiem lat później poważnie przyczynił się do kryzysu w październiku 1956<sup>37</sup>. Z punktu widzenia

37. Szczegóły dotyczące działalności Gomułki przed 1956 można znaleźć w Nicholas Bethell, *Gomułka* (Harmondsworth, Essex, Anglia: Penguin Books, 1972) i Jan Ptasieński, *Pierwszy z trzech zwrotów czyli rzecz o Władysławie Gomułce* (Warszawa: Krajowa Agencja Wydawnicza, 1984).

naszej analizy, kluczowe znaczenie Gomułki polegało na jego fizycznym przeżyciu po usunięciu go z kierownictwa PPR w 1948. Trudno nawet dzisiaj, trzydzieści lat po fakcie, znaleźć wytłumaczenie dlaczego nie podzielił on losu Traiczo Kostova, Laszlo Rajka, Rudolfa Slansky'ego i Lucretiu Patrascanu, którzy zostali straceni w okresie późnych lat czterdziestych i wczesnych pięćdziesiątych<sup>38</sup>. W przeciwieństwie do swych odpowiedników w Bułgarii, Czechosłowacji, Rumunii i na Węgrzech, Gomułka nie tylko żył w 1956, ale był gotów do przejścia władzy w partii i w kraju, w krytycznych dniach Października.

W euforii Października przeszłość Gomułki i jego kluczowa rola w okresie obejmowania władzy w Polsce po wojnie zostały dziwnie szybko zapomniane przez przygniatającą większość społeczeństwa, które pamiętało tylko jego usunięcie z kierownictwa partii i uwięzienie, co automatycznie robiło z niego najwybitniejszą ofiarę stalinizmu w Polsce. To masom w danej chwili zupełnie wystarczyło: Gomułka był ogólnie widziany jako komunista ale komunista *polski*, który w szeregu wypadków stawiał opór Stalinowi. Wobec tego można było przypuszczać, że tak jak nie bał się starego satrapy, nie będzie tchórzył przed następcami Stalina na Kremlu i będzie odważnie bronił interesów Polski. Późniejsze raporty ze spotkania Gomułki z Chruszczowem podczas kryzysu październikowego wzmocniły jeszcze przekonanie, że Gomułka jest przede wszystkim Polakiem a dopiero później komunistą; i to wystarczyło aby otoczyć go chwilową charyzmą.

Powstaje pytanie, czy doszłoby do kryzysu październikowego, gdyby nie było Gomułki gotowego przejąć kierownictwo narodu w tych krytycznych chwilach. Osobiście bardzo w to wątpię. Z perspektywy trzech dekad i porównując sytuację w Polsce z sytuacją w innych krajach Europy Wschodniej, wolno przypuszczać, że chociaż można było oczekiwać pewnych zmian w kierownictwie partii i w ogólnej linii politycznej, to zasięg i tempo tych zmian byłyby znacznie węższe i wolniejsze, jak również kontrolowane przez górę partyjną. Można nawet wyobrazić sobie usunięcie najbardziej skompromitowanych członków oligarchii stalinowskiej, powrót do Moskwy sowieckich doradców wojskowych oraz zmiany w oficjalnej polityce wobec rolnictwa czy Kościoła, ale wszystkie te zmiany pochłonęłyby wiele czasu, jak miało to miejsce w Czechosłowacji. Powrót Gomułki na arenę

---

38. Przez długie lata sympatycy Bieruta i Bermanna twierdzili, że albo jednemu albo drugiemu z nich udało się odkładać proces Gomułki, pomimo silnej presji sowieckiej, aż do chwili śmierci Stalina. Zobacz również wywiad z Ochabem; Torańska, *Oni*, str. 38-39.

polityczną i jego gotowość do objęcia władzy były katalizatorem, który zapoczątkował przewrót w październiku.

*Rokossowski jako symbol przemocy sowieckiej.* Mianowanie w listopadzie 1949 marszałka Rokossowskiego Ministrem Obrony Narodowej i Naczelnym Wodzem Wojska Polskiego było w dużym stopniu związane z kryzysem z 1948 a jednocześnie najjaskrawszym przykładem totalnego zdominowania Polski przez Sowiety. Bezprecedensowa decyzja Moskwy mogła być tłumaczona tym, że znając historię Polski i jej tradycyjnie wrogi stosunek do Rosji, jak również zdając sobie sprawę z krytycznego położenia geograficznego kraju, Stalin uważał za konieczne zneutralizowanie czy nawet poważne osłabienie polskiego wojska. Decyzja ta została podjęta na Kremlu, chociaż nie było żadnych dowodów, że partia i wojsko w Polsce wykazywały brak lojalności wobec Moskwy czy też odnosiły się z sympatią do Tito, co miało miejsce w innych krajach satelickich. Chociaż Gomułkę i paru innych członków kierownictwa usunięto z partii, ogólna czystka w PZPR miała mniejszy zakres niż gdzie indziej; to samo odnosiło się do wojska. Innym możliwym wytłumaczeniem była chęć Stalina upokorzenia Polski i podkreślenia totalnej dominacji kraju przez Sowiety. Przypuszczenie to nie jest tak irracjonalne jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka: ostatecznie dziesięć lat wcześniej Stalin rozwiązał KPP z przyczyn, które nawet dzisiaj są równie trudne do zrozumienia jak w 1938.

Trudno więc było się dziwić, że obecność Rokossowskiego w październiku 1956 była ogólnie uważana za oznakę permanentnego poddania Polski Sowietom, i że w ramach domagania się zmian w kierownictwie partyjnym nabrała takiej wagi sprawa usunięcia Rokossowskiego. Nie został on wybrany do Biura Politycznego na VIII Plenum, a jego powrót do Moskwy razem z grupą wyższych oficerów sowieckich, którzy do tej pory zajmowali wysokie stanowiska w hierarchii wojskowej, był powitany z wielkim entuzjazmem w całym kraju. Miejsca opróżnione przez byłych doradców sowieckich zostały obsadzone przez oficerów polskich; nowe kierownictwo położyło w ten sposób fundamenty pod sojusz partyjno-wojskowy, który przetrwał bez większych zmian przez następne kilkanaście lat.

*Rozłam między komunistami a socjalistami.* Formalne połączenie się PPR i PPS nastąpiło na specjalnym „Zjeździe Zjednoczeniowym” w grudniu 1948; rezultatem było powstanie PZPR. Podobnie jak gdzie indziej w Europie Wschodniej wymuszona fuzja między komunistami a socjalistami była po prostu jeszcze jednym aspektem stalinowskiej polityki *Gleichschaltung*.



W wypadku Polski, połączenie to było ściśle związane z kryzysem 1948 i upadkiem Gomułki. Jednym z głównych punktów oskarżenia przeciwko Gomułce był fakt, że próbował on przyhamowywać proces zjednoczenia obu partii<sup>39</sup>. Trudno powiedzieć, czy oskarżenie to było słuszne. Nie ulega wątpliwości, że jak każdy ortodoksyjny komunista, Gomułka był za stworzeniem jednolitej partii proletariackiej; być może, że chodziło tutaj bardziej o sposób i metodę połączenia, aniżeli o sam cel. Wszystko wskazuje na to, że spośród członków rządzącej oligarchii w późnych latach czterdziestych Gomułka zdawał sobie dobrze sprawę z siły polskiego nacjonalizmu i wiedział, że pod tym względem PPS była bliższa aspiracjom i tradycjom polskim, aniżeli jego własna partia<sup>40</sup>. W wyniku tego nadano mu w 1948 epitet „rewizjonisty” i oskarżono go o „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne”.

Jak można było się spodziewać, połączenie PPR i PPS odbyło się kosztem PPS: faworyzowało ono silnie komunistów i dyskryminowało socjalistów na wszystkich szczeblach. Dowodem tego był nie tylko skład nowego Biura Politycznego i Komitetu Centralnego, ze znaczną przewagą członków byłego PPR, ale również szereg czystek w szeregach PZPR, które dotknęły socjalistów; przede wszystkim wielu z nich aresztowano i uwięziono<sup>41</sup>. Powodowało to rosnące niezadowolenie wśród członków byłego PPS, które ujawniło się po śmierci Stalina w 1953. W ciągu następnych trzech lat do chwili kryzysu w październiku 1956 dawni PPS-owcy działali jako grupa nacisku w partii, domagając się zmian. Uwolnienie uwięzionych socjalistów zwiększyło tylko ten nacisk i zaostriżyło konflikt wewnątrz PZPR.

*Fiasko kolektywizacji.* Załamanie się kolektywizacji w listopadzie i grudniu 1956 było kulminacją procesów zapoczątkowanych kryzysem 1949. Nie ulega wątpliwości, że oficjalne przyznanie się do fiaska polityki rolnej, połączone z brakiem oficjalnej reakcji na masowe rozwiązywanie się spółdzielni produkcyjnych, było integralną częścią procesu liberalizacji w Polsce jesienią 1956. Formalnie tłumaczono dekollektywizację tym, że spółdzielnie były niegdyś zakładane bezprawnie i że partii zależało na tym, aby zasada praworządności socjalistycznej była respektowana i w pełni akceptowana przez społeczeństwo we wszystkich dziedzinach. Zasada ta nie mogła służyć tylko legalizacji zwalniania więźniów

39. Szczegóły, patrz: *Nowe Drogi*, tom II, nry 10-11, 1948.

40. Ptasieński, *Pierwszy z trzech zwrotów*, str. 92-97.

41. Około 4.000 członków b. PPS zostało zrehabilitowanych i przyjętych z powrotem do PZPR po październiku 1956. Kozik, *PZPR w latach 1954-1957*, str. 285.



politycznych, musiała mieć również zastosowanie w innych dziedzinach, łącznie z rolnictwem.

Innym czynnikiem, który w dużym stopniu zmusił partię do zezwolenia na dekolektywizację, była ogólna sytuacja gospodarcza. Ambitny Plan Sześćioletni (1950-1955), który miał za zadanie położenie fundamentów socjalizmu w Polsce, nie został wykonany, szczególnie jeśli chodzi o wzrost produkcji rolnej i ogólnego poziomu życia. Na dłuższą metę partia nie mogła przyglądać się biernie stałemu obniżaniu się poziomu życia, jeśli chciała utrzymać minimum choćby poparcia, zwłaszcza wśród klasy robotniczej, która głównie odczuwała brak i wysokie ceny artykułów żywnościowych. Partia doszła do wniosku, że jednoczesne rozwijanie kolektywizacji i podnoszenie poziomu życia w kraju jest niewykonalne. Jeden z tych celów musiał być poświęcony, dzięki trzeźwości i rozsądkowi politycznemu Gomułki poświęcono kolektywizację, a nie poprawę poziomu życia.

W 1948 Gomułka silnie przeciwstawiał się kolektywizacji, którą uważał za długofalowy proces, wymagający odpowiednich przygotowań. Można przypuścić, że osiem lat później nastawienie Gomułki było jeszcze bardziej negatywne. Wraz z innymi ludźmi w Polsce, nie wyłączając zażartych stalinowców, mógł on śledzić katastrofalne skutki polityczne i gospodarcze kolektywizacji. Rozumiał także, że aby zdobyć minimalne poparcie wśród ludności, partia musiała ją nakarmić. Ponieważ kolektywizacja nie była w stanie tego dokonać, trzeba ją było odwołać, niezależnie od ceny politycznej takiej operacji.

*Wpływ titoizmu.* Ostatnim aspektem kryzysu 1948, który wywarł pewien wpływ na sytuację w Polsce i który przyczynił się do przełomu w październiku 1956, było jego powiązanie z titoizmem. Można by dość łatwo nazwać Gomułkę „polskim Tito”, byłoby to jednak niesłuszne i nieprawdziwe<sup>42</sup>. Prawdą jest, że Gomułka proponował „polską drogę do socjalizmu”, zanim jeszcze Tito został utożsamiony z pojęciem „narodowego komunizmu”, i że przywódca polski był przeciwny usunięciu Tity z Kominformu; ale jednocześnie Gomułka był przeciwny stworzeniu Kominformu i rozpoczęciu kolektywizacji, które były silnie popierane przez Tito. Dopiero po kryzysie 1948 różnice między Gomułką i Tito zostały zapomniane, a gomułkowszczyznę utożsamiono z titoizmem i jego negatywnymi konsekwencjami.

Jest ciekawostką, że mimo to rehabilitacja Tity w 1955 i po-

---

42. Patrz: Adam Ulam, *Titoism and Cominform* (Cambridge, Mass.: Harvard University Press, 1952), str. 146-189.

wrót do doktryny „wielu dróg do socjalizmu” wywarły stosunkowo mniejszy wpływ w Polsce, niż w pozostałych krajach Europy Wschodniej. Można sądzić, że przyczyną tego był fakt, iż ataki na Tito w Polsce były mniej gwałtowne niż gdzie indziej (szczególnie w krajach, gdzie odbyły się głośne procesy pokazowe, w których Tito z reguły występował jako główny winowajca). Bez wątpienia fakt, że Gomułka zdołał przeżyć Stalina również zaważył na tym, że wpływy titoizmu w Polsce były słabsze niż w krajach, które zdołały wyeliminować wszystkich potencjalnych kandydatów na przywódców partii. Chociaż, jak już wspomniano powyżej, istniały półoficjalne kontakty między Tito a Ochabem wczesną jesienią 1956, miały one mniejsze znaczenie niż kontakty między Warszawą a Pekinem, które odegrały dużą rolę w październiku 1956.

Reasumując, można chyba stwierdzić, że istniały ściśle powiązania między kryzysem w 1948 i 1956. Być może, były one trudniejsze do zauważenia niż powiązania między Październikiem a późniejszymi kryzysami, ale nie ulega wątpliwości, że odegrały pewną rolę. Symbolizował te powiązania Gomułka, chociażby przez to, że był głównym aktorem w obu kryzysach i że udało mu się przeżyć osiem krytycznych lat, oddzielających jeden kryzys od drugiego.

Niezależnie od wpływu kryzysu z 1948, trzeba się jednak zgodzić z tym, że najważniejszą rolę w kryzysie z października 1956 odegrali różni aktorzy na arenie politycznej, gospodarczej i kulturalnej, i że to oni przyczynili się głównie nie tylko do stworzenia sytuacji kryzysowej, ale również do jej pełnego czy częściowego rozwiązania.

### *Aktorzy, ich role i działalność*

Zachowanie się szeregu osób i grup było kluczowym elementem w procesie narastania kryzysu w 1956.

Najłatwiej jest zidentyfikować i udokumentować działalność *rządzącej oligarchii*. Podobnie jak gdzie indziej w Europie Wschodniej, kierownictwo polskie było ostro podzielone według różnych schematów. W sumie, źródeł rozłam, który ujawnił się w 1956, należałoby szukać w sytuacji sprzed dziesięciu lat.

Stosunki w kierownictwie przedstawiały klasyczny obraz krzyżujących się konfliktów, które zniszczyły jedność elity rządzącej i osłabiły jej zdolność działania. Konflikty dzieliły przywódców na „ludzi Moskwy”, „krajowców”, „przybyszów z Zachodu” i

„weteranów hiszpańskiej wojny domowej”; stalinowców i antystalinowców; konserwatystów i liberałów; Żydów i nie-Żydów; komunistów i socjalistów; strażników ortodoksji i ideologicznych rewizjonistów: zwolenników i przeciwników Gomułki; itd. Istniało też sporo osobistych antagonizmów między członkami elity, co powodowało jeszcze większe napięcie<sup>43</sup>.

Nawet dzisiaj nie jest łatwo dokładnie sprecyzować moment rozpoczęcia konfliktu w kierownictwie. Choć rozłam ten można było spoznać zaraz po śmierci Bieruta, w marcu 1956, było jasne, że pierwsze sygnały rosnącego podziału odsłoniły się dużo wcześniej, z okazji ataku na Bezpiekę na początku 1954<sup>44</sup>. Wybór Ochaba na przywódcę partii zahamował chwilowo schizmę, ale nie trwało to zbyt długo i podziały na górze partyjnej zaostrzyły się znacznie po wypadkach poznańskich z czerwca 1956, osiągając punkt kulminacyjny na VII Plenum KC z lipca<sup>45</sup>. Od tej chwili konflikt narastał z dużą szybkością i nawet odejście dwóch kontrowersyjnych członków Biura Politycznego, Jakuba Bermana i Hilarego Minca, niewiele pomogło aby mu zapobiec. Kierownictwo było *de facto* podzielone między „konserwatywnych” Natolińczyków i „liberalnych” Puławian. Grupa Gomułki uplasowała się strategicznie w środku, chociaż pozornie wyglądało na to, że sympatyzowała raczej z „Puławami”.

Sytuacja wewnątrz *aktywu* i *mas partyjnych* odzwierciedlała względnie dokładnie sytuację w kierownictwie. Trudno było się temu dziwić, biorąc pod uwagę charakter i strukturę partii i reżymu. Dopóki rządy terroru były w stanie spenetrować wszystkie odłamy społeczeństwa, dopóty ślepe posłuszeństwo wobec władzy nie było przez nikogo kwestionowane. W chwili kiedy arbitralne rządy Bezpieki zostały przynajmniej chwilowo zawieszane, fakt ten sam przez się wyeliminował potrzebę bezwzględnego posłuszeństwa, pozostawiając bliżej nieokreślone poczucie osobistej lojalności oraz ideę demokratycznego centralizmu jako jedyną więź łączącą partię.

Dopóki rządząca oligarchia wyglądała na zjednoczoną, dopóty dla aparaczyków i mas partyjnych nie było innego wyboru poza posłuszeństwem. W chwili jednak, kiedy fasada jedności w górach partyjnych zaczęła się kruszyć, partia znalazła się w trudnej

---

43. Wynika to jasno z szeregu wywiadów przeprowadzonych przez Torzańską. Zobacz również: „Władysław Gomułka”, *Z Pola Walki*, tom XXVI, nr 2, 1983, str. 49-104. Jest to protokół dyskusji o Gomułce z udziałem kilku dawnych dygnitarzy partyjnych, takich jak Ochab, Loga-Sowiński, Albrecht, i inni.

44. Patrz: wywiad z Kłosiewiczem; Torńska, *Oni*, str. 176-178.

45. *Tamże*, str. 179-184.

sytuacji. Szczególnie członkowie partii na niższych szczeblach nie bardzo wiedzieli co robić: podziały w kierownictwie i brak konkretnych dyrektyw z góry powiększały istniejące zamieszanie na dole. Z jednej strony, przywódcy partyjni mogli się wzajemnie kłócić i ich starcia, przynajmniej początkowo, nie były znane opinii publicznej. Z drugiej jednak strony, aparat partyjny znalazł się w trudnej sytuacji między młotem skłóconej oligarchii a kowadłem niecierpliwych mas partyjnych, których frustracja była coraz bardziej podsycana przez społeczeństwo. Trudno więc się dziwić, że reagując na obustronne presje, aparat zamknął się w sobie i przestał w gruncie rzeczy funkcjonować.

Rozbite kierownictwo nie było w stanie zapobiec rosnącemu kryzysowi zaufania. Społeczeństwo polskie, pod silnym wpływem elity intelektualnej i młodzieży, nie bojąc się już represji ze strony Bezpieki, zwiększało presję na partię i reżym. Aparat partyjny przyjął pozycję obronną i zamiast próbować rozwiązać narastający kryzys w przemyśle, rolnictwie i innych gałęziach gospodarki, przestał zupełnie działać byle tylko nie narazić się czy to kierownictwu czy społeczeństwu *en masse*.

Podobna sytuacja powstała wewnątrz dwóch marionetkowych partii politycznych — Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego<sup>46</sup>. Były one początkowo stworzone przez komunistów na wzór typowych stalinowskich pasów transmisyjnych, w celu spenetrowania chłopstwa i inteligencji, i ich jedyną racją bytu było absolutne posłuszeństwo rozkazom PZPR. Ani jedno ani drugie stronnictwo nie posiadało żadnej autonomii, i żadne z nich nie osiągnęło celów stawianych im przez PZPR. Na skutek tego, ich zależność od dyrektyw partyjnych w 1956 była chyba większa niż kiedykolwiek przedtem. W braku rozkazów od ekipy rządzącej, oba stronnictwa zachowały się biernie i podobnie jak aparat PZPR przestały właściwie działać, przyjmując postawę wyczekującą i nie próbując nawet zapobiec kryzysowi na ich własnym podwórku.

Upadek Bezpieki i ostre podziały w partii doprowadziły do tego, że klucz do rozwiązania kryzysu znalazł się w rękach *wojska*, które do połowy 1956 zachowywało się jak *la grande muette* — „wielka niemowa” — która wzdragała się przed ujawnieniem swych własnych poglądów na temat zmian zachodzących w kraju.

Pod wieloma względami nie stanowiło to niespodzianki. Jedną z charakterystycznych cech każdego wojska jest jego apolityczność i niechęć do mieszania się do polityki. W systemie ko-

46. Andrzej Korbonski, *Politics of Socialist Agriculture in Poland*, str. 263-278 i Kozik, „Przemiany polityczne w Polsce”, str. 91-94.

munistycznym, pomijając kwestię obrony państwa, głównym zadaniem sił zbrojnych jest obrona rządów partyjnych przed atakami z wewnątrz i z zewnątrz. W Polsce w połowie 1956 nie istniało takie zagrożenie i wobec tego wojsko nie musiało, czy też nie chciało brać udziału w gorących dyskusjach, które zaczęły ogarniać cały kraj.

Jeśli nawet wojsko chciałoby wziąć udział w narodowym dialogu, nie byłoby to łatwe. Po pierwsze, dopóki dowództwo nad wojskiem pozostawało w rękach Sowietów, Kreml z pewnością nie zezwoliłby na polityzację armii polskiej i możliwe zarażenie jej przez bakcyl rewizjonizmu. Co więcej, kompletne zdominowanie wojska przez Moskwę w dużej mierze zniszczyło jego prestiż w społeczeństwie, które uważało Wojsko Ludowe za zupełnie podległe Sowietom i niezdolne do jakiegokolwiek niezależnej akcji.

Pierwszym sygnałem wskazującym na to, że percepcja ta była niesłuszna i niesprawiedliwa, było zachowanie się oddziałów posłanych do Poznania w czerwcu 1956 w celu zlikwidowania zamieszek. Chociaż demonstracje zostały stłumione, postawa żołnierzy wobec strajkujących robotników nie napawała optymizmem, szczególnie jeśli chodziło o ewentualną gotowość wojska do bronięcia rządów partii<sup>47</sup>. Po pewnym czasie dały się zauważyć inne oznaki, negujące monolityczny charakter wojska i jego posłuszeństwo wobec PZPR i Kremla. Szczególnie niepokojąca dla władz była postawa młodszych oficerów, rzekomo „zarażonych nacjonalizmem<sup>48</sup>”. Pośmiertna rehabilitacja dziewiętnastu wyższych oficerów skazanych na śmierć w okresie najostrzejszego stalinizmu i zwolnienie z więzienia zarówno „politycznych” jak i zawodowych generałów, takich jak Józef Kuropieska, Marian Spsychalski i Stanisław Tatar, musiało zaostrzyć ferment w wojsku i poszerzyć debaty na temat roli wojska w procesie liberalizacji.

Przygotowując się do VIII Plenum w październiku, kierownictwo partii nie zdawało sobie w pełni sprawy z nastrojów panujących w wojsku, zwłaszcza jeśli chodziło o planowane zmiany na najwyższym szczeblu. Niepewność ta była spowodowana w dużym stopniu tym, że Rokossowski, członek Biura Politycznego, pozostawał jednocześnie pod rozkazami Kremla i nikt nie mógł przewidzieć jego reakcji na dramatyczne zmiany personalne, które miały nastąpić bez zgody Moskwy. Na wszelki wypadek, dowództwo nad elitarnym Korpusem Bezpieczeństwa Wewnętrznego było przekazane niedawno zrehabilitowanemu generałowi

47. Włodzimierz Muś, „Z tamtej strony barykady”, *Polityka*, nr 19, 26 czerwca 1982. W czerwcu 1956 Muś był dowódcą Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

48. Wywiad z Ochabem: Torńska, *Oni*, str. 61.

Wacławowi Komarowi, który nie podlegał Rokossowskiemu. Mimo to jednak istniejący brak pełnego zaufania do wojska i wątpliwości co do jego zachowania się w chwili kryzysu, spędzały sen z powiek kierownictwa partii nie tylko w Warszawie ale, jak się później okazało, również w Moskwie. Polska *grande muette* potrafiła trzymać wszystkie strony w niepewności.

Jedynym pozostałym aktorem instytucjonalnym na arenie politycznej był *Kościół*. Z perspektywy lat można się chyba zgodzić z tym, że znaczenie Kościoła w okresie poprzedzającym kryzys 1956 polegało mniej na jego aktywnym udziale w procesie liberalizacji, a więc na jego przetrwaniu na arenie politycznej. Podobnie jak przeżycie Gomułka jako symbolu opozycji anty-stalinowskiej i (jak przypuszczano) anty-sowieckiej miało kapitalne znaczenie dla PZPR, tak uwięziony Prymas Wyszyński symbolizował ducha opozycji anty-komunistycznej w kraju. Pod tym względem Polska różniła się poważnie od reszty państw Europy Wschodniej: Gomułka przeżył swych odpowiedników w Bułgarii, Czechosłowacji, Rumunii i na Węgrzech, a Prymas Wyszyński zdołał utrzymać się jako absolutny władca Kościoła w Polsce, podczas gdy Beran w Czechosłowacji czy Mindszenty na Węgrzech w gruncie rzeczy zeszedł ze sceny, pozostawiając swych wiernych i kler na pastwę losu.

Osiągnięcia Kościoła w walce z komunizmem podczas pierwszej dekady Polski Ludowej nie mogły napawać go dumą. Można dość łatwo wykazać, że Kościół przyjął postawę pasywną w okresie obejmowania władzy przez komunistów: nie protestował przeciwko łamaniu prawa, nie występował w obronie opozycji anty-komunistycznej, i nie potępiał ekscesów antysemitycznych w 1946. Wydaje się, że to bierne zachowanie się było reakcją na wręcz łagodną politykę nowego reżymu, który robił wszystko aby zachować niektóre tradycyjne przywileje Kościoła i nawet nie objął majątków kościelnych radykalną reformą rolną z 1944.

Proces powolnego poddawania się Kościoła rozpoczął się w późnych latach czterdziestych przejściem przez władze katolickich szkół i organizacji charytatywnych, konfiskatą dóbr ziemskich i likwidacją katolickich organizacji młodzieżowych. Totalne poddanie się Kościoła znalazło wyraz z umowie między Państwem a Kościołem z lutego 1950. Umowa ta, podpisana w obliczu stosunkowo małej presji ze strony rządu, sprawiła wszystkim dużą niespodziankę, nie wyłączając Stolicy Apostolskiej. Jak można było się spodziewać, rząd interpretował umowę w sposób odmienny od Prymasa Wyszyńskiego i w krótkim czasie ponowił presję na Kościół. Ciekawym faktem jest to, że jak już wspomniano powyżej, najostrejszy konflikt między partią a Kościołem

miał miejsce po śmierci Stalina w formie internowania Wyszyńskiego we wrześniu 1953. Nie ma dowodów na to, że aresztowanie Prymasa spotkało się z szerokim protestem kleru i wiernych<sup>49</sup>.

Chociaż Kościół kontynuował swą bierną postawę wobec władz po internowaniu Wyszyńskiego, stało się jasne w 1956, że należało coś zrobić z Prymasem, szczególnie wobec masowego zwalniania innych więźniów politycznych. Dlaczego nie zwolniono Wyszyńskiego wcześniej, pozostaje tajemnicą do dzisiaj. Być może, jego uwolnienie było uważane za zbyt ryzykowne przez podzielone kierownictwo partyjne, które wolało odsunąć tę decyzję na później. Jednocześnie wszystko wskazywało na to, że dopóki Wyszyński pozostawał internowany, jego prestiż rósł z dnia na dzień. Był on stanowczo poważnym przeciwnikiem a jego autorytet wzrastał stale, głównie przez to, że rządził *in absentia* Kościołem, który był w pełni lojalny wobec niego jak również zjednoczony w przeciwieństwie do partii podzielonej na szereg obozów.

Tyle o aktorach instytucjonalnych. Należy jednak również wspomnieć o czterech innych grupach społecznych, których zachowanie się, bierne lub czynne, wywarło poważny wpływ na rozwój wypadków prowadzący do kryzysu w 1956: środowisko intelektualne; młodzież; robotnicy i chłopi. Rola środowiska intelektualnego w okresie po-stalinowskiej odwilży, jak również zachowanie się robotników, zwłaszcza podczas wypadków poznańskich, zostały wspomniane wyżej. Obie te grupy odegrały poważną rolę również w drugiej połowie 1956.

Środowisko intelektualne, składające się głównie z pisarzy, aktorów, artystów, naukowców i dziennikarzy, można z grubsza podzielić na cztery grupy: komuniści, którzy z różnych powodów nie chcieli brać udziału w dyskusjach, jak na przykład Oskar Lange; komuniści, łącznie z członkami dawnej awangardy stalinowskiej, którzy przyjęli nową wiarę, jak Zygmunt Bauman, Włodzimierz Brus, Stanisław Ehrlich i Leszek Kołakowski; bezpartyjni, którzy byli od początku w opozycji lub też zachowywali się neutralnie wobec władz, jak Tadeusz Kotarbiński, Stanisław Ossowski, przedwojenny dziennikarz Stanisław Mackiewicz, który niedawno powrócił do kraju po długoletnim pobycie w Londynie, i szereg innych.

Pomimo ostrych różnic wewnętrznych, które w dużej mierze

---

49. Zamiast tego, 17 grudnia 1953, episkopat i kler polski złożyli przysięgę lojalności wobec Polski Ludowej. Andrzej Micewski, *Współzadzić czy nie kłamać* (Paryż: Libella, 1978), str. 61.



istniały w okresie stalinowskim, środowisko to, z małymi wyjątkami, wykazywało duży stopień jedności w przeddzień Plenum Październikowego, popierając nowy kurs w dziedzinie kultury i sprzeciwiając się kontynuacji poprzedniej polityki w dziedzinie wolności słowa, cenzury i szkolnictwa wyższego. Nie bało się ono wypowiadać krytycznie na temat panujących stosunków w czasie różnych zebrań i konferencji, jak na przykład podczas zebrania Rady Kultury i Sztuki w marcu 1956, na którym Słonimski ostro zaatakował brak wolności w dziedzinie kultury i sztuki, i na zgromadzeniu Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego w czerwcu, gdzie Brus, który do niedawna był utożsamiany ze stalinizmem, przypuścił atak na kierownictwo PTE z Langem na czele<sup>50</sup>.

W drugiej połowie 1956 rosnący ferment przeniknął również do politycznie wrażliwego środowiska dziennikarskiego, a zwłaszcza do jego sektora będącego pod bezpośrednim nadzorem partii. Jak wiadomo, ścisła kontrola nad środkami masowego przekazu jest jednym z podstawowych aksjomatów systemu komunistycznego i pod tym względem Polska nie była wyjątkiem. Jednak wkrótce po „tajnym referacie” Chruszczowa cenzura dzienników i periodyków zaczęła się wyraźnie załamywać, chociaż i *Trybuna Ludu* i *Nowe Drogi* udawały, że w kraju nic się nie dzieje. Dopiero w czasie VII Plenum w lipcu oba czasopisma przestały odgrywać rolę posłusznego narzędzia partii, i zarówno ich artykuły wstępne jak i „dyskusyjne” zaczęły odchyłać się od oficjalnej linii partyjnej<sup>51</sup>. Są poszlaki, że nowy ton i postawa prasy PZPR zaalarmowały Kreml i przekonały Chruszczowa, iż sytuacja w Polsce wymaga jego obecności w Warszawie celem przywrócenia porządku<sup>52</sup>.

Jak już wspomniano, ferment wśród *młodzieży* polskiej został zapoczątkowany na Międzynarodowym Festiwalu Młodzieży w Warszawie w lecie 1955. Istnieją również dowody na to, że punktem zwrotnym w procesie rosnącej alienacji młodego pokolenia w stosunku do systemu, było opublikowanie materiałów z XX Zjazdu KPZS z rewelacjami dotyczącymi zbrodni stalinow-

---

50. Włodzimierz Brus, „O roli prawa wartości w gospodarce socjalistycznej”, *Ekonomista* (Warszawa) nr 5, 1956, str. 71-95. Zobacz również: Andrzej Brzeski, „Poland as a Catalyst of Change in the Communist Economic System”, *Polish Review*, tom XVI, nr 2, wiosna 1971, str. 3-24.

51. Patrz: przemówienie Ochaba na VII Plenum KC w lipcu 1956. *Nowe Drogi*, tom X, nr 7-8, lipiec-sierpień 1956, str. 161-162. Zobacz również notę 21, powyżej.

52. Strobe Talbott, *Khrushchev Remembers*, str. 200 ff. Zobacz również: przemówienie Zawadzkiego na VIII Plenum. *Nowe Drogi*, tom X, nr 10, październik 1956, str. 17.



skich. Nie ulega wątpliwości, że dla młodzieży, poddanej masowej indoktrynacji w latach pierwszej dekady powojennej, potępienie Stalina, którego nauczano ją kochać, razem z rehabilitacją KPP, którą nauczano ją nienawidzić, były głębokim wstrząsem psychicznym połączonym z kryzysem zaufania wobec reżymu.

Aczkolwiek całe młode pokolenie było nią dotknięte, destalinizacja uderzyła przede wszystkim w członków polskiego Komso-mołu — Związku Młodzieży Polskiej (ZMP). Zorganizowany przy końcu lat czterdziestych jako jeden z członów systemu stalinowskich pasów transmisyjnych, ZMP miał za zadanie spene-trowanie, manipulowanie i sowietyzację młodych Polaków. Pierw-szym z szoków, który wstrząsnął ZMP, był wyżej wspomniany Międzynarodowy Festiwal Młodzieży. Drugi wstrząs, który miał miejsce około pół roku później, był już za silny i ZMP zaczął się gwałtownie rozpadać<sup>53</sup>. Rozbite kierownictwo partyjne zdawało sobie sprawę z sytuacji w ZMP, ale albo nie mogło albo nie chciało zapobiec rozpadowi Związku.

Masowe niezadowolenie wśród młodzieży było coraz wyraź-niej sterowane przez środowisko studentów, zarówno partyjnych jak i bezpartyjnych, od dłuższego czasu krytykujących stosunki panujące na wyższych uczelniach, łącznie z *curriculum*, przymu-sową nauką marksizmu-leninizmu, i dyskryminacją wobec wielu znanych profesorów, którym zabroniono wykładów. Na skutek poważnego wzrostu możliwości studiów uniwersyteckich po woj-nie, ilość studentów znacznie się zwiększyła i wielu z nich przy-jęło aktywną postawę, obejmując przywództwo nad sfrustrowaną i zniecierpliwioną młodzieżą.

Ten nowy aktywizm występował w trzech różnych postaciach. Mała grupka studentów przejęła redakcję mało dotąd znanego tygodnika *Po Prostu* i w stosunkowo krótkim czasie stworzyła z niego najbardziej poczytne i wpływowe pismo w Polsce. *Po Prostu* było nieustraszone: atakowało wiarygodność reżymu na wszystkich frontach; nawoływało do rewizji oficjalnej historii pierwszego dziesięciolecia rządów komunistycznych; żądało reha-bilitacji Armii Krajowej, która przynajmniej do tej pory była uważana oficjalnie za wroga ludu; domagało się wprowadzenia radykalnych reform gospodarczych i społecznych, itp. Fakt, że większość redakcji *Po Prostu* składała się z członków PZPR do-bitnie świadczył o głębokim konflikcie w łonie elity rządzącej.

53. Zenobiusz Kozik, „Partia a ruch zawodowy i ruch młodzieży (1954-1957)”, *Z Pola Walki*, tom XXII, nr 2, 1979, str. 42-72 i Bogdan Hille-brandt, „Warunki powstania i początkowy okres działalności Związku Mło-dzieży Socjalistycznej”, *tamże*, tom XXIII, nr 2, 1980, str. 97-128.

Druga grupa wybrała inną drogę dla zaakcentowania swojej niezależności i rozpoczęła organizowanie sieci tzw. „klubów młodej inteligencji”. Najbardziej znanym z nich był Klub Krzywego Koła w Warszawie, który w niedługim czasie stał się modelem naśladowanym przez inne kluby rozsiane po całym kraju (ich liczba osiągnęła 200)<sup>54</sup>. Wszystkie te kluby stworzyły pozytywne forum dla wymiany kontrowersyjnych często i niepopularnych poglądów, przyciągając sporo ludzi z różnych środowisk i stanowiąc jeszcze jeden bodziec dla dalszych zmian.

Trzecia grupa wreszcie postanowiła nawiązać kontakt z klasą robotniczą, przewidując, że prędzej czy później w kraju musi nastąpić poważny przełom — w formie wojny domowej, zamachu stanu zorganizowanego przez konserwatywne skrzydło w partii, albo też interwencji zbrojnej ze Wschodu. Nawet dzisiaj niewiele wiadomo o tym bezprecedensowym sojuszu robotniczo-studenckim, o szczegółach którego dowiedziano się dopiero w czasie po-październikowego *post mortem*. Fakt faktem jednak, że grupy studentów i robotników, zwłaszcza w Warszawie, przygotowywały się do wspólnej akcji na wypadek kryzysu.

Co można jeszcze powiedzieć o *robotnikach*? Strajki w Poznaniu w czerwcu 1956 jasno zademonstrowały ogólne niezadowolenie panujące wśród mas robotniczych i mogły być uważane za iskrę, która spowodowała szybki wzrost radykalnych przemian, które osiągnęły szczyt w październiku. Nie ulega wątpliwości, że robotnicy mieli powody do niezadowolenia, szczególnie jeśli chodziło o ich sytuację gospodarczą. Przez długi czas jednak trudno było wskazać na konkretne przykłady alienacji wobec systemu. Wręcz przeciwnie; wypadki poznańskie potwierdziły fakt, że początkowo robotnicy nie mieli zamiaru podejmować drastycznych decyzji, a ogłosili strajk i wyszli na ulicę w desperacji dopiero wtedy, kiedy ich słuszne żądania zostały w arogancki i brutalny sposób odrzucone przez aparat partyjny w Warszawie.

Kiedy partia i rząd przyznały się do błędów na VII Plenum w lipcu i kiedy zwolniono wszystkich demonstrantów aresztowanych w Poznaniu, wyglądało na to, że robotnicy zostali usatysfakcjonowani i wydawało się, że sytuacja przynajmniej na tym odcinku znalazła się znowu pod kontrolą partii. Dlatego na jesieni 1956 rząd nie powziął żadnych kroków, aby zareagować pozytywnie na długotrwałe skargi robotników odnośnie poziomu płac, norm produkcyjnych i warunków pracy. Reżymowe związki za-

---

54. Witold Jedlicki, *Klub Krzywego Koła* (Paryż: Instytut Literacki, 1963), *passim*.

wodowe zachowywały się biernie, a na dodatek przewodniczący Centralnej Rady Związków Zawodowych (CRZZ), znany stalowiec Wiktor Kłosiewicz, próbował usprawiedliwić reżym inicjując przy tym prymitywną kampanię przeciwko Żydom i środowisku intelektualnemu, czyli wykorzystując tradycyjne kompleksy i uprzedzenia, i stwarzając w ten sposób poparcie robotników dla obłązonego kierownictwa<sup>55</sup>.

Próba siania antysemityzmu i przywrócenia zdyskredytowanej stalinowskiej doktryny „zastrzającej się walki klasowej” spełzała na niczym. Jakkolwiek należy wątpić czy w normalnych warunkach kampania ta mogłaby osiągnąć swe cele, sytuacja w kraju jesienią 1956 była daleka od normalnej. Atmosfera polityczna była naładowana i czekała tylko na iskrę, żeby wybuchnąć. Każdego dnia cały kraj zalewały fale plotek, oskarżeń, rewelacji z niedalekiej przeszłości, rehabilitacji niewinnie skazanych i uwięzionych byłych „wrogów ludu” i masa innych apeli, rezolucji i żądań. Stało się jasne, że pomimo swej wcześniejszej bierności i nawet pewnej lojalności wobec reżymu, robotnicy nie mogli pozostać obojętni wobec nadchodzącego kryzysu. Nic więc dziwnego, że kiedy kryzys poważnie się zaostrzył w drugiej połowie października, robotnicy w Warszawie i innych miastach masowo poparli Gomułkę.

Ostatnią grupą, która w 1956 reprezentowała prawie połowę ludności Polski, byli *chłopi*. Ich trudna sytuacja w czasie forsownej kolektywizacji w latach 1948-1956 była dobrze znana i wystarczy stwierdzić, że ze wszystkich grup społecznych w kraju chłopci czuli się najbardziej pokrzywdzonymi ofiarami systemu. Choć *de facto* kolektywizacja skończyła się na parę miesięcy przed Październikiem, sytuacja chłopów nie uległa zmianie na lepsze, powodując coraz silniejsze żądania zmian w polityce rolnej. Imobilizm oligarchii zaraził również aparat partyjny zajmujący się rolnictwem, reżym więc nie był w stanie powziąć jakiegokolwiek decyzji aby osłabić czy rozładować kryzys.

Pomimo masowego niezadowolenia z braku postępu na froncie rolniczym, chłopci, w przeciwieństwie do innych wspomnianych wyżej grup, wzdragali się przed powzięciem drastycznych kroków i pozostali bierni. Ich neutralna postawa była łatwa do zrozumienia. Chłopi, szczególnie po 1948, nie uważali się za pełno-

---

55. Wywiad z Kłosiewiczem: Torañska, *Oni*, str. 179-182. Patrz również: Jedlicki, „Chamy i Żydy” i Michał Chęcinski, *Poland: Communism, Nationalism, Anti-Semitism* (Nowy Jork: Karz-Cohl Publishing, 1982), rozdziały 8-10.

prawny segment systemu. Wielu z nich uważało się za obywateli drugiej klasy, pozostawionych przez resztę społeczeństwa na pastwę losu w czasie kolektywizacji. Co więcej, chłopów zawsze było trudno zorganizować politycznie i w przeciwieństwie do robotników ludność wiejska nie miała swoich własnych przywódców. Marionetkowe ZSL, które mogłoby wykorzystać istniejącą sytuację aby przejąć znowu tradycyjną rolę kierowania masami chłopskimi, było nie tylko zdyskredytowane ale również pozbawione energii i inicjatywy, i pozostało na marginesie. Kościół, który miał duże wpływy na wsi, był również pozbawiony przywódcy i nie mógł czy nie chciał zmobilizować chłopów przeciwko partii.

Wobec tego, trudno się dziwić, że spośród wszystkich większych grup społecznych w kraju, w przeddzień Października, raczej chłopci aniżeli wojsko zachowali się jak *grande muette*, nie ujawniając swych prawdziwych uczuć aż do chwili kiedy VIII Plenum położyło kres kolektywizacji.

Reasumując, zachowanie się różnych grup i aktorów na scenie krajowej rozciągało się od aktywnego poparcia dla procesu zmian, poprzez postawy neutralne, do oporu wobec zmian. Pierwsza grupa składała się przede wszystkim z intelektualistów i młodzieży, jak również szeregu frakcji partyjnych, łącznie z niektórymi członkami oligarchii. Postawę neutralną przyjęli głównie chłopci, wojsko i prawdopodobnie większość robotników i kleru. Opozycję wobec zmian reprezentowała grupa niezłomnych stalinowców w partii, większość aparatu partyjnego i Bezpieka, i do pewnego stopnia, raczej paradoksalnie, przywódcy organizacji marionetkowych i „pasów transmisyjnych”, których dalsze istnienie było ściśle związane z zachowaniem *status quo*.

Jeżeli ten „rachunek sił” wewnętrznych w przeddzień Października był słuszny, musiał on napawać obawą promotorów procesu zmian. Okazało się jednak, że obawy te były płonne. Neutralne centrum czekało tylko na sygnał aby odsłonić swe prawdziwe oblicze i poprzeć Gomułkę i jego towarzyszy, zapobiegając w ten sposób katastrofie typu węgierskiego. W chwili najostrzejszego kryzysu społeczeństwo wyglądało na zjednoczone, prawdopodobnie po raz pierwszy od chwili objęcia władzy przez komunistów dziesięć lat wcześniej.

### *Metody i mechanizmy rozwiązywania kryzysu*

Historia trzech miesięcy po VIII Plenum jest dość dobrze

znana i wystarczy wspomnieć tutaj tylko o niektórych zmianach, jakie zaszły w tym okresie<sup>56</sup>.

Nie było dla nikogo zaskoczeniem, że najbardziej widoczne jeśli nie znamienne zmiany nastąpiły w składzie rządzącej oligarchii. Tak jak się spodziewano, nowe Biuro Polityczne wybrane na VIII Plenum, składało się nie tylko z Gomułki jako Pierwszego Sekretarza KC i jego dwóch bliskich współpracowników, Zenona Kliszki i Ignacego Logi-Sowińskiego, ale również z kilku czołowych członków ustępującego Biura, którzy w swoim czasie byli utożsamiani ze stalinizmem, jak Ochab, Roman Zambrowski i Aleksander Zawadzki. Premier Józef Cyrankiewicz, oportunistą *par excellence* i architekt połączenia PPS z PPR przed ośmiu laty, również zdołał utrzymać się przy władzy. Wśród pozostałych członków Biura Politycznego najciekawszą postacią był dawny PPSowiec, Adam Rapacki, który objął Ministerstwo Spraw Zagranicznych i w ciągu roku stał się szeroko znany jako autor „Planu Rapackiego” postulującego stworzenie strefy bezatomowej w Europie Środkowej. Zaszły również pewne zmiany personalne na niższych szczeblach, ale były one raczej ograniczone.

Czołowy członek dawnego Biura, marszałek Rokossowski, nie otrzymał wystarczającej liczby głosów i nie został ponownie wybrany. Nie było to niespodzianką, gdyż pomimo jego zasług wojennych i zalet osobistych był on ogólnie nie lubiany i przez liberałów i przez konserwatystów, jako jaskrawy symbol stalinizmu i sowieckiej przemocy. Jego zachowanie się w czasie VIII Plenum nie przysporzyło mu sojuszników. Zastąpił go jako Minister Obrony Narodowej Generał Marian Spychalski, weteran komunistycznego podziemia z czasów wojny, blisko związany z Gomułką, wraz z którym był oskarżony w 1948 o „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne”. Był on później aresztowany, więziony i podobno nawet torturowany, i w końcu zwolniony w 1956. Spychalski został wybrany do KC i wspólnie z grupą innych weteranów Armii Ludowej stanowił główną podporę reżymu Gomułki przez następnych parę lat.

Usunięcie najbardziej niepopularnych członków kierownictwa partyjnego i wojskowego spełniło jedno z głównych żądań radykalnych zmian. Pozostał tylko jeden problem „personalny”, który musiał być szybko rozwiązany. Dotyczył on Prymasa Wyszyńskiego, internowanego przez ostatnie trzy lata. Zaraz po objęciu władzy przez Gomułkę, dwóch jego bliskich współpracowników spotkało się z Wyszyńskim, zapraszając go do powrotu do War-

---

56. Zenobiusz Kozik, „Przemiany polityczne w Polsce”, str. 80-93 i „Partia a ruch zawodowy”, str. 46-70.

szawy i objęcia swego dawnego stanowiska głowy Kościoła. Wy-  
szczyński wyraził zgodę i w ramach procesu normalizacji stosunków  
między państwem a Kościołem obiecał poprzeć nowy reżym w  
wyborach do sejmu w styczniu 1957, które były ogólnie uważane  
za ważny sprawdzian osobistej popularności Gomułki i legitymi-  
zacji nowego kierownictwa.

Po załatwieniu palących kwestii związanych z partią, wojskiem  
i Kościołem, Gomułka skoncentrował się na chłopach i robotni-  
kach. W swym przemówieniu na VIII Plenum skrytykował kole-  
ktywizację i chociaż formalnie podtrzymał tezę socjalizacji rol-  
nictwa w przyszłości, oznajmił jednocześnie, że „gospodarczo sła-  
be” spółdzielnie powinny być rozwiązane. Można przypuszczać,  
że ani Gomułka ani reszta kierownictwa nie spodziewała się tak  
szybkiego i masowego rozwiązywania kołchozów, a jednak w  
przebiegu miesiąca po VIII Plenum 85 % spółdzielni z dnia  
30 września 1956 przestało istnieć<sup>57</sup>. Okazało się, że gospodarza  
wydajność spółdzielni miała znikomy wpływ na decyzje o ich  
rozwiązaniu. Ponieważ nowe kierownictwo skrytykowało słabe  
i mało wydajne spółdzielnie i zaleciło ich rozwiązanie, podkreśla-  
jąc jednocześnie zasadę samorządności, chłopci w ogóle, a spół-  
dzielcy w szczególności, doszli do wniosku, że dostali *carte blanche*  
od władz i od razu z niej skorzystali, rozwiązując spółdzielnie  
i słabe i względnie silne.

Podczas gdy zaspokojenie bezpośrednich dezyderatów chłop-  
stwa okazało się stosunkowo łatwe, spełnienie żądań robotników  
było znacznie trudniejsze. Niektóre z posunięć Gomułki były  
oczywiste, jak na przykład usunięcie zdyskredytowanego kierow-  
nictwa związków zawodowych i zastąpienie go nowym zespołem  
pod przewodnictwem jednego z najbliższych przyjaciół Gomułki,  
Ignacego Logi-Sowińskiego. Na dodatek robotnicy otrzymali pod-  
wyżkę płac i obietnicę ogólnego polepszenia warunków pracy i  
życia. Kluczową decyzją jednak było zezwolenie na tworzenie  
rad robotniczych w skali krajowej. W drugiej połowie lat pięć-  
dziesiątych idea samorządu robotniczego działała jak magnes w  
środku robotniczym Europy Wschodniej. Zapoczątkowana  
w Jugosławii jako podstawowy element modelu titowskiego wy-  
mierzonego przeciwko modelowi stalinowskiemu, idea ta od  
początku zaczęła wywierać silny wpływ na robotników w całym  
rejonie jako symbol autonomii klasy robotniczej wobec partii.  
Tworzenie rad robotniczych zajmowało czołowe miejsce w pro-  
gramach politycznych ogłoszonych podczas rewolucji węgierskiej

57. Andrzej Korbonski, *Politics of Socialist Agriculture in Poland*,  
str. 172.

1956. Idea ta została wznowiona dwanaście lat później w okresie „Praskiej Wiosny”, i trudno było się dziwić, że robotnicy polscy, dość dobrze obeznani z sytuacją jugosłowiańską, postanowili również zakładać rady. W napiętej sytuacji października 1956 partia nie miała innego wyjścia jak na to przystać.

Żądania wysuwane przez środowisko intelektualne i młodzież były stosunkowo łatwe do spełnienia. Obie grupy aprobowały zmiany na górze partyjnej i wojskowej i normalizację stosunków z Kościołem. Powitały również z zadowoleniem masową dekollektywizację i powstanie rad robotniczych jako oznaki głębokich, jak się wydawało, zmian systemowych. Środowisko intelektualne przyjęło z satysfakcją zmiany w kierownictwie szeregu organizacji zawodowych, częściowe złagodzenie cenzury i przede wszystkim dość wyraźne podniesienie „żelaznej kurtyny” na skutek czego po raz pierwszy od lat można było wyjechać na Zachód, wznowić kontakty z bratnim środowiskiem w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych, i sprowadzać znowu do Polski zachodnie delegacje, książki i filmy. Na dodatek nowa ekipa rządząca zgodziła się wziąć pod uwagę możliwość wprowadzenia reform gospodarczych i w tym celu stworzyła Radę Ekonomiczną, której zadaniem miało być przygotowanie szkicu reform. Radzie przewodniczył Lange i w skład jej weszło kilku wybitnych krytyków dotychczasowej polityki gospodarczej, jak Michał Kalecki, Brus i inni.

Jeśli chodzi o młodzież, to wypadki w październiku 1956 wykończyły doszczętnie polski Komsomoł. ZMP rozpadł się całkowicie podczas VIII Plenum i został formalnie rozwiązany w styczniu 1957. Jego miejsce zajął szereg organizacji młodzieżowych o większym lub mniejszym stopniu niezależności. Wszystkie podkreślały swą autonomię wobec partii twierdząc, że jej brak w poprzednich latach był główną przyczyną rozpadu ZMP. Wszystko wskazywało na to, że partia szybko traciła kontrolę nad młodzieżą i istniała poważna groźba, że może jej w ogóle nie odzyskać. Dosłownie w ostatniej chwili partii udało się stworzyć dwie organizacje — jedną skupiającą młodzież wiejską a drugą miejską. *Po Prostu*, które już przed Październikiem nie utożsamiało się z młodym pokoleniem, stało się jeszcze bardziej wpływowe w ciągu następnych paru miesięcy, krytykując bez przerwy nowy reżym.

Jak z tego widać, w gorących dniach po objęciu władzy przez Gomułkę, nowe kierownictwo próbowało zaspokoić najbardziej naglące żądania wysuwane przez kluczowych aktorów i grupy i rozpoczęło rokowania z tymi, których dezyderaty mogły być spełnione nieco później. Nowe kierownictwo nie miało właściwie



wielkiego wyboru: chociaż niebezpieczeństwo interwencji sowieckiej wybitnie zmalało w wyniku spotkania Chruszczowa z Gomułką, dopóki Rewolucja Węgierska trwała, sytuacja w Polsce pozostawała napięta. Mimo że kraj nie ucierpiał od zbrojnej interwencji, nowe kierownictwo w Warszawie było gwałtownie atakowane z różnych stron, i Gomułce bardzo zależało na utrzymaniu jedności narodu i uzyskaniu silnego poparcia społeczeństwa, co ostatecznie miało miejsce w rezultacie wyborów w styczniu 1957. Dlatego też Gomułka musiał zgodzić się na szereg ustępstw przyznanych różnym grupom, chociaż (jak się to wkrótce okazało) nigdy tych ustępstw nie uważał za stałe zmiany w polskim systemie politycznym i gospodarczym.

### *Długofalowe skutki kryzysu*

Można twierdzić, że pod każdym prawie względem kryzys z października 1956 zakończył się mniej więcej rok później, w listopadzie 1957, kiedy Polska Gomułki została z powrotem przyjęta do „Socjalistycznej Wspólnoty Narodów” na zebraniu jedynastu rządzących partii komunistycznych, zwołanym w Moskwie ku uczczeniu czterdziestolecia rewolucji bolszewickiej. W gruncie rzeczy jednak, jeśli chodzi o sytuację wewnętrzną, kryzys skończył się wkrótce po swych narodzinach, w końcowych tygodniach 1956.

Po pierwsze, Gomułka, którego w październiku 1956 witano entuzjastycznie jako zbawcę ojczyzny gotowego poprowadzić naród ku nowej i lepszej przyszłości, zawiódł wszystkie oczekiwania. Istniejące dowody wskazują, że w kilka dni po objęciu władzy Gomułka wydał członkom aparatu partyjnego rozkaz utrzymania za wszelką cenę *status quo* na wszystkich frontach i niepoddawania się presji społeczeństwa domagającego się dalszych zmian<sup>58</sup>. Być może, Gomułka obawiał się, że Polska może jeszcze podzielić los Węgier, ale jednocześnie stawało się jasne, że bardziej jeszcze bał się fali spontanicznych zmian obejmujących cały kraj, i nie chciał dopuścić do tego, aby kontrola nad sytuacją wymknęła mu się całkowicie z rąk. Początkowo względy polityki wewnętrznej i zewnętrznej narzucały Gomułce potrzebę szukania poparcia z różnych stron. Kiedy wybory w styczniu 1957 wykazały, że w dalszym ciągu może liczyć na masowe poparcie całego społeczeństwa, doszedł do wniosku, że nie musi już zabiegać o pomoc swych początkowych sojuszników.

58. Szczegóły, patrz: *6 lat temu...* (Paryż: Instytut Literacki, 1962), *passim*.



W rezultacie, w ciągu następnego roku, większość przyznaných ustępstw została albo cofnięta albo tak zmieniona, że nie posiadały już większego znaczenia. Cenzura uległa stopniowemu zaostrzeniu i oficjalna kampania przeciwko prasie osiągnęła szczyt w chwili zamknięcia *Po Prostu* we wrześniu 1957. Idea rad robotniczych wkrótce okazała się zbyt rewolucyjna i została zastąpiona przez bezsilne Konferencje Samorządu Robotniczego<sup>59</sup>. Radzie Ekonomicznej pozwolono przez pewien czas dyskutować nad projektami reform gospodarczych, ale wszelkie jej zalecenia domagające się poważnych zmian w gospodarce były regularnie odrzucane przez Gomułkę. Rada funkcjonowała jeszcze przez pewien czas i w końcu została rozwiązana na początku lat sześćdziesiątych<sup>60</sup>. Choć Gomułka nie próbował odwrócić procesu dekollektywizacji, jego obietnice wprowadzenia racjonalnej polityki i pomocy dla sektora prywatnego skończyły się na niczym.

Nie trzeba było długo czekać na konsekwencje nawrotu do konserwatyzmu. Podziały wewnątrz partii, chwilowo zażegnane w październiku 1956, ujawniły się z powrotem po paru miesiącach, osłabiając pozycję Gomułki i ograniczając jego możliwości manewru. Konflikt wewnątrz partii przerzucił się na teren wojska, które zaczęło wykazywać oznaki zniecierpliwienia i niezadowolenia z polityki Gomułki. Stosunki Państwo - Kościół zaczęły się szybko pogarszać, czego przykładem był ostry konflikt osobisty między Gomułką a Wyszyńskim. Sfery intelektualne i młodzież dość wcześnie zrozumiwały, że zostały wyprowadzone w pole przez Gomułkę i w ciągu następnych paru lat zaczęły formalnie protestować przeciwko jego polityce. Chłopi znowu poczuli się zdradzeni i nie starali się nawet zwiększać produkcji rolnej w obawie przed wznowieniem kampanii anty-kułackiej i drugiej fali kolektywizacji. Jedyną grupą, która nie wykazywała niezadowolenia z Gomułki byli robotnicy, którzy popierali go w latach sześćdziesiątych, łącznie z kryzysem w marcu 1968.

Nasuwa się teraz pytanie odnośnie związku między przełomem w 1956 a następnymi kryzysami w Polsce, szczególnie tymi w 1968 i 1970. Można by się zgodzić bez większych trudności, że przyczyn tych dwóch kryzysów należałoby szukać w Październiku 1956 — ale osobiście uważam, że byłoby to przedwczesne i do pewnego stopnia niesłuszne. Jasne jest, że przełomy czy kryzysy w każdym kraju są w mniejszym lub większym stopniu zależne

59. Janina Miedzińska, „Likwidacja samorządu robotniczego”, *Kultura* nr 6/128, czerwiec 1958, str. 105-113.

60. Rada Ekonomiczna przestała funkcjonować w 1959 i została formalnie rozwiązana w 1962.

od siebie i spróbuję poniżej wskazać pewne związki między Październikiem 1956 a wypadkami w 1968 i 1970.

Z drugiej strony jednak, istnieje zawsze obawa wpadnięcia w znaną pułapkę *post hoc ergo propter hoc*. Wydaje mi się, że byłoby znacznie łatwiej ustalić zależność między kryzysami w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, chociażby dlatego, że przerwa między nimi była znacznie krótsza: sześć lat między 1970 a 1976 i cztery lata między 1976 a 1980, w przeciwieństwie do dwunastu i czternastu lat między 1956 a 1968 i 1970. W kraju takim jak Polska, pozostającym pod silnym wpływem historii, ludzie mają długą pamięć historyczną i często żyją przeszłością, ale nawet to ma swoje granice.

Toteż nadużywając być może cierpliwości czytelnika, chciałbym zasugerować, że najważniejszym rezultatem kryzysu 1956 była niechęć czy niezdolność Gomułki do wykorzystania swej olbrzymiej popularności w Październiku i wprowadzenia kraju na drogę ku lepszej przyszłości. Z takich czy innych względów, Gomułka zdecydował się na coraz bardziej konserwatywną politykę, która w końcu doprowadziła Polskę do stagnacji na wszystkich frontach. Rezultatem był ponowny wzrost alienacji czołowych aktorów na scenie politycznej: najpierw środowiska intelektualnego i młodzieży, później chłopów i Kościoła, następnie wojska i aparatu partyjnego, w końcu robotników. W przeddzień swego drugiego i ostatecznego usunięcia od władzy, w grudniu 1970, Gomułka był zupełnie osamotniony i opuszczony przez swych wcześniejszych sojuszników i sympatyków. Było to jego wielką osobistą tragedią, która niestety stanowiła jednocześnie najsilniejszą więź między kryzysem w 1956 a kryzysami w 1968 i 1970.

## Posłowie

Z perspektywy trzydziestu lat można się chyba zgodzić z tym, że wypadki w Polsce między 1955 a 1957, które osiągnęły największe napięcie w październiku 1956, stanowiły jeden z najkrytyczniejszych przełomów w historii powojennej Polski. Można również dowodzić, że na skutek Października komunizm polski jako system polityczny i gospodarczy, jako ideologia i sposób życia, nie tylko nie zdołał się ulegitymizować, ale nie potrafił nawet zdobyć sobie minimalnego poparcia u ludności, jak miało to miejsce w innych krajach Europy Wschodniej. Jeśli przyjmiemy, że źródeł następnych kryzysów w Polsce można doszukać się w październiku 1956, oznacza to, że gdyby wypadki w paździer-

niku potoczyły się inaczej, kraj mógłby z powodzeniem uniknąć tragedii lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Jedno z intrygujących pytań poruszonych wyżej dotyczy przyczyn niezdolności przywódców polskich do zdobycia poparcia społecznego dla *polskiego systemu* komunistycznego. Możliwości takiego poparcia bez wątplenia istniały w październiku; Gomułka był wtedy jedynym powojennym przywódcą w Polsce, który był zarówno wodzem komunistycznym jak i narodowym, podobnie jak Tito w 1948 i Dubček w 1968. W takich warunkach Gomułka miał szanse wykorzystania swej ogromnej popularności i charyzmy i wprowadzenia szeregu podstawowych reform politycznych i gospodarczych, które musiałyby zmienić nie tylko charakter polskiego komunizmu ale i całego systemu. Gomułka nie potrafił tego dokonać i pod tym względem istnieje tragiczne podobieństwo między nim a Dubčekiem, który również nie zdołał utrwalić zmian zachodzących w Czechosłowacji.

Chociaż niechęć czy niezdolność kierownictwa do wykorzystania szerokiej możliwości była prawdopodobnie najważniejszą przyczyną braku podstawowych przemian w Polsce po 1956, szereg innych czynników przyczyniło się do wstrzymania lub zahamowania procesu przemian.

Dużą winę ponoszą tutaj *grupy nacisku*, które zaprzepaściły szanse mocnego zaakcentowania swoich postulatów i stworzenia odpowiednich instytucji utrwalających ich działalność. Można to było tłumaczyć brakiem tradycji artykułowania interesów w Polsce, jak i szczególnymi warunkami towarzyszącymi zmianom w 1956. Wzrost i rozwój grup nacisku w Polsce międzywojennej następował znacznie wolniej, aniżeli w Czechosłowacji czy na Węgrzech. W rezultacie, z jednym ważnym wyjątkiem, polskim grupom nacisku, zarówno w ich wcześniejszej postaci stalinowskich „pasów transmisyjnych” jak i później, po uzyskaniu pewnej niezależności, brakowało doświadczenia i odwagi aby domagać się spełnienia ich postulatów. Wyjątkiem były organizacje i związki reprezentujące środowisko intelektualne: były one ambitne i odważne, ale liczebnie zbyt słabe i bez wystarczającej siły przebicia; mogły wywrzeć stosunkowo niewielki wpływ na rozwój wypadków.

Grupy, które mogłyby coś osiągnąć — chłopci i robotnicy — albo zajmowały się swymi własnymi wąskimi problemami, albo zostały przekupione przez reżym, który nie szczędził im obietnic. Chłopci byli zaabsorbowani rozwiązywaniem spółdzielni podczas jesieni i zimy i nie zdawali sobie sprawy z tego, że ich emancypacja pozostawia wiele do życzenia. Robotnicy zostali dość łatwo uwiedzeni obietnicą, że spontanicznie zorganizowane rady robot-

nicze staną się permanentnym składnikiem społeczeństwa polskiego.

Grupa nacisku, która odegrała ważną rolę w ciągu następnych trzydziestu lat — tj. Kościół — nie mogła od razu przyjść do siebie na skutek gwałtownej kampanii anty-kościelnej we wczesnych latach po śmierci Stalina. Nawet uwolnienie Wyszyńskiego, świadczące o słabości reżymu, który wolał negocjacje od wznowienia presji na Kościół, nie skłoniło Episkopatu do domagania się uznania Kościoła jako pełnoprawnego składnika systemu politycznego i społecznego. Zamiast tego, w styczniu 1957, zwłaszcza proboszczowie wiejscy tłumnie poprowadzili wiernych do urn wyborczych. Młodzież, której Październik pomógł rozwiązać polski Komsomoł, również nie była skłonna wykorzystać słabości reżymu i stworzyć nową organizację, która byłaby prawdziwym reprezentantem aspiracji młodego pokolenia. Upadek rad robotniczych musiał także napawać melancholią.

Jeszcze mniej można powiedzieć o roli odegranej przez *instytucje*. Początkowo wydawało się, że sejm obejmie swą prawną rolę konstytucyjną jako najwyższa władza suwerenna w kraju i że będzie w stanie zrównoważyć wpływy partii. Jednak już wiosną 1957 sejm powrócił do swej tradycyjnej roli posłusznego narzędzia partii i nie oponował przeciwko nawrotowi do konserwatyzmu. Partia jako taka, łącznie z aparatem, przeżyła kryzys październikowy bez większych strat. Choć skład Biura Politycznego zmienił się znacznie, nie można tego powiedzieć o biurokracji partyjnej na średnim i niskim szczeblu. Trudno powiedzieć, czy było to rezultatem siły aparatu czy niechęci Gomułki do przeprowadzenia czystki w szeregach partii. Tak czy inaczej, w krótkim czasie aparat partyjny był w stanie powstrzymać szereg ważnych reform politycznych i gospodarczych i na III Zjeździe PZPR w 1959 jasno wykazał, że grupa konserwatywna znowu stanęła na czele partii.

Jednocześnie trzeba jednak przyznać, że Październik przyczynił się do wprowadzenia wielu ważnych zmian w społeczeństwie: wstrzymanie kolektywizacji, normalizacja stosunków z Kościołem, stworzenie rad robotniczych. Chociaż tylko dwie z tych zmian przetrwały do dzisiaj, rady robotnicze, aczkolwiek dość wcześnie rozwiązane, doprowadziły w taki czy inny sposób do powstania „Solidarności” dwadzieścia pięć lat później. Z drugiej strony, niektóre z koniecznych zmian nie zostały wprowadzone, jak na przykład reformy gospodarcze. Plany polskich reform były potem zaadoptowane przez Czechosłowację i Węgry, które wzięły je za podstawę swych własnych reform w latach sześćdziesiątych.

Jeśli chodzi o pozostałą „zmienną systemową” tj. *kulturę*, to można się zgodzić z tym, że kryzys 1956 wywarł duży wpływ na narodowe percepcje i postawy, o czym można było się przekonać dopiero w latach siedemdziesiątych. Fakt, że potężny rzekomo reżym został zmuszony do usunięcia najbardziej niepopularnych jego członków i do wybrania wodzem człowieka, którego ogólnie uważano za prawowitego kandydata, pozostał w pamięci mas polskich. Można przyjąć, że po Październiku nastawienie do komunizmu uległo radykalnej zmianie i że system polityczny, słaby od samego początku, nie zdołał utrzymać tego poparcia jakie potrafił sobie chwilowo zdobyć w Październiku. Innymi słowy, jeśli historia każdego narodu składa się z serii niewykorzystanych możliwości, kryzys 1956 zostanie dobrze zapamiętany przez historyków.

Jakie ostatecznie było prawdziwe znaczenie Października? Czy był prawdziwym przełomem rewolucyjnym, który położył kres epoce stalinowskiej i zainicjował nową, lepszą erę dla większości ludności? Czy też był po prostu rewolucją pałacową, w czasie której najbardziej zniechęceni członkowie elity rządzącej zostali wymienieni na innych bardziej strawnych osobników, przypominając znaną amerykańską grę „krzesel muzycznych”? Czy był to kryzys legitymizacji systemu komunistycznego, spowodowany przez szybki i niezrównoważony proces modernizacji politycznej i rozwoju gospodarczego? A może w końcu chodziło po prostu o mistyfikację czy ponury żart zagrany przez klikę cynicznych komunistów, którzy sprzedali go naiwnym masom w celu zachowania swoich przywilejów, bez najmniejszej chęci polepszenia losu i bytu swoich współobywateli?

Prawdziwe znaczenie Października zależy od tego, kto nań patrzy. Byłoby dość łatwo przyjąć interpretację cyniczną, szczególnie wobec niespełnienia obietnic i oczekiwań wywołanych przez kryzys. A jednak życie w Polsce po 1956 zmieniło się na lepsze i niektóre z osiągnięć przetrwały do dzisiaj. Trudno coś powiedzieć na temat kryzysu legitymizacji. Można twierdzić, że ponieważ Polska uniknęła interwencji sowieckiej i wojny domowej, tak jak to miało miejsce na Węgrzech, kontynuacja systemu komunistycznego była ogólnie przyjęta jako nieunikniona. Chociaż w 1956 nie było właściwie próby obalenia samego systemu, kierownictwo partyjne otrzymało ostrzeżenie, że system musi się zmieniać.

Wydaje mi się, że prawdziwe znaczenie Października leży pomiędzy pierwszą a drugą interpretacją: Październik nie był ani przełomem ani rewolucją pałacową, ale raczej kombinacją ich obu. Zniesienie kołchozów i normalizacja stosunków z Kościołem były

do pewnego stopnia zmianami rewolucyjnymi, bez precedensu w reszcie obozu komunistycznego, z wyjątkiem Jugosławii. Z drugiej strony, zmiany na górze partyjnej okazały się znacznie mniej ważne czy głębokie, niż mogło się to wydawać, i do pewnego stopnia przypominały rewolucję pałacową. Nawet dzisiaj, trzydzieści lat później, wszystkie fakty i szczegóły związane z kryzysem 1956 nie są nam dostępne i może dlatego Październik pozostaje w dużym stopniu kontrowersyjny i okryty tajemnicą, co uniemożliwia nam danie konkretnej odpowiedzi na pytanie dotyczące jego prawdziwego znaczenia.

*Andrzej KORBOŃSKI*

A. BESKID

## Z A O L Z I E

Wiadome zdaje się być wszystkim, że powstająca w 1918 roku Rzeczpospolita nie sytuowała się w jakichś ściśle określonych granicach geograficznych. Nie były dokładnie sprecyzowane jej granice polityczne, a skomplikowana sytuacja narodowościowa w tej części Europy uniemożliwiała wytyczenie granic etnograficznych.

Znana jest mniej więcej sprawa formowania granicy Rzeczpospolitej z Niemcami oraz Litwą i Rosją Sowiecką. Totalna natomiast wydaje się być niewiedza naszego społeczeństwa na temat granicy polsko-czechosłowackiej, a konkretnie niemal 30-letni spór polsko-czechosłowacki o część Śląska Cieszyńskiego zwaną Zaolziem.

Przyjrzyjmy się najpierw z konieczności skróconej historii Zaolzia. Sam ów termin jest stosunkowo świeżej daty. Ziemi zaolziańskiej nie było bowiem nigdy, ani w znaczeniu jednostki terytorialnej, ani też administracyjnej. To, co zwiemy obecnie (coraz rzadziej) Zaolziem, stanowiło do połowy XIV wieku integralną część Korony Polskiej. Od połowy XIV wieku należało do Księstwa Cieszyńskiego i wraz z Czechami weszło w 1620 roku w skład państwa Habsburgów. Z chwilą jego rozpadu powstała w końcu października 1918 roku Rada Narodowa Śląska Cieszyńskiego i wydała 30 października tegoż roku manifest, w którym deklarowała przyłączenie tej ziemi do Macierzy. Drogą porozumienia z czeskim Narodnym Viborem ustalono, że do Czech włączone zostaną powiaty frydecki i część frysztackiego, reszta zaś miała pozostać przy Polsce. Zarówno rząd w Warszawie jak i w Pradze zatwierdziły owo porozumienie. Jednakże wykorzys-

tując trudną sytuację Polski, w drugiej połowie stycznia 1919 roku Czesi złamali porozumienie i pokonując opór o wiele słabszych sił polskich gen. Latinika, zajęli Śląsk Cieszyński. Pod wpływem interwencji Ententy doszło do zawieszenia broni, a jej Rada Naczelna podjęła decyzję o przeprowadzeniu plebiscytu na spornym obszarze. W końcu, wykorzystując tragiczną sytuację Polski w lipcu 1920 roku, wymuszono na niej rezygnację z plebiscytu i dokonano podziału Śląska Cieszyńskiego na niekorzyść Polski. Czechom przypadło 56,2 % tej ziemi, którą zamieszkiwało 48,6 % Polaków, 39,9 % Czechów oraz 11,3 % Niemców.

Problem Zaolzia w zasadniczy sposób wpłynął na stosunki polsko-czeskie. Wielokrotne próby Polski nawiązania ściślejszych stosunków z Czechosłowacją były przez rząd tej ostatniej torpedowane. Sam problem Zaolzia w sposób praktyczny wpłynął w związku z polityką Niemiec wobec Czechosłowacji. Minister Beck już w kwietniu 1938 roku uważał, że Sudety w wyniku aktualnej sytuacji przypadną Niemcom. W pierwszej fazie konfliktu zajął on pozycję neutralną, w miarę przychylną dla Czechosłowacji. Dopiero z chwilą, gdy doszedł do wniosku, że Niemcy zechcą zająć całą Czechosłowację, przedsięwziął kroki w celu odzyskania Zaolzia. 21 września 1938 roku rząd polski wystosował notę do rządu czechosłowackiego z żądaniem rozwiązania kwestii Zaolzia analogicznie jak Sudetów. 22 września Benesz wysłał list do Mościckiego, w którym w zasadzie wyraził zgodę na cesję Zaolzia, jednakże bez precyzowania jej terminu. Polska, która obawiała się wywołania wrażenia, że korzysta z pomocy Rzeszy, postanowiła przerwać czeskie milczenie. 30 września wystosowano ultimatum z żądaniem natychmiastowego przekazania Zaolzia Polsce. 1 października, po bezskutecznym odwołaniu się do wielkich mocarstw (także ZSSR), Czechosłowacja ultimatum owo przyjęła. Choć można oczywiście zrozumieć pretensje polskie do Zaolzia, to sposób w jaki minister Beck usiłował zakończyć całą sprawę wydaje się co najmniej wątpliwy. Oczywiście Polska nie miała żadnego wpływu na ustalenia monachijskie, ale akcja zainicjowana przez Becka pozwoliła Hitlerowi przedstawić roszczenia niemieckie w zupełnie innym świetle. Oto w jednym szeregu Niemcy, Węgrzy i Polacy upominają się o prawa dla swoich współrodaków w Czechosłowacji. Postulaty niemieckie nie są odosobnione, zaborcze państwo czechosłowackie musi oddać zagrabione ziemie wszystkim poszkodowanym. Takie mniej więcej zdania propaganda nazistowska rozsiewała po całym świecie. Ponadto uderza niefrasobliwość, z jaką czołowi politycy polscy obozu rządzącego przyglądają się wychodzeniu Niemców na naszą południową flankę.



Sposób rewindykacji Zaolzia nie pozostał też bez wpływu na stosunek emigracyjnego rządu czeskiego do sprawy polskiej...

Śląsk Cieszyński zamieszkały był przez 3 grupy narodowościowe — Polaków, Czechów i Niemców. Pogląd o relacjach demograficznych pomiędzy tymi narodami do roku 1938 dają nam 4 spisy austriackie i 2 czeskie. Dwa pierwsze spisy austriackie (1880, 1890) były przeprowadzone wyraźnie tendencyjnie. W ich wykonaniu główną rolę odgrywali Czesi, a wyniki poszczególnych lat przedstawiają się wręcz osobliwie. I tak np. w gminie Szumbark spis z 1880 roku wykazał 17 Polaków i 697 Czechów, ale z 1900 — 883 Polaków i 3 Czechów, w gminie Olbrachcice w roku 1880 Polaków w ogóle nie zanotowano, Czechów 1029, ale w 1890 roku Polaków 1079 zaś Czechów ani jednego. W spisie z 1900 roku, na skutek silniejszej kontroli polskiej, w jednym tylko powiecie frysztańskim w porównaniu ze spisem z 1890 roku doliczono się o 60 % więcej Polaków. Ostatni spis w ramach Austro-Węgier (1910) przeprowadzony już pod silną kontrolą polską wykazał 123.923 Polaków, 32.821 Czechów oraz 22.312 Niemców. Spisy czeskie z 1921 i 1930 roku pobiły wszelkie rekordy tendencyjności. W spisie z 1921 roku (w porównaniu z 1910 rokiem) „nie doliczono się” około 80 tys. Polaków, lecz za to znaleziono 60 tys. Czechów. Ostatni spis mówił o zamieszkujących Zaolzie 76.230 Polakach i 120.639 Czechach. Z chwilą odzyskania Zaolzia w 1939 roku według danych polskich zamieszkiwało ten obszar ok. 227 tys. osób, z tego ok. 45 tys. Czechów i 17 tys. Niemców. Jednocześnie wszakże zgodnie z komunikatem Czesko-Słowackiego Biura Prasowego z lutego 1939 roku, z ziemi tej wyemigrowało 34 tys. Czechów. Po zajęciu zaś przez Niemcy Sudetów przeniosło się tam około 9 tys. Niemców. Razem więc z około 3,5 tys. Żydów liczba ludności niepolskiej wynosiła około 22 tysięcy.

Z chwilą agresji Niemiec na Polskę szybko zajęty Śląsk Cieszyński został przyłączony do Rzeszy (do rejencji katowickiej). Tak jak w całym kraju, i w Cieszyńskim powstał ruch oporu. Jako pierwsze powstały Organizacje Orła Białego oraz Tajna Organizacja Wojskowa, które weszły wkrótce w skład powstałego w październiku 1939 roku Inspektoratu Zaolziańskiego SZP, w którego miejsce w kwietniu 1940 powstał Obwód Cieszyński (J. Kominek). Niemcom udało się w okresie sierpnia 1940 - stycznia 1941 roku rozbić ZWZ. W początkach 1942 roku powstał Podinspektorat Cieszyński, już w ramach AK (Wł. Kubonek). Ostatecznie w sierpniu 1943 roku Podinspektorat podzielono na 3 obwody — Karwina, Cieszyn, Jabłonków (kom. por. Gergiel, stan — 2.600 osób).

Oprócz AK silniej na tym obszarze zaznaczyły swoją działalność: „Raclawice”, Siły Zbrojne Polski oraz GL PPS. Z uwagi na niekorzystną konfigurację terenu działania zbrojne ograniczyły się w zasadzie do obszaru Beskidów. AK prowadziła bardzo ożywioną działalność sabotażową (np. uszkodzenie rafinerii w Boguminie) oraz wywiadowczą. Na terenie Zaolzia znajdowały się 2 ośrodki przemytu materiałów do Rzeszy w ramach akcji N. W sumie straty polskiego ruchu oporu (innego nie było — pojedynczych Czechów można było spotkać w grupie GL PPS) wyniosły około 5 tys. osób (np. straty oddziału AK J. Kamińskiego „Strzały” wyniosły około 80 %).

Czesi wierni linii politycznej Haczy nie dawali znaku życia (inną sprawą jest, która postawa przyniosła większe korzyści). Docenili to Niemcy wprowadzając na terenie Zaolzia dla siebie i Czechów te same karty żywieniowe i identyczne stawki zarobkowe. Porównanie liczby ofiar terroru hitlerowskiego daje aż nadto wymowne wyniki. Np. z powiatu sądowego Cieszyn w czasie całej wojny Niemcy zastrzelili 4 Czechów (podczas gdy liczba Czechów na Zaolziu według danych niemieckich wynosiła ok. 46 tys.; ten wzrost był spowodowany ich powrotem po emigracji 1938 roku oraz przyciągającą Czechów polityką niemiecką na Zaolziu). Dodajmy jeszcze pro forma, że wszystkie afisze podające do publicznej wiadomości nazwiska zamordowanych w publicznych egzekucjach były drukowane w dwóch językach: niemieckim i polskim.

Do 3 maja 1945 roku cały Śląsk Cieszyński został zajęty przez Armię Czerwoną. Przez trzy dni, od 3 do 6 maja Cieszyńskie było przybrane w biało-czerwone sztandary. Szybko jednak Czesi, korzystając z opieki Armii Czerwonej, przeszli do ofensywy, najszybciej w Cieszynie Zachodnim. Powstała tam tzw. milicja czeska, składająca się głównie z członków II i III grup *volkslist* (*nota bene Volksdeutsche* okazali wyjątkową gorliwość we wprowadzaniu władzy czeskiej). Naczelnikiem tej policji został były *blockleiter*. Jego zastępcą został zaś niemiecki kapitalista z Cieszyna, Werdich. W Trzyńcu szczególną gorliwością w zawieszaniu flag czeskich a zrywaniu polskich odznaczył się inż. Kondelka, członek SA. Jeden z mieszkańców tego miasta tak opisał te dni: „Bohaterzy! Zabrakło ich w okresie zbrojnej walki z wrogiem w lasach Zaolzia, nie brakło ich jednak po oswobodzeniu na ulicach Trzyńca, gdzie zrywali polskie chorągwie. Zapaliwszy Orła Białego, nieśli go w trumnie przez miasto”. Reszty dopełniła maszerująca tamtędy brygada czeska gen. Svobody, której żołnierze według relacji polskiego partyzanta „... przechodząc obok nas, wi-

dząc na naszych rękach opaski biało-czerwone, pluli na nas, nazywając nas 'polskimi świniami' ”.

W efekcie, dzięki pomocy sowieckiej, Czesi zajęli całe Zaolzie wraz z Cieszynem.

Jakościowo nowa sytuacja powstała z chwilą utworzenia Rządu Tymczasowego. Benesz, trafnie oceniając sytuację rządu Arciszewskiego, postanowił uczynić z możliwości uznania nowego rządu ofertę przetargową w sprawie Zaolzia. Dialog ten podjął R.T. Nad całą sprawą czuwała Rosja, dla której kwestia uznania R.T. przez Benesza stanowiła bardzo istotną rzecz. W czasie pierwszego spotkania *chargé d'affaires* J. Olszowskiego z ambasadorem czeskim w Moskwie Zd. Fierlingerem (został potem członkiem BP KPCz), ten pierwszy dał do zrozumienia, że w przypadku „przyjaznego porozumienia” sprawa Polaków na Zaolziu upadłaby automatycznie. Następnego dnia (1 stycznia) Fierlinger odbył rozmowę z Sowietami proponując ogłoszenie przez R.T. deklaracji przedwstępnej w sprawie Zaolzia. Nie uzyskał jednakże aprobaty. Do ponownego spotkania doszło 4 stycznia. Sowietci przychyliili się do zdania Fierlingera w kwestii Zaolzia i wyrazili opinię, że Polska winna je Czechom zwrócić. Wszelako R.T. nie kwapił się do publicznej deklaracji w tej sprawie, nie chcąc sprawiać wrażenia lekceważącego stosunku do granic Polski. Z tego samego założenia wychodził ZSSR. Ambasador sowiecki w Polsce Lebediew oświadczył Fierlingerowi, że nie należy przywiązywać wagi do tego, czy Polacy „dadzą jakieś oświadczenie teraz czy później” ponieważ ZSSR stoi na stanowisku nietykalności przedmonachijskich granic Czechosłowacji. Stanowisko Sowietów podyktowane było niechęcią do ostatecznego rozstrzygnięcia kwestii, która mogła w przyszłości służyć jako środek oddziaływania na obydwie strony. Według Stalina bowiem spory państw będących na etapie „przejściowym” miały być wykorzystywane do wzmocnienia pozycji komunistów w tych krajach wobec grup niekomunistycznych.

Wobec niejasnego stanowiska Benesza Stalin postanowił sięgnąć do bardziej konkretnych argumentów. W swoim liście z 23 stycznia do prezydenta Czechosłowacji, poświęconym sprawie Ukrainy Zakarpackiej, dał mu jednoznacznie do zrozumienia, że w każdej chwili może sprawę tę sfinalizować, tzn. włączyć ją do ZSSR). W takiej sytuacji R.T. mógłby wykorzystać ten fakt w sprawie Zaolzia utrzymując, że Czechosłowacja nie posiada już przedmonachijskich granic. Trzy dni później Benesz otrzymał depezę, z której wynikało, że wobec nieustępliwości Czechów w sprawie uznania R.T. ZSSR skłonny jest przyznać Zaolzie Polsce. Z depezy tej wynikało też, że Polska przygotowuje się już do

ustanowienia w Cieszyńskim swoich organów administracyjnych. Wobec takiego *dictum* Benesz 29 stycznia zdecydował się uznać R.T. co oficjalnie nastąpiło 31 stycznia 1945 roku.

1 lutego doszło do wizyty Modzelewskiego u Fierlingera, podczas której ten ostatni podjął problem Zaolzia. Modzelewski odpowiadając stwierdził, że kwestia ta nie będzie stanowić problemu, który mógłby wprowadzić jakieś trudności. Jednocześnie, jak pisze Fierlinger w swych pamiętnikach, przyjął on „bez entuzjazmu” stwierdzenie Modzelewskiego, że korzystając z poparcia ZSSR, Polska pragnie oprzeć swe granice zachodnie nie na Nysie Kłodzkiej lecz Łużyckiej.

Problem ten przycichł do lata 1945 roku, by ze wzmocnioną siłą wybuchnąć w czerwcu. Z jednej strony oddziały czeskie przeszły w rejonie Międzyzlesia i Kudowy Zdroju granicę Polską i poczęły posuwać się w kierunku Kłodzka, z drugiej zaś 19 czerwca oddziały Roli-Zymierskiego weszły do Cieszyna Wschodniego. Nie wydaje się prawdopodobne, by były to (na pewno w przypadku Polski) samodzielne inicjatywy. Był to raczej jeden z elementów wzmiankowanej już teorii Stalina (ciekawe zresztą, że w dn. 17-21 czerwca toczyły się rozmowy moskiewskie w sprawie utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej). W tym samym miesiącu odbyły się w Moskwie rozmowy polsko-czeskie, którym celem było ostateczne ustalenie granicy. Przedstawiciele Czechosłowacji stanęli w kwestii Zaolzia na gruncie granicy z 1938 roku, wysuwając jednocześnie roszczenia do Raciborza, Kłodzka i Głubczyc (już w końcu maja Czesi wysuwali chęć tymczasowego przejścia administracji na południu Śląska). Tuż przed tym spotkaniem odbyła się w Pradze manifestacja zorganizowana przez *Místni Narodni Vibor pro Praga XII*. Plakat zapowiadający tę manifestację głosił: „Wielka manifestacja za przyłączeniem Górnego Śląska i Dolnych Łużyc do Czechosłowackiej Republiki”. Nie były to zresztą żądania wygórowane. Pobratymcza zapatrywaniami polskiemu ONR-owi organizacja (działająca legalnie) *Sdruzeni za spravodlive hranice CZSR* żądała granic na Cisie, Dunaju, Odrze i Wiśle. W tej sytuacji rozmowy zakończyły się fiaskiem.

Impas w stosunkach polsko-czeskich trwał do jesieni 1945 roku. Przerwała go nota polska z 5 listopada, proponująca spotkanie celem rozwiązania nierozstrzygniętych kwestii. W odpowiedzi Czesi (24 listopada) zaproponowali przybycie do Pragi polskiej delegacji dla rozpoczęcia konkretnych rozmów. Po nocie polskiej (27 grudnia) polemizującej z notą czeską, strona polska otrzymała (4 stycznia 1946) kompromisową notę czeską, która stała się

podstawą do wszczęcia przygotowań do rozmów. Fierlinger anonując 24 stycznia przyjazd delegacji polskiej stwierdził, że „rząd czechosłowacki wysłucha propozycji Polaków, nie przesądzając jednak niczego w ważnych zagadnieniach”. Określił Kłodzkie jako „nasze historyczne terytorium” i domagał się przyłączenia go do Czechosłowacji. Z kolei komunistyczny minister spraw wewnętrznych W. Nosek przemawiając w Morawskiej Ostrawie po stwierdzeniu, że „nienormalne stosunki hamują obustronny rozwój” zgłosił pretensje do Kłodzkiego, Raciborskiego i Głubczycyckiego. Te i inne wystąpienia nie wróżyły nic dobrego dla projektowania rozmów. Delegację polską powitała w Pradze umieszczona w jej centrum, w witrynie wielkiej księgarni, mapa Górnego i Dolnego Śląska, ku którym wyciągały się z dwóch stron polskie i niemieckie szpony. Same zaś rozmowy skończyły się tym samym co i moskiewskie rezultatem. W czasie ich trwania Polska zaproponowała za Zaolzie terytorialnie większy obszar na Dolnym Śląsku. Propozycja ta nie spotkała się z aprobatą strony czeskiej.

Wkrótce po opuszczeniu przez delegację polską Pragi poseł socjalistyczny (socjaliści narodowi) Fr. Uchlirz zażądał wysiedlenia ludności polskiej znajdującej się pod administracją czeską części Śląska Cieszyńskiego (za Polaków uważał on tylko tych, którzy przybyli tam po październiku 1938 roku). Jednocześnie w czeskim sejmie komunistyczni ministrowie Z. Najadly (oświaty) i W. Nosek odpowiadając na jego interpelację domagającą się zlikwidowania Polskiej Macierzy Szkolnej zakomunikowali, że do czasu zbadania sprawy wydali zakaz uprawiania przez Macierz jakiegokolwiek działalności.

Z tymi wszystkimi pociągnięciami korespondował urządzony w dn. 17 marca - 7 kwietnia cykl imprez. Będący jednym z jego elementów „Tydzień Śląski” w Pradze zakończono uroczystym uchwaleniem rezolucji w obecności wicepremiera dr. Staransky'ego.

Sytuacja ludności polskiej z chwilą przejęcia administracji na Zaolziu przez Czechów stała się tragiczna. Przede wszystkim zamieszkujących tam Polaków zaczęto powszechnie uważać za spolszczonych Morawców i całą politykę podporządkowano ich reczechizacji. Rozpoczęto od uderzenia we wszystkie formy polskiej aktywności. Polskim nauczycielom zabroniono w szkołach używania języka polskiego nawet w prywatnych rozmowach. Zakazano przywozu książek z Polski. Władze czeskie rozwiązały prawie wszystkie stowarzyszenia polskie, w tym Macierz Szkolną. Rozwiązano nawet kółka śpiewacze. Z 270 polskich przedszkoli jakie istniały w 1938 roku, w końcu 1945 roku zostało 5. W 31 gminach zamknięto szkoły polskie. Bardziej znanych działaczy aresztowano i niejednokrotnie poddano torturom. Pozostałym zaś

na wolności ograniczono swobodę poruszania się oraz odebrano przepustki graniczne uniemożliwiając im tym samym kontakty z Polską.

Czechizację prowadzono też przez Kościół ewangelicki o bardzo silnych na Zaolziu wpływach. Już w 1945 roku zamianowano bezprawnie administratorem tego Kościoła Czecha, ks. Winklera. Ten zaś wysłał do zborów, bez porozumienia się z nimi, a więc wbrew zasadom obowiązującym w tym Kościele, pastorów wyłącznie czeskiej narodowości. Akcję tę poparły władze czeskie, które np. w Dolnych Błędowicach zaprotegowały pastora narzuczonego zborowi przez Niemców, a Polakowi usuniętemu w czasie okupacji zabroniono pod groźbą więzienia powrotu do pełnienia funkcji.

Oprócz Zaolzia do napięć polsko-czeskich dochodziło także w kwestii Spisza i Orawy. Uchwałą Rady Ambasadorów z lipca 1920 roku Polska otrzymała 13 wsi na Spiszu i 14 na Orawie. W ten sposób, według przesadnych szacunków polskich, miało pozostać poza granicami kraju około 50 tys. Polaków. W listopadzie 1938 roku do Polski przyłączono Jaworzynę Spiską, dokonano też drobnych poprawek w Czadeckim, na Orawie i Spiszu. We wrześniu 1939 roku cały Spisz i Orawę włączono do świeżo powstałego państwa słowackiego. W maju 1945 roku powrócono do granicy z 1939 roku. Sprawa tych ziem nie budziła jednakże tak dużych napięć jak kwestia Zaolzia. W Polsce poświęcono jej wybitnie mało uwagi, tym bardziej, że ludność tam zamieszkała nie miała tak wyrobionego poczucia narodowego, jak na Zaolziu. Spora część ludności słowackiej Spisza i Orawy mówiąca językiem polskim uważała się wręcz za Słowaków. A i w polskiej części tych ziem było Słowaków niemało, o czym świadczyła wtedy choćby irredentystyczna akcja Badurika, a dziś jeszcze istniejąca mniejszość słowacka. Do roku 1947 utrzymał się wydawany w Polsce kalendarz „Przyjaciół Spisza i Orawy”, redagowany przez budziela polskości na tych ziemiach, ks. F. Machaya.

Problem Zaolzia budził w Polsce wiele napięć i znalazł swoje odbicie w oficjalnych poczynaniach władz. Ówczesny premier Osóbka-Morawski w swoim *exposé* w lipcu 1945 roku oświadczył, że stosunki polsko-czeskie muszą być oparte o zrozumienie „słusznych, tak z punktu widzenia etnicznego, jak i historycznego, roszczeń Polski do terenów Śląska Zaolziańskiego, zamieszkałego przez większość polską”. Na następnej sesji KRN, w grudniu 1945 roku klub poselski SD zgłosił wniosek, by w celu ochrony praw i interesów ludności polskiej na Zaolziu utworzyć konsulaty polskie w Bratysławie i Ostrawie. Odpowia-

dając nam w kwietniu 1946 roku Modzelewski stwierdził, że Czesi nie zgodzili się na konsulat w Ostrawie. Wypowiadając się na tej samej sesji poseł pepeerowski Ochab oświadczył, że 100 tys. rzesza Polaków na Zaolziu „słusznie domaga się powrotu na łono Macierzy”. Były to jednakże demagogiczne chwytły, za którymi nie stały żadne realne poczynania w kierunku odzyskania Zaolzia. PPR realizowała po prostu wzmiankowaną już taktykę opracowaną przez Stalina. Buńczuczne wypowiedzi polskich i czeskich komunistów (z tym, że tych ostatnich w części realizowane) wzmacniały ich pozycję we własnych krajach. Hałaśliwa propaganda komunistyczna w Polsce miała na celu wykazanie polskiego charakteru PPR (Gomułka uznał to za pierwszoplanową sprawę), dalej wytłumaczenie problemu zachodnich ziem ukraińskich, litewskich oraz białoruskich, a także głosu PSL domagającego się wyborów.

Tuż po owym „Tygodniu Śląskim”, o którym wspomnieliśmy nieco wcześniej, rząd czeski wystąpił z następną antypolską akcją. Otóż Czesi traktując uchwały poczdamskie ściśle według litery ich brzmienia uważali, że Polska otrzymała tereny byłej Rzeszy wyłącznie do czasu ostatecznych rozstrzygnięć, które dać miała konferencja pokojowa. W połowie kwietnia 1946 roku wysłali oni do ambasadorów „czwórki” specjalną notę, w której żądali dopuszczenia do obrad paryskich, by móc domagać się części ziem zachodnich przyznanych Polsce. Pikanterii temu dodawał fakt, że żądania swoje do tych ziem (Śląsk Opolski, Kotlina Kłodzka, Zagłębie Wałbrzyskie) nazwali oni postulatami do ziem niemieckich względnie poniemieckich co, *nota bene*, natychmiast zauważyła nacjonalistyczna prasa niemiecka. Sama zaś akcja czeska została storpedowana przez ZSSR, który obawiał się włączenia do „spraw rodzinnych” mocarstw zachodnich.

Po zwycięskich dla komunistów wyborach w maju 1946 roku (wraz z socjaldemokratami posiadali oni przewagę w czeskim parlamencie) w oficjalnym stanowisku Polski pojawiły się nowe tony. Pierwszym tego sygnałem był wywiad udzielony PAP (6 sierpnia) przez polskiego posła w Pradze, Wierbłowskiego. Nie poruszył on już problemu państwowej przynależności Zaolzia oświadczając, że Polsce zależy przede wszystkim na zagwarantowaniu praw Polakom mieszkającym na Zaolziu.

Zasadnicze rozmowy przeprowadzili w Paryżu Rzymowski i J. Masaryk. Wszystko wskazywało na to, że już wkrótce dojdzie do podpisania porozumienia. Fierlinger 14 sierpnia oświadczył, że „podpisanie umowy sojuszniczej z Polską jest kwestią najbliższych tygodni, a może nawet najbliższych dni”. Nieoczekiwanie



jednakże, po mowie Byrnesa, Stalin, który obawiał się w tym momencie usztywnienia polityki amerykańskiej, zrezygnował na krótko z sojuszu polsko-czeskiego, który zamykałby system dwustronnych sojuszy ZSSR, Polski, Czechosłowacji i Jugosławii. Było to jednak tylko chwilowe intermedium. W styczniu 1947 roku pod wpływem ZSSR Czesi wycofali z forum międzynarodowego przedłożone 9 miesięcy wcześniej postulaty terytorialne na rzecz rozmów bilateralnych, narzuconych przez Stalina. Wszelako pojawiały się jeszcze głosy z żądaniami terytorialnymi wobec Polski i to nie byle kogo, bowiem 28 stycznia zgłosiło je *Rude Pravo*, zaś na początku lutego sam K. Gottwald.

Były to już jednak ostatnie odgłosy sporu. Stalinowi widać przeszedł już strach po mowie Byrnesa, wystąpił bowiem z „sugestią” zawarcia układu. Chodziło mu tym razem o zamknięcie owego łańcucha przed zbliżającą się sesją ministrów spraw zagranicznych „czwórki” na temat Niemiec, która miała się odbyć w Moskwie. 10 marca nastąpiło oficjalne podpisanie układu. Tego samego dnia w Moskwie rozpoczęły się obrady ministrów spraw zagranicznych „czwórki”.

17 kwietnia zaś St. Jędrzychowski mógł imieniem klubu polskiego PPR stwierdzić w Sejmie, że „PPR zdawała sobie sprawę z tego, że dla przyjaźni polsko-czechosłowackiej należy od razu otworzyć drzwi szeroko, a nie tylko uchylić furtkę, że należy iść nie drogą drobnych targów, a drogą wszechstronnej, opartej na szerokich podstawach współpracy”.

Jak wygląda stan obecny? W 1974 roku oficjalne dane czeskie notowały w CSRS 71 tys. Polaków (1950 r. — 73 tys.). W ostatnich latach spisu Polaków nie prowadzono. Opierając się o prace czeskich demografów można przyjąć na 1981 rok szacunkową liczbę ok. 75-80 tys. Polaków. Spadek ten (80 tys. w 1945 roku) spowodowany jest emigracją do Polski oraz przymusową i naturalną asymilacją. W 1974 roku istniały 64 polskie szkoły z 4.978 dziećmi, 49 z nich to szkoły 1 i 2 klasowe (w 1956 roku 85 z 7.983 uczniów). Ponadto istnieją 44 polskie przedszkola z 4.338 dziećmi. W Cieszynie Zachodnim istnieje Gimnazjum Polskie. Ponadto w technikum przemysłowym w Karwinie, ekonomicznym w Cieszynie i gimnazjum w Orłowej znajdują się klasy polskie skupiające ok. 1.000 uczniów. Od 1977 roku w studium języków obcych w Ostrawie istnieje kurs języka i kultury polskiej. W tym samym mieście na Wydziale Pedagogicznym funkcjonują studia z polskim językiem wykładowym, które rocznie kończy przeciętnie 10 osób.

W 1966 roku założono w wydawnictwie „Profile” w Ostrawie Edycję Polską, która do 1981 roku wydała 50 publikacji w je-



zyku polskim. Od 1962 roku wychodzi Kalendarz Śląski w nakładzie 7.500 egzemplarzy (do owych 50 publikacji wlicza się i Kalendarz, tak że liczba ta spada do 30 publikacji, tzn. mniej niż 2 rocznie). Ponadto wychodzi miesięcznik społeczno-polityczny *Zwrot* oraz *Głos Ludu* (3 razy w tygodniu 10 tys. nakładu). Dla młodzieży przeznaczone są 2 czasopisma, *Jutrzenka* (1948 r. — 10 tys. nakładu, 1967 r. — 3.400) oraz *Ogniwo* (5.000 — 3.500). Dla pionierów przeznaczone jest pismo *Pionier*. W języku polskim w latach 1946-1949 ukazywało się katolickie pismo *W Obronie Prawdy*, zaś w latach 1948-1959 ewangelickie *Przyjaciel Ludu*.

Organizacją skupiającą Polaków w CSRS jest Polski Związek Kulturalno-Oświatowy.

A. BESKID

(*Kierunek*, nr 2, marzec 1986)

## WSPOMNIENIA

Stanisław WACHOWIAK

### WOJNA I OKUPACJA 1939-1945 (dok.)

Obszerniej opiszę ostatnie dni przed powstaniem. W piątek 21 lipca był w Warszawie Tchórznicki. Zaprosił go i mnie gubernator Fischer, obecny był też wicegubernator dr Gollert. Zapytał nas, co ludność zamierza zrobić w razie dalszego cofania się wojsk niemieckich. Odpowiedzieliśmy, że ludność zostaje, bo dokąd ma iść? Zresztą nikogo nie mordowała, cierpiała przez pięć lat i siedzi u siebie na swoich śmieciach. Na to Fischer: „Byłem nad Bugiem i komenderujący generał tego odcinka zapewnił mnie, że linia Bugu będzie utrzymana. Panowie możecie to oświadczyć ludności”. Przy tej sposobności zapytałem dr. Gollerta, co jest prawdy w pogłoskach o braniu kilku tysięcy zakładników w Warszawie. Tenże zakomunikował o tym gubernatorowi i dodał, że znając nastawienie gubernatora już dawniej, może nam oświadczyć, że wiadomość ta jest wyssana z palca. Prosił jednak, aby gubernator potwierdził to oświadczenie i gubernator to uczynił.

Przy tej sposobności dowiedzieliśmy się, że wszystkie wnioski o zaliczki pieniężne i przydziały żywnościowe zostały załatwione, a chodziło o sumy milionowe. Co zaś do żywności, to zgodnie ze wskazówkami delegata Rządu już od miesięcy gromadziliśmy wielkie zapasy przede wszystkim tłuszczów, cukru i mąki oraz

medykamenty, korzystając z coraz słabszego nadzoru Niemców, dawniej tak wnikliwego i rygorystycznego.

We wtorek 25 lipca przyjechał z Krakowa dyrektor Seyfried, jeden z najbardziej wtajemniczonych ludzi, jeżeli o akcję polityczno-wojskową chodzi.

W zarządzie RGO tuż przed wybuchem powstania mieliśmy rzadką, chyba pierwszą, a na pewno ostatnią satysfakcję moralną. W sam dzień nieudanego zamachu na Hitlera i wobec ostatnich edyktów niemieckich liberalizujących statut RGO, zwołaliśmy wielkie zebranie obywatelskie, obeślane przez wszystkie warstwy społeczeństwa. Z polecenia prezydium wygłosiłem sprawozdanie i w gorzkich słowach przedstawiłem trudności tej niewdzięcznej, nerwy szarpiące kilkuletniej roboty. Było rozczulające, jak jeden delegat po drugim zabierał głos, aby złożyć wyrazy wdzięczności za to, co się zrobiło. Jednakże każdy kończył prawie stereotypowo: „Jeżeli o zarząd i prezydium w Warszawie chodzi...” Pomijano Kraków. To trochę bolało.

I tu widoczny był grzech pierworodny RGO: osoba Adama Ronikiera, jej pierwszego prezesa. Coś przylepiło się do niego, już o tym pisałem. A szkoda, bo w warunkach ówczesnych był to — mimo wszystko — człowiek nie do zastąpienia.

Po południu dnia 25.7.1944 w całym mieście, na wszystkich prawie placach była strzelanina trwająca kilka godzin, tak, że po wspólnym obiedzie Seyfried, Machnicki i ja musieliśmy się ukrywać w budynku przy Focha nr 4. Już od kilku dni odbywał się gigantyczny odwrót wojsk niemieckich wszystkimi drogami, prowadzącymi na zachód. Zauważyłem, że w pierwszych dniach odwrót był chaotyczny, wcale nie po niemiecku, później jednak wszystko szło w porządku, co można było dniem i nocą obserwować.

W czwartek 27 lipca na murach Warszawy ukazały się odezwy gubernatora Fischera, wzywające, aby 100 tysięcy ludzi stanęło do obrony miasta, jak to było w pamiętnym roku 1920. Odezwa ta, nie powołująca się na żadne przepisy prawne i nie grożąca jakimikolwiek sankcjami — z tą aluzją do roku 1920 — zrobiła w mieście wrażenie zarazem śmieszne i przykre. Chcieliśmy w tej sprawie interweniować w guberni, lecz nie było u kogo. Gubernator był jeszcze na miejscu, lecz urzędy już nie funkcjonowały, urzędnicy wyjechali.

W piątek 28 lipca za poradą kilku przyjaciół nie nocowałem w domu. Rano był w RGO ks. Radziwiłł i dyrektor Seyfried. Zdecydowano, że Seyfried, Celichowski i ja udamy się do prezydenta miasta, zwracając uwagę na rozpowszechniające się ra-

bunki. W środę, na przykład, tłum zrabował między innymi 50 ton marmolady i cukru z jednego z naszych magazynów. Dodam, że tego dnia zginęło 37 ludzi, a 40 zostało ciężko rannych.

Prezydent Kulski zmęczony i wyczerpany przejściami oświadczył nam, że jest bezsilny z powodu braku jakiegokolwiek egzekutywy. Urząd *Stadthauptmanna*, jeżeli chodzi o czołowe osobistości — to jest Leista i Fribolina — jeszcze funkcjonuje, choć nie mieszkają już w swych domach i samochody mają przygotowane do ucieczki.

Dla charakterystyki nastrojów przedpowstaniowych dodać trzeba, że dezorientacja naczelnych ludzi była kompletna. Nie z ich winy. Z Londynu przychodziły lakoniczne, często zupełnie sprzeczne instrukcje wskutek znanego stanowiska Sowietów, czy też jakiegokolwiek braku stosunku z nimi i z rządem naszym na emigracji. Do tego dochodziła nieświadomość, co uczynią Niemcy. Codzienne alarmy lotnicze, zwłaszcza nocą, dopełniały obrazu grozy. Huk armat rosyjskich już było słychać w mieście. Słabe naloty rosyjskie mogły wskazywać, że zamiary dowództwa rosyjskiego są raczej przyjazne. Nawoływania ich stacji radiowych, aby lud Warszawy powstał przeciwko ciemieżcom budziły nadzieje, że za kilka dni Warszawa będzie wolna. Gwałtowny odwrót Niemców zdawał się wskazywać na to, że miasta bronić nie będą. Miasto dzięki polskiej administracji i przezorności RGO miało znaczne zapasy żywności i węgla, ale w miarę gwałtownych zmian na froncie odpadał dowóz. Jednym słowem tysiąc niewiadomych...

W takich warunkach pracował rząd podziemnej Polski. Nikt, kto nie przeżywał i z bliska na to nie patrzył, nie może pojąć ani ogarnąć gigantycznej, nieludzkiej odpowiedzialności tej grupki ludzi, którzy wtedy dźwigali na swych barkach brzemień decyzji, które tylko jakimś cudem mogły być trafne. Narodowa starszyzna naciskana była dniem i nocą przez młodzież potężnej wtedy AK, nie rozumiejącą na ogół tragedii, jaka się rozgrywała. Sypały się zarzuty i groźby. Ogół był przygotowany na wkroczenie wojsk rosyjskich. Wszyscy byli zgodni, że honor narodu o takich tradycjach wymaga, abyśmy naszymi siłami wyswobodzili stolicę i na zbezczeszczonym ratuszu zawiesili sztandar narodowy.

#### *Powstanie Warszawskie 1944 r.*

Pamiętną pozostała mi niedziela 30 lipca 1944 r. Był to

pierwszy dzień, kiedy po blisko pięciu latach w Warszawie było zaledwie kilkuset Niemców. Wojska przeszły, a trwało to dwa tygodnie. Nie było administracji ani *Treuhänder*ów, rodziny niemieckie były wyewakuowane. Oficer lekarz, któremu przydzielono kwatery w naszym mieszkaniu pożegnał się z nami, dyskretnie szeptał mi na ucho, że Warszawie nic się nie stanie i że armia niemiecka przegrupuje się dalej na zachodzie. Dzień był piękny. Niemcy skorzystali ze względnego spokoju na froncie, aby na dziesiątkach samochodów wywozić meble i dokumenty z gmachów publicznych. Byłem świadkiem na Krakowskim Przedmieściu, jak wywożono drogocенności z dawnego Prezydium Rady Ministrów. Serce się krajało, kiedy Niemcy tej niedzieli wywozili cały tabor warszawskiej Straży Ogniowej, jeden z najlepszych w Europie. Strażacy pod grozą rewolwerów gestapowskich musieli sami kierować maszynami.

Po południu tejże niedzieli odwiedził nas dawny i zasłużony prezydent miasta Grudziądza, Józef Włodek. Zapuścił długą brodę i zmienił się nie do poznania. Był zatrudniony pod cudzym nazwiskiem w firmie K. Rudzki, gdzie brat jego Gustaw był naczelnym dyrektorem. Mieszkał z żoną i dziećmi przy ulicy Wiejskiej, 300 metrów od nas. Był dobrej myśli i pełen projektów na przyszłość.

Dla charakterystyki ogólnych nastrojów podają kilka dalszych szczegółów. Po południu siedzieliśmy przy kawie, a tu zjawił się syn starego przyjaciela Witek Szaniewski w towarzystwie naszego najstarszego syna. Wiedziałem, że Witek był oficerem AK i mój syn był w jego oddziale. Dawno ich nie widziałem, gdyż siedzieli gdzieś w lasach kampinoskich. Prezentowali się fantastycznie, każdy w oficerskich długich butach, a za pasem Witek miał trzy rewolwery, a mój syn dwa. Osłupiałem i straciłem język tym bardziej, że patrząc z werandy na ulicę Piusa XI, widziałem jak naprzeciw naszego mieszkania gestapowcy ładowali na dwa zarekwirowane furgony pogrzebowe sprzęty i meble. Zbeształem naszych bohaterów, na co Witek ze stoickim spokojem odpowiedział: już się nie nie stanie, teraz my będziemy strzelać. Jak przyszli, tak i odeszli w pełnym uzbrojeniu.

Przed nami stały straszne zagadki, lecz ta niedziela była jakby jakimś mistycznym zmartwychwstaniem: Niemcy opuścili Warszawę... Strzepy, które pozostawili do ukończenia rabunków już się nie liczyły. Przy ich gruboskórności gotowi byli tego dnia proponować „bruderszafty”, byle to wszystko tak czy owak się skończyło. Nie zaczęli, nie strzelali i widocznie tego dnia

AK miało rozkaz zachowywać się spokojnie, aby ułatwić im wyjście z miasta i nie prowokować jakiegos powrotu.

Taka była ostatnia niedziela przed powstaniem. Biedny Józef Włodek. Już w następnym tygodniu został zamordowany z żoną i córką na ulicy Wiejskiej przez bandę ukraińską. Łotysze, Ukraińcy i bandy Rosjan pod komendą pułkownika Kamińskiego były największym postrachem miasta. Ukraińcy kampowali gdzieś w gmachu Sejmu i w pień wybili prawie całą ludność ulicy Wiejskiej. Później Sejm opanowany został przez AK.

W tych dniach między rozpaczą a nadzieją przyszło powstanie, najkrwawsze z naszych burzliwych dziejów, powstanie, które pochłonęło hekatombę ofiar i kosztowało naród stolicę, od blisko 1000 lat znojem, trudem i miłością budowaną. Czy to było potrzebne? Nie wiem. Czy było do uniknięcia? Nie.

Czytałem dziesiątki rozpraw i artykułów na ten temat. Rzecz dziwna, że najwięcej i najgłośniej *contra* krzyczeli ci, co siedząc z daleka i nie znając nawet po łebkach rzeczywistości okupacyjnej, stroili się w togi arbitrow i z wysokiego piedestału ferowali wyroki. Czytałem dużo głosów rozważnych, nie ubliżających tym, co umierali ze słowem Polska na ustach, z wiarą, że z kości ich powstanie mściciel.

*Ex oriar aliquis nostris ex ossibus ultor.* Trudno było u Polaków o zgodę, często w rzeczach bezspornych. Dlatego skończę moje uwagi na ten u Polaków tak sporny temat świadectwem obcego proroka.

Jakiś nieznan mi Niemiec — przypuszczam, że był to jeden z wyższych dygnitarzy, z którym kiedyś prowadziłem dyskusje na tematy historiozoficzne — przysłał mi wydawane przez Franka, który chciał uchodzić za pięknoducha, artystycznie ilustrowane, w pięknej szacie graficznej pismo *Die Burg*, Kraków 1944, nr 1. Tam na stronie 27 jest wyznanie wiary wielkiego generała niemieckiego, Karla von Clausewitza. Ten jedyny w swoim rodzaju dokument niech uśmierzy walkę pojęć, osądów i wyroków w obozie polskim.

Oto co mówi Karl von Clausewitz:

*Ich glaube und bekenne:*

*dass ein Volk nichts höher zu achten hat*

*als die Würde und Freiheit seines Daseins,*

*dass es diese mit dem letzten Blutstropfen*

*verteidigen soll; dass es keine heiligere Pflicht*

*zu erfüllen, keinem höheren Gesetze zu gehorchen hat;*

*dass der Schandfleck einer feigen Unterwerfung*

*nie zu verwischen ist ;  
dass ein Volk unter den meisten Verhältnissen  
unüberwindlich ist in dem grossen Kampfe  
um seine Freiheit ;  
dass selbst der Untergang dieser Freiheit  
nach einem blutigen und ehrenvollen Kampfe  
die Wiedergeburt des Volkes sichert und  
der Kern des Lebens ist, aus dem einst  
ein neuer Baum die sichere Wurzel schlägt.*

Spróbuję to przetłumaczyć :

*Wierzę i wyznaję :*

*Ze żaden naród niczego więcej cenić nie winien  
od godności i wolności swego istnienia ;  
że bronić ich musi do ostatniej kropli krwi  
i że nie ma bardziej świętego obowiązku  
ani wyższego nakazu ;  
że hańba tchórzliwego poddania się  
nigdy nie może być zmazana,  
że żaden naród nie może być zwyciężony  
w wielkiej walce o swą wolność,  
że nawet utrata wolności po krwawej  
i honorowej walce gwarantuje odrodzenie narodu  
i jest jądrem życia, z którego mocnych korzeni  
wyrośnie nowe drzewo.*

We wtorek 1 sierpnia pracowałem jak zwykle od godziny 8-ej rano w biurze w Banku Handlowym i od 12-ej do 15-ej w gmachu RGO przy ulicy Długiej. Oczywiście wiedzieliśmy, że lada dzień nagromadzony proch pójdzie w powietrze, choć sztab Bora wszystko trzymał w największej tajemnicy. Z biura o godzinie pierwszej poszliśmy do ks. Radziwiłła, który dobrze poinformowany przyjechał z księżną z Nieborowa do Warszawy. Kto go znał wiedział, że w takiej chwili nie zbraknie go w Warszawie. Debaty nasze były gorące. Znał on z doświadczenia 1939 r. metody Stalina i to go niepokoiło. Bał się, czy warto ryzykować, ale decyzje nie od niego zależały.

Pożegnałem się z Machnickim o godzinie 15-ej i szczęśliwie chwyciłem tramwaj. Szczęśliwie, gdyż był to ostatni raz, kiedy jechałem tramwajem warszawskim. W mieście podniecenie było niebywałe.

Spożyłem obiad i słyszę, że rozpoczęła się w mieście strzela-

nina, była godzina między 16-tą a 17-tą. Punktualnie o 17-ej ktoś zadzwonił do mieszkania, dzwonek był jeden, to znaczy nie był to nikt z domowników czy znajomych. Otwarłem drzwi i ujrzałem przed sobą czterech młodych ludzi z bronią za pasem oraz młodą przystojną panienkę. Wyszukana grzeczność, z jaką mnie traktowali, kazała mi się domyślać, że to jedna z forpoczt AK. Ponieważ dom, w którym mieszkaliśmy na piętrze, był prawie narożnikiem Alei Ujazdowskich, pomyślałem, że obiorą go sobie jako pozycję ataku na Aleje Ujazdowskie. Dodać muszę, że dom graniczył z pałacem Gawrońskich, dawną ambasadą belgijską, gdzie mieściła się siedziba szefa Gestapo i gdzie zabity został w lutym tego roku Kutschera. Ładna perspektywa.

Uspokoilem się, gdy młody porucznik po przywitaniu się oświadczył mi, że bardzo przeprasza, lecz przyszedł z kolegami, aby odebrać zapas broni, jaka jest w moim mieszkaniu. Ośłupiałem! Jak to, powiedziałem, to jest wykluczone, widzę, że pan się świetnie orientuje, więc powinien pan wiedzieć, że piastując odpowiedzialne stanowiska nie mogłem narażać bezpieczeństwa roboty. Młody porucznik prosił jednak, czy może wejść do mieszkania. Zgodziłem się. Pewnym krokiem — musiał znać rozkład domu — poszedł wprost do drzwi dużego salonu, który musieliśmy odstąpić oficerowi lekarzowi, dr. Coblitz. Poszedłem za żołnierzami. W rogu dużego salonu stało łóżko francuskie. Porucznik podniósł materac i memu oku przedstawił się widok niesamowity. Było tam co najmniej 30 rewolwerów, niezliczona ilość nabojów i Bóg wie co. I pomyśleć, że nasz przymusowy lokator dopiero sześć dni temu się wyprowadził! Zabrali wszystko i salutując z uszanowaniem odeszli.

Miałem wówczas pięćdziesiąt cztery lata i doszedłem do wniosku, że do wojowania jednak starzy się nie nadają. Od czasu kwaterunku Niemca miałem kilka rozpraw na tym tle z synami, z których jeden i drugi byli w AK, trochę w konspiracji przede mną, lecz ma się rozumieć za moją milczącą zgodą. Rozprawy były na tle zaprosin oficera na jakąś popijawę dwa czy trzy razy, o tyle wybaczną, że grał im Chopina, którego wielbił.

Bali się jak ognia spotkania z nim, widząc jak mnie to niepokoi. Teraz dopiero wszystko stało się jasne. Mieli rację młodzi, bo pokój, w którym mieszkał niemiecki kapitan był idealną kryjówką, nikt bowiem nie mógł go rewidować. Niemiec spał na naszej broni. Trudno o bezpieczniejsze miejsce.

Dopiero po wojnie dowiedziałem się całej prawdy. Niemiec oddał nam wiele innych przysług. Wspominam z pewnym zażę-



nowaniem, jak ci młodzi mogli mnie tak nabrać, że przez blisko dwa lata byłem jak tabaka w rogu.

To było pierwsze niezwykle przeżycie powstania, które rozpoczęło się w pierwszy sierpniowy wtorek. Miały przyjść inne, mniej przyjemne.

Niemcy ogłupieli, gdyż nie spodziewali się wybuchu powstania tak przygotowanego w detalach i zorganizowanego po tylu latach okupacji. Trwało parę dni, zanim się dokładnie zorientowali, toteż wydawało się, że powstańcy w pierwszych dniach opanowali miasto od Woli poprzez getto i Pawiak, przez Stare Miasto do śródmieścia, od Mokotowa aż do Czerniakowa. Już w pierwszym dniu wszędzie wyrastały jak grzyby po deszczu barykady z wozów tramwajowych, żelastwa, piasku, ba, z mebli, których góry znosiła patriotyczna ludność. Mieszkałem na rogu Piusa XI i Alei Ujazdowskich i ten odcinek znam najlepiej

Kiedy Niemcy w pierwszych trzech dniach zauważyli, że ulica nie ma jeszcze barykad, nadjeżdżali swymi na prędcę sprowadzonymi Goliatami i zaczęli gromić w budynki na końcu ulicy Piusa. Cóż kiedy przez noc jak spod ziemi wyrastały barykady na tym odcinku ulicy, na którym mieszkałem. Pierwsze i jakże skuteczne barykady powstały z tysięcy worków cukru, którego zapasy gromadziło na zimę RGO w swych pobliskich magazynach.

Biuro wyżywienia ludności otwarłem na Mokotowskiej w pięknym dwupiętrowym budynku, którego parter chętnie odstąpił nam Mieczysław Hoffman, dawny naczelny dyrektor Banku Handlowego. Pomagali wszyscy, a przede wszystkim cała rodzina Hoffmanów, później zjawił się dr Adam Brzeg, sekretarz generalny RGO, i Ocioszyński, dawny wysoki urzędnik Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Zapasy wtedy mieliśmy duże. Niemcy, których główne siły stały jakieś 30 km na zachód od Warszawy, w codziennym oczekiwaniu przekroczenia przez Rosjan linii Wisły, zaczęli się reorganizować i wracać, tym bardziej że wiedzieli, iż wbrew wszelkim obliczeniom wojska sowieckie się nie ruszają. Rozpuszczali nawet wiadomości o nowej kontr ofensywie niemieckiej, aby usprawiedliwić na zewnątrz swoją dziwną bezczynność.

Organizatorom tego dobrze przygotowanego powstania przez głowę nie przeszło, aby można przy szczupłości broni, przy braku choćby kilku małych armat, przy szczupłych zapasach amunicji i konieczności wyżywienia milionowej ludności prowadzić walkę ponad dwa lub trzy tygodnie. Tymczasem prowadzili ją 63 dni. Nie moją rzeczą jest dać dokładny historyczny obraz przebiegu

tego niesłychanego zrywu Warszawy, tej epopei, która mało ma choćby w przybliżeniu podobnych przykładów bohaterstwa i męstwa, cierpienia i poświęcenia. Uczynił to jako wódz naczelny generał Bór-Komorowski, opisując prawie chronologicznie dzieje powstania.

Już po kilku dniach miasto jak szachownica podzielone było między Niemcami a naszą armią podziemną. Rola moja ograniczona została do odcinka między Alejami Ujazdowskimi a południem. Zresztą była to rola dość ważna, bo trzeba było zaopatrzyć ludność cywilną w żywność, wodę, lekarstwa i zorganizować choćby prymitywne lazarety. Nie miałem wtedy i mieć nie mogłem wglądu w całokształt bohaterskiej bitwy o polską stolicę. Naczelny wódz a z nim delegat Rządu, wicepremier S. Jankowski, pięć razy zmieniać musieli kwatery główną.

W czasie trwania powstania tylko raz widziałem Jankowskiego, a to wtedy, kiedy generał von dem Bach przez hr. Marię Tarnowską zaproponował zawieszenie broni dla pochowania licznych poległych tak Niemców jak Polaków. Bach proponował przy tym, że jeżeli Bór decyduje dalszą walkę, zgodzą się, aby ludność chora, dzieci i starcy opuścili Warszawę. Pani Tarnowska czekała trzy dni na rozmowę z delegatem, który był stanowczo przeciwny jakimkolwiek rokowaniom i propozycjom niemieckim.

Rozmowa nasza była gwałtowna, lecz doprowadziła do celu. Miałem miążdzące argumenty. Przechodząc przez piwnice podziemnej Warszawy między ulicami Piusa i Mokotowską a rejonem Politechniki widziałem tyle niedoli ludzkiej, tyle scen krew w żyłach mrozących, tyle cierpienia bezbronnych i na zagładę skazanych istot, a głównie dzieci, że nieskorzystanie z możliwości wyjścia tych niewinnych ofiar walki uważałem za nie dające się pogodzić z sumieniem i rozumem! Argumentowałem, że jeżeli chcemy dalej walczyć, to świadomość skazania na śmierć dziesiątków tysięcy kobiet, dzieci, starców i chorych musi osłabiać moralnie walczących z bronią w ręku i ludność pracującą przy tysiącnych zadaniach, jakie walka zbrojna za sobą pociągała. Sam po sobie widziałem, że nie opuszczając na sekundę swego posterunku, czułem się fatalnie i niemal wykończony, ile razy wracałem z tego piekła podziemnego, jakim wtedy była Warszawa.

Wreszcie Jankowski zgodził się, a dopiero po powstaniu opowiedział mi o prawdziwych powodach swej opozycji, która wtedy wydawała mi się bezrozumna. Walka między Stalinem a rządem londyńskim szła dalej i jednego dnia dostał on wiadomość z Lon-

dynu, aby zaczekać, bo lada godzinę ruszą Rosjanie. Nic takiego się nie stało. A przecież było publiczną tajemnicą w Warszawie, co się stało z AK w Wilnie, we Lwowie i w Lublinie. Kiedy kazano się naszym żołnierzom meldować u wkraczającego sprzymierzeńca naszych aliantów, prawie wszystkich bez wyjątku czekało los żalosny. Aresztowano ich i wywożono do obozów na Sybir. Wielu zginęło bez śladu.

Nie wiem, jak się w historii przyszłych pokoleń ułożą stosunki między Rosją a Polską. Nie wiem też, jakie będą przeobrażenia wewnątrz imperium rosyjskiego, stworzonego przez Stalina. Jedno wiem, że w historii wszystko jest płynne — *panta rei*. Również i to wiem, że do śmierci nie zapomnę stosunku Stalina i Mołotowa do Polski w r. 1939 i w r. 1944. Dla honoru narodu rosyjskiego — wielkiego i dobrego — wierzę, że ówczesna dyktatura tych ludzi sprawowana była bez najmniejszego wpływu i głosu narodu rosyjskiego. To ona jednak spowodowała największą klęskę narodu polskiego — upadek powstania warszawskiego. Nie zapomnę przewrotnej duszy dyktatora Stalina, najkrwawszego jaki był w dziejach, kiedy w sierpniu 1944 roku słuchałem przez radio i czytałem w komunikatach jego potworne kłamstwa o rzeczywistości warszawskiej. Jankowski i Bór to szpieczy niemieccy, żołnierze AK, zbrodniarze na usługach Hitlera! Trudno sobie wyobrazić większą nikczemność i większą potworność! Oby kiedyś w historii dobry naród rosyjski zmył winę Katynia i bezprzykładną zagładę Warszawy, stolicy bratniego narodu polskiego — straconą przez Stalina rękami Niemców w r. 1944.

Wracam do faktów. Ludność mogła wychodzić z miasta w dniach 6-9 września. Jednakże rozpoczęła się tak obłąkana kontrakcja i agitacja, że tylko mężniejsi odważyli się wychodzić z miasta. Był w tym biurze sędziwy biskup katowicki St. Adamski, chory, raniony uprzednio przez odprysk bomby niemieckiej rzuconej na gmach PKO, gdzie mieściła się przedostatnia kwatera główna. Radziłem mu opuścić miasto. Później opowiadał mi — czego się nigdy nie spodziewałem — że wychodzący z miasta byli przedmiotem uragań, głównie tzw. Armii Ludowej (komunistów). Była ona liczebnie znikoma, ale w miarę zbliżania się Sowieców z natury rzeczy przybierała na znaczeniu.

Wtedy, na początek września, sytuacja stała się całkiem groźna. Miasto było bez światła, bez żywności i — co najbardziej dokuczało — bez wody.

Najcięższa artyleria niemiecka niszczyła dzielnicę po dziel-

nicy. Walki o Stare Miasto, chyba najkrwawsze podczas powstania, kosztowały tysiące ofiar, a o ich zaciętości może świadczyć fakt, że katedra św. Jana przechodziła przez kilka dni z rąk do rąk. Resztki AK, które nie dostały się do niewoli pod koniec walk lub nie zginęły na polu chwały, ratowały się przechodząc kanałami do centrum miasta czy do Mokotowa. Były to wyczyny bohaterskie. Wyziewy i gazy powodowały, że tylko najbardziej odporni mogli wyjść na pół żywi z tego piekła.

Jak dziś mam przed oczyma następujący obraz. Byłem zajęty z urzędnikami rozdziałem kilku tysięcy płaszczy, jakie wpadły w ręce AK z jakiegoś magazynu, zdobytego na Niemcach. Wtem do biura wprowadzono mego wiernego współpracownika od lat i sekretarza, mgr. Łucjusza Kempistego. Był to cień człowieka. Walczył na Starym Mieście i uciekł na Mokotowską. Melduję się do pracy — wykrztusił ostatkiem sił. Płakałem ze wzruszenia. Przygotowaliśmy jakieś łóżko, dostał kawy i herbaty. Trwało kilka dni, zanim przyszedł do siebie, był zatruty gazami.

Rodzina Hoffmanów opuściła miasto korzystając z zawieszenia broni przez dwa dni. Mieczysław Hoffman, którego wszyscy tak kochaliśmy, chciał mi zrobić fatalną przysługę, prosząc o opiekę nad swym bardzo dostatnio zaopatrzoną pałacikiem. Zwróciłem mu uwagę, że tego przyrzeczenia dać nie mogę, bo Niemcy po zdobyciu dużej czy większej części miasta zaczną niszczyć ostatnie resztki, będące w naszych rękach. Niemcy powoli zaczęli przygotowywać atak na nasze ostatnie bastiony.

Nie zapomnę makabrycznego widoku, kiedy lotnik niemiecki w jasny dzień o godzinie 14-ej z wysokości kilkudziesięciu metrów rzucił dwie związane łańcuchami bomby na kościół św. Aleksandra przy placu Trzech Krzyży. Obserwowałem to z okien mieszkania dr. Poznańskiej, która dała żonie i mnie przytułek, kiedy nasze mieszkanie w domu hr. Tarnowskich zostało zniszczone przez bomby rosyjskie i przez Goliaty niemieckie.

Skoro o tym mówię, przytoczę szczegół, który dowodzi wytrzymałości, ofiarności oraz pomysłowości kobiet. Ktokolwiek patrzył z bliska na powstanie, przyzna mi rację, że na ogół kobiety pod tym względem przewyższały mężczyzn. Jeżeli gdzie zabłysnęła wielkość kobiety polskiej, to w powstaniu warszawskim i trzeba by o tym osobną epopeję napisać. Przy największych wyczynach armii podziemnej nigdy i nigdzie nie brakło kobiety. Mając z tytułu mych funkcji publicznych stałe do czynienia z największymi czynnikami okupacyjnymi, wiem, że mniej bali się oni męskiej konspiracji, aniżeli kobiet polskich.

Jeszcze parę szczegółów z naszego mieszkania przy Piusa, zanim musieliśmy je opuścić. Stary Adam Tarnowski, rodzina Jasiukiewiczów i ja spaliśmy nocą na węglu w piwnicy. Wydawało się to wtedy mądre, a dziś, z perspektywy czasu — głupie. Bo jakże, na dom 4-piętrowy starczyłaby bomba małego kalibru, aby zaważyć piwnicę razem z żywym i martwym inwentarzem. Żona moja, wychodząc z tego założenia, nigdy do piwnicy nie schodziła, a spała w pokoju dzieci od strony podwórza. Pewnej nocy Rosjanie zrzucili małą bombę na dom. Trafili w salon i piękny Blüthner zjechał na parter, przy tym część piwnicy została zawalona. Salon był o sześć metrów oddalony od pokoju, w którym spała żona. Zeszła na dół, aby nam o tym powiedzieć i wróciła na swoje legowisko. Argumentowała, że drugi raz nie będą w tej okolicy bombardować i miała rację.

Tymczasem nadszedł drugi miesiąc powstania, AK była bez jednej armatki, bez jednego samolotu. Około pierwszego września lotnicy niemieccy coraz śmielej z małej wysokości nalatywali Mokotowską, bezkarnie, cynicznie. Ofiar było dużo. Chowaliśmy naszych zabitych w ogrodzie Hoffmana, o ile można ich było przenieść na to zaciszne miejsce. Kiedy na Marszałkowskiej zmarł z wycieńczenia stary mój przyjaciel, dawny wojewoda poznański dr Celichowski, nie mogłem pójść na pogrzeb na skutek obstrzału Marszałkowskiej. Innym razem, kiedy chowaliśmy piętego żołnierza w ogrodzie Hoffmanów, bomba niemiecka zabiła księdza, kapelana AK.

Rzecz dziwna, że ludzie do tych codziennych wypadków zaczęli się przyzwyczajać. Człowiek obojętniał na śmierć i wyznaję, że nie przypuszczałem, iż wśród tylu ludzi, których od dawna znałem, odkryję fantastyczne przykłady męstwa, odwagi i zupełnej pogardy dla śmierci. Było nawet kilka fenomenów, jak dawny minister Doleżał, o którym jeszcze będę pisał.

Tuż pod koniec sierpnia, tak zwana Armia Ludowa — jak już podkreśliłem, znikoma, ale w tych warunkach politycznych coraz śmielsza — zaczęła ataki na organizację wyżywienia, reprezentowaną przez RGO. Jakiś podporucznik tej armady zażądał pewnego dnia odstąpienia dla siebie naszych górnych lokali w pałacu Hoffmanów. Odmówiłem mu i za poradą Ocioszyńskiego, który miał codzienny kontakt z delegatem Rządu, wystosowałem do S. Jankowskiego pismo z dnia 30.8.44, które dla charakterystyki czasu tu przytaczam:

RGO

Warszawa, dnia 30 sierpnia 1944 r.

Zarząd na m. Warszawę

Do Pana Delegata Rządu na Kraj  
w miejsu

W dniu 27 sierpnia br. w nr. 48 pisma *Warszawa walczy* oraz pismach codziennych ukazała się wzmianka o postanowionej rzekomo przez władze likwidacji Rady Głównej Opiekuńczej i powołaniu w zamian innej ogólnokrajowej organizacji opieki, opartej na zasadach samopomocy społecznej.

Jako jedyny członek Zarządu i członek Prezydium RGO urzędujący obecnie, wobec zaginięcia p. min. Machnickiego, uważam za swój obowiązek zwrócić się do Pana Delegata z przedstawieniem mu szkodliwej i niestety, krzywdzącej opinii, jaką przytoczone wiadomości prasowe wywołują wśród społeczeństwa.

Jakkolwiek wiadomość dotyka jedynie formalno-prawnych podstaw dalszego działania organizacji charytatywnej o charakterze społecznym — to jednak niewtajemniczeni w istotne motywy zamierzonej reorganizacji upatrują w tym postanowieniu ujemną ocenę dotychczasowej działalności instytucji, która przecież — jak to Panu Delegatowi z całą pewnością jest wiadome — służyła jedynie interesom polskim, działała w tych formach, jakie w okresie okupacji były jedynie możliwe, skupiała w swoich szeregach ludzi o nieskazitelnej konducie obywatelskiej i w szerokim zakresie współdziałała w licznych pracach Polski Podziemnej.

W ostatnim miesiącu przed powstaniem organizacja nasza, przygotowując się do wypełnienia swych zadań w okresie przełomowym, najwyższym wysiłkiem wydestała od okupanta około 500 ton podstawowych artykułów żywnościowych, które zdołała w ostatnich dniach lipca rozrzucić po swych magazynach i punktach żywienia.

Z chwilą rozpoczęcia akcji zbrojnej w dniu 1 sierpnia i po nawiązaniu kontaktu z pracownikami, których udało mi się odnaleźć, wznowiłem działalność instytucji w zakresie, na jaki pozwalają działania wojenne i dzięki samorzutnej obywatelskiej pracy pracowników RGO, cały szereg placówek naszych jest czynnych i pełni swoją służbę publiczną w porozumieniu z tymi władzami rządowymi, które tę pracę oceniły jako pożyteczną i konieczną w warunkach, w jakich dziś żyjemy. Tak więc na obszarze działania Rejonowego Delegata Rządu Warszawa-Południe czynnych jest obecnie: 36 kuchni i punktów odżywiania, 7 schronisk samodzielnych, zdobyto dach nad głową dla około 5.500 uchodźców i pogorzalców oraz uruchomiono szerszą działalność pomocy dla dziecka i matki karmiącej.

Aczkolwiek trudne warunki łączności z rejonem Warszawa-Sródmieście nie pozwalają mi rozwinąć w pełni akcji na tamtym terenie, to jednak otrzymuję meldunki, iż tam, gdzie jest to możliwe, placówki naszej instytucji żyją, rozwijają działalność w zakresie niesienia pomocy ludności dotkniętej działaniami, roztaczają szczególną opiekę nad matką i dzieckiem przez Dział Opieki nad Dziećmi (Sienkiewicza 14), a uruchomieniem swych zapasów żywnościowych w poważnym stopniu przyczyniają się do złagodzenia trudnych warunków żywienia.

Nie mogąc działać bezpośrednio na terenie położonym na północ od Alei Sikorskiego, upoważniłem p. nacz. Ocioszyńskiego, jako pełnomocnika zarządu, do przedsięwzięcia wszelkich decyzji potrzebnych do uaktywnienia i

skoordynowania działalności wszystkich placówek naszej instytucji w tamtym rejonie.

W dążeniu do wypełnienia swych obowiązków w chwili przełomowej w stopniu możliwie najwyższym i w poczuciu konieczności obrony dobrego imienia instytucji, w której przez 4 lata sprawowałem funkcje kierownicze oraz dobrego imienia pracowników w niej zrzeszonych — zwracam się do Pana Delegata Rządu z prośbą, aby zechciał poruszoną przeze mnie sprawę w sposób autorytatywny wyjaśnić i umożliwić naszej instytucji pełnienie nadal swych zadań.

Sprawa uporządkowania formalno-prawnych podstaw instytucji, jej późniejszego istnienia jest oczywiście przeze mnie rozumiana, sędzę jednak, że chwila i forma, w której zostanie przeprowadzona, będą tak wybrane, aby w niczym nie zachwiać i osłabić służby, którą w chwili obecnej nieść pragnie.

Z wysokim poważaniem

*Dr Stanisław WACHOWIAK*  
v. Prezes

Delegat odpowiedział natychmiast na ten niepotrzebnie długi list w sposób lakoniczny: „Nie zaprzestawać dotychczasowej pracy ani na chwilę”. Jak to się stało nie wiem, ale ataki umilkły zupełnie, a przeciwnie, ukazały się artykuły pełne podziwu i podziękia za pracę RGO w Warszawie. Znowu jedna, jak rzadka, mała satysfakcja.

Relacje moje są na codziennie prowadzonych notatkach. Przytaczam co najważniejsze z dużej ilości zapisów przeze mnie uratowanych.

Jankowski, którego uważam za drugiego Traugutta, w związku z dywersją Armii Ludowej dał mi pełną satysfakcję, delegując we wrześniu do RGO szefa opieki społecznej rządu, Białasa. Znałem go od lat. Był socjalistą, trochę radykalnym, lecz człowiekiem gołębiego serca, którego w czasie bliższej naszej współpracy polubiłem. Stawił przede wszystkim znaczne środki do dyspozycji RGO. Było to wtedy, gdy pod koniec powstania nie mieliśmy najmniejszych zasobów. Kiedy stolica upadła, mogliśmy w Pruszkowie, Podkowie Leśnej, w Milanówku i licznych podmiejskich osiedlach zorganizować nowe kuchnie i nakarmić głodnych przez komitety lokalne.

Chodziło wtedy głównie o mleko dla dzieci. I tu jest miejsce, aby raz jeszcze podkreślić rolę kobiety polskiej, jej poświęcenie i miłość dla narodu, jej bohaterstwo, jeżeli chodziło o ratowanie bliźnich z krwi i kości naszej.

Nie mogę mówić o tym bez rozczulenia. Przeszło pięć lat obserwowałem choćby najbliższy Warszawie odcinek wzdłuż kolejki elektrycznej EKD (Elektryczne Kolejki Dojazdowe). Biedne kobieciny kilometrami pieszo przносиły mleko dla

dzieci. Gonione często psami policyjnymi Gestapo, bite, maltretowane, często zabijane, jak to dwa razy widziałem wzdłuż toru kolejki w r. 1943. Warszawianie przezwali je „szmuglerki” (od niemieckiego *Schmugler* — przemytnik), jakże niesłusznie. Pewnie, że za mleko w takich warunkach transportowane trzeba było płacić, ale i to jest pewne, że dzieciom warszawskim — z wyjątkiem okresu powstania, gdzie dostęp do miasta był hermetycznie zamknięty — mleka nigdy nie zabrakło. Sam widziałem, jak wiejskie kobiety dostarczały do kuchen masło i mleko z przeznaczeniem dla najuboższych i potrzebujących pomocy.

W życiu nie doznałem takiego zadowolenia moralnego, jakie dawała świadomość, że naród nasz dojrzał, że w obliczu zagłady fizycznej jest jeden, jest równy — albo zginie, albo żyć będzie. Jeżeli umrze, umrze razem, pospołem, jak mawiały warszawskie mleczarki.

Patrząc na to z bliska, zacząłem ludziom głosić, że jeden z najpierwszych warszawskich pomników będzie dla wiejskiej kobiety. Nie wiedzieć jak ją nazwać po polsku, skoro utarł się w Warszawie ten brzydki wyraz „szmuglerka”. A więc damy napis „Nieznanej szmuglerce, która karmiła polskie dzieci 1939-1945 — wdzięczna Warszawa”.

Nie sądzicie, że będziecie zapomniane w pamięci pokoleń, którym matki opowiadać będą, że wasze poświęcenie równe było ofierze niezliczonych żołnierzy, którzy o głódzie i chłodzie walczyli, abyśmy wszyscy byli wolni.

Przechodząc często gankami podziemnymi dzielnicy nieopanowanej jeszcze przez Niemców podziwiałem ludzi — przeważnie starszych — fabrykujących broń dla żołnierzy AK. Wszystko tam było poczynszy od wyrobu kul, naprawy broni, bomb i dzieciątek najróżniejszych miotaczy, które dobrze spełniały swe zadanie, mimo że często były wykonywane prymitywnymi środkami. Nie było też większego nieszczęśliwego wybuchu aż do końca powstania. Owszem, byłem świadkiem, jak staremu drukarzowi, który przed wojną zatrudniony był w Żninie Wielkopolskim w zakładach graficznych mego szwagra Alfreda Krzyckiego — stąd go znałem — nabój urwał dwa palce. Nie wiem, jak się nazywał ten stary socjalista, a wielki i ofiarny patriota. Dosyć, że takie drobne wypadki się zdarzały. Ofiarność tych ludzi nie miała granic. Mój znajomy drukarz po kilku dniach znów dyrygował robotą swego zespołu. Łączniczki w koszyczkach wynosiły dzienną produkcję dla żołnierzy. Takich warsztatów było dużo. Ochotników przy tej niebezpiecznej robocie nigdy nie brakło.



Była też kategoria walczących, którzy mi specjalnie imponowali, tropili tak zwanych gołębiarzy. Niemcy mieli wybranych ludzi, którzy takim czy innym fortelem przeszli jako cywile do walczącego miasta. Wchodzili na najwyższe punkty domów i ze swych kryjówek strzelali do przechodniów. Warszawa ukuła na nich wyraz — gołębiarze. Tropienie i likwidowanie tych szajek nie było rzeczą łatwą. Ale to przez naszych ochotników zostało opanowane.

Mówiąc o tylu bezimiennych bohaterach czasu okupacji, jakże przemilczeć tramwajarzy, którzy sprytem i odwagą wyrwali ze szponów Gestapo tysiące ofiar. Zatrzymywali ruch i jakimś im tylko znanymi sztukami dawali znaki, że tam a tam jest tapanka lub obława.

Muszę też wspomnieć o nowo powstałym okupacyjnym zawodzie „ryksiarzy”, którzy z rowerów budowali swoje powozy czyli ryksze, które nie tylko dobrze rozwiązywały problem transportu, lecz prawie wszystkie były w służbie AK. Spełniali jedną z najważniejszych ról, dostarczając szybko i niezawodnie gazetki. Warszawa miała pierwszorzędną obsługę prasową i Niemcy nie byli w stanie tego opanować. Niemców rozwścieczała ruchliwość jednych, a doprowadzała do rozpaczki bezczynność drugich, czyli konspiracja milczenia całej literatury i sztuki.

Kler polski zdał chlubnie egzamin podczas tych mroków najazdu nowoczesnych Hunów. Choć w G.G. w przeciwieństwie do Poznańskiego i Pomorza nie wymordowano i nie wywieziono księży polskich, to jednak procent ofiar był wielki. Iluż naszych Żydów uratowało się przez dokumenty wystawiane gdzieś na prowincji, że taki a taki był chrzczony i pochodził z rodziny od pokoleń aryjskiej. Na własne oczy widziałem dokumenty rodziny Kesslerów, w doskonały sposób przepisane ze starych ksiąg kościelnych, które nie istniały.

Nasz proboszcz w Podkowie Leśnej, ks. Kolasiński, z którym tyle razy się spotykałem, siedział głęboko w robocie narodowej. Było tam wyjątkowo spokojnie, bo jak już wspomniałem, Niemcy nie lubili lasów. Krótko przed powstaniem Kolasiński się rozchorował. Kiedy dowiedzieliśmy się, że okupanci zgromadzili masę materiału przeciw niemu, ostrzeżyliśmy go, aby się schronił. Cóż, kiedy był chory. Jakoś za trzy dni przyjechał furgon z gestapowcami, lecz nie nie wskórali, gdyż proboszcz umarł dnia poprzedniego. Wierzyć nie chcieli, kiedy go zobaczyli w trumnie i gruntownie badali, czy tożsamość nieboszczyka zgadza się. Później mi opowiadano, że herszt gestapowców tylko

wymyślał: „*Verfluchte Schweinerei*”. Nienawidzili żywych, przeklinali umarłych.

Dziwna i niepojęta dla mnie była psychologia hitlerowska. Dryl partyjny przemienił ich w jakieś automaty. Czuli się panami świata, lecz poza oficerami starszej daty była to zbieranina hołoty spod ciemnej gwiazdy, wymundurowanej i wyorderowanej, błyszczącej na zewnątrz, a pustej wewnątrz jak stare garnki blaszane. Całe ich *credo* polityczne było: „*Der Führer hat immer recht*”. Byli tchórzliwi, jeżeli nie byli w masie. Bali się, co już jako *curiosum* podkreślałem, kobiet polskich.

Przypomina mi się historia, którą warto opowiedzieć. Był pierwszy dzień Zielonych Świąt. Wsiadliśmy do kolejki elektrycznej o godzinie 10-ej rano, jadąc z żoną do Podkowy. Wagony były do ostatniego miejsca przepełnione. Staliśmy stłoczeni na przedniej platformie. W ostatniej chwili nadbiegł oficer, major-lekarz, jak widziałem po dystynkcjach, schwycił brutalnie jakąś z brzegu stojącą starowinę i zaryczał ich obyczajem *raus!* Na to moja żona, nie mogąc wytrzymać tej brutalności, powiedziała — niech pani nie wychodzi. Na to gruby oficer (pomyśleć: lekarz!): „*Raus oder ich schiesse*”. Żona ku memu osłupieniu nienaganną niemczyzną ryknęła również: „*Was schreien Sie mich an? Und Sie sind Offizier?!*” Efekt był właściwy. Przestraszył się, sądząc, że tylko urodzona Niemka mogła się odważyć tak krzyczeć i wycofał się ze swym rewolwerem. W wagonie było poruszenie zadowolenia. Podobnych scen widziałem dużo.

### *Anglia i Ameryka a powstanie*

Zanim opiszę zakończenie powstania, przytoczę krótki wyciąg z pamiętników Churchilla oraz zrelacjonuję nastroje amerykańskie.

W Brazylii czytałem po portugalsku pamiętniki Churchilla „Triumf i tragedia”. W numerze z dnia 3.XI.1953 r. gazeta *Estado de S. Paulo* ogłosiła część pamiętników wielkiego męża stanu o historii powstania warszawskiego. Kto lepiej jak on mógł znać wszystkie najtajniejsze dokumenty, które sztab wytrawnych współpracowników do jego wielkiego dzieła przygotowywał? Mimo największych zastrzeżeń co do polityki W. Brytanii wobec Polski, pamiętniki Churchilla zrobiły na mnie głębokie wrażenie. Ogłasza on swoją rozpaczliwą komunikację telegraficzną ze Stalinem, którego depesze, pełne fałszów i nienawiści do powstańców, więcej niż cokolwiek dowodzą jego za-

miarów. Kiedy Anglicy chcieli sami posyłać pomoc lotniczą, przyszła nota Wyszyńskiego, że Rosja w żadnym wypadku nie zgodzi się na lądowanie samolotów na terytorium sowieckim, to jest na zajętych przez siebie ziemiach polskich!

Stalin depeszując do Churchilla stale mówi o „awanturze warszawskiej”, kiedy kilka dni przedtem jego radiostacje wzywały do walki na ulicach Warszawy przeciw najeźdźcy niemieckiemu. Wszystko co głosił Churchill zgodne jest z dokumentarną książką generała Bora. Kto bezstronnie przeczyta wymianę depezb między Stalinem a Churchillem, wyciągnie wnioski, gdzie fałsz, a gdzie prawda.

Stojąc na tej scenie jako aktor czynny, wiedziałem od drugiej połowy sierpnia, co się święci. Pierwszy raz zrozumiałem ponurą grozę Stalina, czerwonego cara, przy którym jego poprzednicy wydawali się — mimo swych okrucieństw — łagodni jak baranki.

W tomie wspomnień Churchilla jest fotografia z Warszawy, kiedy delegacja polska przy Politechnice Warszawskiej przechodzi do najbliższego posterunku niemieckiego, aby pojechać na rokowania o kapitulacji miasta. Wspomniana w legendzie pod zdjęciem „nieznana kobieta” to hr. Maria Tarnowska z domu księżna Czetwertyńska, a na lewo od niej autor tych wspomnień.

Nie bez wzruszenia czyta się jedną z ostatnich depezb z konającej Warszawy, która dotarła do Churchilla: „Oto prawda niezaprzeczalna, że zostaliśmy potraktowani gorzej od satelitów Hitlera, gorzej od Italii, Rumunii i Finlandii. Niech Bóg sprawiedliwy wyda wyrok na tę straszną niesprawiedliwość popełnioną na narodzie polskim i niech on według sprawiedliwości swojej wyda wyrok na winnych. Nieśmiertelny ten Kraj, który mógł dać dowód bohaterstwa bezprzykładnego. Ci co zmarli zwyciężyli, a ci co żyją dalej walczyć będą o zwycięstwo i dadzą świadectwo, że Polska żyć będzie, jak długo żyć będą Polacy...”

Churchill nie ukrywa swego wzruszenia, podziwu, uwielbienia. Kończy melancholijnie słowami — po oskarzeniu, jakiego nikt dotąd nie rzucił w twarz Rosji Stalina — : „Ale to nie może być końcem dziejów...”

Śledząc pilnie historię ostatnich dwudziestu lat, przeczytałem podstawowe dzieła angielskie i przede wszystkim amerykańskie. Doszedłem do wniosku, że największą winę za ujarznienie Europy wschodniej i środkowej ponoszą Stany Zjednoczone, a ściśle mówiąc ich prezydent Roosevelt.

Roosevelt był największym ignorantem, jeśli chodzi o zna-

jomość Rosji. Był naiwnym prostakiem w swym stosunku do Stalina, eks-kleryka prawosławnego, przewyższającego o niebo całe Macchiavella. Tragedia praw konstytucyjnych Ameryki Północnej w całej pełni tu się okazała: czasu wojny prezydent USA jest absolutnym dyktatorem. Może robić, co mu się podoba... Ten naiwny i chory człowiek uważał Stalina za poczciwego wujaszka Józia — *uncle Joe*. Pokazał mu wujaszek, po czemu łokieć. Ale po co wracać do dziś już powszechnie znanych dziejów? Ameryka zawstydzona płaciła astronomiczne rachunki za tę przyjaźń wujaszka. A będzie płacić jeszcze większe. Gdyby Roosevelt miał jako doradcę nawet nie pierwszorzędnego, ale trzeciorzędnego historyka polskiego, byłby zrozumiał, że sprawa z wujaszkiem nie jest taka prosta.

Czasu wojny na rynku warszawskim można było kupić za grosze najwspanialsze dzieła naszej literatury. Nabyłem w roku 1940 Ludwika Kubali „Szkice historyczne”. Książka, przepelniona uczonymi adnotacjami, była dla mnie rewelacją. Te udokumentowane Bóg wie jakimi archiwaliami rozprawy otwarły mi oczy na historię rosyjską. Od czasów Władysława IV czy Stanisława Augusta nic się nie zmieniło prócz ludzi. Treść pozostała ta sama. I tak wujaszek wykiwał wujaszka.

Przez całe moje życie publiczne byłem przeciętnym Polakiem, który jak mógł służył publicznej sprawie według sił i zdolności. Nie uważałem się za orła, za proroka czy za wodza choćby ostatniej kategorii. Dziś, kiedy zacząłem wgłębiać się w historię, doszedłem do wniosku, że procesy historyczne zawsze dotąd były długie. Niełatwo zmienić charakter germański, równie niełatwo rosyjski. Choć Słowianie znacznie łatwiejsi są do zgody, porozumienia i tolerancji od Niemców!

Polska za błędy Ameryki Północnej zapłaciła ogromną cenę. Nie wiem, czy to kiedykolwiek będzie wyrównane, ale wiem, że Stany Zjednoczone A.P. zapłacą za swe potworne błędy z drugiej wojny światowej bezmiernymi ofiarami. *Qui vivra, verra.*

Odwracając medal, jedna rzecz mnie pociesza. Amerykanie patrzą na politykę jak na grę w piłkę nożną czy golfa. Bogaci materialnie, są stosunkowo ubodzy duchem. Ale mają jedną cechę, której Europejczycy nie doceniają — dar adaptacji. Nie wychodzi jeden numer, może wyjdzie drugi. Są urodzonymi graczami. Są przy tym cierpliwi, czekają, gdyż boją się o utratę swych bogactw i swego bezprzykładnego dobrobytu. Jednakże mają swoje śmieszności i nawyki. I tu antycypuję trochę moje opowiadanie.

Pierwszy maj 1946 r. Przyjechałem do Nowego Jorku dla rozliczeń majątkowych z moimi współnikami. Wówczas z Londynu do USA nie było normalnych przejazdów. Wyruszyłem przez protekcję lorda Leathersa, ministra komunikacji w rządzie wojennym Churchilla. Statki były zajęte na cele wojskowe, więc otrzymałem za tą potężną protekcją przejazd na samolocie wojskowym. W Nowym Yorku, z braku miejsca, wyrzucano mnie co dwa dni z hotelu. Wreszcie przez protekcję jednego z dawnych moich przyjaciół berlińskich z dyrekcji Friedländerów, dr. Fr. Oppenheimera, ulokowałem się na kilka tygodni w hotelu „Croydon” przy 86 ulicy.

Hotel był pierwszorzędny, ale ja nie miałem dolarów. Kiedy sprowadziłem się do tego hotelu portier, patrząc na moją polską i katolicką głowę zapytał: jak pan się tu dostał? Czy pan jest Żydem? Nie, odrzekłem. No, to jest pan pierwszym katolikiem w tym hotelu, który ma tysiąc apartamentów. *So far so good.* Mieszkałem na 17 piętrze. Wieczorem, europejskim zwyczajem, wystawiłem buty do czyszczenia. Nazajutrz powiedziano mi, że służba jest tym oburzona. Nie wiedziałem, że buty można czyścić tylko na ulicy.

Byłem w kilku towarzystwach — jako egzotyczny gość — na śniadaniach czy kolacjach. Każdy mnie pytał, kiedy wracam do ojczyzny i w jakim *job*'ie pracuję. Twierdzono również, że obecność ludzi wybitniejszych w Polsce jest, naturalnie, podstawą przyszłej szczęśliwości! I tak w kółko... Pocziwi Amerykanie z tą rozbrajającą naiwnością. Delano Fr. Roosevelt ze swymi doradcami był synem swej ziemi. Swoją drogą, jako prezydent powinien był więcej wiedzieć od tłumu w Nowym Jorku czy Chicago.

Wszystko to nasunęło mi się przy czytaniu pamiętników Churchilla, o których z powodu moich przeżyć w Warszawie zamilczeć nie mogłem.

Wspomnienia i tok mego opowiadania to nie księga buchalteryjna. Umyślnie nieraz odchodzię, jak czytelnik zauważył, od chronologii wypadków, aby ogólnymi rozważaniami naświetlić psychiczny nastrój kół kierujących robotą i reakcję narodu walczącego. Warszawa nie znała szczegółów, lecz doskonale wiedziała już w czasie powstania, że rozpoczyna się podróż w nie wiadome. Naród instynktownie czuł, że wielcy tego świata dla osiągnięcia swych egoistycznych celów w nieludzki sposób poświęcą słabszych, walczących o swą wolność. Rozpoczęła się bowiem nowa epoka historii — podział kuli ziemskiej na strefy

wpływów, zaś opowiadania o czterech wolnościach były atrapą dla naiwnych. W Ameryce już nie było Wilsonów — były Roosevelty...

### *Koniec powstania*

Jest 30 września 1944 r. Powstanie trwa już dwa miesiące. Sytuacja beznadziejna, brak żywności jest tak wielki, że pod największym ostrzałem ludzie chodzą po nadpalony jęczmień dla RGO do browaru Haberbuscha. Jęczmień gotuje się dla lazaretów i dla tych szczęśliwców, którzy mieli odwagę wyjść z piwnic, ryzykując życiem. Ludność znosi te nieprawdopodobne nieszcześcia z niebywałym i nienotowanym chyba w historii poświęceniem i zaparciem. Walka bez jakiegokolwiek pomocy zewnętrznej, w warunkach tak nierównych, staje się beznadziejna.

Po kilku nieudanych próbach, jakie podjąłem u naszych naczelnych czynników rządowych, aby skłonić je do wycofania się z beznadziejnego przedsięwzięcia, prowadziłem z zupełną rezygnacją i z brakiem nawet odrobiny wiary aprowizację reszty miasta, przy pomocy dosłownie kilku bohaterskich jednostek, które pomagały w tej pracy z poświęceniem i pogardą dla śmierci. Nie zapomnę ludzi o tej wielkości charakteru, co długoletni minister Franciszek Doleżał, dyrektor RGO Łucjusz Kempisty, dawny minister Leśniewski, Kulesiński. Mały na to przykład.

Doleżał dwa razy dziennie przychodził z ulicy Noakowskiego do mego biura na Mokotowskiej 48. Ponieważ nie było dnia, aby na trasie jego drogi nie było zabitych i rannych, prosiłem go, ażeby ograniczył swoje peregrynacje i nie narażał życia na niechybny szwank. Wyciągnął z kieszeni dwie fiołki strychniny, które ze sobą nosił, i powiedział wskazując na nie: „Ręczę panu, że męczyć się nie będę”. Chodził dalej, pracował i kule jakoś go się nie imały.

Dnia 30.IX.44 odebrałem list od Jasiukiewicza o następującym brzmieniu: „Szanowny Panie Prezesie! W związku z wytworzoną od wczoraj sytuacją, pragnąłby pan Delegat odbyć z Panem Prezesem rozmowę. Prosiłbym przeto uprzejmie o pofatygowanie się do mnie na górę na godz. 4-tą dziś. Sprawa jest bardzo pilna. Łączę wyrazy poważania — S. Jasiukiewicz”.

Wybrano taką formę listu pewnie dlatego, że wobec kilkakrotnego odrzucenia mych propozycji, aby wyjść z impasu i zacząć rokowania, odsunąłem się bardzo ostentacyjnie od akcji czynników odpowiedzialnych za powstanie. Pełniłem swoje obowiązki tylko dlatego, aby nikogo nie gorszyć, widząc jednak

jasno zupełną katastrofę, jaka niechybnie przyjść musiała, ba, już była faktem.

Poszedłem więc o piętro wyżej, bowiem nade mną mieszkał Jasiukiewicz, i tam zastałem delegata Jankowskiego i generała Bora. Nastrój był ponury. Jankowski zwrócił się do mnie z prośbą, abym zgodnie z uchwałą, jaka zapadła, podjął rokowania z Niemcami o honorową kapitulację. Na to odrzekłem, że rokowań politycznych podjąć się nie mogę, bo wiadome jest, że byłem zdecydowanym przeciwnikiem wszelkich nieprzemysłanych w szczególach zrywów narodowych. Ponadto, jako urzędujący prezes RGO nie chcę wciągać w dyskusję instytucji społecznej, która i tak często była pod niesłusznym obstrzałem tak zwanej opinii publicznej. Miałem z tego tytułu tyle przykrości podczas mego pięcioletniego urzędowania, że nie chcę narażać się na zarzuty, o które tak łatwo w społeczeństwie tak porywczym i impulsywnym, jak polskie. Nie uchylam się jednak od jakichkolwiek usług, które mógłbym oddać społeczeństwu na polu opieki społecznej nad wycieńzoną przez okropne dwa miesiące ludnością Warszawy. Gotów więc jestem wziąć udział w rokowaniach cywilnych dotyczących ewakuacji ludności. Uważam to za mój obowiązek, jako obywatel i Polak.

Rozmowa trwała godzinę. Jankowski dziękował, że nie odmówiłem prośbie rządu, mimo, że wszyscy znali moje negatywne nastawienie do ruchu zbrojnego.

Wieczorem tego samego dnia parlamentariusze wojskowi donieśli nam, że naczelnym dowódcą odcinka warszawskiego, generał von dem Bach, oczekuje delegacji cywilnej w niedzielę rano, dnia 1 października w swej kwaterze głównej w Ożarowie, w dawnym dworze rodziny Reicherów.

Tu dodać muszę, że w rozmowie z Jankowskim, generałem Borem i Jasiukiewiczem stawiałem warunek, że delegacja musi się składać z trzech członków. Przede wszystkim, aby był reprezentowany P.C.K., jako organizacja o charakterze międzynarodowym. Imieniem P.C.K. hr. Tarnowska już na początku września prowadziła rokowania o wyjście z miasta ludności cywilnej. Byłem zdania, że jej udział w delegacji jest niezbędny, gdyż była to kobieta niezwyklego intelektu no i reprezentowała nazwisko znane w sferach zagranicznych, a także wśród Niemców. Jako reprezentanta miasta zaproponowałem wiceprezydenta Podwińskiego, uważałem bowiem za rzecz niedopuszczalną, aby milionowe miasto nie było reprezentowane przez swoich kompetentnych i do tego powołanych przedstawicieli. Trzecim byłem ja.

Byłem wówczas, jak zapewne wszyscy, nieprawdopodobnie wyczerpany fizycznie. Biuro RGO stało się skoncentrowanym ośrodkiem wszystkich prac, które normalnie wykonywało miasto i przeróżne władze państwowe. Jednak w miarę, jak w społeczeństwie dojrzewało przekonanie o załamaniu się powstania, wszystkie władze powoli, jedna po drugiej przestawały funkcjonować. Nic w tym dziwnego, bo w szerokich warstwach panowało przekonanie, które przecież miało oparcie w pięcioletnim doświadczeniu, że wszystkich tych, którzy w jakikolwiek sposób związani byli z powstaniem, czekają najpotworniejsze prześladowania i konsekwencje. Każdy więc opuszczał swe stanowisko, zresztą za zgodą, jak mi mówiono, swych władz przełożonych. O ile te władze jeszcze funkcjonowały, starały się zaopatrzyć w taki czy inny glejt, głównie z RGO, i składały z rozbierającym nieraz zaufaniem funkcje swoje w ręce tego biura, które jedyne do końca było czynne.

Nie zapomnę tego koszmaru, kiedy po rozmowach z czynnikami rządowymi poszedłem późno wieczorem do biura, gdzie zastałem kilkuset czekających ludzi, i to przeważnie z naczelnych stanowisk, z którymi naturalnie nie można było się rozmówić, bo ani siły, ani czasu na to nie starczyło.

Przespałem kilka godzin w piwnicy i już o 5-ej rano w sobotę 30 września przyszedł do mnie Podwiński. Ułożyliśmy naprędce minimalny program postulatów wobec Niemców, uzgodniliśmy go o 6-ej rano z hr. Tarnowską i o 7-ej wyruszyliśmy z ulicy Piusa 1b piwnicami ku wylotowi ulicy Sniadeckich, gdzie opodal Politechniki była ostatnia barykada polska. Tam czekaliśmy na delegata generała Bora, pułkownika Hellera (Franek Osmecki), który miał przynieść pełnomocnictwa generała Bora, gdyż on to formalnie, jako głównodowodzący, pełnomocnictwa te dla rokowań z generałem von dem Bachem wydać musiał. Towarzyszył nam jako tłumacz lekarz Czerwonego Krzyża. Doradziłem wziąć tłumacza, mimo że uczestnicy delegacji świetnie mówili po niemiecku. Pułkownik Heller spóźnił się o kwadrans, z przyczyn zresztą od siebie niezależnych, co wywołało w delegacji naszej pewne zdenerwowanie. Wreszcie o godzinie 8.15 było można dać znak białą chustą, na co Niemcy natychmiast odpowiedzieli.

Delegacja została przeprowadzona przez polski posterunek na połowę drogi między Politechniką a szpitalem imienia marszałka Piłsudskiego. Oczekiwał nas delegat generała von dem Bacha. Po wzajemnym przedstawieniu się i po wymianie pełnomocnictw między wojskowymi dowodzący oficer niemiecki oświadczył nam, że nas przeprasza, ale ze względów formalnych



zapytać musi, czy nie mamy broni oraz, że przepisy wymagają zawiązania nam oczu, aż przejdziemy poza barykadę niemiecką. Uderzyła nas niezwykle kurtuazja i uprzejmość.

Po przeprowadzeniu nas za barykadę zdjęto nam przepaski z oczu i siedliśmy do czekających nas samochodów, które przewiozły nas do Ożarowa. Pierwszy raz po dwóch miesiącach widziałem dzielnicę ulicy Filtrowej, Raszyńskiej, plac Narutowicza, Grójeckiej. Była doszczętnie wypalona.

Nigdzie aż do Ożarowa nie było widać żywego człowieka, błąkały się tylko zdziczałe psy i koty. Widziałem pierwszy raz od dwóch miesięcy kwiaty, ogromne pola kartofli i warzyw, a na ogródkach działkowych zorganizowanych przez RGO na polu Mokotowskim wielkie ilości pomidorów, których wtedy nikt nie zbierał, podczas gdy w mieście nie było od dwóch miesięcy jednego ziemniaka i jednego kilograma warzyw. Istotnie, miasto było izolowane zupełnie.

W Ożarowie widzieliśmy pierwszych ludzi. Kiedy zajechaliśmy do kwatery generała von dem Bacha, przyjął nas pierwszy oficer sztabu Fischer. Przeprosił nas, że generał będzie wolny za pół godziny. Mówił z podziwem o bohaterskiej walce AK, ale i o tym, że walka ta jest beznadziejna. Mówił obszernie o tym, że sztab niemiecki ma dokładne informacje o stanie armii Berlinga po drugiej stronie Wisły i że niepowodzenie powstania tłumaczy się stanowiskiem Rosjan, na których pomoc złudnie liczyli Polacy. Dwa są tylko wyjścia, samobójstwo albo honorowa kapitulacja.

Niebawem wszedł do nas generał von dem Bach. Był to wysoki mężczyzna, barczysty, tęgi, o pełnej, sympatycznej twarzy, której powagę podnosiły szerokie rogowe okulary, siwy, uczesany starannie i wyglądający elegancko. Po przywitaniu wygłosił dłuższe przemówienie, w którym powiedział, że jak żyje — a jest stary — podobnego bohaterstwa, jak heroizm walczących chłopców polskich na barykadach nie tylko nie widział, ale w żadnej historii wojny o podobnym bohaterstwie nie czytał. Jako oficera zawstydza go nierówność walki „bo cóż, ja dysponuję samolotami, minami, armatami wszelkich kalibrów, a najcięższego kalibru jeszcze nie zastosowałem. Kiedy objąłem naczelne dowództwo na tym odcinku, chciałem doprowadzić do jakiegoś zawieszenia broni ze względu na milion ludności miasta. Z objęciem przeze mnie komendy zaniechałem metody fałszywych ulotek zrzuconych z samolotów, a warunki moje podpisałem pełnym nazwiskiem. Kiedy więc na początku września doszło do pierwszego spotkania, na razie z P.C.K., który repre-

zentowała hr. Tarnowska, miałem nadzieję, że z tych rokowań wyłonią się rokowania wojskowe i polityczne. Niestety, to zawiodło, nad czym głęboko ubolewam”.

Generał ciągnął dalej: „Byłem osobiście wezwany do kwatery głównej Führera, dokąd poleciałem samolotem z Okęcia. Führer był wzruszony i przejęty bohaterstwem AK i stąd zrobił pierwszy i jedyny jak dotąd w tej wojnie wyjątek, że polecił traktować wojsko polskie nie jak buntowników według dawnych pojęć niemieckich, lecz na wyjątkowych warunkach i na pełnych prawach kombatantów, jak przewiduje prawo międzynarodowe. Tę deklarację kazałem ogłosić przez radio i jest ona wydrukowana w naczelnym organie wojskowym, który panom przedkładam.

Chcę zgodnie z wolą Führera ratować przede wszystkim ludność cywilną, która tak strasznie cierpi, o czym przez wywiad najdokładniej jestem poinformowany. Jestem szefem siedmiu dywizji, ale stanowię tylko część armii i muszę wykonywać plany sztabu generalnego. Oświadczam, że pozostawiam generałowi Borowi swobodę decyzji. Jeżeli mój przeciwnik chce dalej walczyć, to walkę podejmuję. Oświadczam jednak, że w tym wypadku w nocy o 12-ej z dnia 2-go na 3-ci października *greife ich an*, i to zaatakuję *den Innenkessel*, to znaczy śródmieście. Będę atakował najcięższą bronią artyleryjską. Jeżeli generał Bor chce rozpocząć rozmowy o kapitulację, jestem do jego dyspozycji i wstrzymam natychmiast działania wojenne, aby dać ludności możliwość wyjścia z miasta. Pozostawiam zupełną swobodę generałowi Borowi i każdy rozkaz wstrzymania działań bojowych, który on wyda do AK, zostanie w 15 minut później powtórzony przeze mnie dla wojsk mi podległych. Nie oddadzą żadnego strzału więcej, chyba, że układ nie byłby honorowany. Oświadczam dalej, że zgodnie z wolą Führera w razie dojścia do porozumienia mam pełnomocnictwo zamknąć cały rachunek wynikający z powstania. Cokolwiek było, ma być zapomniane — *Strich darunter* — i koniec”.

Tu zabrałem głos i w gorzkich słowach w dłuższym przemówieniu przedstawiłem okrucieństwa popełnione na ludności polskiej, głównie przez Ukraińców i Kałmuków, zwłaszcza na początku powstania, gdy wyrzynano w pień całe rodziny. Przytoczyłem na to dokumenty i oświadczam, że biorę za te informacje pełną odpowiedzialność, zastrzegając, że jest to tylko część tej litanii, która doszła do mojej wiadomości wobec faktu, że od zdobytych przez Niemców części miasta zostałem odcięty.

Generał pilnie przysłuchiwał się moim wywodom i kiedy

skończyłem, oświadczył: „To, co pan mówi, jest prawdą. Wiem o wyczynach rosyjskiego pułkownika Kamińskiego i jego band (tak się wyraził). Niech pan przyjmie do wiadomości, że kiedy objąłem dowództwo, kazałem zdzięsiatkować szereg formacji i dałem rozkaz rozstrzelania pułkownika Kamińskiego”. Ale dodał: *Schweinereien sind beiderseits vorgekommen*. Tego nie odrobimy, ale gwarantuję na mocy moich pełnomocnictw, że nikomu włos z głowy nie spadnie za bezpośredni czy pośredni udział w powstaniu ani za przygotowania do powstania, sięgające od początku okupacji aż do dnia zawarcia układu. Gwarantuję, że ludność tej części miasta, która jako ostatnia niezdożyta skapituluje, będzie mogła przy ewakuacji zabrać ze sobą wszelkie walory, pieniądze, złoto i tyle bagaży, ile człowiek uniesie. Jeżeli działania wojenne na to pozwolą, zgadzam się, żeby z tej części miasta ludność mogła w ramach możliwości wywieźć swój dobytek. Jakiegokolwiek stanowisko zajmie Bór, proszę, aby umożliwił wyjście z miasta ludności cywilnej przed rozpoczęciem zapowiedzianych przeze mnie działań, w porozumieniu z gubernatorem dystryktu warszawskiego. Uważam, że ewakuację ludności cywilnej winna się zająć RGO”.

Na to po dłuższym namyśle zabrałem głos i oświadczyłem, że generał musiałby stracić zaufanie do mego rozumu i poczucia odpowiedzialności, gdybym oświadczył, że gotów jestem podjąć się tak gigantycznego dzieła i zadania, które ma być wykonane — gdyby nie doszło do układu kapitulacyjnego — w terminie dwóch dni, bo praktycznie zostałyby nam na ewakuację ludności niedziela 1 października i poniedziałek.

Generał von dem Bach zachnął się nieco na moje powiedzenie, po chwili jednak przyznał: „Właściwie ma pan rację, bo praktycznie nie dałoby się w tym terminie przeprowadzić ewakuacji 250 tysięcy ludzi. O taką liczbę chodzi według przybliżonych obliczeń panów i naszych w tej dzielnicy, która dotąd walczy”.

Na to prosiłem, aby wobec niemożności rozwikłania tego problemu pozwolił nam porozumieć się z naszymi mocodawcami, co zaakceptował. W międzyczasie generał von dem Bach został odwołany do sąsiedniego gabinetu, albowiem komendant AK z Żoliborza przyjechał celem rokowań o kapitulację dzielnicy, która w dwóch trzecich, jak mówił generał von dem Bach, była zniszczona działami ciężkiej artylerii. Żolibórz się poddał.

Wróciwszy, generał von dem Bach oświadczył, że ta część miasta została przez niego zdobyta i w tym momencie piętnaście tysięcy ludzi w zwartych kolumnach opuszcza Żolibórz.

Pod koniec konferencji zwrócił się do hr. Tarnowskiej, która z ramienia P.C.K. zwiedzała obóz w Pruszkowie, dokąd transportowano jeńców z AK i ludność cywilną z dzielnic zdobytych dwa dni przedtem. Hr. Tarnowska zameldowała wtedy, że dwóch oficerów AK zostało zamordowanych przez policję.

„Mogę panią zapewnić — powiedział von dem Bach — że nie było w mojej kwaterze jeszcze większego skandalu jak ten, który zrobiłem po odebraniu od pani tej wiadomości. Nie twierdzę, że pani mnie źle informowała, lecz że niewątpliwie wprowadzono panią w błąd. Po zbadaniu okazało się, że obaj oficerowie byli przesłuchiwanymi przez władze wojskowe, do czego upoważnia prawo międzynarodowe. Nic jednak im się nie stało. Porucznik, o którym pani mówiła, jest już u generała Bora. Co zaś do kapitana Majsnera, którego nazwisko pani wymieniła, to pani za chwilę go zobaczy”.

W tym momencie dał polecenie adiutantowi, aby wszedł kapitan Majsner. Rzadko kiedy odczułem tak głębokie wzruszenie, jak na widok tego oficera polskiego, ubranego w kombinezon ślusarski z czystą opaską AK na rękę i orzełkiem na czapce.

Przybrał postawę wojskową, a generał von dem Bach ciągnął dalej. „Nie chciałbym, ażeby o mnie rozpowszechniano niehonorowe wiadomości. Proszę więc, aby pan kapitan zabrał się z delegacją polską i aby się zameldował u generała Bora. Da mi pan jednak słowo oficerskie, że zamelduje się pan na posterunku przed szpitalem im. marszałka Piłsudskiego i że wróci pan do niewoli”. Na to kapitan Majsner stanął na baczność i oświadczył: „Panie generale, proszę, abym mógł zostać z moimi kolegami”.

Generał na to: „Rozumiem piękne stanowisko pana, ostatecznie, cóż mi na tym zależy, czy będę miał jednego jeńca mniej czy więcej. Zwalniam pana z niewoli i może pan wrócić do generała Bora”. W tym momencie pułkownik, szef sztabu, siwy, starszy od generała mężczyzna, nachylił się do niego i szepnął mu coś do ucha. Na to generał odezwał się: „Ja wiem, że wy w sztabach zawsze macie wątpliwości prawne. Pan pułkownik jednak wie, że mam pełnomocnictwa. Tak zdecydowałem i tak zostanie”. Na to kapitan Majsner stojąc na baczność: „Panie generale, wolałbym zostać przy moich kolegach”. Widocznie tym wzruszony, generał von dem Bach podszedł do kapitana i ostentacyjnie uściśnął mu rękę.

Następnie generał zostawił nas samych z kapitanem Majsnerem, który opowiedział nam swoje losy, po czym wrócił do swoich kolegów.

Przed naszym wyjazdem z Ożarowa podszedł do mnie generał i powiedział z pewną kurtuazją: „Wydaje mi się pan bardzo inteligentnym człowiekiem, więc pozwoli pan że postawię mu jedno pytanie”. Na to przerwałem i powiedziałem: „Panie generale, jest pan zbyt łaskaw dla mnie, ale chyba nie sądzi pan, że dla rokowań z tak wytrawnym jak pan negocjatorem Polacy wysłali nieinteligentnych ludzi”.

Na to generał: „*C'est une façon de parler*, ale zanim pan mi odpowie i żeby pan się nie wahał odpowiedzieć mi szczerze, chcę panu powiedzieć coś o sobie. A więc jestem już siwy, mam sześćcioro dzieci, czy panu to co mówi?”

— „Tak — odrzekłem — bo to świadczy o chrześcijaństwie i tradycji...”

— „Byłem oficerem armii cesarskiej, czy panu to co mówi?”

— „Tak — odparłem — bo to świadczy o zapatrywaniach niekoniecznie dzisiaj w świecie przyjętych”.

— „W takim razie niech mi pan powie, czy pan rozumie to, co się stało w Warszawie, czy pan rozumie, jak można było poświęcić stolicę i klasę rządzącą w tak nierównej walce?”

Na to chwilę milczałem i odrzekłem: „Nie rozumiem, ale osąd tego pozostawiam historii, której beznamietność osądzi rzeczy, czasy i ludzi”.

Około dwunastej w południe wyjechaliśmy z Ożarowa do Warszawy, przeszliśmy przez posterunek i wróciliśmy tą samą drogą co rano, do kwatery głównej naczelnego wodza, która mieściła się pod koniec w zdobytym we wrześniu budynku P.A.S.T. przy ulicy Piusa XI.

Ponieważ w powodzi plotek przeniknęła do wiadomości publicznej wieść o rokowaniach, nastrój wymęczonej ludności był podniecony, chęć walki po jednej i po drugiej stronie mała. Żołnierze byli ponad miarę zmęczeni tym wszystkim co przeszli, zarówno AK jak Niemcy. Szliśmy więc za barykadą z wielką ostrożnością, ale jakby z poczuciem większego bezpieczeństwa, choć żadnej umowy do tej pory nie było.

Stojący na posterunku w bramie kwatery głównej młody, przystojny i bardzo inteligentny chłopak, mimo sprawdzenia naszych dokumentów wpuścił nas do wnętrza gmachu dopiero za zgodą swego szefa. W gmachu panował istic powstańczy bezład, zresztą inaczej być nie mogło. W kwaterze głównej ludzie pracowali dniem i nocą, byli nieludzko wymęczeni, co widać było po ich twarzach i ubraniach.

Generał Bór, który całą noc pracował, wstał zaledwie i za-

raz weszliśmy do jego gabinetu, gdzie prócz pięknych mebli stały trzy łóżka. Zaprosił na konferencję delegata Rządu, który niebawem przyszedł i rozmowa się rozpoczęła.

Nasamprzód wygłosiłem dokładny referat z przebiegu rozmów z generałem von dem Bachem, prosząc, aby moi towarzysze, hr. Tarnowska i Podwiński, uzupełnili moje wywody, o ile będzie tego potrzeba.

Generał Bór oświadczył, po porozumieniu się z delegatem rządu, że zaproponuje zawieszenie działań bojowych od świtu do zmierzchu, aby ludność mogła z miasta wychodzić. Na moją uwagę, że uważałbym propozycję całkowitego zaprzestania działań bojowych, także w nocy, za właściwą, generał Bór odpowiedział: „Oni strzelać nie będą, ja ich dobrze znam”. Dodam, że przewidywanie jego nie było słuszne, albowiem Niemcy na skutek tej propozycji otwarli nocą dość ciężki ogień „krowami”, co kosztowało nas kilkadziesiąt ofiar, nie mówiąc o nowym przerażeniu ludności, dostatecznie już wymęczonej dwumiesięcznym ostrzałem i przygotowującej się do opuszczenia miasta.

Dalej dla sprawiedliwości historycznej powiedzieć muszę, że decyzję swą generał Bór tylko zamaskował i tego nam powiedzieć nie chciał. Wobec istnienia wtedy już trzech formacji, mianowicie AK, PAL i AL, i wobec rozbieżności zdań, jaka panowała pod koniec na tle kapitulacji, nie był pewien, czy będzie mógł na sto procent honorować swój podpis. Zwłaszcza nocą, gdy łatwo było o incydenty, których autorów nikt by nie zdołał ustalić. Tym sobie tłumaczę jego ówczesne stanowisko.

Wracam do naszej rozmowy. Druga decyzja, jaka zapadła ze strony generała Bora, to zaakceptowanie propozycji generała von dem Bacha co do wysłania upoważnionych parlamentarzystów do Ożarowa, o czym miał, według żądania von dem Bacha, powiadomić go do godziny szóstej wieczorem tego samego dnia.

Wobec wielkiej tajemnicy, jaką generał Bór otaczał swoje dalsze plany, prosiłem przy wyjściu od niego delegata Rządu o rozmowę w cztery oczy. Powiedziałem mu, że ludność jest tak wymęczona potwornymi cierpieniami ostatnich tygodni, iż trzeba zająć zupełnie jasne stanowisko w tym albo innym kierunku i obwieścić o tym ludności.

Na to delegat odpowiedział: „Znacie mnie od ćwierć wieku i wiecie, że na wiatr słów nie rzucam. Decyzja o kapitulacji u nas zapadła, trzymamy to jednak w tajemnicy. Pełnijcie więc dalej swoją służbę i Warszawy wam opuszczać nie wolno”. Opuszczać Warszawy nigdy nie miałem zamiaru, uważałem jednak od tygodni, że nie należy nikomu przeszkadzać, kto bezpiecznie z

miasta wyjść może, a chodziło mi głównie o chorych, kobiety i dzieci. Uważałem żądanie, aby wykończone fizycznie i duchowo jednostki pozostawały w Warszawie za niemoralne, kiedy istniała możliwość bezpiecznego wyjścia.

Nazajutrz miały się rozpocząć rokowania kapitulacyjne, prowadzone wyłącznie przez wojsko. Bezhołowie w mieście było jednak ogromne. Okazało się, że i największe bohaterstwo, jakiego Warszawa dała przykład, ma swój kres i swoje granice, jak wszystko w przyrodzie. Władze naczelne nie miały już dawnej sprężystości działania i tym należy tłumaczyć, że nie zostało zakomunikowane ludności plakatami pozwolenie na wychodzenie z Warszawy w terminie, uzgodnionym z generałem von dem Bachem. Ludność dowiedziała się o tym tylko przez tak zwanych blokowych, co pociągnęło za sobą najróżniejsze interpretacje, do kontragitacji przeciw wychodzeniu z miasta włącznie.

Tak przyszła sobota 30 września 1944 r. — jeden z najstraszniejszych dni, jakie w życiu przeżyłem. W niedzielę szalały po Warszawie pogłoski, jednak ludność, na skutek bezstronnych informacji, jakich za zgodą czynników decydujących udzielaliśmy ustnie, zaczęła wychodzić z miasta wylotami ulic Śniadeckich, Piusa, Al. Jerozolimskich, Grzybowskiej i Pańskiej. Mimo to agitacja była szalona. Opowiadano, że wychodzącym odbiera się całe ich mienie, przebiera się w papierowe ubrania itd. Było to zrozumiałe, gdyż tak traktowano rzeczywiście ludność ze zdobytych dzielnic. Jednak wobec oświadczenia generała von dem Bacha, że wychodzącej ludności nic nie zostanie odebrane i że na całej trasie przemarszu nie będzie ani jednego Ukraińca i ani jednego Kałmuka, istniała gwarancja, że nic się stać nie może. Muszę też obiektywnie stwierdzić, że nie wpłynęło do RGO ani do nas osobiście żadne zażalenie w tej materii.

Tymczasem delegacja wojskowa rokowała przez niedzielę, ale kiedy w poniedziałek o 7-ej rano odwiedziłem Jasiukiewicza, żadnych wiadomości o przebiegu rokowań nie było. Szły podobno ciężko głównie z tego powodu, że generał von dem Bach, traktując zresztą AK jako równego kombatanta, żądał jako symbolu poddania rozebrania kilku barykad ulicznych przez członków AK. Przeciwno temu broniło się dowództwo polskie.

W biurze, w którym urzędowałem koncentrowała się cała administracja ostatniej wolnej dzielnicy. Mimo, że jako urzędujący prezes RGO nic wspólnego nie miałem z samą akcją, gromadziły się od rana nieprzebrane tłumy najróżniejszych interesantów, przeważnie ludzi, którzy zupełnie głowy potracili. Przy-

szła do mnie delegacja urzędników oświadczając, że wobec niepewności co do przebiegu rokowań kapitulacyjnych urzędnicy skorzystają z istnienia możliwości i opuszczą w południe miasto. Obwieściłem urzędnikom, że sam zostaję i że pozostawiam każdemu swobodę decyzji.

W międzyczasie odwiedzał mnie co godzinę z polecenia delegata rządu Fr. Białas, który prosił, aby biuro nie zaprzestawało działalności i twierdził, że delegat lada chwila spodziewa się wiadomości z Ożarowa o postępie rokowań. Odpowiedziałem na to, że zatrzymam najwierniejszych urzędników do trzeciej po południu, bo zmrok zapada rychło, a w nocy miał się rozpocząć ostrzał artyleryjski, o ile rokowania nie zostały doprowadzone do końca. Z tym się zgodził, przyrzekając dać do trzeciej odpowiedź.

Istotnie o wpół do trzeciej zjawił się u mnie i zakomunikował, że układ o zawieszeniu działań bojowych został podpisany tegoż dnia po południu i że spodziewa się, że jeszcze w ciągu tego wieczoru podpisany zostanie układ o kapitulacji. Obwieściłem to w biurze, aby wszyscy urzędnicy zostali.

Wieczór tego dnia był straszny. Urzędników państwowych pozwalniano, zresztą i bez tego stan psychiczny był taki, że nie byłiby dalej pracowali. Nie zapomnę tych ośmiu pokoi biurowych powiększonych o prywatne mieszkanie Hoffmanów, pokoi oświetlonych bladym blaskiem świec, przy których świetle tłoczyły się tłumy interesantów. Moi współpracownicy — głównie naczelnik Ocioszyński i senator Drozdowski — nalegali, aby wydać odezwę do ludności. Przeciwwstawiłem się temu, nie uważając się za reprezentanta władzy i nie chcąc być uzurpatorem, zwłaszcza że plotka, co w takich okolicznościach jest zrozumiałe, szalała. Zresztą wydanie jakiegokolwiek odezwy było fizycznie niemożliwe, gdyż wszystkie drukarnie były zniszczone i nie można było wydrukować najmniejszego świstka, przynajmniej w tej dzielnicy.

Wymęczony ponad ludzką miarę wracałem w ciemnicy nocnej, brodząc w wodzie między barykadami do mego mieszkania, skąd udałem się do mieszkania Jasiukiewicza. Tam odbyła się narada w sprawie rokowań dotyczących ewakuacji ludności cywilnej, jakie toczyć się miały następnego dnia w Ożarowie u generała von dem Bacha. Tego dnia spałem pierwszy raz od długiego czasu w domu, w dziecięcym pokoju zdemolowanego mieszkania.

Nazajutrz, we wtorek 3 października 1944 r., wyjechalśmy wczesnym rankiem do Ożarowa. Dzień był mokry i dżdżysty. Ku mej radości na schodach dworku ujrzałem mego przyjaciela, pre-



zesa J. Machnickiego, który przyjechał razem z prezesem Tchórnickim przybywającym z Krakowa, obaj zaproszeni przez gubernatora dr. Fischera. Była również hr. Tarnowska.

Na konferencję u generała von dem Bacha, który przyjął nas w towarzystwie szefa administracji wewnętrznej G.G. von Craushara, zaprosił wszakże tylko przedstawiciele RGO. Później na moją prośbę zaproszona została hr. Tarnowska. Rozmowy toczyły się w tonie i w formie przyjaznej.

Przedstawiliśmy opracowane na piśmie postulaty dotyczące ewakuacji ludności cywilnej, która została ustalona w warunkach kapitulacji. Delegat Rządu przesłał mi poprzedniego dnia swoje dezyderaty na czterech arkuszach własnoręcznie wypełnionych. Nie wszystko, niestety, dało się przeprowadzić. Głównie chodziło o nierozłączanie rodzin, o przewiezienie chorych, kobiet i dzieci, o gwarancję zachowania rzeczy wartościowych i odzieży, o odszukanie członków rodzin. Razem tych punktów było osiemnaście.

Generał von dem Bach oświadczył, że tak jak ludność w Rzeszy, tak i ludność ewakuowana będzie użyta do robót. Zażądałem wtedy, aby wobec wycieńczenia ludności Warszawy obniżyć dla niej granicę wieku zwalnającego od pracy, mianowicie dla mężczyzn do lat 50, dla kobiet do lat 40. Sprzeciwił się temu von Craushar dowodząc, że ludność w Warszawie nie może być lepiej traktowana, niż ludność Rzeszy. Na to generał von dem Bach oświadczył: „Akceptuję propozycję dr. Wachowiaka”, a zwracając się do von Craushara dodał: „Pan wie, panie prezydencie, że mam specjalne pełnomocnictwa i z tych pełnomocnictw skorzystam”.

Znamienne było, że von Craushar oświadczył, iż dotacje zarówno rządu G.G., jak miasta dla RGO w Warszawie będą nadal płacone i że prosi prezesa Tchórnickiego, aby wystąpił z odpowiednim wnioskiem. Nie wiem, jak ta sprawa dalej się potoczyła, wiadomo mi jednak, że do końca 1944 r. wniosek ten postawiony nie został.

Z Ożarowa pojechaliśmy do Pruszkowa, gdzie spożyliśmy wspólny obiad z Tchórnickim, Machnickim i Skrzyńskim. Na popołudnie zostaliśmy zaproszeni do wicegubernatora dr. Gollerta, który stawiał nam do dyspozycji samochód na czas ewakuacji ludności i który pod koniec naszej rozmowy powiedział mi, że nazajutrz, to jest w środę 4 października, generał Bór będzie gościem generała von dem Bacha. Przytaczam to, albowiem sprawa tego obiadu miała mieć później dość przykre dla naszych rokowań następstwa, o czym jeszcze będę pisał.

Wróciłem późnym wieczorem ledwie żywy do Podkowy, gdzie po dwóch miesiącach zobaczyłem swoje dzieci.

Po zawarciu układu kapitulacyjnego nastąpiło znaczne odprężenie i okręgowy delegat Rządu na miasto stołeczne Warszawę wydał następujące dwa komunikaty, które znalazłem w aktach uratowanych z Warszawy. Przytaczam je jako dokumenty historyczne.

### KOMUNIKAT

W dniu 2. X. rb. zawarty został między Dowództwem AK a Dowództwem Wojskowym Niemieckim układ o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie, w myśl którego:

1. Działania wojenne ustały dnia 1. X. 1944 o godz. 21-szej czasu polskiego, a 20-tej godzinie czasu niemieckiego.
2. Żołnierze AK złożą broń na warunkach honorowych i opuszczą Warszawę. Żołnierze AK traktowani będą jako jeńcy wojenni według zasad prawa międzynarodowego. Na równi z żołnierzami traktowane będą osoby nie walczące, pełniące służbę dla AK obojga płci, przy czym kobiety mogą według własnego życzenia dzielić losy ludności cywilnej.
3. W Warszawie pozostaną do czasu ewakuacji cywilnej ludności specjalne uzbrojone oddziały AK dla pełnienia służby bezpieczeństwa.
4. Zarządzona przez Władze Niemieckie ewakuacja ludności cywilnej przeprowadzana będzie w dalszym ciągu, przy czym bliższe szczegóły, dotyczące okresu i innych warunków ewakuacji są przedmiotem toczących się w tej sprawie pertraktacji.

W interesie ludności jednak leży nie odkładanie terminu wyjścia z Warszawy do ostatniego dnia ze względu na przewidywany później natłok i wynikające stąd utrudnienia.

Okręgowy Delegat Rządu na m.st. Warszawę

Warszawa, 3. X. 1944.

### KOMUNIKAT

Komunikuję, że na żądanie władz niemieckich napływowa ludność oraz sublokatorzy winni opuścić Warszawę w dniach 4 i 5 października 1944 roku w godzinach i miejscach już wskazanych.

Mogą pozostać na miejscu aż do odwołania główni lokatorzy i właściciele domów.

Mają obowiązek pozostać dozorczy domowi, komendanci OPL i Straż Ogniowa.

Okręgowy Delegat Rządu na m.st. Warszawę

Warszawa, dn. 3 października 1944 r.

NATYCHMIAST

Warszawa, dn. 3 października 1944

Do

godz. 18.30

Panów Komendantów Odcinków OPL i  
Komendantów Komisariatów OPL i PPOZ  
w miejscu

Załączony komunikat Okręgowego Delegata Rządu na m.st. Warszawę z dn. 3 bm. przesyłam celem natychmiastowego opublikowania przez Komendantów OPL Domów Ludności cywilnej.

Jak już uprzednio komunikowałem Panom, wszyscy Komendanci OPL zarówno Komisariatów, Odcinków jak i Bloków i Domów, w wypadku powzięcia decyzji co do opuszczenia Warszawy, winni na swoje miejsce wyznaczyć zastępcę, powiadamiając o wyznaczeniu właściwego wyższego Komendanta OPL. Polecenie to obowiązuje tym bardziej wobec zmienionego stanu rzeczy, który wynika z załączonego komunikatu.

Jednocześnie wyjaśniam, że funkcje policji i bezpieczeństwa przejmują na siebie Dowództwo Armii Krajowej.

W związku z tym we wszystkich sprawach w zakresie bezpieczeństwa należy się zwracać bezpośrednio na terenie Warszawa Śródmieście Południe do organów Komendy Placu i Żandarmerii AK.

Należy się niezwłocznie porozumieć z najbliższym dowódcą odcinka AK w sprawie rozbiórki barykad, która w ramach dyspozycji wojskowych musi być przeprowadzona. Nie mogą być przedsięwzięte na własną rękę żadne roboty przy barykadach.

Zwracam uwagę Panom Komendantom OPL na konieczność natychmiastowego objęcia pełnych funkcji w zakresie OPL i bezpieczeństwa w domach, co będzie obowiązywało szczególnie w domach przeważnie opuszczonych przez mieszkańców. Należy zabezpieczyć w granicach możliwości mienie i lokale, a w razie potrzeby zgłaszać się o pomoc do powołanych wyżej Władz Armii Krajowej.

Proszę Panów o natychmiastowe zabezpieczenie środków żywności, pozostawionych przez mieszkańców domów ze względu na niemożność zabrania ich ze sobą. Żywność tę należy zebrać i zatrzymać u siebie, a po częściowym względnie całkowitym zużyciu na cele domowej opieki społecznej, zatrzymać do dyspozycji właściwych władz.

To samo dotyczy ciepłej odzieży, kurtek, ciepłej bielizny itp. rzeczy, które są potrzebne niezbędnym dla żołnierzy Armii Krajowej i ludności, która pozostanie na miejscu.

Mam nadzieję, że Panowie Komendanci OPL, którzy dotąd wykazali najwyższe poczucie obowiązku w długim okresie Powstania, spełnią swój obowiązek obywatelski do końca.

Nazajutrz, w środę 4 października, wczesnym rankiem udałem się do Pruszkowa, gdzie miała się odbyć konferencja w sprawie wykonania układu kapitulacyjnego i wynikających z niego dodatkowych układów co do ewakuacji ludności cywilnej z Warszawy. Na konferencję, która odbyła się w pałacu Potulickich, gdzie rezydował *Stadthauptmann* Pruszkowa, przybył gubernator Fischer z szefem policji Geiblem w otoczeniu szefa zdrowia dr. Lambrechta, dawnego *Kreishauptmanna* Sokołowa Gramsa, który obecnie pełnił funkcje w obozie przejściowym w Pruszkowie, oraz kilku innych pomniejszych urzędników.

Już na początku tej konferencji zauważyłem, że nastrój od wczoraj zmienił się radykalnie. Gubernator oświadczył, że przez czas trwania ewakuacji narady nasze będą się odbywały codziennie o 10-ej w Pruszkowie pod jego przewodnictwem i że w tych sprawach będziemy mieli możliwość dopilnowania z naszej strony, aby warunki kapitulacji lojalnie zostały wykonane. Z na-

szej strony w tej naradzie wzięli udział: prezes Tchórznicki, towarzyszący mu Skrzyński, prezes Machnicki i ja.

Gubernator zwraca uwagę na to, że ze względu na grożące niebezpieczeństwo ataku rosyjskiego ewakuacja musi odbywać się pośpiesznie, że winna się rozpocząć natychmiast i że powinniśmy o tym powiadomić ludność. Odpowiedziałem na to, że nie mogę uznać takiego pośpiechu i że nie chciałbym, aby odium za jakiegokolwiek obwieszczenie w tej sprawie spadło na nas. Rozmowa toczyła się w nastroju bardzo nerwowym i raczej złym. Nie był to ton, który panował u generała von dem Bacha, co napawało mnie głęboką troską o dalszy bieg spraw.

Gubernator pozostał dwie godziny, co mnie dziwiło ze względu na to, iż wiedziałem z rozmowy dnia poprzedniego z dr. Gollerem, jego zastępcą, iż tegoż dnia miał się odbyć w kwatery głównej generała von dem Bacha wielki obiad dla generała Bora. Później gubernator powiedział, że wyjeżdża do Sochaczewa. Jasne było, że sprawa tego przyjęcia musiała ulec jakimś komplikacjom, co po południu tegoż dnia do reszty się wyjaśniło. Wyjechałem do Warszawy samochodem, jaki mi stawiono do dyspozycji, gdyż miałem po południu ważne narady. Jako *curiosum* zawiozłem żonie do Warszawy koszyczek kartofli i pomidorów, co oczywiście zrobiło w domu niepowszednie wrażenie. Tegoż popołudnia przyjechał do mnie generał Bór i szczegółowo opowiedział mi historię przyjęcia, które nie doszło do skutku. Mówił, że jedzie wprost z kwatery głównej generała von dem Bacha, z którym odbył dwu i półgodzinną, bardzo kurtuazyjną rozmowę i wytłumaczył dowódcy niemieckiemu, że obiadu niestety przyjąć nie może, że wdzięczny mu jest za pamięć, lecz chce podzielić los swoich oficerów i żołnierzy i pójść do niewoli, skoro zdecydował się na kapitulację.

Mówił, że zachowanie się generała von dem Bacha było w każdym calu poprawne. Tak wyjaśniła się tajemnica przykrew rannej konferencji, jaką odbyliśmy z gubernatorem. Następnie generał Bór podziękował mi za pomoc obywatelską, której mu nigdy nie odmawiałem. Pożegnał się ze mną i muszę powiedzieć, że byłem głęboko wzruszony jego pamięcią w czasie, kiedy miał tyle trosk na głowie. Przy tym szczerze wyznaję, że odwykłem od obyczajów, aby w naszym społeczeństwie komuś za coś dziękowano. Normalna podzięką u nas to inwektywy i niepamięć, jak tego w następnych tygodniach do przesytu miałem doświadczyć.

Tegoż dnia do późnej nocy urzędowałem w biurze RGO, gdzie zbierało się po kilkaset osób, głównie nie urzędujących urzędni-

ków państwowych. Wszystkie władze tak się rozeszły, że o jakiejś normalnej komunikacji ze społeczeństwem mowy być nie mogło. Nie było ludzi do pracy, nie było technicznych środków do komunikowania się z ludnością. Doborowe formacje AK objęły na kilka dni straż w mieście i trzeba powiedzieć, że nie było w tym chaosie gwałtów czy rabunków, ale po tych strasznych cierpieniach ogarnął ludzi jakiś nieprzeparty pęd do ratowania swej fizycznej egzystencji za każdą cenę. Psychologia tłumy jest zawsze ta sama, nie ma tłumy inteligentnego i nieinteligentnego, tłum jest tłumem.

Zostawiali ludzie cały swój dobytek, całe mienie, zabierając *pêle-mêle* to, co najmniej było potrzebne. Zostawiali skarby materialne zakopane czy zamurowane w nadziei, że skoro odzigną i odetchną za granicami miasta, to wrócą do swego domostwa. Wskutek braku kontaktu z ludnością powstawały najdziksze plotki. Mówię o braku kontaktu, gdyż nie było radia, megafonów, drukarni czy innych środków technicznych. Z rokowań przenikały wiadomości nieściśle, przeto między innymi rozpowszechniano bałamutną wieść, że miasto muszą opuścić tylko ci, którzy nie mają własnego mieszkania. Było to oczywiście fałszywe, lecz spowodowało duże konsekwencje praktyczne. Warunki kapitulacyjne nie zostały podane do wiadomości publicznej na skutek braku instancji rządowej czy miejskiej, która by się tym mogła zająć. Zresztą terminy były tak krótkie, liczba ludności podlegająca ewakuacji tak wielka, spłot interesów każdej jednostki tak wieloraki, wymęczenie fizyczne tak ogromne, że chyba dziwić się należy, iż zamęt nie był jeszcze większy.

Zwołałem zebranie najtęższych ludzi, jakimi dysponowałem. Ocioszyński i Drozdowski napisali odezwę do społeczeństwa, którą miałem podpisać. Wzbraniałem się, nie mając żadnej legitymacji do tego, nadto miałem wątpliwości co do treści odezwy, skoro z nikim porozumieć się nie mogłem i skoro wszystko dosłownie się rozłaziło. Przy tym nie było i tak żadnych środków technicznych celem podania odezwy do publicznej wiadomości.

Późnym wieczorem przyszedłem do swego mieszkania, zastałem na podwórzu i na schodach kilkadziesiąt osób, które przyszły po informacje, co robić. Bezwzględność ludzi, zwłaszcza kobiet, była tak potworna, że trzeba było się opędzać przed tylu histerycznymi zapytaniami, na które żaden filozof nie byłby w możności odpowiedzieć. Sypały się tedy wyzwiska, że porady są moim psim obowiązkiem. Te zarzuty dotyczyły mnie boleśnie, skoro nie piastowałem żadnego urzędu publicznego, a spełniałem swój obowiązek obywatelski na odcinku żywienia ludności. Dobro-

wolnie podjąłem się rokowań, byłem więc ogniwem pośrednim, lecz nie wykonawcą, gdyż na to przecież władze powstańcze i delegat rządu mieli swoich urzędowych reprezentantów.

Piszę o sobie nie z braku skromności lecz dlatego, że na własnej skórze to wszystko odczułem. Sądzę, że hr. Tarnowska doznała nie mniej przykrości ode mnie, choć po zakończeniu rokowań poświęciła się wyłącznie swej pracy w P.C.K.

Nazajutrz odbyła się planowo następną konferencją pod przewodnictwem gubernatora. Na szefa cywilnej ewakuacji z Warszawy powołany został znany nam już z dawniejszej działalności w guberni dr Rodig. Zawezwano nas, aby wyznaczyć sztab ludzi, którzy wywieźliby z dzielnicy objętej kapitulacją mienie ludności, a to bieliznę, pościel, odzież, obuwie, które to rzeczy miały być postawione do dyspozycji całości RGO.

Gubernator ze względu na akcję wojskową przynaglał termin ewakuacji ludności. Oświadczył nam, że na wywóz mienia z dzielnicy objętej układem kapitulacyjnym może koncedować tylko kilka dni. Tymczasem ludność masowo opuszczała wszystkimi drogami Warszawę. Był to pochód zupełnie makabryczny i tylko dantejskie pióro mogłoby to opisać.

Na naradach z gubernatorem, w których po wyjeździe Tchórnickiego braliśmy codzienny udział — to jest Machnicki i ja — zauważyłem, że szefostwo policji coraz bardziej wpływa na decyzje. Nie potrzeba było wielkiej wnikliwości, ażeby zrozumieć, że za kulisami toczy się jakaś wielka rozgrywka — kto ma kierować ewakuacją mienia i nim dysponować. Widoczne były wielkie nieporozumienia między wojskiem a władzą cywilną z jednej strony i władzą cywilną i policją z drugiej. Ponieważ byliśmy w nieprawdopodobny sposób przynaglani, a wszystkie urzędy się rozleciały, zdecydowaliśmy się w krótkiej drodze na zamianowanie naszym następcą na Warszawę wewnętrzną ministra Fr. Doleżala, a senatora Drozdowskiego szefem ewakuacji mienia ludności cywilnej. Decyzje te zapadły w sobotę 7 października.

Tegoż dnia zastępca szefa policji wystawił nam listy żelazne, które nas upoważniały do swobodnego poruszania się w Warszawie i poza jej terenem. Miało to miejsce o godzinie 14-ej. Jednakże kiedy wracaliśmy z miasta, posterunek wojskowy na rogatkach zakwestionował ważność naszych glejtów. Oświadczył nam, że do wystawiania tych glejtów upoważniony jest tylko głównodowodzący, czyli że trzeba się w tej sprawie udać do Skierniewic. Później wyjaśniło się, że takie przepustki władny jest

wystawiać delegat 9 armii w Piastowie. Byliśmy u niego 9 października, przepustki nam wystawił do dnia 12 października, po czym trzeba je było znów odnowić w policji. Trwało to w ten sposób do końca października, a zważyć należy, że byliśmy szefami odpowiedzialnymi za całość.

Przedstawiłem tę sprawę w prywatnej rozmowie gubernatorowi, wskazując na zupełną niemożliwość urzędowania w tych warunkach. Odpowiedział mi na to, że sam na wyjazd do Warszawy musiał otrzymać pozwolenie szefa 9 armii. Przytaczam to, aby zilustrować, jakie były trudności wskutek sporów kompetencyjnych, rozgrywających się na naszych oczach. Kto tych kulis nie znał, nie mógł zrozumieć, że wywożenie mienia wbrew wszelkim oczekiwaniom mogło się faktycznie rozpocząć dopiero 20 października, kiedy się wyjaśniło, że sprawa ewakuacji Warszawy należy do kompetencji Rzeszy, że szefem akcji jest minister Spraw Wewnętrznych, który zamianował swym pełnomocnikiem dowódcę brygady pułkownika Geibla.

Chcąc położyć kres nieporozumieniom na tle przepustek, pojechaliśmy za poradą gubernatora w piątek 13 października z Machnickim do Skierniewic, do komenderującego generała. Po drodze w Sochaczewie spotkaliśmy na rynku gubernatora. Prosił nas, aby odwiedzić szefa administracji wewnętrznej, von Harbou. Wstępujemy do niego i dobrze się stało, gdyż von Harbou wyjaśnił nam, że sprawy te nie są jeszcze zdecydowane, a więc radzi nam, żeby nie podejmować długiej i męczącej podróży, gdyż szkoda wysiłku. Rada okazała się dobra, bo już nazajutrz zapadła decyzja, że przepustki wystawia tymczasowo policja.

Chcąc pospiesznie zmobilizować ekipę dla zbierania i wywożenia rzeczy z Warszawy, postanowiliśmy to uczynić w Milanówku, gdzie była koncentracja wielkiej ilości inteligencji polskiej. W tym celu spotkałem się z kilkoma wybitnymi ludźmi w niedzielę 15 października na obiedzie u dyrektora Pilarskiego, był też między innymi ks. infułat Choromański. Korzystając z obecności tylu wybitnych ludzi, zabrałem głos przy stole i wypowiedziałem kilka uwag o polityce romantycznej i realnej na tle ostatnich tragicznych przejęć naszego narodu.

Pilarski podjął się zwerbować 300-500 ludzi z inteligencji, gdyż ci wydawali nam się najbardziej odpowiedni.

Później przekonałem się z rozgoryczeniem, że była to decyzja niedobra. Jak już bowiem mówiłem, tłum zawsze jest tłumem i nie wiadomo, czy tłum inteligentny nie jest gorszy od zwykłego motłochu. Na zebraniu owszem, przedyskutowaliśmy bardzo

gruntownie sprawę, czy podjąć się całej tej akcji czy nie. Wszystkie głosy bez wyjątku wypowiedziały się pozytywnie, tak samo, jak uprzednio pozytywnie wypowiedziały się czynniki rządowe i RGO. Wśród argumentów przytaczano, że trzeba by być obłąkańcem, aby dopuścić do zniszczenia, spalenia lub rozrabowania mienia polskiego, podczas gdy milion ludzi wyszło z Warszawy prawie nago. Wreszcie, że cztery piąte miasta i tak w chwili kapitulacji były zupełnie spalone, że prowizoryczne lazarety utworzone w okolicach Warszawy nie mają pościeli i bielizny dla chorych, że wywiezionym mieniem nie będzie można co prawda zaopatrzyć wszystkich, lecz pomoc z tego tytułu będzie duża.

Dnia 16 października odbyło się ostatnie posiedzenie z gubernatorem w wykonaniu umowy kapitulacyjnej. Jednakże praktycznie robota nie ruszyła ani o krok z miejsca poza tym, że wbrew moim oczekiwaniom, ewakuacja ludności z miasta była prawie kompletna. Był to wyczyn nieprawdopodobny i pośpiech ten naraził ludność na ogromne cierpienia. Zważyć jednak trzeba, że obstrzał z drugiej strony Wisły był wtedy znaczny.

Dnia 18 października wyjechała pierwsza ekipa na zbiórkę rzeczy do Warszawy. Jak się ta zbiórka odbywała, tego ludzkim piórem opisać się nie da. Wiem tyle, że od dnia 18 października jeździliśmy z Machnickim codziennie na 2-3 godziny do Warszawy. Wiem dalej, że były to najbardziej makabryczne podróże, jakie w życiu odbywałem. Warszawa opustoszała zupełnie, po ulicach błąkały się tylko zdziczałe psy i koty. (*A propos* kotów. Pewnej soboty wyjeżdżaliśmy z ulicy Mokotowskiej, gdzie były biura. Do samochodu wskoczył piękny biały kot angorski i nie było siły, która by go zdołała wydobyć z wehikułu. Jeden z panów zabrał zgłodniałe zwierzę, przytulił je pod płaszczem i zawiózł do domu. Kot się odkarmił, ale swej dzikości już się nie wyzbył, zniknął po pewnym czasie. Lepsze doświadczenie miałem z psami, które okazały się wdzięczniejsze. Wyratowałem ich kilka).

Obstrzał Warszawy był dość znaczny między 20 a 30 października. Przejeżdżając przed stojącym jeszcze wówczas dworcem głównym 21 października w sobotę, ledwie uszliśmy śmierci — o dwadzieścia kroków za nami padł pocisk artyleryjski. Przestaliśmy jeździć trasą przez Al. Jerozolimskie.

Powoli zaczęła się instalować policja w mieście, gdzie odbywały się nasze roboty. We wtorek 24 października zastałem w biurach naszych policjanta Gestapo, którego zapytałem o cel



jego pobytu. Odpowiedział, że ma zadania specjalne i odmówił dalszej rozmowy. Wobec tego oświadczyłem Rodrigowi, który był przydzielony do *Räumungstabu* jako reprezentant gubernatora, że pod dozorem policji pracować nie będę, przynajmniej, jeżeli chodzi o moje biuro. Posterunek usunięto. Codzienne zajęcia z policją, brak dyscypliny wśród naszych pracowników, rabunki, złodziejstwa, kombinacje, pijaństwo — wszystko to wytworzyło chaos, którego nie można sobie wyobrazić. Jechałem do Warszawy jak skazaniec i wracałem przygnębiony psychicznie. Stałem przed zjawiskiem, którego — jak trzęsienia ziemi lub rozszalałego żywiołu wody czy ognia — ludzką siłą pokonać się nie da.

Niektórzy z naszych współpracowników traktowali to tragicznie, inni, naprawdę szczęśliwsi, pokpiwali sobie z wszystkiego, przyglądając się temu tańcowi na rozbujającym wulkanie, gdzie zwierzęcość natury ludzkiej święciła triumfy i gdzie granica między bestią a człowiekiem zupełnie była zamazana.

Na koniec dodam jeszcze kilka ogólnych uwag, które mi się narzucają.

Upadek powstania warszawskiego był największą katastrofą narodu w historii polskiej. Zginęło wtedy niepotrzebnie około 150 tysięcy ludzi (według naszych obliczeń). Zdaniem profesora Młynarskiego zginęło tam 50% majątku narodowego, zaś profesor Krzyżanowski twierdzi, że cyfra ta jest za mała. Trzeba zważyć, że w Warszawie były nagromadzone skarby kilkuset lat, że na skutek działań wojennych na wschodzie Polski bezcenne skarby dworów i miast polskich przewożono do Warszawy, która słusznie mogła uchodzić za najbezpieczniejsze schronisko dla drogocенności, zbiorów sztuki, obrazów, bibliotek i mebli. Także resztki skarbów kultury ziem zachodnich przewieziono w r. 1939 i na początku 1940 r. do Warszawy. Wskażę tylko na zbiory tak bezcenne jak rogalińskie, zbiory Chłapowskich, Czartoryskich, wreszcie zbiory przemysłowców śląskich i obywatelstwa pomorskiego. Warszawa była sercem Polski. Mimo potwornych pierwszych pięciu lat wojny żywotność miasta była zdumiewająca. Przemysł, choć w nieprawdopodobnych warunkach, żył, pracował i tworzył. W handlu Polacy, tak zdolni do adaptacji, przystosowali się do danych warunków i nie tylko zastąpili kupca żydowskiego, ale go pomysłowością i ruchliwością przewyższyli. Śmiało rzec można i nie jest paradoksem, że poziom życia kół średnich i niższych podczas wojny się podniósł; kredyty bankowe dzięki okoliczności, że zdołaliśmy uratować w Warszawie polskie instytucje

bankowe ożywiały puls tego bujnego, na ruinach 1939 roku powstałego życia. Stąd też Warszawa była atrakcją dla całej Polski, a ludność jej w poszczególnych latach wojny dochodziła do półtora miliona głów.

Miasto było olbrzymim konsumentem płodów rolnych, które mimo tysiąca zakazów i nakazów szerokim korytem płynęły do Warszawy, bogacąc rolnika małego czy większego. Rolnik w tak zwanym handlu nielegalnym uzyskiwał stokrotne ceny za swoje płody, które Niemcy, wyznaczając kontyngenty, za grosze od niego kupowali. Warszawa była więc głównym źródłem wzbogacenia się chłopca, który nasyciwszy swoje normalne potrzeby, a słusznie bojąc się spadku waluty, zaczął kupować niezwykle dla niego rzeczy, jak drogie futra, dywany, firanki czy fortepiany. Nie jest paradoksem, że włościanki z okolic Warszawy nosiły na pewno lepszą bieliznę i wykwinniejsze pończochy niż warszawianki. O nieprawdopodobnej wprost żywotności Warszawy świadczy fakt, że przed powstaniem — po pięciu prawie latach wojny totalnej — nie było rzeczy, której by w tym mieście nie można było kupić. Począwszy od materiałów angielskich, papierosów amerykańskich, a kończąc na puskach ananasów. Prawda, że ceny były niesamowite, ale było wszystko, czego dusza mogła zapragnąć. Brakowało szerszego życia kulturalnego, gdyż nie było uniwersytetu, bibliotek, gimnazjów, teatrów, prasy czy ruchu wydawniczego. To wszystko przekreślone zostało przez Niemców.

Były co prawda teatrzyki, gdzie występowały pierwsze siły, lecz były one mocno krępowane. Poza tym najpoważniejszą część społeczeństwa z zasady do nich nie chodziła. W miarę postępującej wojny życie odzyskiwało swe prawa i wówczas społeczeństwo tolerowało z cichą moralną aprobatą odwiedzanie teatrów przez młodzież, co nie było uważane za coś niezgodnego z honorem narodowym.

Warszawa była ośrodkiem dyspozycji politycznej i nielegalnego ruchu wydawniczego. Jeżeli o ten ostatni chodzi, to indywidualizm polski stworzył tu nieprawdopodobne przerosty. Dość powiedzieć, że — jak mnie zapewniano — w roku 1945 wychodziło w Warszawie nie mniej niż sto gazetek podziemnych. Nie było to, rzecz prosta, mądre, gdyż kosztowało ofiar bez liku. Przy tym rozbijało społeczeństwo, podczas gdy w takim kataklizmie raczej jednolity front był pożądanym.

Po doszczętnym zniszczeniu Warszawy zamieszkaliśmy w wydzierżawionej od ministra Bertoniiego willi i to było naszym ratunkiem. To, co się w okolicach Warszawy działo opisać trud-

no. Wszystko co było jakimś dachem kryte służyło za schroniska dla niezliczonych wysiedleńców.

Zgodnie z układem kapitulacyjnym ludność musiała opuścić miasto, które według oświadczeń Niemców miało stać się fortecą przeciw Sowiетom. Powtarzali stale słowa: *Festung Warschau*. Dodać muszę dla sprawiedliwości historycznej, że od czasu, kiedy w sierpniu komendę wojskową pod Warszawą objął generał von dem Bach, wiedzieliśmy, z kim rozmawialiśmy. Jak długo siedział w Ożarowie, wszystkie obietnice zostały dotrzymane. Zastąpił on oddziały rosyjskie, ukraińskie i kałmuckie regularnym wojskiem niemieckim. Skończyły się masowe mordy, głównie w celach rabunkowych, jakie podczas powstania miały miejsce przy wypędzaniu ludności ze zdobytych dzielnic miasta. Boże mój, ilu najlepszych naszych ludzi zginęło od tych band zbójeckich, którymi Niemcy w Warszawie się posługiwali! Po układzie kapitulacyjnym groza ta ustała. Co zaś do mienia, to nie było już wypadków rabunków ze strony stróży bezpieczeństwa, jak dawniej. Inna rzecz, że objuczeni koniecznymi, a czasem i zbędnymi rzeczami właściciele po kawałku porzucali je, nie mogąc unieść ciężarów tyle kilometrów. Główny exodus kierował się na Pruszków, do olbrzymich magazynów kolejowych.

Nieszczęście chciało, że energiczny i dotrzymujący słowa — co było dla mnie niespodzianką po pięciu latach wojny — generał von dem Bach, komenderując tak wielką armią, nie mógł już pilnować wykonania umowy kapitulacyjnej przez siebie podpisaney. I tu rozpoczął się dramat. Jednak widać było, że wielka machina wojenna Niemiec zaczyna już nie pękać, ale rozlatywać się na naszych oczach. Tego cośmy przeszli na przestrzeni trzech miesięcy do grudnia 1944 r. pióro ludzkie nie jest w stanie opisać.

Po odejściu do niewoli niemieckiej AK z generałem Borem na czele posiedzenia ewakuacyjne odbywane codziennie w Pruszkowie zdawały się wskazywać na to, że ewakuację przeprowadzą władze cywilne z gubernatorem Fischerem na czele. Z nim odbyliśmy przy obecności prezesa Tchórnickiego z Krakowa pierwsze zebranie. Do tego dołączył potem nowy szef Gestapo, pułkownik Geibel. Wojsko powoli się wycofywało i czasem tylko brał udział w naradach zawsze mały rangą oficer, co nie bardzo pasowało do najwyższego dygnitarza administracji i szefa Gestapo. Fischer urzędował w Sochaczewie, mieszkał w pięknym pałacu w Czerwoncu. Geibel był człowiekiem w sile wieku, bardzo wykształconym i inteligentnym, co podnoszę, gdyż to

miało później mieć decydujący wpływ przy ewakuacji mienia kultury, jedynej chyba sprawy, która po tym pogromie i nieszczęściu słuszną dumą napawać mogła tych, których pieczy była powierzona.

W ciągu tego straszego października pomiarkowaliśmy, skąd wiatr wieje. Machnicki, profesor Lorentz i ja naradzaliśmy się codziennie w małym gronie w jakiejś kawiarence w Podkowie Leśnej i zdecydowaliśmy grać na jedną kartę — pułkownika Geibla. To była wtedy jedyna realna siła, której przeciwstawić się wszyscy dygnitarze cywilni nie byli w stanie. To pociągnięcie było mądre. Geibel znał się na sztuce i nieba zesłały Lorentza, który swą wszechstronną wiedzą fascynował Geibla. Profesor Lorentz dobrze mówił po niemiecku, więc był idealnym pośrednikiem nie tylko w sprawach sztuki. Spory kompetencyjne się skończyły, Geibel wystawił nam żelazne listy, bez których oczywiście, po całkowitym obsadzeniu wypalonej Warszawy przez wojsko, nikt kroku nie mógłby zrobić, zaś Muzeum Narodowe było położone tuż nad Wisłą. Wróć jeszcze do tej kwestii.

W niedzielę 29 października odwiedził mnie Mieczysław Hoffman, który tyle serca i ofiarności okazał sprawie publicznej. Nazajutrz przyjechał do naszego biura w Pruszkowie. Gmach oblegały tłumy za glectami, zapomogami, odzieżą. Wszedł na trzecie piętro i ucieszył się, że przywiozłem mu z jego mieszkania futro i płaszcz, gdyż zima się rozpoczynała. Kiedy pakował to wszystko, ruszył go paraliż. Zawieźliśmy go do pobliskiego szpitala, gdzie umarł w trzy godziny później. Polecieliśmy wypłacić 30 tysięcy zł na pogrzeb, bo jak prawie wszyscy i on wtedy był bez środków.

Urzędowaliśmy od godziny 7,30 i codziennie rano zjawiał się w biurze profesor Lorentz po pieniądze i transporty. Nigdy nie wyszedł z niczym. Na wieczną chwałę rządu podziemnego powiedzieć muszę, że dostarczał szczerze środków na ratowanie mienia kultury. Co to znaczy, niewielu dziś zrozumie. Zapiisałem w notatniku: „Transport do Piotrkowa, wóz w jednego konia 120 tysięcy zł!”.

Wreszcie zdobyliśmy jakieś ciężarówki, to znów brakło benzyny. Więc jazda do Sochaczewa i gubernator dał benzynę i przy tej sposobności poruszyłem z oburzeniem sprawę dwóch wagonów odzieży, która przysłała ze Szwecji. Komendant obozu, stary pułkownik, kazał na własną rękę otworzyć wagon przeznaczony dla nas. Mieliśmy satysfakcję, że wszystko oddano, a pułkow-

nika za trzy dni nie było. Co za zmiany w tych ostatnich miesiącach!

Dnia 1 listopada wyjechałem do Warszawy. Był to obraz z piekła Dantego. Miasto płonie. Na Marszałkowskiej i Kruczej widzimy co chwila zapadające się ściany gorejących domów, a inne grożą zawaleniem. Dym, śwąd, gorące popioły, zgłiszcza, groza i potworność.

W mieście była ekipa 400 ludzi, wszystko prawie inteligentów, których zadaniem było zbieranie z opuszczonych domów odzieży, a głównie pościeli i kołder. Szła zima, a nawet naprędce sklecone prymitywne lazarety, jak w fabryce Tudor, nie miały bielizny ani przykryć. Wszystko poszło z dymem pożarów albo zostało rozszabrowane przez tysiące wracających po swoje czy przeważnie cudze mienie, mimo że każdej chwili groziła im śmierć, gdyż brak legitymacji był wyrokiem śmierci.

I tu także przychodziły mi różne refleksje. Jak długo w Warszawie trwało powstanie, dyscyplina moralna społeczeństwa nie miała chyba sobie równej w historii. Taki osobisty drobiazg: kiedy ze względu na położenie domu pod numerem 1b przy Piusa XI skorzystaliśmy z gościny pani Poznańskiej, zostawiliśmy duże i zasobne mieszkanie na łaskę losu. Żaden pokój nie był zamknięty, to był nakaz ze względu na AK. Pod koniec powstania byłem znów na starych śmieciach i dosłownie nic nie zginęło. Trzewiki, ubrania, zapasy kawy i mąki były nietknięte, tak, że mogliśmy jeszcze wówczas dokarmiać około trzydziestu ludzi, którzy co południe przychodzili na kaszaną zupę.

A co się działo, kiedyśmy ratowali co się dało z płonącej i opuszczonej przez ludność Warszawy?! Najgorsze było, że między policją niemiecką a rabusiami utworzyła się swoistego rodzaju spółka i rabowali w zupełnej symbiozie. Geibel, przy absolutnej dobrej woli, cośmy zgodnie stwierdzili, nic zgoła nie mógł zrobić, choć kazał wykonać kilka egzekucji na tych stróżach bezpieczeństwa. Miasto się paliło i ludzie w tym dziwnym tańcu między życiem a śmiercią — cóż wówczas warte było istnienie czy śmierć jednego człowieka? — tracili zmysły.

Szefem ekipy ratowania resztek tak potrzebnego a skazanego na zagładę mienia był senator Drozdowski. Byliśmy pełni szacunku dla jego bezinteresownej pracy, ofiarnej i pełnionej w warunkach nie do opisanego. Musiałem co kilka dni jechać do Warszawy dla rozmów na miejscu z pułkownikiem Geiblem. Spraw pilnych były setki. Głównie jednak trzeba było pomóc prof. Lorentzowi i jego ofiarnej ekipie. Jeździłem tam, kiedy nie było możliwości odmówienia prośbom Drozdowskiego czy

Lorentza. Te trzy miesiące — już po powstaniu, gdzie przeżywaliliśmy dni nadziei, a czasem triumfu — pozostaną mi do grobu w pamięci jako najcięższe przeżycie mej ziemskiej pielgrzymki.

Zanim zakończę o wędrownie tłumów warszawskich wychodzących ze swego rodzinnego miasta boso i nago w nieznanne, muszę w kilku słowach nakreślić tło polityczne, na jakim odbywała się nasza praca.

A więc rząd podziemny oczywiście opuścił Warszawę. Obawialiśmy się w ostatniej chwili represji ze strony Niemców już po wyjściu AK. Głównie chodziło o naczelnych ludzi i tych członków AK, którzy z rozkazu pozostali, gdyż kapitulowała tylko Warszawa, nie zaś całość Armii Krajowej. Bór był nieugięty na tym punkcie i słusznie i uczciwie postąpił, odpowiadając na niezliczone próby Niemców, że jakiegokolwiek z jego strony deklaracje czy zarządzenia uważane byłyby przez AK za wymuszone.

W układzie podpisanym z płk. Geiblem RGO uzyskało prawo wystawiania przepustek dla swych urzędników i osób zajętych ewakuacją. Bóg jeden wie, ile przepustek wydaliśmy najwyższym czynnikiem władz podziemnych, którzy w ten sposób mogli miasto bezpiecznie opuścić i nie zdarzył się ani jeden „wypadek”.

St. Jankowski, Jasiukiewicz i szereg innych najwybitniejszych osób znalazło się wtedy w okolicach Warszawy. Dla Jankowskiego i Jasiukiewicza zdołaliśmy zdobyć pokoje w domach absolutnie pewnych. Była to wielka troska, gdyż wodzowie podziemia zdekonspirować się nie mogli wobec niewiadomych, jakie każdej chwili mogły powstać. Wówczas w Podkowie miałem pierwszy stały kontakt z delegatem, którego ciągłość została przerwana, kiedy „zginął” jako członek prezydium RGO w Warszawie i został mianowany delegatem Rządu. W tym czasie — do zajęcia Warszawy przez Sowietów — miało to dla naszej sprawy wyjątkowe znaczenie.

Niemcy mieli wtedy większe kłopoty niż gonienie za wódzami roboty podziemnej. Nie wiem, czy mieli wówczas informacje o nowych kryjówkach członków rządu podziemnego, lecz nie nikomu się nie stało.

Zaraz po ewakuacji miasta Jankowski przydzielił Jasiukiewicza jako pełnomocnika do RGO. Spadł nam kamień z serca, bowiem jakaż wówczas była sytuacja? Kraków był daleko i wobec powstania musieliśmy zająć w Warszawie stanowisko — „ratujmy co możemy”. Kraków, jak później widzia-

łem z lekkomyślnych opinii kilku eks-hrabiów, którzy na „inspekcje” po powstaniu licznie do Warszawy zjeżdżali, błędnego pojęcia nie miał o rozmiarach klęski i cierpienie Warszawy.

Wtedy rząd podziemny ratował naszą sytuację zawisłą w powietrzu. Po wojskowej kapitulacji, pozbawiony możliwości szerszego działania, całą swą pracę i energię mógł poświęcić ewakuacji ludności Warszawy. Rząd podziemny był wtedy podstawą naszego działania i jego wskazówki były miarodajne. On aprobował pracę i na zewnątrz brał odpowiedzialność za nasze poczynania. Chcąc możliwie osłonić działalność pełnomocnika rządu, ministra Jasiukiewicza, przy zarządzie RGO, wynajęliśmy dla niego pokój w Pruszkowie, gdzie był punkt zborny członków rządu i naszego zarządu.

Jasiukiewicz, którego od lat znałem, był człowiekiem wielkiego wykształcenia, taktu i kultury. Przy moim krewkim temperamencie, a spokoju i prawie flegmatycznym usposobieniu J. Machnickiego nieraz dochodziło do wymiany zdań bardzo ostrych co do załatwienia setek problemów nie bardzo łatwych. Koniec końców, dzięki temu układowi sił, współpraca była dobra i wspominam ją wdzięcznie.

W dzień zaduszny 2 listopada 1944 r. od wczesnego rana byliśmy w naszych norach biurowych na drugim piętrze pruszkowskiego magistratu. Codziennie był ten sam koszmar. O 10-ej rozpoczynała się narada przy ulicy Wolskiej, dokąd przepychaliśmy się wśród tłumów ludzi goniących za przepustkami niemieckimi do Warszawy. Wspominam o tej konferencji, gdyż była punktem zwrotnym w obronie resztek mienia kulturalnego, jakie w Warszawie pozostało.

Na konferencji był gubernator Fischer, który przewodniczył, wicegubernator dr Gollert, reprezentant generała Lüttwita kapitan Rabe, dr Rodig, szef ewakuacji miasta, prezes Machnicki i ja oraz — co było decydujące — szef policji, pułkownik Geibel. Był też pierwszy raz profesor Lorentz, dyrektor Muzeum Narodowego. Kosztowało dużo trudu, aby Fischera przekonać o konieczności zaproszenia dr. Lorentza. To zupełnie przypadkowe spotkanie Geibla z Lorentzem zadecydowało, moim zdaniem, o uratowaniu tego, co z pożogi wojennej jakimś cudem pozostało. Na zebraniu wygłosiłem na prośbę Machnickiego przemówienie, w którym pod koniec powiedziałem, że historia będzie okrutnym ale sprawiedliwym sędzią wobec każdego, kto mając w ręku władzę, zaniedba ratowania dzieł kultury, która jest własnością ogółu ludzkości. Kiedy gubernator na moją prośbę udzielił głosu Lorentzowi, obserwowałem twarz

Geibla, który z napięciem słuchał fascynującego referatu tego spokojnego, rzeczowego uczonego. Geibel nie pozwolił, aby mu Fischer przerwał. Kiedy Lorentz skończył, nastąpiła cisza i Geibel oświadczył, że wobec nacisku wojska ma do dyspozycji bardzo mało czasu i dlatego trzeba wywakuować tylko rzeczy najcenniejsze. Zgodni byli z Fischerem, że profesor Lorentz musi stanąć na czele tej roboty.

W ponurych kartach mych zapisków z tego czasu jest to jedyny świetlany przebłysk. I tak losy zrzędziły, że wskutek bezczynności wojsk sowieckich aż do końca roku robota szła całą parą.

Już nazajutrz wyjeżdżaliśmy z Lorentzem na Wolską, skąd nas do Warszawy zabrał płk Geibel i zawiózł wprost do Muzeum Narodowego. Nie zapomnę tego obrazu zniszczenia, potworności i poniżenia. Olbrzymi, piękny, solidny gmach sterczy zawalonymi dachami i wyrwanymi oknami.

Geibel, który od niedawna był szefem policji, zdawał się być równie przejęty tym niesamowitym widokiem jak my. Drogocenne monstrancje leżały wśród gruzów na zabrudzonych kamiennych i marmurowych podłogach. Niesamowity widok przedstawiał znaczny i cenny zbiór polskiej porcelany Belveder, Baranówka, Korzec. Biblioteka artystyczna, 15 tysięcy tomów, w poniewierce. Byliśmy z Lorentzem niewymownie smutni. Zauważył to Geibel i powiedział: „Wiem, że to kiepska pociecha, ale w Niemczech trzysta takich muzeów leży w gruzach”.

Rzadko widziałem człowieka, do którego można by tak trafnie zastosować powiedzenie łacińskie *contra spem sperare* — jak do Lorentza. Zabrał się do roboty, organizując zespół młodych uczonych, którzy byli mu oddani, pracując o głodzie i chłodzie.

Szacunek, jakim Lorentza darzył Geibel był gwarancją, że o ile tylko czas nie będzie za krótki, to uratuje się maksimum. Geibel był wówczas najpotężniejszą figurą w tych strzępach władzy, jaka pozostała po zburzeniu Warszawy w ręku Niemców. Stwierdzam, że gdyby nie jego całkiem niezwykła pasja dla sztuki i respekt, jaki miał dla głębokiej wiedzy Lorentza, ewakuacja mienia kultury w tej rzeczywistości w jakiej żyliśmy, nie byłaby możliwa.

Jak już mówiłem, czas wtedy przeżywany był najokropniejszy, jaki można sobie wyobrazić. Garstka ludzi z RGO, jedynej instytucji jaka działała w Warszawie czy ściślej mówiąc, na



zapleczu stolicy, miała na głowie i na swym sumieniu tysiące problemów. Tak się złożyło, że P.C.K. na skutek wrogiego nastawienia Niemców prawie nie działał. Podziwiałem siły i wytrzymałość duchową hr. Marii Tarnowskiej, która z poświęceniem graniczącym z bohaterstwem ratowała przy pomocy swej ekipy, co się uratować dało z bogatego mienia tej zasłużonej instytucji. Jednakże rabunki przy zupełnej anarchii, przy braku jakiegokolwiek zorganizowanej policji przybierały rozmiary nie dające się opisać. W trzech ostatnich miesiącach r. 1944 trudno było opanować tyle problemów natury materialnej i moralnej. Co godzinę mieliśmy raporty urzędników RGO lub Czerwonego Krzyża o niesamowitych rabunkach z magazynów, o szantażach i o pospolitych zbrodniach.

Jak długo istniały nasze dobrze funkcjonujące sądy podziemne, tysiące spraw załatwiano w sposób zgodny z pojęciami prawnymi i moralnymi. Teraz pozostała próżnia, którą wypełniała jakaś kompletnie zdemoralizowana policja polowa. Co było robić, szukać pomocy u niej? To było nie do pomyślenia. Elementy zbrodnicze były tym śmielsze, że miały zagwarantowaną bezkarność. Zdarzały się rzadkie wypadki, że jakiś rabuś nie doszedł do zgody z niemieckim policjantem. Wówczas w te pędy zjawiali się znajomi czy krewni „ofiary”, żądając interwencji u najwyższych czynników niemieckich w imię patriotyzmu i obowiązku narodowego. Na szczęście koszmar ten trwał tylko trzy miesiące, lecz i to było za dużo na nerwy normalnego człowieka. Sypały się bowiem niespodzianki moralnej natury, miał się nawet zdarzyć wypadek wewnętrzno-polityczny w naszym obozie. A było to tak.

Von dem Bach a później pułkownik Geibel, z którym RGO zawierało ewakuacyjne umowy wykonawcze, honorowali formalnie swe zobowiązania, to wyraźnie oświadczam. Ale wędrówka setek tysięcy ludzi była niesamowita. Każdy zabierał co mógł i objuczony tobołami wyruszał z tłumem towarzyszy niedoli w stronę Pruszkowa. Pewnego dnia widziałem na ulicy Filtrowej stosy porzuconych tobołów. I tak było aż do samego Pruszkowa, oddalonego kilkanaście kilometrów od Warszawy. Mienie jakie pozostało w palącej się stolicy nie da się żadną cyfrą określić. Mam wrażenie, że jakkolwiek cyfrę by się wymieniło, każda byłaby za mała.

Zawarty układ miał być wykonany przez gubernatora. Wnet się jednak okazało, że władza cywilna była już tylko cieniem. Zaraz po zawarciu układu o ewakuacji, dnia 4 października, zjechał do Pruszkowa prezes RGO dr Konstanty Tchórznicki, który

przez cztery dni razem z nami w obecności generała von dem Bacha i szefa administracji cywilnej G.G. von Craushara brał udział w naradach n/t klauzul wykonawczych dotyczących ewakuacji. Podkreślam to ze szczególnym naciskiem z powodu sporu, jaki miesiąc później miał powstać między Warszawą a Krakowem. Używam tego szerokiego określenia, aczkolwiek zatarg zaistniał między zarządem RGO w Warszawie a Trzóchnickim, prezesem centrali w Krakowie. Nie był to oczywiście spór osób, a spontaniczny wybuch dynamitu, spoczywającego gdzieś na dnie opinii publicznej w Warszawie i w Krakowie, a który nagromadził się w ciągu trwania okupacji. Siła wybuchu spotęgowała się na skutek całkiem odrębnych punktów widzenia dwóch czołowych miast polskich.

Warszawa dźwigała na swych barkach główny ciężar okupacji. Od początku do końca nie okazała nawet cienia kompromisów. Cała zwierzęca nienawiść Hitlera skierowana była na nią. Od września i płomiennych mów bohaterskiego prezydenta Starzyńskiego aż do końcowego, doszczętnego zniszczenia jednej z piękniejszych stolic świata.

Frank z różnych łatwo zrozumiałych względów obrał za stolicę swojego krótkotrwałego królestwa Kraków. Na zewnątrz głosił, że to zasłużona kara dla tego zapowietrzonego miasta, które po wieki wieków przestanie być siedliskiem wiecznego buntu. Prawdą było, że decydował tu śmiertelny strach o własną skórę, decydowała wygoda osobista, gdyż nietknięty był królewski Wawel i miasto. Ludność jeszcze z austriackich czasów o ileż spokojniejsza i do małomieszczańskich wygód przyzwyczajona. Oddał Warszawie przez swą decyzję wielką przysługę, bo jednak Fischer to nie Frank. No i ochrona takiej figury pociągałaby za sobą konieczność dalszych pułków Gestapo, a i bez tego roiło się od niego w Warszawie.

Kraków w przeciwieństwie do Warszawy w czasie całej wojny wegetował, Warszawa żyła. Tam panował kwietyzm — tu dynamizm. Ile razy przyjeżdżaliśmy z Machnickim do Krakowa, prawie co miesiąc, spokój w porównaniu z Warszawą wydawał nam się niesamowity. Pamiętam raz tylko trochę poruszenia, kiedy do ogromnych ciężarówek gestapowcy zabierali mężczyzn z kawiarni i restauracji. Przypadek chciał, że o włos nie dostaliśmy się do takiej budy, będąc na obiedzie w Hotelu Dworcowym. Na szczęście wyszliśmy pięć minut wcześniej.

Poza tym tylko rzadkie w porównaniu z Warszawą łapanki obruszały umysły krakowian. Często też musieliśmy słuchać wy-

rzutów, że coraz bardziej gwałtownym represjom Niemców winne są wyczyny Warszawy. Były nawet dość gorące wymiany zdań z powodu zabójstwa Kutschery. Spory te łagodził jak mógł książę metropolita Sapieha, którego żywa natura rozumiała warszawian. Kiedy więc ubyło w RGO Ronikiera, który przez swoje gadulstwo sprawił władzom podziemnym niejedną kłopot, to nawet jego zdecydowani wrogowie spostrzegli się, jaką klęską stał się brak tego człowieka, którego odwaga, wielkie serce i ofiarność nie miały równych. RGO, która pod jego kierownictwem niezliczone razy interweniowała z narażeniem całości organizacji, na przykład w sprawie Żydów, łapanek, czy wywożenia ludzi do obozów pracy, kiedy wybuchło powstanie, jakby o Warszawie zapomniała.

Gabinet (*sit venia verbo*) urzędniczy RGO urzędował. Może też coś zrobił na małą skalę, nie wiem. To wiem, że podczas całego trwania powstania nie posłano nam *jednego słowa otuchy*, ba, jednego znaku życia. Dochodziły nas tylko głuche słuchy, że Kraków jako całość krytykował powstanie, a nawet niektórzy księża z ambon nie szczędzili zarzutów. Szlachetny ks. Sapieha miał z tym niejedną kłopot, jak mi sam o tym opowiadał w grudniu 1944 r.

Animozja urosła do niespodziewanych rozmiarów, kiedy rzesze wygnańców warszawskich w poszukiwaniu schronienia zaczęły zaludniać Kraków, licząc na pomoc krewnych, przyjaciół czy znajomych. Niechęć do niepożądanych przybyszów była tak wielka, że lwia część warszawian wolała wracać po kilku tygodniach na ruiny i zgliszcza Warszawy, niż pozostać w Krakowie. Sam będąc w Krakowie na początku grudnia doznałem jak najserdeczniejszego przyjęcia w domu starych mych przyjaciół, doktorostwa Bednarków, poznańczyków zresztą, osiadłych od początku wojny na lekarskiej praktyce w Krakowie. W tym czasie spotykałem setki znajomych warszawiaków po restauracjach, które jak grzyby po deszczu wyrosły w Krakowie dzięki ich pomysłowości. Nasłuchałem się tylu przykrych uwag, żalów i złorzeczeń, że był to jedyny wypadek w moim życiu, gdzie zacząłem tracić wiarę w świętość wspólnoty narodowej, która w narodzie była jakby dogmatem naszej tradycji. Kładę to jednak na karb ludzkiego wyczerpania czysto fizycznej natury, gdyż był to epizod pojedynczy i na szczęście krótkotrwały.

Na tym tle powstał po pięcioletniej pracy naszej w RGO konflikt, nieunikniony zresztą, jeżeli się zważy, że Warszawa tworzyła sama 60% opieki, jaką wykonywała całość RGO we

wszystkich dystryktach i że czasu powstania zarząd warszawski skazany był na swoje własne siły, nie mając słowa dyrektywy czy otuchy. Sytuację naszą jednak łagodziła okoliczność, bez której nie było do pomyślenia, aby wziąć na siebie odpowiedzialność za decyzje, które w tych warunkach mogły mieć nieobliczalne skutki polityczne.

Okolicznością tą był fakt, że rząd podziemny z Jankowskim i Jasiukiewiczem na czele znalazł się poza stolicą. Już powiedziałem, że odcinek opieki społecznej przydzielony został przez rząd podziemny Jasiukiewiczowi w najwyższej instancji oraz wydelegowanemu specjalnie do tego działu Franciszkowi Białasowi. To było błogosławieństwem, gdyż choć nie obawialiśmy się nieludzkiej pracy, nie chcieliśmy i nie mogliśmy brać na siebie odpowiedzialności wobec setek problemów, jakie powstawały. Tymczasem RGO w Krakowie, pod przewodnictwem Tchórznickiego „amciła” dalej, jak gdyby nic się nie stało.

Korzystając więc z czterodniowego pobytu Tchórznickiego w Pruszkowie, nie tylko uzgodniliśmy z nim dalszy tryb pracy, zaakceptowany potem przez Jasiukiewicza, ale zażądaliśmy, aby Centrala w ciągu kilku dni opracowała program i zorganizowała pomoc na wielką skalę dla setek tysięcy wypędzonych ze swych siedzib warszawian. Program taki nigdy nie nadszedł.

Bezpańskiego mienia ludności cywilnej z obszaru kapitulacyjnego Warszawy, zgodnie ze sprawozdaniem złożonym radzie do 1.XII.1944, wywieziono za sumę około 50 milionów złotych. Rzeczy te wydano w 71% na szpitale, sierocińce i placówki RGO, wreszcie na ludzi przechodzących przez obóz przejściowy w Pruszkowie. Obliczono, że około 40 tysięcy osób zostało zaspokojonych z tego rozdziału. Pomijam liczne zachowane dokumenty i kończę na tym, że w tym nieopisanym chaosie, który trudno sobie wyobrazić, działy się rzeczy niesamowite.

Mieliśmy setki relacji senatora Drozdowskiego o rabusiach i „szabrownikach” a sam widziałem również wypadki niezwyklej nierzeczy i podłości ludzkiej. Niemcy kontrolowali pakunki, ładowane na furgony, których dostarczyło wojsko. Nazwiska czołowych ludzi RGO były im znane, więc kilku sprytnych a jeszcze więcej podłych szabrowników wpadło na pomysł wysłania kilku kufrów na adresy członków zarządu do Podkowy Leśnej, Milanówka czy Żyrardowa. Pewnego dnia przywieziono do mnie do Podkowy dwa potężne kufrы z pięknie wykaligrafowanym adresem. Po otwarciu okazało się, że zawierały bezcenne wtedy medykamenty szwajcarskie. Kazałem wszystko odwrotnie wysłać do działu zdrowia RGO. Ucieszyli

się nasi ofiarni lekarze. Pod wieczór zajechała furka i jakiś pan w dobrym futrze prosił o zwrot „zdeponowanych”, jak mówił, dwóch kufrów. Był arogancki i wyzywający. Na szczęście dom był wówczas przepelniony uciekinierami. Wskoczyło dwóch z naszego mieszkania i w ich towarzystwie przepędziliśmy gościa z obwieszczeniem, że gdyby się raz jeszcze odważył zakłócić spokój domu, nie cofniemy się przed niczym, gdyż hieny muszą być wytępione ogniem i mieczem.

Na szczęście były to wypadki sporadyczne, nie mogące splamić obrazu całości. Raczej dziwić się można, że w tym apokaliptycznym potopie zło nie zdołało wziąć góry nad dobrem, przeciwnie, dobro zwyciężyło. Nawet wtedy, kiedy naród przechodził największe nawiedzenie swej historii.

Z kilkudziesięciu stron notatek strasznego listopada 1944 r. jedną tylko tu przytoczę. Na początku miesiąca przyjechała delegacja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Ze Szwajcarii dr Vyss, a ze Szwecji pastor Helmquist.

Dnia 13.XI.44 r. odbyła się u gubernatora mieszkającego wówczas w pałacu w Czerwoncu pod Sochaczewem narada w sprawie ratowania wywakuowanej ludności. Na ich zapytanie czego najbardziej potrzeba odpowiadam: butów i odzieży. Vyss informuje, że zakupiono 600 tysięcy kompletów ubrań. Za dwa tygodnie wysłane zostaną w dwóch partiach, jedna przez Szczecin, druga przez Marsylię.

Helmquist, wielki przyjaciel Polski, wygłosił wobec zgromadzonych dygnitarzy niemieckich przemówienie, które imponowało męstwem osobistym i uhonorowało jego ojczyznę! Niemcy osłupieli, ale żaden z nich nie ośmielił się zabrać głosu.

Po południu wyjazd z delegacją zagraniczną do Warszawy. Jedziemy do Muzeum Narodowego. Następnie zwiedzamy Aleje Ujazdowskie, Aleję Szucha i poselstwo szwedzkie. Wrażenie było tak przygnębiające, że Helmquist, którego byłem dawnym znajomym, dopiero po wyjeździe z miasta zaczął rozmawiać. Oniemiał — jak mówił!

Kiedy w roku 1946 byłem w Sztokholmie, byłem gościem tego szlachetnego Szweda. Nigdy tego wspaniałego człowieka nie zapomnę.

W listopadzie na froncie było cicho. Był to okres, gdy Niemcy znów na kilkanaście dni przestali wierzyć w rychłą ofensywę i zaczęli przygotowywać okolice Warszawy do obrony. W dniu 16 listopada zawiadzał nas do Sochaczewa dr Gollert, aby wpłynąć — na żądanie wojska — na ludność, aby posu-

wała się dobrowolnie na zachód, ze względu na wielkie przygotowania militarne naokoło Warszawy. Gollert był człowiekiem roztropnym i podzielał nasze zdanie, że to jest rzecz niewykonalna. Zapewne niewiele by to pomogło, gdyby nie konferencja pułkownika Geibla, odbyta w dniu 24.XI. z kometenderującym armią pod Warszawą generałem von Lüttwitz. Po przyjęciu do wiadomości naszego memoriału odstąpił on od ewakuacji tak zwanej trzeciej zony, prosząc tylko, aby ludność nie wracała z miejsc, do których się posunęła. Był to niezwykły sukces, gdyż dalsza ewakuacja miałaby nieobliczalne skutki. Nikt tak się nie cieszył tą wiadomością jak delegat Rządu, którego oczywiście natychmiast o tym poinformowaliśmy w Podkowie.

W tym czasie odwiedzał mnie były ambasador w Berlinie, Knoll, który niejedną dobrą radę nam podsunął. Pod koniec miesiąca dowiedziałem się, że ks. Janusz Radziwiłł został wypuszczony z Moabitu, dokąd go Niemcy wywieźli po upadku Starego Miasta. Zdecydowałem pojechać do Łowicza, gdzie odbywałem naradę z komitetem łowickim, który przez ewakuację Warszawy wysunął się na czoło komitetów powiatów podwarszawskich. W Nieborowie zastałem taki obraz. W pałacu był około 60 rezydentów, przeważnie starszyzny z kół elity naszej inteligencji. Wszystko to ogołocone z wszelkiego mienia i zdeklasowane. Gospodarze zachowywali się rozczulająco.

Jednakże nie wyjeżdżałem z Nieborowa w równie podniosłym nastroju, co zwykle. Radziwiłł był przygnębiony, gdyż przeszedł straszne cierpienia w Moabicie. Na zaproszenie wyjazdu ze mną do Krakowa odpowiedział odmownie.

Jeżeli w naszym obozie pełno było sporów, co czynić należy, jak się ustosunkować do ratowania ludzi i mienia, jak zorganizować pomoc dla setek tysięcy wysiedleńców — wśród Niemców walka „duchów” była niewątpliwie znacznie większa. Spory kompetencyjne między wojskiem, Gestapo i administracją cywilną spowodowały opóźnienie akcji ewakuacji opuszczonego mienia ludności o trzy tygodnie. Będąc razem z Machnickim codziennie na posiedzeniach, widziałem z bliska zacięte walki tych trzech dykasterii. Zwyciężył pułkownik Geibel, najwyższy dowódca policji. Było szczęściem, że na jego kartę stawialiśmy od początku.

Dnia 30 października odebraliśmy depezę od Tchórzniczego, datowaną dnia 28, wzywającą zarząd warszawski RGO do zaprzestania dalszej ewakuacji mienia prywatnego. Równocześnie zapraszano nas na posiedzenie Rady do Krakowa na

dzień 7 listopada. Kilka dni później nadszedł list, potwierdzający depezę oraz zawierający następujące uwagi... „Powyższa decyzja została powzięta na skutek otrzymanych wiadomości, że warunki na jakich RGO miała współpracować przy ewakuacji mienia prywatnego ludności m. Warszawy i dobra kultury i sztuki w istocie swej zostały zmienione...”.

Jakkolwiek prawdą było, że wskutek sporów kompetencyjnych wśród Niemców termin ewakuacji mienia się opóźnił, to prawdą było również, że pracę rozpoczęła nasza ekipa 21.X. Niemcy przewidywali na tę pracę dziesięć dni. Było to oczywiście śmieszne, ale wszystko zależało od sytuacji na froncie. Nikt nie mógł „ewakuować”, gdyby się ruszył front rosyjski. Niemcy, z którymi musieliśmy się spotykać codziennie byli zdania, że sowieckie wojska ruszą lada chwilę. W każdym razie płk Geibel zapewniał, że termin przedłuży, o ile nie rozpoczną się działania wojenne. Jakoś się nie rozpoczęły i ewakuacja postępowała.

Depesza Tchórnickiego i długi list wzywający do przybycia do Krakowa, a także kopia jego pełnego niedokładności listu do generalnego gubernatorstwa wzburzyły nas i również opinię miarodajnych czynników warszawskich do białości. Jak mogliśmy wyjechać w tych strasznych warunkach na posiedzenie Rady do Krakowa?! Tymczasem Kraków palcem w bucie nie kiwnął, aby wysłać kompetentnego pełnomocnika do Warszawy w sytuacji, o której naturalnie przeciętny człowiek w Krakowie nie miał bladego pojęcia.

Na orędzie Tchórnickiego odpowiedzieliśmy depezą następującej treści: „W konsekwencji uchwały z 27.X.1944 bez naszej obecności powziętej składamy nasze mandaty w RGO w Krakowie i w Warszawie. Protestujemy przeciw sposobowi załatwiania najcięższych problemów. Protestujemy jako członkowie prezydium RGO centrali przeciw powzięciu uchwał o nas bez nas. Wzywamy Pana razem z naczelnym dyrektorem Seyfriedem do natychmiastowego przyjazdu do Pruszkowa, celem przejęcia agend po uchwaleniu pełnomocnictw dla Panów przez plenum. Oczekujemy telegraficznej daty przybycia”.

Depeszę sam pisałem, gdyż znając kompromisowość i delikatność Machnickiego wątpiłem, czy ją podpisze. Ku memu zdziwieniu powiedział, że tę ostrą odpowiedź uważa za zbyt delikatną. Tego samego dnia wiedział o tym delegat Rządu, który mieszkał w Podkowie blisko nas. Zaaprobował nasze stanowisko, mówiąc tylko z przekąsem do mnie: „To pan proponował Tchórnickiego na następcę Ronikiera”. To było prawdą. Jed-

nakże powtarzam, osoby w grę tu wchodzące są drugorzędnego znaczenia. Spór był zasadniczy między Warszawą a Krakowem.

Kraków wysłał do Pruszkowa dyrektora Seyfrieda. Już dawniej mówiłem, że była to najtęższa głowa w RGO w Krakowie. Czuł się niedobrze w towarzystwie, jakim się otoczył Ronikier, a później Tchórznicki, ale radził sobie z tym balastem. Kiedy zawieźliśmy go do Warszawy, był tak wstrząśnięty, tak zdruzgotany, że wieczorem prawie mówić z nami nie mógł. Został kilka dni. Ponieważ nie było dalszych podstaw prawnych dla naszego urzędowania po rezygnacji, pozostawił pełnomocnictwa, prosząc nas o dalsze pełnienie obowiązków, tak w RGO jak i doradców przy guberni, również jako upoważnionych do rozmów z komenderującym generałem wojsk v. Lüttwitzem w sprawie dalszej ewakuacji ludności na zachód. Od tego Lüttwitz odstąpił, ulegając naszym argumentom popartym przez płk. Geibla, także co do ewakuacji mienia kulturalnego.

Jeżeli o mnie chodzi, nie bardzo mi to wszystko odpowiadało. Byłem zawzięty i odczułem jak rzadko niewdzięczność ludzką, mało, bezwzględność i przewrotność „rodakerii” — jak wtedy mówiłem. Tchórznicki przyjął naszą rezygnację, wzburzony tonem naszego telegramu. Obawialiśmy się, aby niemieckie władze nadzorcze nie zostały arbitrem w naszym domowym polskim sporze. Postanowiliśmy napisać memoriał na ręce delegata rządu i ks. metropolity Sapiehy, żądając sądu obywatelskiego między nami a Tchórznickim. Memoriał na 16 stronach przedstawia dokumentarny przebieg naszej pracy w Warszawie i RGO.

Machnicki wręczył egzemplarz wicepremierowi Jankowskiemu, odmówił jednak kategorycznie wyjazdu do Krakowa. Wobec stanowczej odmowy Machnickiego wyjechałem dnia 8 grudnia z bratem moim Andrzejem w nieprawdopodobnych warunkach do Krakowa. W sobotę 9 grudnia odwiedziłem najpierw profesora Feliksa Młynarskiego, z którym odbyłem dwugodzinną rozmowę. Przedstawiłem tło nieporozumień, jakie wynikły między Warszawą a Krakowem. Zarzucałem kierującym ludziom w Krakowie, że w tym bezmiarze nieszczęścia narodowego nie potrafili unieść się ponad ciasny prowincjonalizm. Krytykowanie motywów czy przebiegu powstania należy do historii. Obecnie baczyć trzeba, ażeby przez małostkowość, niezgodę i rozstrój wewnętrzny nie zaszkodzić przyszłości tak ciężko doświadczonemu narodowi. Obojętność, z jaką Kraków odniósł się do Warszawy zaszkodziła, moim zdaniem, rychlejszemu zawieszeniu działań powstańczych. Obecne zachowanie



się prawie wszystkich czynników krakowskich wobec Warszawy i jej nieszczęśliwej ludności pogłębia animozje i stwarza dzielnicowość, wobec której błędnie dawniejszy partykularyzm poznański w stosunku do reszty Polski. A przecież partykularyzm ten głównie w Krakowie znajdował tylu namiętnych krytyków, choć właśnie Kraków przez obsadę tysięcy stanowisk korzystał z całej Polski, a głównie z Poznańskiego i Warszawy.

Młynarski obszernie odpowiedział na moje wywody. Zgodni byliśmy, że trzeba skończyć z wzajemnym oskarżaniem się, a zabrać się do pracy organicznej, która pozwoliłaby ratować ludzi i resztki ich mienia. Tu, zdaniem Młynarskiego, RGO mogłaby odegrać wielką rolę przy pomocy swego aparatu organizacyjnego, gdyby nie to, że nie ma ona obecnie żadnego kierownictwa. Jest rozbita przez upadek Warszawy i przez coraz większą popularność w kraju Ronikiera, z którym obecny prezes nie potrafił wyrównać stosunków, jakkolwiek w przeszłości był jego najbliższym człowiekiem. Do tego dochodzi, że w obecnym swym składzie RGO nie ma dostępu do wyższych czynników administracji niemieckiej, co uniemożliwia jakkolwiek pracę w szerszym zakresie. Faktycznie kierownictwo RGO nie spoczywa obecnie w ręku czynników społecznych, a opanowane jest przez biurokrację, w której czynnik arystokratyczny jest przeważający. Młynarski uważał, że winieniem spotkać się z Tchórznickim na neutralnym terenie i omówić z nim z bezwzględną szczerością całokształt spraw. Odpowiedziałem, że uczynię to po rozmowie z Metropolitą, którego uważam za sumienie narodu.

Wprost od Młynarskiego poszedłem do pałacu arcybiskupiego i odbyłem godzinną rozmowę z Metropolitą. Był jak zawsze serdeczny i obiektywny. Ubolewał nad pochopnymi uchwałami Rady, które do reszty rozbiły społeczeństwo. Uważał, że Tchórznicki ma złych doradców. Niechętnie odniósł się do propozycji, aby moje spotkanie z Tchórznickim odbyło się u niego i w jego obecności. Przekonałem go jednak, że dobro publiczne tego wymaga, gdyż nie będzie to rozmowa dwóch ludzi prywatnych, a rozprawa między Warszawą a Krakowem. Metropolita wiedział, że mam poparcie miarodajnej opinii Warszawy, no i aprobatę Delegatury Rządu. Dla charakterystyki jego stosunku do Tchórznickiego wystarczy wskazać na okoliczność, że Metropolita nie był pewien, czy tenże jego propozycję przyjmie. Oświadczył jednak, że natychmiast się z nim porozumie i że nazajutrz, 10 grudnia w niedzielę, do godziny 13-ej da mi odpowiedź. Kiedy się z nim żegnałem, westchnął tylko: „Jaka

szkoda, że nie ma więcej pana Adama". Nigdy inaczej nie odzywał się o Ronikierze. Wręczyłem mu obszerny memoriał prosząc, aby nikomu o tym nie mówił i przechował go *ad meliora tempora*. Gdy wkładałem płaszcz, wsunął mi do kieszeni kilkanaście cygar, mówiąc żartobliwie, że chyba od trzech miesięcy ich nie miałem, bo widzi pan te szelmy (Niemcy) wszystko zrabowały.

Nazajutrz w niedzielę doniósł mi listem Metropolita, że spotkanie odbędzie się tego dnia o godzinie 16,30.

Rozmowa w jego obecności trwała trzy godziny. Mówiłem obszernie o całokształcie sytuacji politycznej, o powstaniu i o ewakuacji miasta, nie szczędząc oskarżeń i zarzutów pod adresem Krakowa i kierownictwa RGO, która późno zaczęła się interesować pod naporem opinii publicznej bezmiarem klęski narodowej i nie sporządziła żadnego programu pomocy na wielką skalę.

Następnie przedstawiłem konkretny program, aby ratować rozproszoną ludność stolicy przed głodem i chłodem. Oświadczyłem, że nie wyobrażam sobie wykonania takiego programu bez gruntownej reorganizacji całej Rady.

Tchórznicki odpowiedział początkowo również gwałtownie. Doszły do Warszawy wiadomości, że on sam wystąpił do G.G., aby zreformować Radę według klucza partyjnego, to jest, aby cztery stronnictwa polskie, tworzące dotąd rząd podziemny, weszły do prezydium Rady. Nie wierzyliśmy temu w Warszawie w kołach miarodajnych. Cóż, kiedy to była prawda, co Tchórznicki podczas konferencji u Metropolity potwierdził. Jasną było dla nas rzeczą, że Niemcy pod koniec wojny orientowali się względnie dobrze w arkanach polskiego podziemia. Wiedzieliśmy o tym choćby z rozmów z delegatem Berlina, radcą Föhlem. Nic jednak nie robili, mając najróżniejsze plany co do ewentualnego wykorzystania tych wiadomości, skoro w światlejszych głowach niemieckich świeciło przekonanie, że wojna jest przegrana. Jednakże uważaliśmy, że tak naiwne odsłonięcie kart z naszej strony było karygodną lekkomyślnością. Trzy dni później rewelację Tchórznickiego potwierdził mi jeden z najwplywowszych Niemców w G.G., radca Weirauch, o czym jeszcze będzie mowa.

Propozycję uzupełnienia Rady przez tak zwaną czwórkę, którą zrobił Tchórznicki, Niemcy w dniu 6.XII.44, odrzucili. Nie mogłem wyjść z podziwu, że nikomu z tego tytułu nic się nie stało.

Tchórznicki mówił dalej, że wobec odrzucenia jego propo-

zycji wszystko zostanie po staremu z tym, że w miejsce ustępujących członków Rady Warszawskiej zaproponował Rokosza i Stierne, z których ani jednego ani drugiego nie znałem. Tchórznicki uważał, że jego ustąpienie byłoby katastrofą, czego ani Metropolita ani ja nie podzielaliśmy. Ks. Sapieha pod koniec naszkicował krótko swoje zapatrywania w jednym punkcie — należy wyprostować front polski, bo inaczej władze niemieckie będą arbitrami w naszych sprawach. Do tego żadną miarą nie można dopuścić, chyba, że obrani z rozumu zaczniemy robić politykę lunatyków.

Tu rozmowa zeszała na fatalne stosunki osobiste, jakie wytworzyły się między gubernatorem warszawskim Fischerem a Tchórznickim. Jak mówił Tchórznicki — o czym nie wiedziałem — w czasie trwającego jeszcze powstania, kiedy byłem w Warszawie odcięty od wszelkich możliwości porozumienia się, Fischer wystosował bardzo przykry list pod jego adresem w odpowiedzi na list, jaki do niego skierował Tchórznicki. Byłem rozbrojony, kiedy Tchórznicki zapytał, czy walka z Fischere miałaby w tak zmienionych warunkach szanse powodzenia. Odpowiedziałem z punktu, że uważam to za wykluczone, wobec dużej pozycji jaką zajmuje Fischer i wobec faktu, że szef policji pułkownik Geibel — choć Fischera nie lubi — niewątpliwie stanie po jego stronie. Prosił mnie tedy Tchórznicki, aby podjąć się pośrednictwa w wyrównaniu tych stosunków, co przyrzekłem uczynić.

W rezultacie męczącej trzechgodzinnej konferencji zaprosił mnie Tchórznicki na plenarne zebranie RGO, które miało się odbyć nazajutrz wieczorem. Przyrzekłem udział w tym posiedzeniu wobec wyjaśnienia większości spraw na konferencji u Metropolity. Rozmowa skończyła się przyjaźnie. Przekonałem się, że nastawienie Krakowa do Warszawy polegało na naiwnych wprost wiadomościach i informacjach, jakie o rzeczywistości warszawskiej miał ogół krakowski. Mówię ogół, bo nawet najwybitniejsi ludzie, do jakich zaliczałem ambasadora Alfreda Wysockiego, przyjaciela mego od tyłu lat i członka komitetu warszawskiego, nie mieli pojęcia o rzeczywistości, o zupełnym zniszczeniu miasta, o konieczności ratowania dóbr materialnych i kulturalnych.

Nazajutrz, w poniedziałek 11 grudnia, wziąłem udział w posiedzeniu Rady. Uderzyło mnie niezwykle serdeczne przyjęcie, jakiego ze strony poszczególnych członków Rady doznałem. W rezultacie Tchórznicki oświadczył imieniem Rady, że nikt nie czynił nam jakichkolwiek zarzutów osobistych i że nie ma

człowieka, który by dla naszej pracy nie miał najgłębszego szacunku i uznania. Temu dał wyraz, jak mówił, w listach osobistych do nas wystosowanych, a nie przypuszczamy chyba, że te serdeczne listy były tylko aktem zdawkowej grzeczności.

Równocześnie zakomunikował, że Rada prosi usilnie, abyśmy nie odmówili kierownictwa w sprawie ratowania dalszego mienia kultury oraz abyśmy, mając pełne zaufanie Rady, pełnili nadal obowiązki doradców przy gubernatorze warszawskim zgodnie z pełnomocnictwami, jakich nam jednogłośnie udzieliła Rada i jakie nam przywiózł do Warszawy dyrektor Seyfried.

Oświadczyłem na to, że przejścia ostatnich tygodni były wielkie i że tylko sumienie i równoczesne życzenie delegata rządu uniemożliwia mi odmowę. Co do prezesa J. Machnickiego, nie mogę złożyć oświadczenia, bo mnie do tego nie upoważnił, uczynię jednak wszystko, aby dalszej współpracy nie odmówił.

Nazajutrz zaprosił mnie na długą rozmowę — jakie charakterystyczne — do swego domu prywatnego dr Weirauch, jeden z najwplywowszych dygnitarzy G.G. Na jego zapytanie, co było powodem jedyne go i tak ciężkiego kryzysu w RGO, odpowiedziałem, że był nim memoriał Tchórznickiego do generała-gubernatora. Ostatni ustęp tego memoriału dezawuował naszą działalność w Warszawie i wobec tego musieliśmy wyciągnąć konsekwencje. W toku rozmowy potwierdził mi Weirauch fakty, o jakich mówił Tchórznicki u Metropolicy, a mianowicie o jego nierozważnej, jak mówił Weirauch, akcji rozszerzania Rady o tak zwaną czwórkę. Ta niezwykła propozycja zrobiła oczywiście furorę, bo aczkolwiek Niemcy byli już wtedy względnie dokładnie poinformowani o egzystencji i organizacji podziemia, to jednak rzucenie kart na stół przez stronę polską — jak mówił Weirauch — zaskoczyło ich niepomierne. Tylko dzięki wielki m wpływom szefa administracji wewnętrznej, generała von Craushara, udało się uchronić autorów tego projektu przed represjami policji. Policja, administracja i wojsko projekt *a limine* odrzuciły. Mówił mi dalej, że o miejscach pobytu poszczególnych członków rządu podziemnego i o wszystkich ich ruchach wie policja i dodał, zastrzegając poufność, że wobec stałych narad w sprawie polskiej nic nie grozi bezpieczeństwu kierujących ludzi. Była to naturalnie wiadomość bezcenna. Kilka razy na tych kartach podkreślałem, że przyzwoite pióro polskie nie może się splamić przemilczaniem prawdy. Weirauch oddał nam przez swe wielkie wpływy ogromne

usługi i takich jak on na palcach policzyć by można. Był to biały kruk w tej całkiem zdemoralizowanej administracji hitlerowskiej.

Przed wyjazdem z Krakowa ostatnia wizyta, rzecz prosta, była u Metropolity. Cieszył się jak dziecko, że front między Warszawą a Krakowem został wyrównany. Rozmowa moja z Weirauchem była dla niego dokumentem, że to ma się ku końcowi. Prawdę mówiąc, niewiele bym wskórał wobec nastrojów Krakowa, gdyby nie wielki autorytet ks. Sapiehy. Nic podobnego jak żyję nie widziałem. W wielkiej sali przyjęć czcigodnego wiekami pałacu przy Franciszkańskiej widziałem setki najróżniejszych, nieraz bajkowo pięknych adresów, wręczanych mu przy najróżniejszych okazjach. Uderzyło mnie kilka pięknych darów gmin żydowskich. Czy mógł być piękniejszy hołd dla wielkości tego człowieka, o którym wszyscy wiedzieli, że równą miłością obejmował wszystkich bez wyjątku! Nawiasem powiem, że zanim Hitler wykonał swoje diaboliczne plany, ks. Sapieha nie tylko przyjmował każdą delegację, ale z niczego się więcej nie cieszył jak z tego, że — jak się na początku wydawało — RGO będzie miało zagwarantowane prawo zajmowania się losem Żydów.

To pierwotne włączenie komitetu żydowskiego do RGO niedługo, jak wiadomo, miało potrwać, mimo nadludzkich wysiłków głównie Ronikiera, którego działalność w tym kierunku nie miała sobie równych i która zasługuje, aby potomność o niej nie zapomniała. Mimo częstych rozdzźwięków na tle politycznym i taktycznym, jakie nas dzieliły, czuję ulgę moralną stwierdzając, że w sumie był to jednak człowiek niezwykle i pozytywny. Jeżeli o polskich Żydów chodzi, nikt więcej dla nich nie czynił niż on, z narażeniem własnego życia i bezpieczeństwa.

Cieszyłem się, że rozmowa z Metropolitą przed moim powrotem do Warszawy była pierwszy raz od pięciu lat trochę radośniejsza. Nie przypuszczałem, że dziesiątki rozmów naszych, w których do końca 1943 r. brał zwykle udział Adam Ronikier, J. Machnicki, a czasem F. Młynarski, znalazły w ten zimny dzień grudniowy swój koniec. Miało to być nasze ostatnie spotkanie.

Do Krakowa, na skutek wypadków wojennych, nie mogłem wyruszyć przez cały rok 1945. Kiedy jako prezes Banku Handlowego w Warszawie w lutym 1946 r. byłem w Krakowie, ks. Sapieha bawił w Rzymie, gdzie odebrał kapelusze kardynalski. Nie było księcia Kościoła, który bardziej nań zasłużył.

Podczas mego pobytu w grudniu 1944 r. w Krakowie odbyłem dwie długie rozmowy z Ronikiem. Krytykował w gwałtowny sposób nieudolne prowadzenie Rady przez Tchórzniciego. Zarzucał jej głównie fakt, że nie zajęła się dotąd najniebezpieczliwymi ludźmi wywiezionymi z Warszawy na roboty do Rzeszy. Widziałem, jak był oblegany przez setki petentów, na skutek czego jego popularność w Krakowie rosła. Mówił mi, że na jednym z posiedzeń RGO, na które go zaproszono, doszło między nim a Duninem, członkiem Rady, prawie do rękoczynów. Ronikier nazwał go „kłamcą i świnią”, czekając na jakąś reakcję honorową. Tej nie było. Stosunki Ronikiera z ks. Sapięgą były dobre. Mówił mi Metropolita, że nie należy nikomu przeszkadzać, kto w dobrej wierze i z poświęceniem własnej osoby chce pomóc nieszczęśliwym braciom. Popierał więc nową akcję Ronikiera, który otworzył wspomniane już „Biuro Studiów” — skoro, jak mówić, obecna Rada nie potrafiła rozwiązać żadnego problemu.

Przed wyjazdem jeszcze raz wezwał mnie Weirauch, oznajmiając, że 15 stycznia pragnąłby odbyć rozmowę z Machnickim i ze mną w sprawach zasadniczych. Do tego już nie przyszło. Kraków został wzięty przez Rosjan 17.1.1945. Niemcy w pierwszej połowie miesiąca uciekali masowo. Skończyła się niemiecka okupacja. Szło to tak gwałtownie, że dzięki temu ocalał Kraków.

Pod koniec roku pod Warszawą, a więc w Pruszkowie, podkowie Leśnej, Milanówku, Brwinowie i Żyrardowie powstały jakby nowe miasta. Mieszkając w Podkowie obserwowałem tłumy warszawskie, które w mig jakoś znalazły schronienie; w listopadzie w tym osiedlu powstała jakby nowa stolica. Przy torach kolejki elektrycznej wyrosły jak grzyby po deszczu kramy kupieckie, najróżniejsze drobne warsztaty, kawiarnie, restauracyjki, sklepy. Wszystko to było prowizoryczne, ale czasem z dużym gustem urządzone i podzielone na ulice i uliczki. Jakiś pomysłowy kupiec powiesił na rogu swej uliczki dumny napis „Old Bond Street”. I nie było się czego wstydzić, bo czego tam nie było? Handlowali wszystkim. Nie mówię już o transakcjach giełdowych, gdzie co dnia notowano kurs miękkich i twardych dolarów,ówek czy franków szwajcarskich. Nie podejmuję się opisać tej żywotności warszawian, gdyż na to trzeba by pióra całkiem wyjątkowego. Skąd brały się najbardziej egzotyczne towary, jakie się w tych na chybcika sfabrykowanych sklepikach pokazywały? Zajmując się tyle lat problemem aprowizacji okupowanej stolicy, wiedziałem, że to

było miasto zaopatrzone jak żadne inne. Ale wiedziałem również, że rabunki niemieckie były niesamowite, a z pewnością stwierdzić można, że większość zapasów spaliła się podczas powstania, zaś reszta, kiedy Niemcy po ewakuacji dopełniali dzieła zniszczenia. Przyjmując nawet, że na ogromnym obszarze stolicy zostały duże zapasy, to kto i jak mógł je wywieźć poza obręb palącego się miasta?

Mam przed sobą ostatnie wielkie „sprawozdanie z działalności Polskiego Komitetu Opiekuńczego Warszawa w Pruszkowie, za czas od 12.IX - 15.XII.1944”. Jest to praca na kilkudziesięciu stronach druku, a została wykonana głównie przez J. Machnickiego, który był wcieloną akuracnością i ścisłością i kładł nacisk na to, aby praca była zakończona z precyzją, z jaką była prowadzona od lat pięciu.

Kiedy padła Starówka i Machnicki wyszedł cało, utworzył natychmiast 15.IX.44 komitet powiatu warszawskiego z siedzibą w Pruszkowie. Do tego komitetu należeli Gieysztor i J. Namitkiewicz. W samej Warszawie od pierwszego dnia powstania w niezdobytej przez Niemców części miasta robotę prowadził dr Stanisław Wachowiak przy pomocy dr. Adama Brzęga, dyr. Łucjana Kempistego i b. min. Leśniewskiego. Z momentem kapitulacji zawarliśmy — Machnicki i ja — umowę z prez. Tchórznickim w dniu 5.XI.44., który wystosował do nas następujące pismo:

Do JWP Janusza Machnickiego, wiceprezesa RGO, i  
JWP Dr. St. Wachowiaka, członka RGO

Ze względu na sytuację wytworzoną ewakuacją m.st. Warszawy zarządzam w myśl porozumienia co następuje:

1. Polski Komitet Opiekuńczy Warszawa-Miasto znosi się.
2. Tworzy się Polski Komitet Opiekuńczy z siedzibą w Pruszkowie.
3. Upoważniam JW Panów do przeprowadzenia reorganizacji obu komitetów i przekształcenia ich w nowy Komitet Warszawski.
4. Proszę JW Panów o pełnienie także nadal funkcji doradców dla spraw warszawskich i dystryktu warszawskiego przy gubernatorze warszawskim.
5. Nadzór nad innymi komitetami dystryktu warszawskiego jak też delegaturami powiatu warszawskiego sprawować będzie nadal pan K. Bohdanowicz.

(—) *Tchórznicki*, prezes

W tym charakterze przetrwał nasz Komitet miesiąc, aż do naszej rezygnacji wskutek głębokiego rozdzwiewku, który obszernie został opisany. Faktycznie działalność Komitetu Warszawskiego trwała do końca grudnia 1944 r. Kiedy w dzień Nowego Roku słyhać było w spokojnym Pruszkowie i jeszcze spokoj-

niejszej Podkowie idące z drugiej strony Wisły wycie „katiusz”, jasne było, że o normalnej pracy już mowy być nie mogło.

Złożywszy formalnie mandaty, zarząd Komitetu Warszawskiego przekazał na ręce dyrektora Czesława Dańczaka, wyznaczonego przez krakowską centralę RGO do pełnienia tymczasowego obowiązków zarządu, razem 11.512.534,23 zł. Ta poważna suma składała się z pozycji:

1. Dotacje dystryktu .....	3.000.000,—
2. Pol. Komitet Opieki Warszawa .....	8.370.226,—
(fundusze własne)	
3. Subwencja Centrali RGO .....	55.000,—
4. Drobne ofiary .....	573,—
5. Wpływy w naturze .....	86.733,23
	<hr/>
	11.512.534,23

Tak, była to olbrzymia organizacja, to „Ergio”, jak mówili warszawiacy. Weźmy dla przykładu budżet grudniowy r. 1943, ostatniego roku zupełnie normalnego funkcjonowania Komitetu Warszawskiego. Łączne wydatki na działy wyżywienia, dział opieki nad dziećmi, dział schronisk, dział zdrowia, dział do spraw pracy, dział kwalifikacji i świadczeń, dział opieki nad rodzinami wojskowymi, dział opieki nad więźniami, Główną Komisję Pomocy Pracownikom, wreszcie na biuro zarządu preliminarzowane były na .....

3.535.144,— zł	
wpływy .....	3.132.108,— zł
niedobór wynosił .....	405.036,— zł

Wzorowa, nowoczesna buchalteria każdego z 10 działów, na którego czele stał kierownik działu, aparat kontrolny, wszystko to pozwalało szybko się zorientować w funkcjonowaniu zakładów, rozrzuconych po całym świecie kucheni, żłobków no i zespołów, np. literatów, profesorów, które cieszyły się pewną autonomią.

Naczelnym szefem kontroli był dawny wiceprezes Kontroli Państwa Wielogłowski. Przechowałem jego sprawozdania z kontroli Funduszu Dyspozycyjnego, stworzonego dla wyrównania głodowych pensji naszych naczelnych urzędników.

Fundusz ten wynosił miesięcznie 20-40 tysięcy złotych, a był alimentowany przez Centralę RGO i często przez członka prezydium, Cz. Klarnera. W sprawozdaniu kontrolnym nr 6 jest pozycja: Adolfowi Nowaczyńskiemu zapomoga na kura-



cję 1000 zł, albo na wyprawkę dla dziecka 150 zł jako nr 8, albo nr 7 zakupiono od „Hawu” 20 kg cukru dla marsz. Trąpczyńskiego 32 zł.

Majątek przekazany przez zarząd na rzecz nowego Komitetu w Pruszkowie szedł w dziesiątki milionów, jeżeli się zważy ogromne ilości żywności, odzieży, obuwia, bielizny, medykamentów, jakie zdołaliśmy z magazynów w Warszawie wywieźć. To należy do osobnej monografii, na którą przecież zasłużyła największa instytucja socjalna, jaka kiedykolwiek w Kraju pracowała i która uratowała setki tysięcy ludzi od głodowej śmierci, nędzy i poniewierki. Były lata, kiedy kuchnie komitetu wydawały ponad 100 tysięcy obiadów dziennie w samej Warszawie. Tysiącom ofiarnych kobiet polskich przeważnie bezinteresownie pracujących w kuchniach, zakładach i żłobkach, setkom żon oficerów, którzy walczyli wśród obcych na cudzych ziemiach o Polskę — hołd głęboki składam.

Każdy dzień grudnia 1944 roku zajęty był ewakuacją mienia kultury. Znacznych środków dostarczaliśmy przez RGO, naturalnie przy wydatnej pomocy delegata rządu, o czym wiedziało zaledwie kilku wtajemniczonych ludzi. Jest rzeczą nie do wiary, że ekipa uczonych pod kierownictwem Lorentza pracowała prawie do ostatniego dnia przed ofensywą rosyjską. Ostatnie sprawozdanie Lorentza z ewakuacji mienia kulturalnego nosi datę 11 stycznia 1945 r., a 17-go Warszawa została zajęta przez wojska sowieckie.

Niemcy byli całkiem zdezorientowani co do planów Sowietów wskutek ich pięciomiesięcznego postoju po drugiej stronie Wisły. Była to niezwykle długa pauza w ich zwycięskim pochodzie 1944 roku. Płk Geibel kazał odnowić listy żelazne Lorentza, Machnickiego i mój do końca marca 1945 r., z czego widać, że sztab niemiecki liczył się z dalszym spokojem na froncie.

Ekipa Lorentza składała się z przeszło czterdziestu ludzi. Ewakuacja obejmowała w dziale muzeów: Muzeum Narodowe, Muzeum Wojska, Państwowe Muzeum Archeologiczne, Muzeum Piłsudskiego, Belweder, Herbarium Uniwersytetu, Miejski Urząd Pomiarów, wreszcie depozyty oraz zbiory prywatne z miasta. W dziale bibliotek: Bibliotekę Zamoyskich, Bibliotekę Narodową, Uniwersytecką, Publiczną m. st. Warszawy i Bibliotekę Seminarium Diecezjalnego.

Smutno czytać ostatni ustęp sprawozdania dotyczącego bibliotek: „W gmachu Biblioteki Kraszińskich pożar około 20.X.44.

strawił wszystkie znajdujące się tam zbiory, a mianowicie polonica Krasieńskich do r. 1800, kilkadziesiąt tysięcy rękopisów, starodruki, kartografię, zbiory muzyczne i graficzne Biblioteki Narodowej. Ze zgłiszcz wydobyto zaledwie około 100 rękopisów. Ocalało też 15 skrzyń cennych rękopisów muzycznych, przeniesionych przed 1.VIII.44 do Konserwatorium Muzycznego”.

Archiwa, a było ich pięć w Warszawie, zostały wszystkie spalone podczas powstania. A jednak z tego, co zostało zabezpieczone przed nalotami na forcie imienia Sokolnickiego i w kościele na Łazienkowskiej, zdołano wywieźć 7 wagonów. To są luźne tylko uwagi z notatek, jakie posiadam.

Czy może sobie dziś ktokolwiek wyobrazić ogrom pracy, jaki tu został dokonany w warunkach kompletnego chaosu? Ledwo świtało, już Lorentz gromadził przed biurem w Pruszkowie swych fachowców i na furgonie wojskowym wyjeżdżało całe bractwo do Warszawy. Tam segregowano, notowano każdy przedmiot, ładowano do skrzyń czy worków. Ale skrzynie, obicia i zamki trzeba było gdzieś zdobywać. Trzeba było walczyć u samego Geibla o wagony gdzieś na peryferiach miasta, bo dworzec główny był, jak wszystko inne, wysadzony w powietrze.

Rola Machnickiego i moja sprowadzała się do interwencji i dostarczania znacznych środków potrzebnych do ewakuacji. Myślę, że dr Lorentz na to uskarżać się nie potrzebował. Najmocniej zasilala kasę delegatura Rządu, a z Krakowa Seyfried, który kiedy było źle, zawsze w miarę możliwości ratował sytuację.

Pisał mi ktoś już dawno po ukończeniu wojny, że w samym Poznańskim zniszczonych zostało z nienawiści, spalonych podczas działań wojennych czy wywiezionych do Rzeszy ponad 5 milionów książek, wręcz nie do wiary. Ale najcenniejsze mienie naszej kultury było zgromadzone w stolicy.

Ponieważ całe podziemie osiedliło się w Podkowie Leśnej i Milanówku, spotykaliśmy się co rano w moim mieszkaniu, gdzie było względnie bezpiecznie. Zresztą nie baliśmy się, gdyż Niemców nie było widać. Od czasu do czasu pokazywali się dosyć wylęknieni żandarmi wojskowi, lecz to już nie byli ci okrutni okupanci okrutnych pięciu lat.

Radziliśmy, co dalej. Wiadomości z Londynu były szczupłe. Pewni byliśmy wkroczenia Sowietów za kilka dni, ale nikt właściwie nie wiedział, jak się zachowają.

Te dni pierwszej od tyłu lat przymusowej bezczynności wy-

dawały się nam wszystkim czymś anormalnym. A odpoczynek przecież każdemu był potrzebny. Wnet się przekonałem, że w takiej wędrówce w nieznaną, rozmyślając, kombinując i gubiąc się w takich czy innych koncepcjach, człowiek męczy się więcej, niż przy najcięższej pracy, której cel jest jasny.

Miałem miesiąc czasu na rozmyślania. Po mojej działalności gospodarczej w Banku Handlowym i w C.Z.P.P. pozostały mi krzepiące wspomnienia. Ludzie z którymi się tam stykałem byli na ogół najwyższej klasy, otoczenie przyjemne i pełne uznania, jeżeli się udało przeprowadzić coś pożytecznego. O tym później będzie mowa. Natomiast praca społeczna pozostawiła u mnie jakąś gorycz, której nigdy nie mogłem się pozbyć. A była to robota stokrotnie większa od tamtych razem wzięwszy. Wymagała ona nie tylko ogromnego wyężenia moralnego, lecz i wielkiej siły fizycznej. Moralnego, bo każdy krok, każda decyzja były komentowane przez podejrzliwe społeczeństwo i jedno błędne pociągnięcie mogło mieć nieobliczalne konsekwencje polityczne. Jak udało się utrzymać przez pięć lat ten dualizm charakteru RGO, daremnie siliłbym się wytłumaczyć. Na zewnątrz trzeba było usypiać czujność Niemców, od których wszystko w rezultacie zależało. Trzeba było trzymać się statutu, aby usprawiedliwić choćby najmniejsze zarządzenie. Trzeba było uspić czujność kontrolerów, co — jeżeli o Warszawę chodzi — prawie na 100% się udało. Starczy wskazać na problem funkcjonariuszy Rady, których liczba w pewnym momencie przekroczyła 4.000 osób. Niemcy słusznie wężyli w tym niebezpieczeństwo, ale manewrowaliśmy tak zgrabnie, że stan ten nie uległ nigdy poważniejszym zmianom.

Przeważająca liczba urzędników rekrutująca się w głównej części z dawnych urzędników ministerialnych siedziała głęboko w robocie podziemnej. Dzięki legitymacji RGO byli względnie bezpieczni przed łapankami i aresztowaniami. Zdarzyło się co prawda kilka tragicznych wypadków „wsypy”. Najgorsze dwie to, jak wiadomo, sprawa dyrektora naczelnego Komitetu w Warszawie Andrzeja Jałowieckiego i jego poprzednika na tym stanowisku Jastrzębowski. Jasne było, o czym dokładnie dowiedział się zarząd, że Gestapo zażąda aresztowania tak Machnickiego jak i mnie. Dzięki wpływom, jakie miał komisarz dla spraw opieki społecznej Auerswald, gubernator Fischer zdołał przekonać policję, że mimo pozorów nie jesteśmy wmiészani w tę sprawę. Uniknęliśmy najgorszego, lecz musieliśmy podwoić ostrożność.

Smiało twierdzić można, że gdyby nie fakt, że warszawski

zarząd RGO potrafił zachować wobec Niemców pozory poprawności, *organizacja całego skoncentrowanego podziemia w Warszawie nie byłaby do pomyslenia*. Częste napady „bandyckie” — to był ulubiony wyraz Niemców — na nasze magazyny i zakłady były oczywiście świetnie przygotowane przez AK, w porozumieniu z urzędnikami RGO. Zwykle przy takim wy-czynie ginęli bez śladu odpowiedzialni urzędnicy, co ułatwiało alibi czynników kierujących Komitetem.

Nie więc dziwnego, że przetrwawszy — nie bez nacisku — przez kilka lat na stanowisku, chciałem się wydobyć z tej matni. Ale, jak wiadomo, nie udało mi się przekonać upartego Jankowskiego żadnym argumentem. Był to człowiek surowy dla siebie i żądał od innych tego samego. Tylko że nie każdy chciał być Katonem. Czułem się w tej roli jak bohater wbrew swej woli.

Społeczeństwo nasze było wymagające, podejrzliwe, krytykujące. Zachowywało się nieraz nieludzko wobec tych, którym nic za to nie płacąc i nie świadcząc, nakładało bezlitośnie na barki ciężary i obowiązki ponad ludzką wytrzymałość. Oto przykład.

Bogaty kupiec, który przez wojnę stał się jeszcze bogatszy tłumaczył mi długo i szeroko, że patriotyzm, panie dzieju, ponad wszystko. Wakowało wtedy miejsce w Komitecie. Na moją prośbę, aby tak zaszczytny wakans przyjął odpowiedział, że to niemożliwe, bo on ma swoje bardzo rozległe interesy. A jakim prawem żąda pan od innych, choćby ode mnie, tylu ofiar? Odrzekł w tonie człowieka o najwyższym poziomie moralnym: „Trudno, ktoś musi się poświęcić”. Ktoś — tylko nie on.

Zona pewnego doktora z Piotrkowa przyjechała do swego warszawskiego mieszkania. Nie mogła, rzecz prosta, w tych warunkach dostać przepustki. Żądała, abym z nią poszedł do komendanta odcinka. To naturalnie było z wielu powodów niemożliwe. Więc kiedy odmówiłem, obrzuciła mnie stekiem obelg i ordynarności. Powiedziałem, że nie może żądać rzeczy niemożliwych. Ryknęła: na to pan tu jest, to pański psi obowiązek.

Oczywiście nie brakło przejawów napiętniejszego człowieczeństwa nawet wśród piekła palącej się Warszawy. I to jednak przeważało! Setki ludzi wychodzących z Warszawy często całą posiadaną gotówkę składało na akcję społeczną twierdząc, że są bardziej potrzebujący od nich. Setki było takich, którzy przychodzili dziękować za pomoc Komitetu. Byli to zazwyczaj najwybitniejsi reprezentanci społeczeństwa. Tego nie można za-

pomnieć, a było to pewną osłodą goryczy, którą przynosi każda akcja społeczna. Nie zapomnę delegacji pisarzy czy profesorów, dawnych wybitnych polityków i mężów stanu, którzy wychodząc z Warszawy znaleźli czas, aby przyjść do biura z pożegnaniem i podzięką.

Jako całość naród nasz przez cały czas wojny zdał egzamin celująco. Pilnie studiowałem akcję oporu w innych krajach. Błędnie to wszystko wobec Polski. Wszędzie były próby Quislingów z wyjątkiem Polski. To jest rzeczą godną największego podziwu, zwłaszcza, że nieugięte stanowisko całego kraju przetrwało do końca, kiedy jasne było, że to nie koniec strasznych nawiedzin dziejowych. Anglik, Francuz, Holender czy Duńczyk mieli nadzieję i pewność, że cierpienia zostaną pomszczone, a krzywdy wynagrodzone. U nas nie było ani nadziei, ani pewności, raczej najgorsze perspektywy, że jutro będzie jeszcze bardziej ponure od wczoraj. A mimo to naród się nie załamał.

Jak już mówiłem, w czasie okupacji powstawały trudne problemy natury etycznej. Na przykład sądy podziemne, które skazywały na śmierć zdrajców, denuncjantów czy kolaborantów. Na szczęście sprawy były starannie badane i z małymi wyjątkami nie zaszły większe błędy. Wyroki były słuszne, czasem tylko ich wykonawcy, działający w warunkach najeżonych niebezpieczeństwami, popełniali błędy nie dające się całkowicie uniknąć. Takim wypadkiem była śmierć aktora Junoszy Stępowskiego, który umarł niewinnie.

W samej akcji społecznej byliśmy prawie bezbronni, jeżeli chodziło o większe kradzieże. Znakomicie działający aparat dyscyplinarny pod kierownictwem tej miary człowieka, co dawny wojewoda poznański dr Witold Celichowski, wykrywał dziesiątki nadużyć natury kryminalnej. Ale co można było zrobić, kiedy sumienie i uczucie wzdrygało się zrobić z tego użytek wobec okupanta. Kończyło się regularnie na wyrzuceniu ze służby, lecz prawie nigdy na naprawieniu szkód.

Zdarzały się nieraz wypadki, że niektórzy, przeważnie bogaci a także utytułowani obywatele nie zachowywali się tak, jak mogła się spodziewać opinia publiczna. Nie chodzi tu o wypadki, które można by podciągnąć pod pojęcie zbrodni narodowej, lecz o brak godności i pewnego *decorum*, jakie obowiązywało człowieka przyzwoitego, kiedy naród był w stałej żałobie. A więc na przykład znane było w Warszawie, że hr. Maurycy Potocki otworzył przy Nowym Świecie restaurację w niegdysiejszym gmachu ambasady angielskiej. Gromadził

tam złotą młodzież — gdzie i kiedy by jej brakło — która oddawała się karciarstwu i grom hazardowym.

Podziemie miało o tym dokładne informacje. Również tę sprawę dobrze znałem i mówiłem z ks. Radziwiłłem, aby ostrzegł Potockiego, gdyż wiadomości jakie nas dochodzą muszą gorszyć każdego przyzwoitego Polaka. Kiedy to nie pomogło, wymusiłem przyjazd Ronikiera do Warszawy, aby go spowodować do usunięcia Potockiego ze stanowiska prezesa RGO powiatu warszawskiego, które Potocki bez zarzutu wypełniał. Ronikier stwierdził, że wieści o grze są prawdziwe, zresztą Potocki, co dla jego obrony podnieść trzeba, tego się nie wypierał. Ronikier zażądał jego ustąpienia i tak się stało.

Jednakże „kartograjstwo” o ogromne sumy nie ustawało. Pewnej nocy AK wysłało zieloną budę z własną policją w niemieckich mundurach. Proces był krótki. Ręce do góry, zakomenderowała policja po niemiecku i całe towarzystwo rozebrano do naga. Kasa AK urosła coś o 300 tysięcy złotych. Było z tego śmiechu co niemiara i Potocki spelunkę zamknął.

Kiedy o Morysiu mowa, tak go bowiem nazywano w Warszawie, był on niewątpliwie dobrym Polakiem, ale pozostał wierny swemu wychowaniu, miał pociąg do lekkiego życia. Bez troska nigdy go nie opuszczała. Używaliśmy go często do nadzwyczajnych interwencji w Gestapo (które nawiasem mówiąc tylko rzadko się udawały) toteż za cichym porozumieniem się z naszym podziemiem mógł zapraszać wybitnych gestapowców na polowanie. Wiadomości jakie nam przynosił były często pożyteczne, więc z tego powodu nikt mu moralnych wyrzutów nie czynił. Był to jeden z rzadkich wypadków, gdzie cel uświęcał środki.

*A la guerre, comme à la guerre.* Pewnego rodzaju adiutantem Potockiego był Pętkowski, ziemianin z Poznańskiego, bez którego Potocki obyć się nie mógł. Przynosił i on czasem wiadomości, ale rzecz dziwna unikaliśmy go, bo jego nowinki były zawsze czarne i przygnębiające, czego i tak mieliśmy dosyć w tej ponurej rzeczywistości. Rola Potockiego wydawała mi się raczej pożyteczną, zaś Pętkowskiego w najlepszym razie objętą. Wolałbym się mylić. Jest to mój osąd, może niesprawiedliwy, ale tak wówczas rzeczy widziałem.

Aby Komitet Warszawski uchronić przed jakimikolwiek zarzutami natury politycznej, od samego początku działała przy zarządzie tak zwana czwórka, z którą spotykaliśmy się raz na tydzień w różnych miejscach. Było to denerwujące i męczące z powodu ostrożności, jaką trzeba było zachowywać w trakcie

tych spotkań. Niemalże przeżyliśmy strachu po aresztowaniu dawnego wojewody Dębskiego, reprezentanta Stronnictwa Narodowego. Czwórka reprezentowana była przez ludzi tej miary co marszałek Osiecki, St. Jasiukiewicz, Dębski i Jankowski, który równocześnie był członkiem prezydium Rady, aż do objęcia delegatury Rządu.

W ostatnich latach okupacji tak AK jak cała robota podziemna były zaopatrywane w środki przez Londyn, głównie w dolary amerykańskie. Nie były to bająnskie sumy o jakich plotkowano, jednakże bez tej pomocy nie mogło być mowy o działaniu wielkiej maszyny podziemnej, nie mającej sobie równej w organizacji i sprzężystości w Europie. Często zbliżano się do nas ze strony delegatury Rządu, aby przyjąć środki na prowadzenie roboty. Temu kategorycznie sprzeciwialiśmy się w prezydium Komitetu Warszawskiego, znając plotkarstwo, brak dyskrecji i podejrzliwość naszego społeczeństwa — wyrozumiałego dla siebie a bezwzględного dla innych.

O klerze polskim już pisałem. Góra jego bez wyjątku była wzorem, który oddziaływał na całość duchowieństwa. Na ogół w komitetach powiatowych RGO księża nie było. Nie znaczy to, że nie współdziałali na wszystkich odcinkach, lecz praca ta była raczej ukryta. Inna rzecz z episkopatem, z którym Niemcy poważnie się liczyli. Wiadomo, jakim respektem i bodaj strachem napawała ich wielka postać metropolity Sapiehy. W Warszawie bardzo liczyli się z arcybiskupem St. Gallem. W Krakowie jako delegat Metropolity zasiadał w prezydium RGO wybitny jezuita ks. Moskała, a w Warszawie z ramienia arcybiskupa ks. kanonik dr Szmigielski.

Po śmierci arcybiskupa Galla rządy objął sędziwy już wówczas ks. arcybiskup Szlagowski, słynny kiedyś kaznodzieja warszawski. Nie było wtedy innego wyjścia, na szczęście był przy jego boku ks. Choromański, wówczas infułat, a później biskup. Był to człowiek dużej miary, mądry i przezorny. Oddał pracy społecznej niezwykle przysługi, będąc niemal w codziennym kontakcie z kierownictwem roboty polskiej. W Warszawie najwybitniej zaznaczył się wpływ następujących księży: Wł. Lewandowicza, prałata Węglewicza, kanonika dr. Szmigielskiego i ks. Pawliny. Byli to wspaniali ludzie, których z wdzięcznością wspominam. Podkreślam raz jeszcze, że nigdy w narodzie nie było takiej wewnętrznej zwartości, co wtedy. Nigdy też w życiu nie podziwiałem bardziej rozumu, wyrobienia i poczucia obywatelskiego polskiego robotnika i rzemieślnika. Czuł się w Warszawie na równi odpowiedzialnym za sprawy publiczne, jak

inne, bardziej uprzywilejowane warstwy społeczeństwa. Z jaką godnością zachowywali się ci ludzie. Miałem pewne uczucie dumy, że wyszedłem z tego ludu i całe życie jak mogłem walczyłem o jego prawa.

### *Nowa rzeczywistość w Polsce*

Zima na przełomie roku 1944-45 była przykra. Padał mokry śnieg bez końca i ziąb był przejmujący. Park Bertonich miał ponad 20 tysięcy metrów kwadratowych, więc nie brakło nam opału świerkowego, co było bardzo ważne. Względnie obszerny dworek miał lokatorów bez liku, ludzi, których trzeba było przygarnąć. W Sylwestra była nawet zabawa. Wielkie słowo. Był bimber, którego warszawianom nie brakło nigdy, stary minister wykopał gdzieś przy stodole trzy butelki wina francuskiego, zięć mój przywiózł jakiś koniak z Milanówka. Było w domu około trzydziestu osób. Jednak, co tu gadać, zabawa nie szła. Z dala słychać było głuchy pomruk armat, miałem wrażenie, że jestem na jakiejś makabrycznej stypie. Sytuacja na froncie zabijała wszystkich. Niemcy spokornieli, to był dobry znak. Najlepszy dowód, że nie baliśmy się wtedy urządzić zabawy sylwestrowej, co rok temu było nie do pomyslenia. Czy Niemcy skorzystają z *Festung Warschau*, gdzie, jak od sześciu miesięcy zapowiadali, miała się rozegrać jedna z największych bitew w historii? Co wreszcie zrobią Rosjanie po tylu miesiącach oczekiwania? Nie umiem opisać tego męczącego wyczekiwania. Był to pozorny spokój przed nadechodzącą burzą.

Już około połowy stycznia wydawało się jasne, że walnej bitwy na gruzach Warszawy być nie może, bo armaty sowieckie coraz bliżej ryczały, a większych oddziałów Niemców nie było widać. Kręciły się tylko jakieś *Sprengkommandos*, kiedy wysadzono w powietrze elektrownię w Pruszkowie. Zaraz po zajęciu zburzonej Warszawy przez armię sowiecką dnia 17.I.1945 r. jasne nam było w Podkowie, że Niemcy wycofali główne siły na Łódź. Odwrót był tak gwałtowny, że nie zdołali zniszczyć tego, co planowali.

Zniszczona elektrownia pruszkowska to dopiero była katastrofa. Był to prąd dla Elektrycznych Kolei Dojazdowych i światło dla okolicy, a więc i dla Podkowy. Brak światła uniemożliwiał spotkania, brak komunikacji, wszelkie kontakty. Wojska sowieckie posuwały się jak w próżni. Wreszcie dwa lub trzy dni po zajęciu Warszawy były w Michałowicach i Pod-



kowie. Nie wytykaliśmy nosa z domów, aż powoli, widząc dziesiątki ognisk żołnierskich, zaczęliśmy badać, co się święci. Trzeba powiedzieć, że oddziały wojskowe zrobiły na mnie najlepsze wrażenie. Widać było, że dla pozyskania opinii „polskiego sprzymierzeńca” wysłano do Polski najlepsze jednostki. Aż do Wielkanocy tegoż roku nie miałem osobiście ani jednego wypadku jakiegokolwiek przykrości. Nikt nie rekwirował kwater czy żywności, jak to w nieludzki sposób robili Niemcy od początku wojny. Wojsko doskonale zaopatrzone i przyzwoicie ubrane ciągnęło dalej, na miejscu zostawały strażę, no i NKWD.

Wnet zaczęły działać polskie władze gminne i ukazywać się pierwsze zarządzenia. Pierwsze obwieszczenie dotyczyło niszczenia wszelkich książek i druków niemieckich i „faszystowskiej” literatury. Widoczne było pochodzenie tego zarządzenia. Nikt nie słyszał podczas całej okupacji, aby byli Polacy sprzyjający Niemcom lub zgoła faszyci. Z odezwy można było wnioskować, że wreszcie położy się kres faszyzmowi i hitleryzmowi w Polsce. Rezultat — doznałem przykrego wstrząsu nerwowego. Ale jak palić to palić. Minister Bertoni miał ogromną bibliotekę niemiecką, ja również dziesiątki fascykułów wycinków z prasy niemieckiej, kompletne roczniki *Reichu*, gdzie była nieoceniona kopalnia wiadomości dla dziejopisów. Paliliśmy dwa dni, bo nie dowierzaliśmy inteligencji tajnej policji sowieckiej.

Czekaliśmy rozwoju wypadków. Na razie był spokój, a dziesiątki tysięcy warszawian ciągnęły jak ogromne mrowisko wzdłuż torów unieruchomionej EKD do Warszawy na swoje, choć spalone śmiecie. Już w kilka dni po zajęciu okolic Warszawy przypadek miał mnie wyrwać z Podkowy.

Pewnego dnia po południu porządkowałem moje papiery. Wtem przed willę Bertonich zajechał wojskowy jeep, z którego wysiadł wysoki, przystojny mężczyzna, obwieszony bronią palną. Obserwując tę niespodzianą wizytę z pierwszego piętra, mówiłem żonie, że przyjechali mnie zaaresztować. Zszedłem na dół i jakież było moje zdziwienie, gdy młody człowiek stanął na baczność i poprosił, aby na bufecie mógł złożyć swą broń: „Nie przystoi przyzwoitemu człowiekowi wchodzić tak uzbrojonym do szanowanego domu”. To mnie rozbroiło. Przedstawił się krótko — Golański i oświadczył, że przyjeżdża z polecenia premiera Osóbki-Morawskiego, który prosi, abym się czym prędzej zjawił w stolicy i nawet dnia więcej nie marnowałem na głuchej prowincji. Powiedziałem, że to uczynię, skoro tylko warunki transportowe na to pozwolą. Tu nawiasem wspomnę, że wysoko ceniłem Osóbkę-Morawskiego i wdzięczność, jaką

mi okazał. Rzadka to w życiu rzecz. Był on całą wojnę prezesem jednego z najbardziej czerwonych okręgów opiekuńczych RGO i został mianowany przez prezydium na mój wniosek i za moim podpisem. Gdzież wówczas przypuszczać mogłem, że pod koniec wojny znajdzie się w Warszawie i będzie prezesem Rady Ministrów Polskiej Republiki Ludowej!

Jakiegokolwiek mogłem mieć zastrzeżenia co do jego poglądów czy działalności politycznej, nigdy mu nie zapomnę prostej ludzkiej przyzwoitości. Bo jak mnie uczył jeden z profesorów filozofii, wśród bardzo mnogich grzechów głównych jest jeden najcięższy — niewdzięczność. Doznałem jej w życiu w takich rozmiarach, że Osóbka-Morawski wydawał mi się wyjątkiem wśród tego zwykłego mrowia ludzkiego.

Wówczas wyjechać do Warszawy nie było tak łatwo, jak pisać to opowiadanie. Bywał u mnie prawie codziennie, wędrując spod Michałowic, stary i wierny nasz sekretarz generalny z RGO, dr Adam Brzeg. Ponieważ niepodobieństwem było wędrować pieszo blisko 40 km, więc zaczął kombinować z jakimś znajomym chłopem, który zobowiązał się zawieźć nas do granic Warszawy. Kosztowało to dużo, ale na początku lutego dostaliśmy się do Warszawy. Dalszą sprawą była przeprawa przez Wisłę, gdyż wszystkie mosty zostały zniszczone przez Niemców. Wzdłuż dawnego mostu Kierbedzia sowieckie wojska inżynierskie budowały pospiesznie most drewniany. Czekaliśmy godzinami w ogonku, aż późnym wieczorem przysłała na nas kolejka do przejścia jednym przęsłem, które dopiero co zostało ukończone.

Kiedy o godzinie 21-ej stanęliśmy na drugim brzegu powstał nowy problem — noclegu. Na szczęście i z tego wybrnąłem. Siostra moja Patkowska miała na Saskiej Kępie, przy ulicy Irlandzkiej 10 biedne mieszkanie, które zajmowała całą wojnę. Niemało było zdziwienia mego szwagra i siostry, kiedy wygłodniali stanęliśmy u nich. Przyjęli nas sercem i czym mieli.

Nazajutrz ruszyliśmy na Pragę — do siedziby władz centralnych. W ogromnym gmachu szkolnym z czerwonej cegły mieścił się Magistrat, a prezydentem przybyłym z Moskwy był Marian Spychalski, podówczas pułkownik. Jego adiutantem był słynny Różański, brat również znanego Borejszy, którego nazwisko uprzednio brzmiało Rosenberg (?). Rozmowa ze Spychalskim była serdeczna, szkoda tylko, że Różański ani na sekundę nie opuścił gabinetu. Przejęcie z jakim mówił Spy-

chalski świadczyło, że to autentyczny Polak. Dzwonił w mej obecności do Minca, ministra Przemysłu, którego znałem sprzed wojny. Zaklinał mnie, abym stanął do pracy i że jest to gorącym życzeniem Osóbki-Morawskiego. Oświadczyłem na to, że ciężko mi decydować, skoro szereg najbliższych mi osób zostało zaaresztowanych za przynależność do AK. Przyrzekł interwencję i słowa dotrzymał. NKWD zwolniło ze swego więzienia na Pradze szereg oficerów i żołnierzy, w tym i mego syna. W dalszej rozmowie zapytałem, czemu zawdzięczam jego tak przyjazne stanowisko. Odpowiedział — przecież ja byłem pana urzędnikiem. Gdzie? A na „Powszechnej Wystawie Krajowej”. O tym teraz dopiero się dowiedziałem. Istotnie, jak później stwierdziłem, młody wówczas architekt Spsychalski pracował pod kierownictwem inż. Rogera Sławskiego w dziale budownictwa.

Znów ktoś mi się odwdzieczył... Wysoko to ceniłem Spsychalskiemu, który po licznych perypetiach za czasów Stalina miał później razem z Gomułką zrobić zawrotną karierę. Siedząc kilka lat w więzieniu, był w rękach swego dawnego adiutanta Różańskiego. W czasie rewolucji role często się odwracają. Spsychalski, tak jak go wówczas poznałem, pozostał sobą. To rzecz niezwykła w takich czasach.

Rozmowy moje z Mincem dotyczyły Banku Państwa, Banku Gospodarstwa Krajowego i reformy całej bankowości polskiej. Było tych dyskusji kilka. Wnet się spostrzegłem, że im dalej w las, tym więcej drzew. Przekonałem się, że przedział ideowy między nami nie da się żadnymi dyskusjami wyrównać. To nie był zresztą przedział, to była przepaść. Nie mogąc pogodzić się z jego supermarksistowską doktryną, zacząłem się wycofywać, zasłaniając się koniecznością uporządkowania spraw Banku Handlowego, którego nadal byłem prezesem, a który odzyskawszy swoje gmachy w Łodzi, Poznaniu, Włocławku i Kaliszu, rozpoczął na nowo działalność. Minister Skarbu, wówczas stary socjalista Haneman, nie przeszkadzał nam.

Kolega uniwersytecki dr Stefan Litauer, spotykając się ze mną w Warszawie, pewnego dnia zawiadomił mnie, że chce się ze mną rozmówić Jakub Berman, wówczas wicepremier, uchodzący słusznie za szarą eminencję nowego reżymu. Plotka głosiła, że był to jedyny w Polsce człowiek mający ślepe zaufanie Stalina. Czy tak było, nie wiem, jednak pewne jest, że była to potężna figura. Rezydował wówczas w jakiejś bogatej, nie bardzo zniszczonej willi pożydowskiej na Pradze, przy ulicy Śnieżnej. Przyjaciele moi, głównie Czesław Klarner, który miał

dom na Saskiej Kępie i który mu wtedy częściowo zająć pozwolono, uważali to zaproszenie do Bermana za coś zupełnie niezwykłego, zważywszy, że zasadniczo nikogo nie przyjmował.

Rozmowa była długa. Przeszkadzało mi jednak, że po dużej stosunkowo sali kręciła się jakaś stara, trochę już przygarbiona kobieta, porządkując jakieś papiery i książki. Sam Berman wykwiutnym ubraniem, zachowaniem i manierami przypominał jakiegoś francuskiego dyplomate. Miałem na sobie jakieś ubranie myśliwskie, które uratowałem i rozmawiając z Bermanem pomyślałem sobie, że nie jest chyba zbudowany wyglądem tego dawnego „kapitalisty” ze Śląska.

W czasie rozmowy uderzyło mnie, że pytał o zachowanie się podczas wojny całego szeregu wybitniejszych warszawian, od Radziwiłła począwszy. To wzbudziło we mnie pewne zaufanie, zwłaszcza gdy na początku rozmowy zaznaczył, że miarodajni ludzie rządu są dokładnie poinformowani o mej działalności i że dlatego chciał się ze mną rozmówić. Widząc z jego zapytań, jak jednostronne były jego informacje, obszernie przeszedłem galerię naszych najwybitniejszych działaczy, stwierdzając pod koniec, że powtarzane w broszurach, obecnie już i w gazetach zwroty o hitlerowcach i faszystach są wynikiem złośliwej fantazji, nic nie mającej wspólnego z rzeczywistością. Berman na wielkim arkuszu papieru skrzętnie wszystko notował. Ostatnia część rozmowy dotyczyła spraw Kościoła. Broniełem kardynała Hlonda, uważając za konieczny jego powrót do kraju. Mówiliśmy o konkordacie, wreszcie niespodziewanie zapytał: „A przyjąłby pan ambasadę przy Watykanie?” To zapytanie świadczyło o kompletnej nieznajomości metod watykańskich, bo już wtedy było jasne jak słońce, że na wyrównanie tych stosunków będzie potrzeba wielu lat i że ta zaszczytna oferta nie może być zrealizowana. Wewnętrznie byłem tym ubawiony i z trudem opanowałem się, aby jaki uśmiezek nie zdradził mych myśli.

Wiedziałem później od dr. Litauera, że Berman był zadowolony ze spotkania, gdyż zobaczył drugą stronę medalu. Toteż wtedy nie zrobiono użytku z obszernych list proskrypcyjnych i zgodzono się na powrót kardynała Hlonda. Zapewniał mnie, że to należało do atrybucji Bermana. Tak czy owak, ta rozmowa wydawała się wtedy pożyteczna w oczach opinii publicznej.

W tym czasie od dnia 4 do 12 lutego 1945 r. odbywała się konferencja w Jałcie między Stalinem, Rooseveltem i Churchilllem. Z wielkim niepokojem oczekiwaliśmy jej wyniku. Punkt VII dotyczący Polski był długi. Pierwsze wrażenie na Pradze — tam teraz koncentrowało się życie publiczne — było

raczej sympatyczne. Naród, wymęczony tyloletnią okrutną okupacją, widział obraz nowej Polski wolnej i niepodległej. Czy całe, to się dopiero miało okazać. Poczciwy Józef Patkowski przyleciał z dwoma egzemplarzami komunikatu. Trzy razy czytałem artykuł VII dotyczący Polski. Oburzały mnie niektóre zwroty, jak te o wolnych wyborach — „z wykluczeniem partii hitlerowskich i faszystowskich”. Przecież tych jak Polska długa i szeroka nie było! Debatowano w imię demokracji o nas bez nas. Pewną jest rzeczą i historycznie ustaloną, że Stalin był chytrak, jakiemu nie było równego, Churchill stary angielski handlarz, dla którego istniała tylko jedna ewangelia: „*God save the King*”, Roosevelt, pominąwszy jego fizyczną chorobę, był kompletnym ignorantem jeżeli o Sowiety i Polskę chodzi.

Jałta sen nam z oczu spędzała. W międzyczasie państwo zaczęło się na nowo organizować. Cokolwiek by o nowych panach powiedzieć można, jedna rzecz jest pewna — ich praca od podstaw była gigantyczna. Na przykład były poważne głosy, aby stolicę budować w innym miejscu lub przenieść do Krakowa. Pomyśleć, trzeba odgruzować całe olbrzymie miasto. Zdawało się że to wysiłek na lata, tak też i było. Jednakże Warszawa zdecydowała, że będzie odbudowana łzami, krwią i potem, ale będzie! Nie do mnie i nie do mego opowiadania to należy, lecz nie mogę przemilczeć, że było to postanowienie i wyczyn na skalę historyczną.

Po miesiącu wróciłem do Podkowy i postanowiłem czekać do Wielkanocy. Tymczasem organizowały się władze i NKWD, ma się rozumieć. W marcu tajna policja sowiecka aresztowała Janusza Machnickiego, co nic dobrego i mnie nie wróżyło. Opinia publiczna po raz pierwszy poruszona została tym zupełnie niesamowitym wyczynem w stosunku do naczelných ludzi rządu podziemnego.

Nie byłem poinformowany o wszystkich szczegółach rozpaczliwych wysiłków, głównie J. Jankowskiego, co dalej robić. Już w lutym wiedziano w Warszawie, że płk rosyjski Pimienow zwracał się do gen. Okulickiego, ówczesnego szefa AK o spotkanie. Rada Jedności Narodowej uważała to wtedy za podstęp. Instrukcje z Londynu były szczupłe, a tu trzeba było ujawnić na zewnątrz egzystencję władz podziemnych. Zajmowanie ziem polskich było faktem, jak również zainstalowanie się w Warszawie rządu polskiego wysłanego przez zwycięzców. Jasne było również, że metody sowieckie były całkiem inne od niemieckich. Pod okupacją niemiecką funkcjonować mógł bez przerwy

przez pięć lat rząd podziemny. Pod Sowietami nie było to możliwe przez pięć tygodni, gdyż sytuacja była całkiem inna.

Mimo, że Jankowski znów miał co chwila inne mieszkanie, dotarł do niego list płk. Pimienowa, zapraszający go na konferencję. Jankowski nie miał wyboru — postanowił pójść do Pimienowa, który przyjął go z niezwykle wysokimi honorami. O ile sobie przypominam, spotkanie to odbyło się w Pruszkowie, z tym, że następne będzie już z samym marszałkiem Żukowem. Wiem także, że tajemniczy pułkownik odbył rozmowy z szeregiem wybitnych przedstawicieli stronnictw, między innymi z Kazimierzem Bagińskim, Adamem Bieniem i St. Mierzwą. To trwało kilkanaście dni, aż do końca marca. Gdy pewnego dnia zgromadzono szesnastu wybitniejszych polityków polskich, w dniu 29 marca samolotem wywieziono ich do Moskwy, gdzie wkrótce miał się odbyć proces pokazowy. Proces opisywany był na całych stronicach pisma *Wolność*, wydawanego przez Sowiety po polsku. Prawie nikt z nieszczęśliwych ofiar nie wrócił żywy, z wyjątkiem Zbigniewa Stypułkowskiego, Kazimierza Bagińskiego, Pużaka i nie wiem czy jeszcze kogo.

Z punktu widzenia politycznego sprawa ta zrobiła w całej Polsce przynębiające wrażenie. Uważaliśmy, że poza Katyniem nie tak nie zniechęciło opinii polskiej do Sowietów, jak te generalskie słowa honoru, które dawano w ciągu lutego i marca przywódcom podziemia.

Polacy jakże inaczej na te sprawy patrzyli. A przecież nie nie byłoby wpłynęło bardziej łagodząco na stosunki polsko-rosyjskie, zatrute przez blisko 200 lat, jak wyciągnięcie ręki do nieszczęśliwego narodu, który jako jedyny walczył z Hitlerem bez kompromisu!

Po załatwieniu w tak bezprzykładny sposób sprawy kierownictwa politycznego jasne było, że przyjdzie kolej na inne odcinki życia publicznego. Jeżeli o RGO chodzi, zaarrestowanie Machnickiego było zapowiedzią dalszych represalii. Pod naciśkiem żony wyjechałem wtedy do Poznania, gdzie mieliśmy dom przy Mazowieckiej 8 i kilku członków rodziny, którzy uszli wywiezienia przez Niemców na początku wojny. W ogólnym chaosie jasne było, że tu będzie schronienie bezpieczne na jakiś czas.

W tej niesamowitej dwudziestoczworgodzinnej podróży towarzyszył mi siostrzeniec Zakrzewski, bez którego pomocy daleko bym nie dojechał. O miejscu w wagonie nawet marzyć nie było można, ba, nawet dachy były obsadzone ludźmi. Jednak przypadki rozwiązują czasem najbardziej skomplikowane sy-

tuacje. Wagon pocztowy był zamknięty na cztery spusty. Młody konwojent, student, jak się okazało znał Zakrzewskiego i jakimś fortem, przy pomocy straży policyjnej, dostałem się do wnętrza. Całą drogę toczyliśmy ożywioną rozmowę, co będzie dalej. Pełen entuzjazmu i optymizmu zacząłem młodym dowodzić, że wiekowa kultura polska oprze się wpływom i prądom ze wschodu. Mówiłem o słodczy natury słowiańskiej, argumentując, że stosunki jakie były w Rosji nie mogą się w Polsce powtórzyć. Nasz konwojent student zachichotał i powtarzał: jak się pan myli... Byłem tym dotknięty, lecz po 1947 roku często sobie mówiłem, myśląc o jego nerwowym śmiechu, że ten młody człowiek miał rację.

Poznań zaledwie był zdobyty i część miasta od Placu Wolności, Bazaru, starego Ratusza w górę aż na wyspę tumską przeważnie leżała w gruzach. Willa nasza przy Mazowieckiej, podobnie jak cała nasza dzielnica, była nieuszkodzona. Moja siostra po panicznej ucieczce Niemców natychmiast zajęła dom. Kiedy wojsko sowieckie rekwirowało kwatery, szczęśliwym trafem przydzielono dom jakiemuś generałowi. Był to całkiem ludzki człowiek i zostawił mej rodzinie pierwsze piętro, kontentując się parterem. Ku naszej radości kazał przed domem postawić posterunek, czym nie mógł nam wyświadczyć większej przysługi. Przez blisko sześć lat nigdzie nie czułem się tak bezpiecznie jak tam, mimo, że w pobliżu Poznania toczyła się bitwa. Wtedy wszyscy wiedzieliśmy, że koniec niedaleki, gdyż fale samolotów nie napotykały na absolutnie żaden opór niemiecki. To zwiastowało haniebny i ostateczny upadek Hitlera.

Okazało się, że wyjechałem w ostatnią minutę. Nazajutrz po mym wyjeździe przyszli po mnie o godzinie piątej rano. Enkawudyści — jakiś kałmucki major i inny niższy rangą oficer. Dom był pełen gości, a wśród nich niektórzy mówiący świetnie po rosyjsku, ale nikt nosa z pokoiów nie wytknął, więc żona borykała się z tymi emisariuszami, którym wyłumaczyła, że z polecenia rządu polskiego wyjechałem na Śląsk jako rzeczoznawca przemysłowy. Pod koniec major dość imperytencko radził żonie, aby się czym rychlej nauczyła po rosyjsku. Na tym się skończyło. Tymczasem siedziałem w Poznaniu pod bezpiecznym posterunkiem naszego sympatycznego generała, siostra miała inne nazwisko, bałagan był ogromny, więc według ludzkiego przewidywania nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Z nikim poza rodziną się nie spotykałem, gdyż wiadomo, że najgorsze są ludzkie języki. Chodziłem godzinami po mieście, które znałem i kochałem. Wiele z ważniejszych gma-

chów przeszłości leżało w gruzach, Biblioteka Raczyńskich, fundacja Marcinkowskiego, bazar, kościół św. Marcina, chluba naszego renesansu stary ratusz, katedra i setki innych pięknych zabytków.

*A propos* katedry, to chyba stary mój przyjaciel Leon Wyczółkowski miał prorocze wyczucie, kiedy na moje imieniny w r. 1929 podarował mi wspaniałą akwarelę starej katedry i przylegającego do placu katedralnego gotyckiego kościoła P. Marii z piękną dedykacją. Została zniszczona stara katedra, ostały się jednak przepiękne pomniki pochowanych w Poznaniu Mieczysława I i Bolesława Chrobrego dłuta C.D. Raucha. Katedra została odbudowana w stylu gotyckim, jaki kościół ten początkowo miał. Uważałem, że uratowany obraz Wyczółkowskiego powinien być w Poznaniu, toteż darowałem go później do zbiorów pałacu arcybiskupiego w Poznaniu.

Z poznańskich wrażeń tej wiosny zwycięstwa niezapomniane pozostaną mi cmentarze, a głównie przylegające do fortu Winiarskiego. Na cmentarzu św. Wojciecha mieliśmy grobowiec, dzieło zdolnego architekta, swego czasu modnego w Poznaniu, Adama Ballenstedta. Wybudowałem go, ulegając prośbom żony po śmierci naszej córki Danusi w r. 1923. Grobowiec miał solidną konstrukcję i to przyczyniło się do kompletnego zbezczeszczenia go. Broniący zawzięcie cytadeli Niemcy porobili sobie na miejscach przeznaczonych dla trumien legowiska i mieli dobrą ochronę. Bronili się tam kilkanaście dni. Kiedy zwiedziłem cmentarz, był jednym rumowiskiem, w życiu nie budowałbym więcej grobowca.

W administracji miasta już nie było znajomych. Wszyscy powymierali lub zostali wymordowani. Prezydentem, naturalnie z nominacji, jak to bywa w „demokracjach”, był Sroka, sympatyczny zresztą poznańczyk. W mig zaczęto sobie opowiadać, że na ratuszu po odbudowaniu w miejscu orła będzie wisieć sroka. Bogu dzięki, że wspaniale odbudowana duma Poznania, czcigodny tyłu wiekami ratusz znów na wieżycy ma naszego orła, ale nie jestem pewien, czy nie skasowano korony.

Moja rodzina znacznie później za mną do Poznania przyjechała. Trzeba było zlikwidować mieszkanie w Podkowie, a poza tym stworzyć jakieś warunki bytowania w Poznaniu.

Po zajęciu Berlina nasz generał często zwoził łup wojenny. Raz przywiózł znaczny zapas wina reńskiego Johannisberger wielkiej klasy. Zaprosił mnie na jakąś libację na dół, ale nie gustował w tym germańskim napoju. Robił więc mieszankę



z okowitą, której wtedy w gorzelniach folwarcznych było bez liku. Wiadomo, że gościnie Rosjanina nie można odmówić, nie ma też wykrętów, jeżeli o wypitek chodzi. Jednak niepodobna było tego długo fizycznie wytrzymać, więc czmychałem często do mieszkania mego kolegi uniwersyteckiego dr. Fr. Bernarka na ulicę Młyńską, gdzie szczęśliwie zajął swoje mieszkanie, z którego wyrzucono go w r. 1939 i wysłano w nieznaną. W czasie wojny osiadł w Krakowie.

Pod koniec maja lub z początkiem czerwca odwiedziłem majątek Żydowo, który przed wojną kupił znany przemysłowiec Falter Alfred od rodziny Szołdrskich. Majątek był piękny co się zowie. Niemcy utrzymywali go jako *Mustergut* w doskonałym porządku. Jak mnie ludzie informowali, zostały wszystkie bardzo znaczne inwentarze. Tak było w całej Wielkopolsce, przecież praktycznie wypadkami wojennymi nietkniętej, z wyjątkiem miasta Poznania.

Tymczasem co się działo z wywożeniem mienia, na wołowej skórze nikt by nie opisał. Władze wojewódzkie czy samorządowe ledwo zaczęły się formować, bały się jak ognia faktycznych panów, którzy błyskawicznie kraj zajmowali. Organizacja wywożenia mienia była nielada wyczynem i tak jak pamiętam początek okupacji niemieckiej, rosyjskie „zabezpieczenie” dóbr tego świata przewyższało o niebo cały niemiecki rabunek. Kiedy zjawiały się nieśmiałe, wystraszone embriony władzy polskiej lub jakiś dawny właściciel, który z narażeniem życia dotarł do swego byłego majątku, argumentacja była stereotypowa i zawsze ta sama — kto miał ostatni ten majątek, te inwentarze, te meble? Niemcy. A więc jest to mienie ponemieckie, więc jest łupem zwycięzcy. Nie pomogły kontrargumenty jak te, że Niemcy zrabowali wszystko albo ten, że Polacy pierwsi się z nimi bili, że stracili w tej walce kilka milionów swych obywateli. Groch o ścianę — takie były rozkazy. Względnie najlepiej wyszły z tego miasta, lecz własność ziemską przeżyła największy pogrom w dziejach. Na stacjach kolejowych w kierunku na wschód, wszędzie bez wyjątku stały *tysiące wagonów* naładowanych wszystkim, co tylko wyobrazić sobie można. Na szosach i drogach unosiła się straszliwa kurzawa za setkami tysięcy pędzonego bydła, koni, owiec i nierogacizny. Był to obraz żałosny i patrząc na to — myślałem o sprawiedliwości dziejowej!

W Żydowie również zastałem pustki zupełne. Kiedy tam ostatnio byłem w roku 1939 w maju, obora liczyła 300 krów dojnych i 300 koni. Dwór, dzięki wierności zarządzającej admi-

nistracji, miał jeszcze kilka umeblowanych pokoi, resztę zabrał dawny *Landrat*, a obecny starosta zwracał jej uwagę, że musi coś niecoś dopożyczyć. Pod Żydowem była znakomicie urządzona fabryka przetworów jajczarskich, której byłem współwłaścicielem. Fabryka eksportowała do Anglii i prosperowała znakomicie. Cóż, doskonałe maszyny angielskie wywieźli Niemcy i zostały szkielety budynków. Szefem gminy był dawny nauczyciel, dosyć przyjemny człowiek. Jednakże powódź nowych dekretów wywłaszczających majątki i radykalizm prasy, zaczynającej się właśnie ukazywać, wytwarzały w mózgach ludzkich taki zamęt, że rozmowy z różnymi na chybeika mianowanymi dygnitarzami przypominały czasem dom wariatów. To całkiem zrozumiałe: Polska przeszła najstraszniejszą z wojen, najokrutniejszą okupację, a na skutek wkroczenia Sowieców stuprocentową rewolucję społeczną.

Człowiek, a z nim każdy naród jest wytworem wszystkich przeszłych pokoleń. Obyczaje jego są wynikiem rozwoju historycznego. Nie można ich zmienić jak buty czy rękawiczki. Owszem, można, lecz tylko gwałtem fizycznym, to znów nie może dać szczęścia człowiekowi. I w tym widzę grzech pierworodny komunizmu! Nigdy nie wierzyłem, aby naród tych tradycji mógł czuć się wolnym w narzuconym sobie ustroju. Jednostki, co jest ludzkie, będą się podlicić dla kęsa chleba, bezpieczeństwa osobistego czy kariery, ale w zbiorowej duszy ludzkiej tlić się będzie bunt, który przetrwa pokolenia.

Takie myśli nurtowały mnie, kiedy siedząc w Poznaniu widziałem nowy początkujący ustrój społeczny. I znów ciekawa obserwacja. Miasto, z którym tak byłem związany, już nie miało dla mnie tej atrakcji co dawniej. Wszystko wydawało mi się obce, nie to co było. Po ludziach, których znałem i kochałem prawie śladu nie zostało. Ludzie nowi, to pokolenie wychowane w większości w czasie wojny, bez gruntownego wykształcenia, goniące za chlebem i stanowiskiem. Zaczęto wówczas organizować osławione UB. Miałem rzadką satysfakcję. Ze znanych nam rodzin przyszło wtedy do mnie kilku młodych ludzi, czy im wypada służyć w takim urzędzie. Odpowiedziałem pozytywnie, dowodząc, że lepiej aby ta, w nowej „demokracji” tak niezbędna instytucja składała się z dobrych elementów, a nie z samych opryszków.

Po likwidacji Podkowy żona z całą rodziną przyjechała do Poznania. W miarę normowania się, czy lepiej mówiąc, ulepszenia komunikacji wyjeżdżałem kilka razy do Łodzi, dokąd przeniosła się warszawska centrala Banku Handlowego. Gmach

przy Piotrkowskiej całą wojnę zajęty był przez Dresdner Bank i pozostał nietknięty. Poczciwi nasi urzędnicy opróżnili trzy pokoje na pierwszym piętrze i urządzili skromniutkie mieszkanie. Tam w lipcu przeprowadziliśmy się z żoną, korzystając ze wspólnej, zresztą doskonałej kuchni dla urzędników.

Łódź zyskała na wyglądzie od czasu, kiedy ją ostatni raz oglądałem w marcu 1939 r. Nie na darmo *Litzmannstadt* zostało od początku wojny wcielone na wieczne czasy do Rzeszy. Miasto było nietknięte z wyjątkiem dawnej, doszczętnie spalonej dzielnicy żydowskiej. Po Warszawie, a nawet po Poznaniu, Łódź wydawała nam się idylliczną oazą. Ulica Piotrkowska, magistrala Łodzi, ze swymi pięknymi sklepami okazała się przedstawiała.

Centrala Banku Narodowego przeniosła się do Łodzi. Na jej czele stał jako prezes minister rządu lubelskiego, który w pierwszej połowie roku ustąpił z ministerstwa, aby zająć to kluczowe stanowisko. Był to minister Haneman, stary socjalista, prosty, mądry i sympatyczny człowiek. Często się z nim spotykałem i przekonałem się, poznając go bliżej, że nie był to typ pełniący obowiązki Polaka — pop, w skrócie warszawskim.

W Łodzi spotykałem się często z innym znanym socjalistą, dawnym bibliotekarzem Sejmu Henrykiem Kołodziejskim, szarą eminencją (tak opowiadano, ale nie starałem się sprawdzić tego). Miałem go przez dawną znajomość za wyjątkowo przyzwoitego człowieka. On i znany działacz socjalistyczny Szwalbe zrobili od początku nowego reżymu znaczne kariery i na ich chwałę powiedzieć muszę, że byli rzetelnymi obrońcami całokształtu pracy społecznej podczas okupacji. Jednemu i drugiemu byłem za to zobowiązany. Nic lepiej jak moje doświadczenie z tymi ludźmi nie ilustruje tego, że dogmatyzm w polityce nie daje dobrych rezultatów, jeżeli o dobro ogółu chodzi. Hasło „im gorzej tym lepiej” może być dla bankrutów, ale nie dla żywego społeczeństwa. Tragedią Polski między 1945-55 rokiem było, że za mało było Kołodziejskich i Szwalbów na czołowych stanowiskach. To stanu rzeczy zapewne nie byłoby zmieniło w zasadzie, lecz na pewno byłoby złagodziło cierpienia ludzkie. Z Łodzi często wyjeżdżałem jakimś przygodnym furgonem towarowym do Warszawy, gdzie mnie stale zapraszano na konferencje, głównie w Ministerstwie Skarbu. Tam wówczas rej wodził Dietrich, z którego pośpiechem w socjalizacji absolutnie zgodzić się nie mogłem. To mogło mieć dla mnie pewne konsekwencje, gdyż prawie nigdy nie zabierałem głosu i na

pewno podpadałem pod kategorię „krytykantów”. Jakoś to przetrwałem.

Najcięższe przeżycie moje w Łodzi w ciągu rocznego pobytu wiąże się z odwiedzinami jednego z dużych kin latem 1945 r. Drobiazg pozorny, lecz nigdy go nie zapomnę, skoro jak widmo prześladował mnie bez przerwy lata całe do dzisiaj. A było to tak. Po wszystkich Jałtach i Poczdamach polityczna machina Stalina działała szybko i sprawnie. Samopoczucie w jakim wtedy żyłem nie podobało się mej żonie i gwałtem prawie zaciągnęła mnie do kina. Grano jakiś drugorzędny film, a „kinofikacja” — takim to nowotworem językowym wówczas operowano — postarała się oczywiście o wyświetlenie wielkich wydarzeń politycznych chwili. Kiedy światła zgasły, tłum widzów chóralnie powtórzył trzy razy: „Oddaj czasy, oddaj czasy, oddaj czasy”... Zabłyły światła i na sali było grobowe milczenie. Była to reakcja na znane, a wówczas powszechne kolekcjonowanie zegarków przez żołnierzy sowieckich.

Po filmie wyświetlono wydarzenie historyczne, które — jak mówiły napisy — po wsze czasy naprawi wiekowe krzywdy dziejowe i scementuje na wieki przyjaźń sowiecko-polską. Ma się rozumieć uchwała zapadła jednomyślnie. Entuzjazm Sejmu był bezgraniczny. Pokazywano bohaterów tego widowiska, jednego po drugim. Twarzy nie znałem, lecz dwie wryły się w mój mózg jak rozpalone żelazo: Stanisława Grabskiego i Stanisława Mikołajczyka. Pierwszy był profesorem, posłem i ministrem w wolnej Polsce, fanatycznym narodowym demokratą, najgłośniej wyznającym hasło Bóg i Ojczyzna. Za młodu socjalista, później dewot modlący się na złotym różańcu, jaki dostał od papieża po podpisaniu konkordatu. Drugi był następcą Wincenego Witosa, genialnego polityka, wodza chłopów polskich, rycerza bez skazy i zmyzy, który, zaaresztowany przez Sowiety, przez swą nieugiętość zmusił ich do zawrócenia z drogi do Moskwy, gdzie znalazło się szesnastu wodzów podziemia.

Był to pierwszy wypadek w dziejach narodu, że zabrakło Rejtana. Nowy podział Polski został ratyfikowany wszystkimi głosami polskimi. O tej obrzydliwej atmosferze zapomniałem częściowo, kiedy rzuciłem się na nowo w wir pracy gospodarczej. Muszę też powiedzieć, że nie doznawałem przeszkód, a owszem dużo rzetelnej pomocy od ówczesnych władz państwowych. Zachęcony przez Hanemana, mogłem zwołać już 7 sierpnia 1945 r. plenarne posiedzenie Rady Nadzorczej Banku Handlowego.

Tutaj mała dygresja. To, że społeczeństwo przetrwało bio-

logicznie okres wojny, stało się dzięki temu, że chłop polski zdołał utrzymać, a nawet polepszyć swą produkcję. Że ówczesne kierownictwo narodu swoją jednolitą postawą starało się ratować każdy warsztat pracy, wielki czy mały, że stworzenie Banku Emisyjnego w dużej mierze — choć nie całkowicie, gdyż to było niemożliwe — uniezależniło teren okupacyjny od polityki gospodarczej Reichu. Wreszcie zdołaliśmy utrzymać sprawny aparat bankowości polskiej. Nie potrzebuję dowodzić, jakie to miało olbrzymie znaczenie. Każdy choć pobieżnie z zagadnieniami gospodarczymi obeznany to zrozumie, przetrwanie ekonomiczne było granitowym fundamentem, dzięki któremu naród nasz mógł prowadzić wojnę podziemną na wielką skalę. W Warszawie każdy był żołnierzem, ten co pracował na roli czy ten co pilnował filtrów wodnych, ten, który obsługiwał tramwaje, który zwoził węgiel, który jeździł rykszą i ten, który drukował gazetki. Nie ma też wątpliwości, że w porównaniu z latami 1914-19 ludność wojnę przetrwała lepiej.

Szkicowo tutaj potrącam o sprawy ekonomiczne, choć posiadam dostateczny materiał do odpowiedniej publikacji, gdyż działalność moja w Warszawie ściśle związana była z organizacją życia gospodarczego.

Pierwsze posiedzenie Rady Banku Handlowego po tylu latach było pewnego rodzaju uroczystością. Niemcy, mimo podejmowanych prób, statutowych organów legalnych nie znieśli, choć nie pozwalali na odbywanie zebrań. Drogą wyjątku tolerowali tygodniowe zebrania komitetu wykonawczego. Po upadku Warszawy w 1939 r. Rada jednogłośnie kooptowała mnie zgodnie ze statutem na wiceprezesa urzędującego. Nie przypuszczałem, że dopiero po sześciu latach będę mógł zwołać plenum. Nawiasem dodam, że po wyjeździe dotychczasowego prezesa Augusta Zaleskiego jego następcą został Józef Żychliński, który jednak urzędu pełnić nie mógł, gdyż dopiero w 1940 r. do Warszawy go wysiedlono. O to stanowisko się nie ubiegałem, aczkolwiek było jednym z najbardziej pożądanym w Warszawie. Materialnie już nie przedstawiało waloru, bo Niemcy żelaznymi przepustkami zarządzili *Preis- und Lohnstop*, to jest obniżyli pobory do głodowych proporcji. Starczy powiedzieć, że wyznaczili dla mnie 500 zł pensji miesięcznej.

Bank już wtedy miał za sobą tradycję 70 lat obfitej w owoce pracy. Był jednym z pionierów życia gospodarczego. Okupant, oszołomiony zwycięstwem, w pierwszym czasie nie wiedział jak się zabrać do burzenia podstaw życia gospodarczego kraju. Wówczas z Andrzejem Wierzbickim chodziłem po

coraz to nowych instancjach, które zagrażały egzystencji naszego aparatu kredytowego, naszym wytwórniom i naszym placówkom handlowym. Te wysiłki może osłabiły gwałtowny nacisk wroga, ale unicestwić go nie potrafiły.

Rozpoczęło się od mechanicznego skreślenia etatów urzędniczych i płac o 30%. Usunięto wszystkich niearyjskich urzędników, a nawet wszystkich niearyjskich członków Rady. Długie miesiące trwało, zanim przestał nad nami wisieć miecz Damoklesa, że Bank Handlowy ma przewagę niearyjskich kapitałów i że skutkiem tego podlega automatycznej likwidacji.

Bank Handlowy w latach 1939-40 poniósł ogromne straty. Oceniliśmy je wówczas na około 20 milionów złotych i z pewnym lękiem patrzyliśmy w przyszłość, jak te straty wyrównać. Zaprowadzenie nowego środka obiegowego w postaci złotych okupacyjnych nie wpłynęło dodatnio na bieg spraw bankowych. Przeprowadzenie ścisłego podziału na „stare” i „nowe” interesy poszkodowało bank poważnie, nie mówiąc o wkładach, którymi tylko w ograniczonych ramach mogli dysponować ich właściciele.

Niemniej ręk nie opuszczaliśmy. Duża część wielkiego przemysłu była zniszczona. Wskażę tylko na towarzystwa Lilpop, Norblin, Rudzki, Spiess, Fraget itd. Okupant chcąc osłabić potencjał gospodarstwa krajowego, zaczął wywozić drogocenne surowce. U Norblina było miedzi i innych drogocennych metali za około 50 milionów złotych w złocie. Okupant zaczął zabierać towarzystwa niearyjskie i rozpoczęła się hulanka *Treuhänder*ów, którzy na ogół z uczciwością lub ze znajomością spraw gospodarczych nie mieli nic wspólnego. Dzięki wielkim запасom węgla i środków żywnościowych — głównie w Warszawie — do roku 1941 udało się utrzymać poziom cen; odchylenia od cen z r. 1940 były nieznaczne. Jednak w miarę jak okupant wywoził maszyny, surowce i towary stan rzeczy z każdym dniem zaczął się pogarszać. Do tego przyczyniała się również polityka agrarna, gdyż okupant przez wprowadzone kontyngenty wytwarzał wielki brak środków codziennego użytku i ceny jak w kalejdoskopie się zmieniały, stwarzając fikcję podwójnej waluty. Jak wiadomo, ceny kartkowe wyznaczone przez okupanta w miarę zapasów towarów jakimi dysponował, utrzymywały się na niskim poziomie. Natomiast wolny rynek miał ceny kilkakrotnie wyższe. System kartkowy funkcjonował właściwie tylko przy jednym artykule, to jest przy chlebie. Inne artykuły były faktycznie nie do nabycia, bo ich nie było.

Od roku 1941 Niemcy rozpoczęli na wielką skalę ostatni

akt swej polityki antyżydowskiej. Utworzyli getto w Warszawie i w innych miastach. Wyliminowano decydujący element z handlu, co zupełnie zmieniło strukturę gospodarczą kraju. Naturalnie, odbiło się to przede wszystkim na interesach banku, którego klientela składała się w połowie z Żydów. Wynikłe straty były poważne, że wspomnę tylko o należnościach, kredytach zabezpieczonych, hipotekach. Z drugiej strony postawiło to bank przed nowym zagadnieniem. Powstała możliwość przejmowania placówek, głównie handlowych. Jednakże społeczeństwo było spauperyzowane i choć na terenie G.G. przybyło kilkaset tysięcy wysiedlonych w nieludzkich warunkach Poznańczyków, Pomorzan i Ślązaków, sprawa handlu nie mogła ruszyć z miejsca należycie z braku płynnych środków i z braku podstaw kredytowych dla najlepszego polskiego elementu, który, wyzuty z swej ojcowizny i mienia znalazł się w Warszawie, po miastach i po wsiach.

Czyniliśmy ogromne wysiłki, aby nieść pomoc kredytową garnącym się do drobnego przemysłu i handlu wysiedlonym. Powstawały więc coraz to nowe placówki nie tylko w Warszawie lecz i na prowincji, głównie w Częstochowie, Radomiu, Lublinie i Krakowie.

Rok 1941 przyniósł nowe ożywienie, a w 1941 r. mogliśmy pod koniec pokryć straty powstałe w 1939 roku. Ruch kredytowy był żywy, a co najważniejsze, mieliśmy dostateczną ilość środków własnych, tak że do roku 1944 nie uciekaliśmy się ani razu do redyskonta w banku biletowym. Tego unikaliśmy od początku okupacji, z wyjątkiem redyskonta narzuconych wszystkim bankom pro rata parte kredytów dla Centrali Rolniczej (*Landwirtschaftliche Zentralstelle*). Uczyniliśmy wszystko co w ludzkiej mocy, aby podtrzymać i ożywić te placówki polskie, które służyły interesom ogółu polskiego, ratując robotnika, urzędnika, kupca.

Na skutek istnienia *de facto* dwóch walut — jednej sztywnej, drugiej wolnej — powstały duże możliwości zarobkowania i trzeba powiedzieć, że społeczeństwo polskie miało znakomity dar adaptacji. Tak jak istniała podziemna konspiracja, która docierała do każdego polskiego domu, tak istniało jakieś ciche duchowe porozumienie społeczeństwa, niszczące przez swoją powszechność wszystkie najbardziej wyrafinowane sposoby wroga, aby społeczeństwo do reszty spauperyzować. Byli tacy, co twierdzili, że zdolności handlowe prostego Polaka z ulicy przewyższały talent Żydów do handlu. Powstawały wciąż nowe warsztaty. „Szmuglerstwo” stało się niezwykłą bro-

nią społeczeństwa. Nie pomogły drakońskie zarządzenia do kary śmierci włącznie, nie pomogły też całe pułki doborowej policji, sprowadzane do Warszawy. Kto przyszedł, ten umierał na mauretańską zarazę. Społeczeństwo dało sobie radę ze wszystkim. Mieliśmy tego dowód w takim przyziemnym fakcie, że wkłady w bankach rosły jak na drożdżach.

Niemcy chwyтали się szaleńczych pomysłów, np. surowej kontroli cen (*Preisüberwachung*). W konsekwencji tego środka pojawiały się uzbrojone po zęby komisje lotne, które napadały osoby prywatne czy przedsiębiorstwa, przeprowadzały rewizje osobiste za pieniędzmi oraz żądały wyświetlenia każdego skrawka papieru, każdej notatki, każdej cyfry, którą gdziekolwiek u delikwenta znalazły. Jednakże korupcja Niemców była taka, że kolejne systemy kontroli wywracały się jak domki z kart. Mieliśmy o tym dokładne informacje od naszych najpoważniejszych klientów, których firmy nie byłyby się utrzymały, gdyby nie moralna zgnilizna administracji niemieckiej. Okupant zdawał sobie sprawę z tego, że banki polskie, które w swym ręku miały wartościowy eliksir w postaci aparatu kredytowego, były tą trucizną, którą wrogowie się truli, aby użyć słów poety.

W 1942 r. zaczął się generalny szturm na podstawy bankowości polskiej, którą przez blisko trzy lata zwartym działaniem i nielada sposobami utrzymaliśmy. Z ramienia banków polskich, poza jedynym dyrektorem Ivanka, prowadziłem rozmowy z nadzorem bankowym w Krakowie i z tak zwanym rządem Generalnej Guberni. Lęk mnie ogarniał, kiedy w roku 1942 zakomunikował mi szef nadzoru bankowego dr Paersch, że minister Gospodarki Funk postawił mu ultimatum na zlikwidowanie banków polskich względnie na szufjowanie ich z wielkimi bankami niemieckimi. Bank Handlowy, jako największy bank polski, miał być przejęty przez *Deutsche Bank*. Oświadczyłem wówczas, że gdyby ta groźba miała się spełnić, ja a ze mną cała Rada musiałaby ustąpić ze swych stanowisk, zgodnie z wymogami moralnymi i przepisami prawa.

Dnia 1 maja 1942 r. zjawił się u mnie z wizytą, po uprzednio przeprowadzonej korespondencji, naczelny dyrektor *Deutsche Bank*, von Bechtolf, w towarzystwie swego sekretarza. Rzadko kto zdaje sobie dziś sprawę, co to wówczas była za potęga, jedna z czołowych figur niemieckiego potencjału ekonomicznego. Kiedy zostaliśmy sami, wnet zrozumiałem, co von Bechtolf, stary arystokrata w dobrym stylu, myśli o tych Funkach i Goebbelsach. Ku memu zdziwieniu zakomunikował mi



po wstępnej rozmowie, że *Deutsche Bank*, który ma 100-letnią tradycję, absolutnie nie podziela światoburczych idei Funka, o którym mówił z pogardą, i nie zamierza wbrew woli właścicieli iść na jakieś koncepcje fuzji. Musi jednak ze względów politycznych a przede wszystkim, aby zyskać na czasie, ustawić w Warszawie obserwatora, aby upozorować, że *Deutsche Bank* nie sabotuje genialnych pomysłów Funka. Oczywiście prosił o zachowanie ścisłej tajemnicy. Słowa dotrzymałem i po raz pierwszy o tej rozmowie mówiłem publicznie na wspomnianym plenarnym posiedzeniu Rady, kiedy hitleryzm razem z Funkiem doczekał się swego końca.

Von Bechtolf dotrzymał słowa. Przesłał z półrocznym opóźnieniem owego „obserwatora”, który bogato zamieszkał w Hotelu Bristol. W następnym półroczu dwa razy mnie odwiedził i pisał pilnie raporty, bo — jak mówił — sprawy takiej wagi wymagają czasu. Na tym skończyła się zapowiadana groźna akcja Funka. W 1945 r., kiedy dekrety likwidacyjne leżały gotowe w skarbcu dr. Paerscha, nastąpił tak gwałtowny zwrot szczęścia wojennego, że dekrety nigdy światła dziennego ujrzeć nie miały. W pierwszej połowie 1943 roku byłem u Paerscha, chyba pierwszy raz widziałem go prawie rozbawionego. Mówił: widzi pan, teraz Funk ma inne kłopoty. Przytaczam to wszystko jako charakterystyczne dla niepokoju, w jakim stale żyliśmy, lecz i przyzwoitości ludzkiej chcę oddać zasłużoną sprawiedliwość. Bez Paerschów i von Bechtolfów sprawa wzięłaby inny obrót.

W tym czasie rozpoczął się pod presją departamentu gospodarki (*Abteilung Wirtschaft*) G.G. nacisk, aby bank wyzbył się swych nieruchomości. Najprzykrzejszy wypadek był z naszymi gruntami w Radomiu, w której to sprawie jeździłem pięć razy do Krakowa. Chcąc ratować instytucję przed represjami, musieliśmy sprzedać kilkanaście tysięcy metrów placu przy boczniczy dla *Landwirtschaftliche Zentralstelle*. Oczywiście Paersch nic wspólnego z tym nie miał. Wówczas komitet wykonawczy na mój wniosek powziął poufną uchwałę, mocą której bank miał bezpiecznie przechować wszystkie dokumenty, raporty z moich podróży i rozmów oraz korespondencji, aby istniał ślad po gwałcie, jakiego na nas dokonano.

Wspomniane zmiany struktury gospodarczej zmusiły władze banku do bardzo gruntownej zmiany dotychczasowej tradycji i polityki. Bank Handlowy w swym założeniu był bankiem dla wielkiego przemysłu i handlu. Najlepszym ubezpieczeniem usankcjonowanym tradycją była hipoteka. To wszy-

stko uległo dużym zmianom. Stanęliśmy na stanowisku, że musimy dostosować się do wymogów czasu, ratując średni przemysł, średni handel, popierając małe a nawet najmniejsze warsztaty, które mogły dać egzystencję walczącym o byt ziomkom, a głównie dziesiątkom tysięcy wysiedleńców. To zmusiło nas również do zmiany form zabezpieczenia kredytów. Przechodziliśmy na zabezpieczenie wekslowe, patrząc często przez palce, byle tylko osoba dłużnika dawała gwarancję ściągłości długu. Mieliśmy satysfakcję, że w ciągu dwóch lat na tych kredytach prawie żadnych strat nie ponieśliśmy, a przyczyniliśmy się do wytworzenia nowego stanu średniego.

Korzystając z faktu, że polska opieka społeczna była tolerowana, choć pod żelaznym nadzorem, udzielaliśmy RGO wielkich pożyczek. Korzystała ona, zwłaszcza w okresie zimowych zakupów w samej Warszawie, z kredytów ponad pięć milionów złotych. Z kredytów tych, prawie grzesznościowych, korzystały setki pisarzy, artystów, literatów, dziennikarzy, wartościowej inteligencji, korzystali z nich urzędnicy banku naszego. Jednak w końcu w tę sprawę, mimo oględności z jaką nas traktował, wmieszał się Urząd Nadzoru Bankowego, co zarząd banku przypawiło o niejedną bezsenność.

Dekret niemiecki likwidujący stowarzyszenia i fundacje dotyczył również oszczędności naszych urzędników, złożonych w tak zwanej Kasie Przechodności i Pomocy Urzędnikom. Mimo przychylnego stanowiska Nadzoru Bankowego, departament administracji wewnętrznej G.G. obstawał przy likwidacji Kasy i konfiskacie jej majątku. Przy zmianie szefa administracji wewnętrznej udało się uratować prawie cały majątek Kasy Przechodności, aczkolwiek zdevaluowany, podczas gdy Fundacja Kronenberga jako fundacja została nienaruszona. Blisko dwa lata rokowałem w tych sprawach w Krakowie.

Sytuacja urzędników była bardzo ciężka. Najgorzej przedstawiała się w dwóch pierwszych latach wojny. Konieczności życiowe zmusiły nas do szukania środków zaradczych. Pensje w porównaniu do cen były śmieszne, a podwyżki, na które każdorazowo zgodzić się musiał Nadzór Bankowy, czy Urząd pracy, były tak znikome, że w końcu zaniechaliśmy dalszych starań. W jednym wypadku po mych osobistych interwencjach w Urzędzie Pracy zgodzono się na podwyżkę dla dwóch woźnych po złotych dziesięć miesięcznie! Jednak wyjście z tego impasu było trudne i nie chcielibyśmy iść na drogę utworzenia kasy zapomogowej przez dodatkowe opłaty ze strony klienteli, co mogło wywołać przykre podejrzenia i komentarze. Pomijając,

że w razie denuncjacji grozić mogły zarządowi i władzom banku nieobliczalne konsekwencje w urzędach nadzoru.

Po ciężkich walkach mogliśmy wreszcie urządzić kuchnię załogową w gmachach banku. Ale i to było niebezpieczne, bo Urząd Pracy jak i Nadzór tego się czepiały. Jednak kuchnię przy milczącej zgodzie Nadzoru Bankowego uruchomiliśmy. Mimo to mieliśmy następujący wypadek. Zgromadziliśmy kilka ton mąki, głównie przy pomocy zastępcy naczelnego dyrektora Gintowta. Zjawił się jakiś oficer Gestapo, który był zorientowany w ilości towarów i miejscu ich przechowania. Zażądał ogromnej łapówki 50 tysięcy złotych. W przeciwnym wypadku zagroził aresztowaniem osób, odpowiedzialnych za administrację. Zapytany przez dyrekcję o decyzję, oświadczyłem wzburzony do żywego, że jakiegokolwiek byłyby konsekwencje, doniosę o tym wypadku szefowi Nadzoru Bankowego dr. Paerschowi. To też uczyniłem, będąc kilka dni później w Krakowie. Paersch długo chodził ponuro po pięknej sali pierwszego piętra dawnego Banku Gospodarstwa Krajowego. Potem powiedział krótko: „*Schweineret!*” i radził dla dobra sprawy i bezpieczeństwa iść złotym środkiem w tej żalosnej rzeczywistości.

Gintowt uzgodnił z gestapowcem sumę 10 tysięcy złotych. Jakby nie było, rabat dość wysoki. Od tego czasu był spokój z kuchnią załogową. Wydatki na prowadzenie kuchni powoli urząd Nadzoru Bankowego uznawał. Jednakże wszystko to było kroplą w morzu. Wobec tego, również przy milczącej zgodzie Nadzoru, zorganizowałem pomoc na wielką skalę ze strony poważniejszych klientów, którzy na wielkich a tanich kredytach bankowych świetnie zarabiali. Były to dary spontaniczne. Nikt na nikogo nie wywierał nacisków, a zapasy kuchni rosły jak na drożdżach. Nie wymyślili okupanci żadnej ustawy zabraniającej przyjmowania darów. Rozmowy prowadziłem sam, nie dyrekcja, aby wykorzystując moje wówczas szerokie stosunki towarzyskie w Warszawie, podkreślić społeczny charakter całej akcji. Z największą wdzięcznością wspominam niektórych wspaniałych reprezentantów naszego przemysłu i handlu, którzy nigdy nie zawadzili, gdy chodziło o stałą czy doraźną pomoc.

Środki gromadzono przez prezesa Rady z polecenia komitetu wykonawczego. Podziałem ich zajmowała się sprawnie działająca samopomoc koleżeńska pod przewodnictwem inspektora Wajdzińskiego. W każdym razie stwierdzić można, że poza uprzywilejowanymi instytucjami jak „Społem”, żadna z orga-

nizacji gospodarczych nie mogła wykazać się takimi rezultatami co Bank Handlowy.

Potworne warunki życia i nieubłagany czas poczyniły duże szczyby wśród władz i urzędników banku. W czasie mego urzędowania odeszli Edward Natanson, Wiesław Tuchołka — dawny poseł i ziemianin, płk Thiel — szwagier J. Żychlińskiego, Władysław Psarski — dawny poseł i wybitny przemysłowiec, dyrektor cukrowni w Kościanie, Mieczysław Hofman — przemysłowiec i były naczelny dyrektor Banku Handlowego oraz Józef Żychliński, o którym tyle razy była mowa. Wreszcie z dyrekcji umarł na początku powstania zasłużony dyrektor Gintowt, członek zarządu Resursy Kupieckiej.

Przeszło 40 urzędników i funkcjonariuszy banku zginęło podczas wojny, najwięcej jednak w powstaniu. Nazwiska ich nie zostały zapomniane i na pewno w dziejach banku będzie dla nich miejsce.

Tak, była wielka tradycja w tym największym motorze przemysłu i handlu, jakim był Bank Handlowy. Dumny jestem, że mnie przypadł w udziale zaszczyt przewodniczenia tej tak zasłużonej placówce dla kraju i narodu, i to w najcięższych czasach, jakie od założenia swego przechodziła. Może mogłem niejedno lepiej zrobić, jednak wiem, że niczego nie zaniedbałem z własnej winy. To też jest wielka pociecha i zadowolenie.

W czasie wojny wszędzie, gdzie pracowałem wytwarzała się jakaś nić przyjaźni między ludźmi przy wspólnym warsztacie pracujących, jakaś wspólnota w tej równej wszystkim niedoli. Tak było w RGO, w niezapomnianym pałacu „Pod Wiatrami” na Długiej, tak było w Centralnym Związku Przemysłu Polskiego na Szkolnej, tak było też i w pięknym gmachu Banku Handlowego. Wśród urzędników nie brakło prawdziwych talentów. Jakie było oddanie wśród służby lub woźnych! Szczególnie muszę wspomnieć o prostym, a jak inteligentnym woźnym Rady Banku Handlowego, Andrzeju Dudku, który banku podczas bombardowania nie opuścił i na posterunku umarł. Dalej o radcy prawnym Zdzisławie Kucharskim, który zginął w obozie. O Stanisławie Wienerze, który zmarniał w getcie. Nie wiem, jakie dokumenty uratowały się w archiwum w Warszawie. Nie wszystko zginęło, gdyż wiele materiałów musiało zostać w niektórych, zasobniejszych filiach banku.

Kiedy zdawałem sprawę z lat okupacji przed plenum Rady, która na swoje pierwsze zebranie zaprosiła urzędników, którym tyle zawdzięczaliśmy, miałem po tylu latach czarnej roboty

niezwykłą i podniosłą chwilę. Na wniosek członka Rady profesora Młynarskiego uchwalono i wciągnięto do protokołu uroczystą uchwałę, stwierdzającą, że w najlepszych warunkach nie uchybiłem nigdy godności i honorowi narodowemu oraz spełniłem swój obowiązek do końca. Był to pierwszy i ostatni odruch w stosunku do mej pracy publicznej przez sześć lat. Cieszyłem się tym niezmiernie.

Oczywiście, że bank miał nadzorcę z ramienia Ministerstwa Skarbu. Był nim późniejszy dyrektor departamentu obrotu pieniężnego, Leonard Makowski. Był to człowiek przyzwoity, rozumny i inteligentny. Nigdy nie miałem z nim, jak długo byłem w kraju, najmniejszego nieporozumienia.

Życie szło dalej. W Łodzi był jeszcze Gustaw Geyer, niezapomniany mój przyjaciel. Wszyscy wiedzieli, jakie usługi oddał Krajowi. Nic też mu się nie stało oprócz tego, że cały olbrzymi majątek bez reszty za te usługi mu odebrano! Spotykałem go często. Był zawsze ten sam. Znosił wszystko z chrześcijańską pokorą. Widywałem Edwarda Pełłowskiego, dawnego kolegę partyjnego i ministra Pracy i Opieki Społecznej. Był dyrektorem wielkiej fabryki amerykańskiej i łudził się wtedy, że da się jakoś sprawy załatać. Z wielką rezerwą słuchałem jego wywodów, zresztą dość logicznych. Ale co znaczy logika wobec rewolucji, która rozpoczęła się, i to na wielką skalę.

W mym niedowierzaniu nowym stosunkom utwierdziła mnie rozmowa z kardynałem prymasem Augustem Hlondem, kilka dni po jego powrocie do Polski. Była wczesna jesień 1945 r. Pojechałem przygodnym samochodem do Poznania, gdyż zaczęli mi się dobierać do młyna w Nekli, mej własności, która dawała mi trochę dochodu. Wysoka pozycja w Banku Handlowym to był „puc” tak za niemieckich, jak i za nowopolskich czasów. W czasie mego pobytu w Poznaniu zjechał do swej stolicy ks. kardynał Hlond. Już za trzy dni zapytałem przez posłańca, czy mógłby mnie przyjąć. Mieszkał na probostwie święto-łazarskim w skromnych warunkach, jak na podmiejskiej parafii. Poszedłem do niego razem z mym przyjacielem, dr. Stefanem Piechockim, który był posłem i ministrem Sprawiedliwości w ostatnim gabinecie Witosa. Z kardynałem łączyła mnie stara znajomość, a od P.W.K. mogę powiedzieć przyjaźń. Nigdy nie podzielałem zdania jego licznych krytyków, że niepotrzebnie z Polski wyjechał, ani też poglądu, że obecność jego w Rzymie nic Polsce nie dała.

Co do pierwszej sprawy, to ustaloną jest rzeczą, że wyjechał on na wyraźne życzenie prezydenta Mościckiego. Co do

drugiej to pewne jest, że jeżeli nadzwyczajna ruchliwość nie mogła sparaliżować niewątpliwych wpływów Niemców w Watykanie za rządów Piusa XII, a więc tych Kaasów, (Kaas, prądat, dawny prezes chrześcijańskiej demokracji, aż do czasów Hitlera) i pewnego odłamu jezuitów, to osłabiła ich działalność w sprawie polskiej w bardzo znacznej mierze. Kardynał Hlond nie był człowiekiem bojaźliwym ani małym. Wrócił, skoro mógł wrócić i to natychmiast, podczas gdy w Polsce wszystko było płynne i rządy komunistyczne na długi czas pewne. Z długiej rozmowy, jaką toczyliśmy na tym poznańskim probostwie wynikało, że zdawał on sobie jasno sprawę z tego, jakie niespodzianki i niebezpieczeństwa go czekają. Nie miał żadnych złudzeń. Bo jeżeli małego człowieka z ulicy razily te rewolucyjne zmiany, jakie na jego oczach się działy, jeżeli tylu szarych ludzi odczuwało głęboko krzywdy moralne, jakie znosić musieli po „uwolnieniu” najlepsi patrioci, żołnierze, społecznicy i politycy, o ileż bardziej musiało to wszystko dotyczyć najwyższego dygnitarza Kościoła.

Samo przyjęcie, jakiego doznał wracając do kraju było jeżeli nie całkiem wrogie, to w najlepszym razie zupełnie obojętne. Wiadomo, że jego niejednokrotne starania o pozwolenie na powrót podczas wojny nie dały żadnego rezultatu. Tak Piechockiego jak i mnie uderzył jego spokój, kiedy powtarzał trzy razy, że to długi proces, jaki się w Polsce rozpoczyna. Nie wyszliśmy bardziej podniesieni na duchu, co jest ludzkie i zrozumiałe. Jego prorocza opinia okazała się uzasadniona.

W miarę krzepnięcia zrębów administracji organizowała się Bezpieka, jak pospolicie mówiono. Był to urząd zniechędzony przez naród. Na przełomie roku 1945-46 nastrój w Polsce był niesamowity. Nawet w banku, gdzie trwała stara tradycja, zaczęło się psuć. Obserwowaliśmy jak hasła ulicy i slogany prasy, zgranej w obrzydliwym serwilizmie, zaczęły tworzyć nowe kadry neofitów, czyhających na awans i kariery. Nie miałem namacalnych dowodów szpiclowania, lecz nie ulegało żadnej wątpliwości, że policja miała wywiad w banku, co okazało się później, choćby z procesu dotyczącego *Gazety Ludowej*.

Czułem się wtedy fatalnie, bo nigdy w Polsce, nawet w czasach sanacji, takich metod nie było, przynajmniej na większą skalę. Jeżeli podobne metody były, to konsekwencje nie kosztowały niczyjej głowy. Nie było też ciemnych procesów, które w nowym systemie swoistej demokracji regularnie pozbawiały wolności osobistej a często życia, i to przeważnie najlepszych synów Kraju!

## Wyjazd za granicę

Nikt wówczas nie ufał nikomu, nawet życie rodzinne zamierało, człowiek człowieka unikał. Nawet w Łodzi, nie zniszczonej i dosyć zasobnej, nie było prawie śladu życia towarzyskiego. Teatry, które rozpoczęły swą działalność, oczywiście musiały ograniczać swoje spektakle do sztuk zgodnych z nową ideologią ze wschodu. Nawet strój ludzi zaczął się do niej często dopasowywać.

W tych warunkach zacząłem poważnie myśleć o ratowaniu się z tego potrzasku. Ani na chwilę nie wątpiłem, że w miarę stygnięcia nowych form Polski Ludowej, niczego dobrego nie mogę się spodziewać. Następne lata, które były świadkami tylu robionych a często fantastycznych procesów pokazowych dowiodły mi, że nie myliłem się ani o jotę. Niestety!

W dniu 8 grudnia 1945 r. po nabożeństwie w katedrze zdecydowaliśmy się z żoną na opuszczenie Kraju. Wiedzieliśmy, cośmy wycierpieli podczas okupacji hitlerowskiej, a instynktownie przeczuwaliśmy, co nas czeka, jeżeli głowy nie schrońmy za granicę.

Łatwiej było się zdecydować, niż to postanowienie w czyn obrócić. Wydostać się z kraju drogą normalną należało do dziedziny cudów. W państwach nowej demokracji obywatel był własnością rządzących, tak samo jak kiedyś chłop czy robotnik, który był *glebae adscriptus* — przypisany do ziemi. Droga ucieczki była wtedy jeszcze względnie pewna na Szwecję, ale to było możliwe dla ludzi młodych, a nie dla starszych. Tym więcej, gdy przeszłość była obciążona jakąkolwiek działalnością „reakcyjną”, zaś ten wyraz obejmował wszystko, co nie było komunistyczne! Skala była ogromna i podpadało pod nią wszystko, nie tylko prawica, lecz i cała lewica, do której należałem.

Zacząłem się starać o normalny paszport, gdyż motyw był dla reżymu sympatyczny. Byłem współwłaścicielem nie tylko „Roburu”, ale i „Polskarob”, której statki w czasie wojny służyły wspólnej sprawie aliantów. Chodziło o to, aby zbadać co się uratowało i spowodować powrót tego mienia do kraju. Poza tym chodziło o nawiązanie kontaktów z bankami angielskimi i amerykańskimi, byłem przecież dotąd prezesem Banku Handlowego. Trwało to długo, choć miałem protekcje nielada.

Na przełomie roku pojechałem do Nekli, aby przygotować sprzedaż młyna, który tam posiadałem, gdyż lada moment gro-

ziła mu nacjonalizacja. Ponieważ prawie całkowicie zostałem „znacjonalizowany”, chciałem uratować ostatnią pozycję.

Korzystając z wyjazdu odwiedziłem przepiękne Czarniejewo, własność hr. Skórzewskich. Wspominam o tym, bo pierwsze moje wakacje westfalskie spędziłem dzięki obywatelskiemu nastawieniu Włodzimierza Skórzewskiego, członka pruskiej Izby Panów, w tym uroczym zakątku Wielkopolski. Są to niezatarte wspomnienia młodości i cóż dziwnego, że do nich powracam? Czarniejewo, miejsce urodzenia Onufrego Kopczyńskiego, twórcy pierwszej polskiej gramatyki, Czarniejewo, gdzie były zbiory słynnego astronoma Poczobuta i ogromny zbiór bezcennych obrazów i biblioteka samych białych kruków. Miałem wtedy lat szesnaście. Dzień był cudny, śnieg na metr i sanna sunęła jak błyskawica. Minęło od tamtego czasu blisko pięćdziesiąt lat.

Kiedy z bratem zajechaliśmy do miasteczka, nasamprzód zaciągnęliśmy wywiadu, co się dzieje z majątkiem. Ludzie kiwali głowami, lecz pocieszyła mnie wiadomość, że administruje tam syn dawnego stangreta, który młodych westfalczyków zawsze wspominał. Umarł dawno, ale syn jego wziął w dziedzictwo to dobre, szlachetne serce ojca. Liczył około siedemdziesięciu lat. Radości nie było końca, aż zaczął opowiadać o losach pałacu, jednego z najbogatszych w Polsce. Sowiety wywiozły wszystko włącznie z parkietami! Ogromne dywany perskie dla łatwości transportu pokrajali na kawałki, meble, obrazy, zbiory, wszystko zabrali jako zdobyczne mienie poniemieckie! W oborze nie zostało jednego ogona, jednego konia.

W milczeniu zajadaliśmy kielbasę i popijali wódkę. Dom poczciwego gospodarza, który przetrwał tylu panów, był zasobny mimo wszystko. Pożegnaliśmy się w smutku. Ostatni raz widziałem kochane Czarniejewo...

Sprawa paszportowa dobrze się posuwała, więc liczyłem, że wszystko się uda. Chciałem zobaczyć ostatni raz starych i oddanych mi przyjaciół, głównie w Krakowie. Korzystając z pobytu w Krakowie w lutym, zobaczyłem się z profesorem Adamem Krzyżanowskim, Alfredem Wysockim, z naszym dyrektorem Kesslerem, który z synem szczęśliwie się uratował, straciwszy żonę i córkę w obozie w Stutthof.

Przede wszystkim widziałem starego przyjaciela naszego domu, Ludwika Solskiego, w którego towarzystwie wypiliśmy kilka gęsiorów węgryna, podarku pewnego obywatela krakowskiego. Pamiętam taki bankieciak ze Solskim i Wysockim w święto Gromniczej. Trwał od dwunastej do blisko trzeciej, po



czym do wieczora nastąpiła pauza, gdyż Solski grał w teatrze. Podczas tych obiadów opowiadał niezliczone, rzadko cenzuralne kawały. Cóż to była za pamięć, co za żywość opowiadania, a miał wtedy przecież blisko sto lat! Nie widziałem najlepszego przyjaciela Metropolity, który wyjechał do Rzymu, gdy zostałem kardynałem.

Pod koniec marca 1946 r. odbyło się uroczyste otwarcie filii Banku Handlowego we Wrocławiu. Pojechałem tam z naczelnym dyrektorem Janem Kozielem. Rad byłem z tego, że mogłem zobaczyć miasto dobrze mi znane, bogate ongiś i okazałe. Cała droga do Wrocławia przez Oleśnicę to jeden obraz zniszczenia wojennego. Samo miasto na pierwszy rzut oka przedstawiało tylko gruzy i zgłiszczą. Istotnie było bardzo zniszczone, jednakże niektóre piękne gmachy mogły być odbudowane. Bank Handlowy przejął okazały *Deutsche Bank*. Na wyspie tumskiej obraz nędzy i rozpacz.

I pomyśleć, że trzynaście lat później odebrałem rozczulający list arcybiskupa Kominka, opisujący odbudowę tyłu zażytków naszej architektury. W 1946 r. wydawało mi się, że odbudowa tego wszystkiego jest prawie niemożliwa, a w najlepszym wypadku wymagać będzie długich dziesiątków lat. Widziałem też kilka pięknych śląskich uzdrowisk, prawie nieuszkodzonych. Po drodze pokazywano mi dwie wioski, piękne w krasie rozpoczynającej się wiosny: Bierutowo i Hlondowo. Co za małpie zwierciadło! Uśmiechnąłem się ironicznie i pomyślałem sobie „łączenie ognia z wodą”, lecz nie wierzyłem, że ta sztuczna symbioza może długo potrwać. Na ogół na Dolnym Śląsku wyglądało beznadziejnie. Milami nic widać nie było jak chwasty zeszłoroczne i nowe, którym początkująca wiosna dawała nowe siły życiowe. Był to obraz, jakiego się nie zapomina. Widać było, że przez ten piękny i żyzny kraj przeszła wojna. Na jakimś zapomnianym gospodarstwie osiadł chłop spod Lwowa. To byli dobrzy ludzie, ale po strasznych przejściach w nic nie wierzyli. Ot, jeszcze jeden nowy etap włóczęgi, która nie wiezieć jak się skończy. Byli onieśmieleni widząc samochód i podejrzewali, że znów przyjechał jakiś urzędnik, aby ich pędzić dalej. Na szosach i głównych drogach widać było bez końca wojsko rosyjskie. Ludzie uciekali przed nimi, bo nikt się nie orientował, co będzie dalej. We Wrocławiu złożyliśmy kilka wizyt i wracaliśmy do Łodzi smutni niezmiernie po tym, co widzieliśmy. Wszystko było ciemne, ponure, przygnębiające.

Tymczasem szła wiosna, a z nią nowe nadzieje. Byle dalej,

byle przetrwać. Na początku kwietnia zjawiło się w naszym bankowym mieszkaniu dwóch policjantów z U.B. w sprawie dalszych indagacji co do mego paszportu. Pytaniom nie było końca, wreszcie oświadczyli, że po gotowy paszport zgłosić się trzeba w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

W drugie święto Wielkanocy mieliśmy pod wieczór wyjechać do Łodzi. Postanowiłem zobaczyć się raz jeszcze — ostatni, jak się okazało — z mądrym i doświadczonym kardynałem Hlondem. Bałem się, co z mych ukrytych planów wyniknie, odczuwałem potrzebę poradzenia się i pokrzepienia. Ks. Prymas przeprowadził się z probostwa na św. Łazarzu do niezniszczonej przez działania wojenne kanonii, którą względnie wygodnie, choć skromnie urządono. Przyczynił się do tego głównie Jerzy Turno, który z Objezierza, od niepamiętnych czasów do Turnów należącej siedziby rodzinnej, sporo mebli uratował.

Kardynał był w lepszej formie niż wtedy, kiedy go widziałem po jego powrocie z Rzymu. Jego sekretarz ks. Antoni Baraniak usunął się dyskretnie i mogliśmy rozmówić się w cztery oczy. Był świetnie poinformowany o bieżących sprawach kraju. Kiedy mówiłem o mych planach, bez zastrzeżeń powiedział mi, że winienem szukać schronienia przed burzą, która na Polskę dopiero idzie. Mówił, że komuniści, korzystając z naiwności aliantów, będą się starać za wszelką cenę umocnić swój reżym. Dziwił się łątwowierności niektórych polityków polskich, którzy nie znając metod komunizmu, ulegają ułudzie, że pójdą oni na kompromisy. Owszem pójdą, jak długo ze względów taktycznych będzie im to odpowiadało. A potem zlikwidują wszystkie elementy polityki, jakie po przeszłości pozostały. I — ku mej irytacji — stale powtarzał, że to wszystko bardzo długo potrwa. Mówił, jakby to był jego dogmat polityczny. Lepiej jest nie łudzić się, bo to uchroni od rozpacy i fałszywych kroków. Radził więc wyjechać, skoro są po temu możliwości. Kardynał stosując się do warunków przeprowadził reorganizację administracji Kościoła w Polsce, przeniesie się do Warszawy jako metropolita stolicy, zatrzymując biskupstwo gnieźnieńskie jako siedzibę prymasa polskiego od wieków.

Pod koniec prosił mnie o zabranie pisma odręcznego dla kardynała Fr. Spellmana i przedstawienie mu sytuacji w Polsce. Jedno i drugie później załatwiłem. Nie mogłem jedynie rozmówić się, z przyczyn ode mnie niezależnych, z kardynałem Stritchem z Chicago, którego Prymas uważał za wypróbowanego i najlepszego przyjaciela Polski. Następnie pożegnał się ze mną

roczulajęco, mówiąc w obecności ks. Baraniaka: „Pan nie wierzy w moją teorię powolnych procesów politycznych, ale wydaje mi się, że raczej spotkamy się tam u góry, niż tu na ziemi”. To jego powiedzenie sprawdziło się — przynajmniej w połowie — rychlej niż pewnie i on mógł przypuszczać, bo- wiem zmarł w Warszawie w 1948 r.

Za dni kilka paszport był gotowy. Pojechałem do Warszawy, lecz jak jechać dalej? Jedyne samolot angielskiego RAF funkcjonował między Warszawą a angielskim sektorem Berlina. Nie umiem do dziś dostatecznie podziękować ambasadzie angielskiej za to, że mi ten przejazd umożliwiła. Nie obyło się bez dalszego strachu. W wyznaczonym dniu samolot nie mógł odejść z powodu defektu w maszynie. Zaznaczyć muszę, że re wizja celników — widocznie z polecenia góry — była łagodna i krótka. Listy przewiozłem bezpiecznie.

Przed wyjazdem, a było to na tydzień przed 1 maja, rozpoczynała się dekoracja miasta Łodzi na nowe święto narodowe. Miasto całe było dosłownie czerwone, nie zauważyłem jednego sztandaru narodowego. Tak opuszczałem Polskę, ojczyznę moją. Powiedziałem sobie, że na tym skończę moje bujne życie polityczne i społeczne, toteż następne kartki dotyczą likwidacji spraw publicznych, których załatwienia się podjąłem. Spraw osobistych nie opisuję, gdyż te nikogo nie interesują i są bez znaczenia dla przyszłego dziejopisa tych przełomowych czasów. Jeżeli czasem o nie potrączę, to tylko dla podmalowania tła.

Po dwóch godzinach lotu byliśmy na lotnisku w Tempelhofie. Pyszni są ci Anglicy. Salony lotniska urządzone jak w jakimś *cottage* w Anglii z obowiązkowymi kominkami, wygodnymi kanapami i niezliczoną ilością pism ilustrowanych, których tak mi brakowało przez siedem lat. Nareszcie przespałem się wygodnie i spokojnie po szarpaninie tyłu lat. Czułem odprężenie nerwowe, które opisać trudno, byłem zadowolony, przychodziłem do siebie.

Nazajutrz byłem w Londynie. Uderzyła mnie niezwykła ilość żołnierzy polskich z naszywkami „Poland” na rękawach. Pilnie obserwowałem nastrój ulicy wobec tych ludzi bezdomnych, którzy w taki walny sposób przyczynili się do zwycięstwa aliantów, aby kraju swego więcej nie zobaczyć! Ulica londyńska ich tolerowała, lecz była im na ogół niechętna. Anglik nie lubi munduru, kiedy wojna się kończy. Polski żołnierz był więc pewnego rodzaju ubogim krewnym, wobec którego istnieją pewne obowiązki prymitywnej przyzwoitości, ale którego warto by się pozbyć dla świętego spokoju.

Widziałem tylko kilku przyjaciół, jak szefa Polskiego Czerwonego Krzyża Feliksa Kollata i Mieczysława Lissowskiego. Nie mogłem i nie chciałem spotkać się z żadnym z polityków różnych odcieni, od których roziło się w Londynie. Zresztą za kilka dni musiałem wyjechać do Nowego Jorku. Łatwiej to dzisiaj napisać, niż wtedy zrobić. Rok po wojnie, a tu nie było żadnej komunikacji pasażerskiej; na miesiące naprzód trzeba się było starać. Przy ogromnych stosunkach, jakie miał lord Leathers, dawny minister komunikacji w rządzie wojennym Churchilla, udało się dostać miejsce w samolocie przewożącym różnych dygnitarzy, głównie z UNRRA.

Kiedy widziałem się z Leathersem, który miał znaczne interesy z „Roburem” w Polsce, doznałem pierwszego rozczarowania w mej rozpoczętej z wielkimi nadziejami pielgrzymce. Sondowałem jego opinię co do możliwości osiedlenia się w Anglii. Zaczął mi dowodzić, że Polska więcej niż kiedykolwiek potrzebuje ludzi i jeszcze raz ludzi. Jakże, mówił, brak ludzi pańskiego znaczenia (czy to było szczere?) zagraża Polsce więcej niż chwilowy brak kapitałów. Wówczas taki był nastrój wśród tych Bevinów, Bevanów czy Edenów.

Ten lord angielski, któremu nie odebrano jednej fabryki, jednej kopalni, jednego przedsiębiorstwa, a którego straty za granicą zostały sownie wynagrodzone odszkodowaniami wojennymi nie mógł w swym mózgu pomieścić, że w Polsce było całkowicie odwrotnie, odwrotnie o 180 stopni.

Za bilet do Nowego Jorku podziękowałem, ale wyszedłem przybity z tej rozmowy, gdzie mi ślepy tłumaczył teorię kolorów.

Dnia 1 maja 1946 r. byłem w Nowym Jorku, aby rozpocząć batalię o me prawa majątkowe. Była to fantastyczna epopeja lecz, jak zawsze na tych kartach podkreślam, nie ma ona nic wspólnego ze sprawą publiczną, materiał nadawałby się raczej do powieści kryminalnej. W Nowym Jorku hotele były szczególnie zajęte, toteż co trzy dni wyrzucano mnie z jednego do drugiego. Taka była pierwsza powojenna wiosna w największym mieście potężnych Stanów.

Wypełniłem przyrzeczenie dane ks. prymasowi Hlondowi. Byłem z wizytą u ks. kardynała Spellmana, gdzie zaproszono mnie po trzytygodniowym czekaniu na audiencję do pałacu przy katedrze św. Patricka. Kancelaria zajmująca ogromny gmach w centrum miasta przypominała jakieś wielkie biuro handlowe. Wszystko było tam zmechanizowane, a ogromna karto-teka wyrzuciła w sekundzie odnośne akta.

Sama rozmowa ze Spellmanem, który swą raczej niską i zaokrągloną postacią przypominał zażyłego plebana wiejskiego, nieszczerólnie mnie zachwyciła, słuchał jakby znudzony. Inna rzecz, że w tym czasie jego potężne organizacje hojnie zasilają akcję charytatywną w naszym kraju. Sądzę, że to spotkanie było pożyteczne, co mi później potwierdzili wybitni działacze polscy. Moje pierwsze wrażenie było mylne. Spellman był typem Amerykanina, pozornie zimnym, a w rzeczywistości prawdziwym, praktycznym chrześcijaninem. Po widzeniu się z nim upewniłem się w toku dalszych wizyt u naszych księży w Ameryce, że Spellman istotnie prowadził akcję charytatywną na wielką skalę.

Najmilej przyjął mnie ks. prałat Burant, który tak jak ks. Ryczek był pułkownikiem amerykańskim. Zwiedziłem szereg zakładów i szkół, więc miałem sposobność podziwiać pracę sióstr Felicjanek, które — choć rodzone już w Ameryce — wszystkie bez wyjątku mówiły po polsku nie tylko poprawnie, ale i bez akcentu, co wydawało mi się rzeczą niezwykłą i niecodzienną. Te siostry widziałem jeszcze później w Newark, gdzie proboszczem był ks. Knappek, i w Baltimore, gdzie miał ogromną i bogatą parafię polską ks. Stanisław Wachowiak, daleki mój krewny, który urodził się w Ameryce. Nazwiska, imiona i daty urodzenia były identyczne. Ciekawe koincydencje zdarzają się w życiu.

Kiedy w Baltimore odwiedziłem ks. Wachowiaka, myślałem, że pomówię z nim dyskretnie o możliwościach wydobycia z kraju najbliższej rodziny. Do tego nie doszło, gdyż ks. Wachowiak na moje przyjęcie urządził bankietek co się zowie. Jak tu było można mówić o takich kłopotach. A szkoda, gdyż niezliczone komisje amerykańskie działające wtedy w Niemczech miały tysiące okazji przemycania ludzi, którzy chcąc korzystać ze świeżo podpisanych praw człowieka i obywatela, woleli uciekać na zgniły Zachód niż korzystać z wolności demokracji ludowej.

Nasłuchałem się na tym przyjęciu licznych mów i miałem wrażenie, że siedzę na ławie oskarżonych. Oczywiście pomściłem się w przemówieniu, które jako gość miałem przywilej wygłosić na ostatku. Powiedziałem im, że to, że jestem między nimi jako żebrak, że w kraju są rządy komunizmu, że ludzie masowo uciekają choćby do Niemiec, to „twoje dzieło, Ameryko"! To dzieło chorego Roosevelta, z braku wszelkiej kontroli parlamentu nad działaniem dyktatury rządowej, jaka była

czasu wojny w Stanach Zjednoczonych. Co nasz naród, ta największa ofiara, z tym miał do czynienia? Mówiłem dotknięty uwagami o stosunkach w Polsce.

Nastąpiła cisza. Osobiście nikt mnie nie dotknął, ale krytyka mego narodu za nie swoje i niepopelnione grzechy czy błędy musiała wywołać reakcję gwałtowną i wydaje mi się słuszną. Nawet najlepsi Polacy amerykańscy naiwnie na sprawę w kraju się zapatrywali.

W Nowym Jorku spotkałem szereg wybitnych emigrantów wychodźstwa wojennego. Kilka razy widziałem Adama Koca, organizatora w latach przedwojennych BBWR, to znaczy Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Był to rzadko spotykany typ polityka, który sam przyznawał się do swych błędów. Koc był jedynym wyjątkiem i w długich rozmowach mówił o tym otwarcie. Imponowało mi to ogromnie, gdyż na to trzeba mieć charakter.

Oczywiście musiałem się zetknąć z szeregiem dygnitarzy nowego reżymu, skoro miałem odwiedzić kilka banków nowojorskich. Towarzyszył mi Janusz Żółtowski, który był radcą ambasady w Waszyngtonie. Był on doskonale obeznany na terenie Nowego Jorku i niewiele byłbym załatwił bez jego pomocy na zawiłym rynku nowojorskim. Zastępcą ambasadora polskiego w Waszyngtonie, Oskara Langego, który wówczas był tymczasowym delegatem przy UNO — Zgromadzeniu Narodów Zjednoczonych — był Stefan Litauer. Jak już wspominałem, znałem go od dawna. Wytrawny dziennikarz, miał rozległe stosunki i miałem wrażenie, że świetnie spełniał swoje funkcje. Okazał mi osobiście dużo przyjaźni i pomocy, jakiej się nie spodziewałem. Przez niego poznałem wielu wybitnych dygnitarzy amerykańskich, między innymi ówczesnego gubernatora Alaski Ernesta Grueninga. Wspominam o nim, gdyż utkwiał mi w pamięci oraz dlatego, że wywodził się z Polski, z Inowrocławia. Cóż to za dziwna rzecz, że człowiek nie może swego serca oderwać od ziemi, która go wydała! Dowiedziawszy się, że spędziłem kilka lat na Kujawach i że w Inowrocławiu byłem prezesem Rady Miejskiej, z pewnym niedowierzaniem słuchał opowiadania, gdyż coś mu się daty nie zgadzały, czy mocniej mówiąc szokowały. Liczył i liczył i w końcu powiedział, że to prawie niemożliwe, bo w 1918 r. miałem lat 28.

Kiedy Litauer mu to wszystko potwierdził, wypytywał się o każdy szczegół tego miasta, które tak kochał — z dalekiej Alaski. Był to niezwykle człowiek i przez tenże Inowrocław wielki przyjaciel Polski.

W czasie mego pobytu w Ameryce przyjechał do Waszyngtonu generał Izidor Modelski, z którym w jego hotelu miałem długą rozmowę. Wynioskowałem z niej, że przyjęcie przez niego stanowiska *attaché* wojskowego przy ambasadzie było tylko pretekstem. Jak mówił, nie mógł wytrzymać atmosfery kraju, która z każdym dniem stawała się coraz gęstsza. Okazał się dobrym prorokiem. Że wybrał wolność, rozumiem całkowicie. Jednak wydawało mi się, że wydanie Amerykanom różnych dokumentów, co miało później miejsce, nawet w tych warunkach, w jakich się znalazł, nie było właściwe. Choć trudno mi to sprawiedliwie osądzić, gdyż za mało na to posiadam materiałów. Zresztą stosunki polityczne w Polsce po 1946 r. tak gwałtownie zaczęły się psuć, że można wytłumaczyć niejedną decyzję, niejedyn krok, dla ratowania wolności i godności ludzkiej, tak wówczas w Polsce zbezczeszczonej. Dobry pan Baliński oprowadzał mnie po Waszyngtonie, a głównie po Nowym Jorku.

Pewnego dnia, kiedy pokazywał mi miasto, opowiedział mi o śmierci Wieniawy Długoszowskiego, który przy River Side wyskoczył z dwudziestego piętra jakiegoś drapacza chmur, ponosząc śmierć na miejscu. Przechodząc obok tego gmachu stanął mi przed oczyma ten wspaniały człowiek, przez wielu ludzi potępiany, a jeszcze powszechniej uwielbiany. Nie pasował do czasów, w których wypadało mu żyć. Kto nie pamięta legend, które o nim krążyły i jego często kapitalnych pomysłów, z których cała Warszawa się cieszyła? Od roku 1920 często się z Wieniawą spotykałem. Mimo sympatii, jaką mnie darzył od pierwszego zetknięcia się z nim w Poznaniu, kiedy był adiutantem Piłsudskiego, zacząłem unikać tych spotkań, gdyż nie mogłem dotrzymać mu kroku przy koniaku, który tępił bez litości. Jednak był to człowiek całkiem niezwykły i o duszy tak szlachetnej, jak rzadko widziałem.

Politycznie miał zrozumienie dla opozycji rządowej, szanował cudze zdanie i zawsze stał po stronie prześladowanych czy pokrzywdzonych. I pomyśleć, że po tak wielkiej karierze skończył w tym mieście bez tradycji i bez serca, w Nowym Jorku. Biedny Wieniawa. Nie mógł przeżyć tego wszystkiego, co przyszło na biedny naród, tak jak przeżyć nie mógł Juliusz Łukasiewicz, jeden z naszych najzdolniejszych dyplomatów.

Nie czułem się dobrze w Stanach. Wszystko zdawało się beznadziejnie zmaterializowane, niejedna stara przyjaźń okazała się w zmienionych warunkach powojennych bańką mydlaną. Byli to inni ludzie tutaj, a inni w Polsce. Każdy z nowych

emigrantów urządzał się jak mógł i prześcigali się w okazywaniu gorliwości, skoro mieli pożądany paszport amerykański. Traktowali mnie często z pewną jakby wyższością lub z pewnym politowaniem, bo przecież to wszystko można i trzeba było przewidzieć... Niektórzy przez tych siedem lat dorobili się znacznych majątków. Wydawało mi się, że przewartościowane zostały wszystkie dotychczasowe wartości. Ci co uciekli — a nie wszyscy przecież wyjechali bronić ojczyzny za jej granicami — wydawali się bohaterami, a ci co zostali głupcami i tchórzami.

Nowi Amerykanie, jak wszyscy neofici, prześcigali się w służalczości wobec przybranej ojczyzny. Trzeba było słuchać często gorzkich zarzutów, jakich głupstw podopuszczali się ludzie w kraju w czasie wojny, jakie błędy popełniano, kiedy ich, uciekinierów, zabrakło. I choć niepodobna uogólniać, bo na szczęście nie wszyscy byli całkiem obrani z rozumu i serca, to jednak co do mnie stwierdzić muszę, że nigdy po tym pobycie w Ameryce nie mogłem się wyzbyć uczucia, że pojęcie tak zwanego patriotyzmu, to pojęcie rozciągliwe i giętkie, jak tyle innych. Zaczawszy już siwieć, złapałem się na tym, że wiele rzeczy zbyt idealizowałem. A na ziemi trzeba po ziemi chodzić. Tego nauczyłem się z mego krótkiego pobytu w Ameryce. Tam przekonałem się, że nie ma wiecznych przyjaźni, ani — jeżeli o politykę chodzi — bezinteresownych sympatii, jest tylko interes.

Co za kapitalne rozmowy tam prowadziłem! Każdy, oczywiście, miał cudowne eliksiry na zbawienie ojczyzny. Jednakże kiedy zachęcałem, aby wracali do kraju i zastosowali je na miejscu, odpowiadali stereotypowo: już jestem obywatelem amerykańskim, moja lojalność należy do Ameryki. Albo: jeszcze rok, a będę obywatelem amerykańskim, muszę zachować ostrożność. Ale naturalnie Polski nie można zapomnieć, jest świętym obowiązkiem pracować dla niej. A ponieważ oni mieli paszporty amerykańskie lub na nie czekali, trzeba, aby kto inny to czynił. Uważali więc, że powinno się wracać w imię przyjętego hasła: ktoś się musi poświęcić. Byłe nie ten, który hasło głosił. Są to najobrzydliwsze wspomnienia z zetknięcia się z niektórymi pyskaczami patriotycznymi. Wtedy przypominał mi się cięty język Henryka Heinego: „*Sie tranken heimlich Wein und predigten öffentlich Wasser*”. Czyli „pili wino potajemnie, głosząc wstrzeźliwość na zewnątrz”. O czasy, o obyczaje!

Biurokracja jest wielka w Ameryce Północnej. Ile w tych sześciu tygodniach musiałem wypełnić papierów, czekając go-



dzinami na kolejkę! Przed wyjazdem musiałem zjawić się w urzędzie podatkowym i pod przysięgą — *I swear* — zeznać, ile podczas mego pobytu zarobiłem. Przysięgałem nie krzywo, deklarując, że tylko wydałem i ani centa nie zarobiłem.

Zastrzegam się, że to są moje osobiste wrażenia, moje przeżycia, moja na nie reakcja. Więc na pewno nie są obiektywne. Jednakże chcę oddać ogólny nastrój psychiczny, jaki miałem po tylu przeżytych cierpieniach podczas okupacji i po tym fatalnym zawodzie, jakiego doznałem w kraju, który w okupowanej Polsce był synonimem praw człowieka i obywatela.

Prasa amerykańska razem wzięwszy stanowczo mniej o Polsce wówczas pisała, niż w Anglii choćby jeden *Daily Telegraph*. Wówczas był jeszcze w modzie niedawno zmarły Roosevelt, kompan Stalina, a o artykuły Mrs. Roosevelt biły się brukowce amerykańskie. Ignorancja w sprawach środkowej i wschodniej Europy była nieprawdopodobna. Zrozumiałem wtedy, jak największy potęgą materialną naród na kuli ziemskiej mógł dopuścić do takiego stanu rzeczy, że wygrał wojnę, a przegrał pokój. Pokoju bowiem po tym zwycięstwie nigdy nie zaznał, wydając astronomiczne sumy na swoją obronę.

Zetknąłem się z innym światem, który inaczej sobie wyobrażałem. Wszyscy i wszystko było mi tam obce, a najbardziej swoi. Wyjechałem i nigdy przyjemnie nie wspominałem tej eskapady.

## *Emigracja*

Wróciłem do Londynu, gdzie miałem przeżyć kilka miesięcy niepokoju. Mając coraz liczniejsze wiadomości z kraju, że sytuacja polityczna z dnia na dzień staje się coraz gorsza, zdecydowany byłem nie wracać. Ale na to musiałem mieć zgodę rządu angielskiego. Dostałem ją po dość długim czekaniu, gdyż wiedzieć trzeba, że zasadą polityki angielskiej w 1946 r. było nakłanianie do powrotu. Zdarzyły się nawet wypadki wydania kilku osób, co ustało dopiero, kiedy przywoiła prasa angielska rozpoczęła alarm. To był okres przykry i przynębiający. Jednakże mając pomoc lorda Leathersa a przede wszystkim Józefa Lipskiego, uzyskałem prawo pobytu w Zjednoczonym Królestwie.

Jednakże największy kłopot był z najbliższą rodziną. Żona była w Polsce, tudzież najmłodszy syn i córka z rodziną. Żonę

co chwilę nagabywano, kiedy wracam, gdyż mój paszport wystawiony na trzy miesiące się skończył. Byłem wtedy kłębkim nerwów. Z jednej strony wiedziałem, że mój powrót równałby się niechybnemu procesowi i końcowi mej osobistej wolności, z drugiej strony wydawało mi się, że zostawienie rodziny na łaskę i niełaskę Urzędu Bezpieczeństwa było pewnego rodzaju dezercją. Nie zdezerterowałem w r. 1939 — jak mogłem to uczynić teraz? Co prawda heroiczne ucieczki z kraju, nie zawsze udane, były niezliczone. Jednakże żonę obserwowano, tak jak całą rodzinę. Trudno opisywać coraz to nowe plany, lecz koniec końców najpierw uciekł syn na wyspę szwedzką Gotland, następnie żona w warunkach jakby z Odysei do Göteborga. Nocą miałem telefon ze Sztokholmu, że statek węglowy, na którym zdołała się wydobyć, już jest poza wodami terytorialnymi polskimi. Była to wiadomość, która przywróciła mi równowagę duchową po tylu miesiącach niepokoju, jakiego w życiu nigdy przedtem nie przeżyłem.

Zachowanie się władz szwedzkich było ponad wszelką pochwałę. Był to dokument kultury narodu, którego dewizą było *sacra res miser* — nieszczęśliwy jest rzeczą świętą. Już dwa tygodnie później zaczęły się przesłuchiwanie całej rodziny pozostawionej w Polsce. Nic z tego nie wyszło, gdyż każdy zgodnie z prawdą mógł zeznać, że nie absolutnie o tych zamierzonych ucieczkach nie wiedział. Zasadą naszą było, że nawet najbliższym osobom, choćby nie wiem jak „murowanym”, jak mówiono, nie zdradzaliśmy naszych zamiarów. To okazało się w rezultacie zbawienne. Nasi szwedzcy przyjaciele okazali tyle serca i pomocy — i to nie tylko nam, ale setkom zbiegów — że pozostanie to na zawsze piękną kartą dla Szwecji.

Następnie angielski Home Office wystawił wize dla żony i syna bez najmniejszych trudności. Zasadą Anglików była zawsze łączność i spoistość rodziny. Ze zrozumiałych powodów w Anglii unikałem stykania się z Polakami, z wyjątkiem oddanych i pewnych przyjaciół.

W rozmowach jakie miałem wydawało mi się, że w romantycznych pomysłach polskich niewiele się zmieniło. Na czym większość opierała swoje nadzieje, że już, już wracamy do miłej ojczyzny — dotąd nie rozumiem. Było przecież tak, że rząd angielski uznał reżym Bieruta, że ciążyła mu obecność dziesiątków tysięcy emigrantów, że w kraju rozpoczął się niebywały terror. Życie szło dalej, a nadziejami głodnych się nie nakarmi. Na przykład hasłem narodowym było wtedy, że nie wolno przyjmować obywatelstwa angielskiego, co miało mieć

przykre konsekwencje dla naszych górników zatrudnionych w kopalniach angielskich, kiedy na skutek niepomysłnej koniunktury masowo wyrzucano z pracy robotników. Anglikom nie się nie stało wskutek potęgi *trade union*'ów, ofiarą padli głównie Polacy.

Z ludźmi, którzy darzyli mnie starą i wypróbowaną przyjaźnią debatowałem na ten temat, otwarcie broniąc zasady, że nie wolno niszczyć egzystencji emigrantów i powtarzając słowa prymasa Hlonda, które mnie prześladowały — to wszystko długo potrwa. Takie dyskusje toczyłem z dr. Zygmuntem Nowakowskim, wielkim umysłem i wielkim pisarzem. Z Julianem Cybulskim, wybitnym inżynierem górniczym i niepospolitym człowiekiem. Z generałem Borem, który wtedy właśnie przygotowywał swoje dzieło o armii podziemnej. Z Józefem Lipskim (zmarł w USA w r. 1958), który był całkiem niezwykłym umysłem. Również często z Józefem Rettingerem (zmarł w Londynie w r. 1960), którego zakulisowe kontakty z rządem angielskim były tajemnicą poliszynela. Odnosiłem wrażenie, że wszyscy oni uważali moją teorię, że zaistniała sytuacja międzynarodowa potrwa długie lata za pewną manię, którą można zrozumieć, zważywszy, co przeszedłem podczas okupacji niemieckiej.

Nie przypuszczałem, że mój pesymizm zostanie pobity przez rzeczywistość. Nie byłbym nigdy wierzył, że stan wytworzony w Jałcie i Poczdamie przetrwać może dziesiątki lat. Tak, procesy historyczne rozwijają się powoli, jak powtarzał Prymas Hlond. Walka duchów w obozie polskim była wielka. Opuściwszy twarde grunto, zaczęto budować na iluzjach, zjadliwie zwalczając jeden drugiego. Starą polską metodą każdy był zdrajcą, kto był innego zdania.

W tych warunkach postanowiłem się definitywnie wycofać z politycznej areny polskiej, na której przeszło trzydzieści lat przetrwałem z różnym szczęściem. Nie znaczy to, abym nie uważał, że pracy dla sprawy polskiej nie należy prowadzić dalej. Przeciwnie, trzeba ją było uintensywniać, umacniać, propagować, aby sumienie narodów wolnych nie zaznało ani chwili spokoju wobec zbrodni, jaka się stała. Każdy artykuł gazetowy, przemycony przez przypadkowego korespondenta, każda broszura, każda książka, najlepiej po angielsku wydana, była pożądana. Każdy przyjaciel dla Polski pozyskany był pożyteczny. Każda szkółka niedzielna czy sobotnia dla diatwy polskiej była więcej warta od dyskusji politycznych, które w miarę jak nie-

uślągany czas bieżył, musiały być śmieszne i raczej szkodzić niż pomagać.

Jak sobie ci reprezentanci tak zwanej ciągłości rządu i — jak się z pewną egzaltacją mówiło — legalizmu polskiego wyobrażali: że jak długo można podtrzymać fikcję suwerenności państwowej bez ziemi, bez ludności, bez środków, w krajach jak Anglia czy Stany Zjednoczone, które uznały nowy reżym w Polsce? Trzeźwi Anglicy patrzyli na to widowisko z pewnym poczuciem złośliwego humoru, choć był to dla nich pewien wentyl dla uspokojenia swego sumienia. Rozumiem, że można z tym zapatrywaniem polemizować, bo uznanie starej ambasady przy Watykanie było pewnym prestiżem dla tak zwanego rządu emigracyjnego. Jednakże powoli stawało się jasne, że taki stan rzeczy długo utrzymać się nie da. Było to krepujące dla Watykanu i z czasem nieznośne dla fikcyjnego dziekana korpusu dyplomatycznego, jakim był najstarszy ambasador, a więc polski. Trzeba powiedzieć, że ten stan przetrwał wskutek konserwatyzmu obyczajów dyplomatycznych Watykanu bardzo długo, bo aż do śmierci Piusa XII w 1958 r.

Pewnie, że polski konsulat generalny w Irlandii miał wielkie znaczenie. Jego paszporty były uznawane długi czas przez niektóre państwa, a jeżeli chodzi o wystawianie przeróżnych zaświadczeń i dokumentów, to był prawdziwym błogosławieństwem. Jednak w miarę kłótni ideowych w Londynie, w miarę rozbiecia obozu polskiego okazało się, że i ta placówka była nie do uratowania, po prostu z braku środków. Patrząc kilka lat na ofiarną pracę konsula Teclafa, a później Zofii Zaleskiej, lepiej niż ktokolwiek mogę stwierdzić, że można było podziwiać pracę tych ludzi walczących z tysiącem przeciwności. Żadna z naszych placówek, które zdołały się utrzymać, nie była moim zdaniem pożyteczniejsza niż placówka w Dublinie.

Nie należy nigdy zapomnieć, że szlachetna postawa rządu republiki irlandzkiej umożliwiła przez kilka lat działania placówki dublińskiej, która dlatego miała ogromne znaczenie, że służyła nie żadnej reprezentacji politycznej, a celom praktycznym, co setki emigrantów ratowało przed kłopotami. Dokumenty konsulatu wszędzie były uznawane i sam sporo dokumentów w swych sprawach potrzebowałem, gdyż jak pisałem, prawie wszystkie nasze papiery poszły z dymem pożarów.

W konsulacie był punkt zborny Polonii osiadłej w Irlandii, a był czas, że na uniwersytetach irlandzkich studiowało 200-300 Polaków. Niezatarte wspomnienie pozostawił mi wieczór

urządzony ku uczczeniu Witolda Małcużyńskiego, wielkiego pianisty, lub przyjęcie członków Pen klubu. Irlandczycy po wszystkim, co przeszli pod rządami angielskimi, mieli czułe serca dla naszego narodu, o którym mówili, że swą tragiczną historią może równać się tylko z Irlandią. Znałem szereg czołowych polityków i dygnitarzy irlandzkich i nigdy nie zapomnę szlachetnej postaci Eamona De Valera, lub arcybiskupa Dublina Mc. Quaid.

Kiedy wziąłem rozbrat z polityką, chcąc sobie życie urządzić, osiadłem w Norfolkku i kupiłem gospodarstwo wiejskie. Zrobiłem to dlatego, aby być daleko od tego wielkiego *castrum doloris*, jakim była skłócona emigracja oraz dlatego, aby coś pożytecznego robić. Jednak nie wyszło to wszystko, nie z mej winy. Kiedy przy pomocy paszportu czechosłowackiego — wtedy ministrem Spraw Zagranicznych był jeszcze Jan Masaryk — zdołała wyjechać z Gdyni córka, zięć i wnuczeta, okazało się, że Anglicy nie chcą im dać prawa osiedlenia się w Anglii. Siedzieli więc kilka tygodni w Sztokholmie, a ja starałem się o prawo osiedlenia w Irlandii, co też bez najmniejszego trudu, od ręki przez republikę irlandzką zostało załatwione. Wtedy byłem zmuszony sprzedać gospodarstwo, a chcąc rodzinę wreszcie pod jednym dachem zgromadzić, z uzyskanej ze sprzedaży sumy kupiłem na imię córki gospodarstwo w Gounty Meath. Pośpiech jest złym doradcą, toteż wyszedłem przez tę transakcję z podbitym okiem.

Irlandia w porównaniu z Anglią jest krajem ubożuchnym, gdyż bez węgla i bez większego przemysłu, nie licząc największego browaru świata „Guinness” w Dublinie. Klimat ma feralny, nawet w porównaniu z Anglią. Ale co tu gadać, kraj, zwłaszcza na zachodzie, przepiękny, ludzie dobrzy i życzliwi obcym. Kraj pełen kontrastów. Emigracja z Irlandii ogromna. Stary kalendarz, jaki znalazłem w papierach, podawał brutalne cyfry: w r. 1848 miała Irlandia osiem, zaś sto lat później trzy miliony mieszkańców. Kilka stanów było uprzywilejowanych, a więc kler, *solicitors* czyli adwokaci, *auctioneers* czyli aukcjonariusze i wreszcie hodowcy koni wyścigowych, najlepszych na świecie. Były to pewne klany i biada obcemu, który by do takiego klanu uzurpował sobie jakieś prawa. Bolesnie odczuliśmy to na własnej skórze i musieliśmy się wycofać niepysznie z tego przedsięwzięcia.

Kler jest potęgą, mało, że w Irlandii, ale Irlandczycy dostarczają księży dla Anglii i przede wszystkim do Stanów Zjednoczonych. Nie przesadzę, że tam co drugi ksiądz jest pocho-

dzenia irlandzkiego, jak również co trzeci policjant w Nowym Jorku.

Dla nas najgorszą sprawą był klimat. Krótko powiedzieć można — sześć miesięcy zimy i sześć miesięcy zimna. Latem zdarzały się piękne dni, ale to tam jest wyjątkiem, nigdy regułą. Zima jest okrutna, choć mrozy są rzadkością. To nie jest paradoksem. I w Polsce bywają srogie zimy, 20° mrozu to nie nadzwyczajnego w Warszawie. Cała zagadka w tym, że zimno w Polsce jest suche, zaś w Irlandii mokre. Noce były nieraz tak zimne, że trzy kołdry nie pomagały. Kazaliśmy więc uszyć śpiwory, aby nie odczuwać dotkliwego zimna. Tam zrozumiałem co znaczy polskie określenie „zmarznąć do szpiku kości”.

Kiedy hodowla koni nie wyszła, rzuciliśmy się na pszenicę, za którą rząd płacił niesłychanie wysokie ceny, nie chcąc wyrzucać dewiz na import. Ziemia w środkowych hrabstwach, na przykład w Meath, była znakomita. Mieliśmy pszenicę, jakiej w Polsce nigdy nie widziałem. Można ją było sprzątać we wrześniu lub na początku października. Ale zwykle wtedy rozpoczynał się lekki, łagodny i ciepły deszcz jesienny. Przez pięć lat raz jeden sprzątaliśmy jako tako cudowną pszenicę. Raz na pięć lat!

Wtedy zacząłem rozumieć starych, od wieków tam zasiedziały rolników — hodowali tylko byki na eksport dla Anglii, gdyż łąki były najlepsze bodaj na świecie, wieczne deszcze im pomagały, a nie szkodziły. Było to pewnie rolnictwo dość prymitywne, ale jedyne, któremu nie groziły stałe kłęski.

Jadąc dobrze utrzymanymi drogami, na lewo i prawo widać było ruiny nieraz fantastycznych murów obronnych, kościołów i zamczysk. Nigdzie na świecie podczas moich peregrynacji nie widziałem podobnych. Pamiątki dumnej przeszłości zniszczone przez Cromwella. Ano, co kilkaset lat rodzi się taki Hitler. Wioski ubogie, choć chędogie. Wszędzie czuć zapach dymu torfowego i domorosłej *whiskey*, którą chłopci mimo prześladowań policji wyrabiają, jak zawsze wyrabiali.

Emigracja jest szczególnie wielka wśród kobiet. Dochodzi do tego, co sam stwierdziłem, że są wioski złożone z samych mężczyzn. Coś całkiem nieprawdopodobnego. Religijność ludu nie ma sobie równej. Lecz to znów skutki kilkusetletniej okupacji Anglików. Kiedy Cromwell bez miłosierdzia zniszczył kościoły katolickie, kult religijny poszedł w podziemia. Stąd też niezwykle objaw, że lud nie ma pieśni kościelnych, jakie w takiej mnogości mają Anglikanie. Nigdy w Irlandii po parafiach nie słyszałem mszy śpiewanej, czułem się zawsze jak w

kalwińskim zborze. Z okien i murów wiał ziąb i surowość. Rzecz prosta, trzymaliśmy się tam przyjętych obyczajów. Jednakże kiedy co niedzielę wszyscy byliśmy w kościele, nie byłem nigdy duszą przy tym nabożeństwie. Myślami i sercem przebywałem w biednym, ale zawsze strojnym polskim kościółku wiejskim i słyszałem z oddalenia tysięcy kilometrów potężny śpiew naszego ludu: „święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny...” Tymczasem tu tylko wstawali i klękali mechanicznie, jak żołnierze. Ot wynik biegu historii i obyczajów.

Budynki historyczne — z wyjątkiem protestanckich — zniszczył Cromwell. W Dublinie pozostała okazała katedra protestancka, a nową katolicką wybudowano w dziewiętnastym wieku. Jest to najbrzydsza świątynia, jaką kiedykolwiek widziałem.

Stosunki z Irlandczykami mieliśmy serdeczne. Było to inaczej niż w Anglii, gdzie jednak beczkę soli trzeba było zjeść, zanim nawiązało się normalne stosunki towarzyskie. Przed wojną w Irlandii Polaków w ogóle nie było. Wojna zagnała na szmaragdową wyspę kilka rodzin, przeważnie z powodu trudności paszportowych w Anglii. Studentów polskich było w latach 1945-52 na trzech uniwersytetach katolickich w Dublinie, Cork i Galway kilkuset, tylko dlatego, że uniwersytety angielskie były przepełnione. Młodzież polska na ogół była znakomita i przyjemnie było słuchać od wybitnych profesorów same pochwały. W każdym roku trzech lub czterech studentów spędzało u nas wakacje i pozostały mi po nich najmiłsze wspomnienia.

W Dublinie istniał stary, czcigodny wiekami i tradycją tak zwany *University of Dublin Trinity College*, założony w r. 1591, wszechnica protestancka. Brzmi to wszystko trochę anachronicznie, ale tak jest. Poza tym jest wzorowa tolerancja i w tym prawie całkowicie katolickim kraju prezydent państwa był protestantem, tak samo kilku ministrów owych czasów. Wtedy istniały na prowincji trzy lub cztery domy polskie. W naszym pobliżu mieszkał rotmistrz Gucewicz, który ożenił się z bogatą i uroczą Angielką. Mieli piękny majątek Dollys Grove.

Z Dublina przyjeżdżał do nas konsul Teclaf, Z. Zaleska, dawny poseł polski w Chinach Barthel de Weidenthal i Stefan Badeni, erudyta i gawędziarz jakich mało, pisarz tegi i interesujący. Ci Badeniowie to bardzo zdolni ludzie. Stefana poznałem w Dublinie. Siedział długo w obozie koncentracyjnym w Dachau, skąd cudem się wydobył. Brata jego Stanisława widywałem często w Krakowie, gdzie w czasie wojny mieszkał i któ-

rego bardzo pokochałem jako niesłychanie wykształconego botanika. Bardzo lubiłem przyrodę, trochę zajmowałem się tym fascynującym przedmiotem, ale Stanisław Badeni był fachowcem, a ja terminatorem. Zawsze miałem szacunek dla ludzi, którzy znali przyrodę i rozkoszowali się jej tajemnicami.

Tak szedł rok po roku w niepróżnym próżnowaniu. Wiadomości z kraju były skąpe i na ogół przygnębiające. Czasem ktoś przemycił wycinki z gazet krajowych o niesamowitych procesach. Figurowali tam jako oskarżeni i świadkowie ludzie często mi bliscy z mej publicznej działalności. Na przykład wyciągam sprawozdania z procesu redaktora Z. Augustyńskiego. Była to sprawa pożyczek dla *Gazety Ludowej*. Czytam zeznania, ile razy jako prezes Banku Handlowego spotykałem się ze Stanisławem Mikołajczykiem, gdzie przy przekąskach i wódce ubijało się interesy, które — oczywiście — służyły wyłącznie sprawie zachodnich imperialistów. Potem jurne przemówienie prokuratora i naturalnie — okrutne wyroki. Patrząc na te notatki widzę całą nędzę i zakłamanie tej stalinowskiej sprawiedliwości. Nigdy nie miałem możliwości, aby dać świadectwo prawdzie, więc po tylu latach, z racji tego szkicu z mego życia publicznie oświadczam, że nigdy po wojnie nie spotkałem się z Mikołajczykiem i że zeznania świadków były cynicznie sfabrykowane. Co za karykatura sądownictwa, gdzie każdy oskarżony kajał się z grzechów, jakich nie popełnił, a każdy świadek wymyślał niestworzone rzeczy, jakby w jakimś delirium, byle potwierdzić nieomylnie wnioski zboczonych prokuratorów. Nie posiadałem się z oburzenia i Bogu dziękowałem, że uszedłem inkwizycji we własnej ojczyźnie, w wieku dwudziestym! Po tylu trudach życiowych i pracy na tylu odcinkach publicznych podczas okupacji nie spodziewałem się żadnych nagród ani wyróżnień, ale rozumując zdrowo nigdy nie byłbym przypuszczał, że spełnienie obowiązku wobec narodu może być zbezczeszczone, oplute i według nowych zasad ochrony karane. Jest to z punktu widzenia moralnego najstraszniejszy ból czasów, jakie przeżyłem.

Ofiary tej nowej ochrony w „polskim” wydaniu szły w tysiące. Padł nią także naczelny dyrektor Banku Handlowego Jan Koziół, najakuratniejszy i najpoprawniejszy z ludzi, jakich znałem. I jego zeznania, co widziałem z nadesłanych wycinków, były jak wszystkie inne.

Jakich metod musieli ci oprawy na śledztwie używać, skoro „spreparowali” nawet ludzi twardych i nieugiętych. To co się działo od 1917 r. w Rosji, później w Niemczech za Hitlera



i jeszcze później w Polsce do 1956 r., rozmiarami było tak wielkie, że wszystkie procesy i palenia na stosach czarownic były dziecinną zabawką. Głównie dlatego, że liczba ofiar terroru przez kilkadziesiąt lat dwudziestego wieku szła w miliony — tamte w nędzne może dziesiątki tysięcy. Wszystko jest względne, ale jest bezwzględna prawda, że przyszli historycy — o ile prawda nie zostanie wytepiona do reszty — muszą zająć się rehabilitacją średniowiecza, które jednak mimo plam, jakimi się zeszpeciło, stworzyło wielką sztukę i literaturę i pchnęło naprzód wiedzę ludzką. *Tamen movetur.*

Przyroda na wyspach anglo-irlandzkich była piękna. Stałe opady sprzyjały roślinności. W życiu nie widziałem takiej mnogości róż, co w Irlandii. Sam hodowałem kilkadziesiąt rodzajów o kolorach wszystkich odcieni tęczy. Ogrodnictwo zorganizowane było na wielką skalę, setki darmowych katalogów były prawdziwymi źródłami wiedzy botanicznej. Poza Holandią, Anglią i Irlandią wszystko, co w tej dziedzinie widziałem w innych krajach wydawało mi się prymitywne.

Irlandczyk ma, mimo klimatu i biedy, suchy chłopski zmysł humoru. Znam setki kalamburów głównie na temat ich skąpstwa, czy lepiej mówiąc przesadnej oszczędności, którą stworzyła bieda.

Kiedy bije dzwon na „Anioł Pański”, Irlandczyk zdejmuje czapkę i odmawia swoje „Angelus”. W związku z tym zdarzył mi się razu pewnego kapitalny kawał, który mnie rozbawił. Wracałem z Dublina i zobaczyłem swego proboszcza z Clonmellon w najbliższym naszego gospodarstwa miasteczku Athboy. Zaprosił mnie do baru na „drinka”. W barze spotkałem znajomego budowniczego i naszego robotnika stajennego Johna. Taki jest tam obyczaj, że dla znajomych stawia się whiskey, co oni odwzajemniają. Jest to na pewno dość niebezpieczne, jeżeli towarzystwo jest zbyt wielkie. Byliśmy przy drugiej kolejce, kiedy dzwon pobliskiego kościoła bił na „Angelus”. Wszyscy z proboszczem na czele ściągaliśmy kapelusze i czapki, co kto miał. Najpierwszy skończył swe modły John i siorbał dalej swoje whiskey. Kiedy proboszcz na ostatku włożył swój kapelusz, odezwał się do Johna z lekkim wyrzutem w tonie: „*You are quick with your prayers, John*” (ale ty szybko się modlisz). Na to stary Irlandczyk: „*practice, father*”. Praktyka, księżo.

Kontakty z Irlandii z całym światem były łatwe. Do Anglii można było jeździć tanio i wygodnie, zwłaszcza, że wskutek równości waluty irlandzkiej i angielskiej nie było żadnych ogra-

niczeń dewizowych, co podczas pobytu w Anglii tak strasznie dokuczało. Jeździliśmy często, aby spotykać starych przyjaciół, a nade wszystko dr. Zygmunta Nowakowskiego, dr. Karola Poznańskiego lub Zofię Kossak-Szczucką, która ze swym mężem, majorem W.Ł. Szatkowskim, prowadziła w Walii gospodarstwo rolne. Biednie tam było bardzo, ale za to gospodarze byli tak mili i tak gościnni, jak tylko gdzieś na kresach polskich się zdarzało. Okolice była urocza i ziemia w tej okolicy dobra. Dom państwa Szatkowskich urządzony był po spartańsku, jedynie szafa biblioteczna odznaczała się wśród tej prostej. A było co w tej szafie oglądać. Książki, tłumaczone na kilkadziesiąt języków z japońskim włącznie.

Jasne było, że przy panującej w Irlandii biedzie nie utrzymamy się na roli. Przyznaję również, że klimat na szmaragdowej wyspie był zabójczy dla przeciętnego Europejczyka. Kiedy najmłodszy syn osiedlił się w Brazylii, w stanie São Paulo i odzyskał zdrowie, które nas martwiło od tylu lat, zdecydowaliśmy powędrować za nim. Najpierw pojechała żona na zwiaady, a ja pół roku później postanowiłem wyruszyć. Nie przyszło mi to łatwo. Na każdej wędrowce ubywa, a nigdy nie przybywa. Poza tym męczyła mnie ta tułaczka bez końca. Jednakże rady na to nie było, gdyż życie ma swoje żelazne prawa.

Wyjeżdżałem z Tilbury, mając sporo waliz i bagaży. Wyjazd utkwił mi w pamięci, gdyż jeszcze raz przekonałem się o doskonałej sprawności policji angielskiej. Celnik obejrzał kilkanaście waliz, które wiozłem do Brazylii i prosił o otwarcie tylko jednego neseseru. Zaś z neseseru otworzył małe pudełeczko od guzików mankietowych. Przez nieoględność miałem w tym pudełeczku starą angielską monetę złotą, króla Jerzego I. Obejrzał i powiedział, że tego nie wolno. Zamknął pudełko i poradził się policjanta, który miał wszystkie moje personalia i nie kwestionując niczego, polecił cały bagaż załadować na statek Blue Star Line. Co za niezwykły przypadek, czy też bajeczne doświadczenie tych inteligentnych urzędników. Córka która mi towarzyszyła, żegnała się ze mną naszym polskim do widzenia — nie myśleliśmy oboje, że to będzie może na zawsze.

Żegnałem Anglię z pewnym żalem. Przy wszelkich mankamentach, jakie ten wyspiarski naród może mieć w naszych oczach, jedno jest pewne, że na kuli ziemskiej nie ma drugiego o równym poczuciu porządku, ładu, sprawiedliwości i tradycji. Cóż mówić o poszanowaniu osoby ludzkiej, o szacunku dla cudzych przekonań religijnych czy politycznych, co mówić o urzą-

dzeniach socjalnych, jakimi żaden naród poszczycić się nie może. Tak, to wielki naród, bardzo wielki.

I tu raz jeszcze przypomina mi się Piłsudski. Zawierał pakty wieczyste z drugą ojczyzną Polaków, Francją, bo nie miał innego wyjścia, ale Francuzów nie lubił. Co do mych, jakże skromnych doświadczeń z Francuzami, to niemile je wspominał. Ich entuzjazm w słowach dla tej *Pologne martyre* był bez granic. Natomiast w rokowaniach o prawa naszych emigrantów czy o takie lub inne pożyczki byli twardzi, nieugięci, fanatyczni. Wyjątek zrobiłbym tylko dla wysokich wojskowych francuskich.

Rozumiem Becka, że zaczął przestawiać — o ile mógł — ten stan rzeczy, grając na kartę angielską. Kiedy pierwszy raz w życiu z okazji dość licznych spotkań z Anglikami w sprawach tak przyziemnych, jak przydział kwot eksportowych dla węgla polskiego, zaznajomiłem się trochę z ich metodami myślenia i działania, nabrałem wielkiego dla nich szacunku. Kiedy wreszcie jako prezes *Polish British Steamship Company* poznałem kilku wybitnych armatorów angielskich, co jest u nich rzeczą niełatwą, i zjednałem sobie kilku przyjaciół w Londynie czy w Hull zrozumiałem, że to trudniejszy sprzymierzeniec niż Francuzi, ale sto razy pewniejszy. U nich nie było grandilokwencji, przesady i romantyzmu, ale rzetelność według ich zasady, że dobre rachunki są warunkiem trwałych przyjaźni.

Od tego czasu, jak wielu wybitnych przemysłowców polskich, zacząłem stawiać na Anglików. Zdania u nas często były podzielone, jeżeli o czasy drugiej wojny chodziło. Polacy z natury skłonni są do sądów arbitralnych. Ale wolno zapytać, czy przy wszelkich zimnych obliczeniach angielskich byłby się znalazł na globie drugi naród, który okazałby tyle wspaniałości wobec rządu na emigracji, choćby przytoczyć rozliczenia finansowe, idące w zawrotne sumy. Muszę powiedzieć, że sposób załatwienia tych spraw był delikatny, nie upokarzający. Chciałbym widzieć Francuzów w tej roli. Ponadto emigrant polski był otoczony opieką, która często była krytykowana, jednak pamiętać trzeba, że Anglicy wprawdzie wygrali wojnę, ale istniał u nich system kartek żywnościowych i licznych ograniczeń, kiedy zwyciężeni Niemcy opływali kilka lat po klęsce we wszystko. Anglia była zresztą tylko jednym ze sprzymierzonych narodów i w porównaniu do bogatej Ameryki Północnej po wojnie była biedna.

Tymczasem problem setek tysięcy emigrantów i uchodźców

obciążał głównie Anglię. Kiedy działało osławione IRO (*International Refugee Organization*) Anglia robiła najmniej trudności biurokratycznych, które na przykład w Stanach Zjednoczonych dochodziły do absurdu. A cóż mówić o takich „ultra-chrześcijańskich” państwach jak Portugalia, która mając kolonie pod względem klimatycznym znakomite, nie zrobiła dla nieszczęśliwych ofiar pożogi wojennej, które szukały przytułku. Co mówić o Belgii. Pamiętam z różnych opowiadań, że łatwiej było zdobyć bramy niebieskie, niż uzyskać prawo osiedlenia się w Kongo, które zarezerwowane było dla obywateli belgijskich. Pozostał mi po tym jakiś niesmak moralny, bo dysproporcja między teoretycznym a praktycznym chrześcijaństwem była zbyt jaskrawa.

Twierdzę więc, że zachowanie się Anglików przewyższa o niebo działalność wszystkich innych państw razem wziętych, jeżeli chodzi o rozładowanie tego problemu, jednego z największych i najboleśniejszych, jakie wojna zostawiła ludzkości w spuściznie.

Pewnie, że charakter wyspiarzy nie odpowiada Polakom. Jeżeli o nowszą historię chodzi, to oczywiście nie można zapomnieć złośliwego Lloyd George'a, ignorantą w sprawach polskich i zdecydowanego wroga Polski. Nie można również zapomnieć tego polityka z parasolem Chamberlaina, który po Monachium uroczyście zapowiadał w parlamencie pokój za naszych czasów. I pomyśleć — nic mu się za to nie stało. I pomyśleć więcej — co by się stało z mężem stanu w Polsce, który okazałby się tak podłym i głupim prorokiem? Jak genialnym okazałby się Beck, gdyby rozporządzał taką sceną, jaką było imperium brytyjskie, kiedy nawet na słabych, biednych i chwiejnych deskach polskich sto razy lepiej grał od tych wielmożów i potentatów, którzy przeszli do historii jako głupcy i kretyni. Natomiast ich ziemskie szczątki znalazły się w podziemiach Westminster Abbey, a ich biusty zdobyły sale i komnaty parlamentu.

Tak jak w życiu, tak i w polityce wszystko jest względne. Nie sam talent robi aktora. Do diabła z talentem bez sceny i audytorium. To było tragedią wielkich ludzi w Polsce. Mieszkając kilka lat w Anglii, mogłem choćby w rubrykach „Listy do wydawcy” czytać setki opinii na ten temat, pochodzących często od ludzi najwyższego kalibru, uczonych, generałów, polityków. Mam całą tekę takich wycinków i wertując je raz do roku, wstydziłem się jako Polak za tyłu ziomków, którzy tak łatwo ferowali wyroki, poniżając w słowie i piśmie najlepszych w narodzie.

Czy mógłbym przemilczeć choćby takiego lorda Vansittarta, który jako stały sekretarz stanu w Foreign Office przez kilkanaście lat lepiej niż jakikolwiek mąż stanu znał najtajniejsze kulisy polityki angielskiej? Czy jakiegokolwiek świadectwo polskie nie musi blednąć wobec opinii tego człowieka na przykład o Piłsudskim? Znał on jak rzadko kto kulisy słynnej propozycji Piłsudskiego, uczynionej w 1933 roku sojuszniczej Francji, aby rozpocząć wojnę prewencyjną przeciw Hitlerowi póki jest na początku swych obłąkanych planów wojennych, które sześć lat później miały wydać swój tragiczny owoc dla całego świata. Francja Briandów, Herriotów i Lavalów nie mogła zrozumieć genialnego Polaka, zaś jego inicjatywa wzmożła tylko nienawiść do niego w kołach ówczesnych pacyfistów francuskich, zasilanych zresztą w swej ciasnocie myślenia przez falangę domorośłych zawodowych wrogów Marszałka w Polsce, które sprzymierzyły się z nędznymi epigonami ostatnich wielkich ludzi, jakich wydała Francja: Clemenceau i Focha.

Na wygodnym statku „Paraguay Blue Star Line” miałem czas rozmyślać. Opuszczałem Europę i przeczuwałem jak zawsze w życiu, że już jej więcej nie będę oglądał. Było mi smutno i zazdrościłem Anglikom, którzy tworzyli *gros* pasażerów statku, z jaką beztroską, po krótkim urlopie w kraju rodzinnym wracali do Buenos Aires czy Rio de Janeiro, gdzie stale mieszkali i gdzie się zaaklimatyzowali jak u siebie w domu. Czudem ogromną różnicę ich i mego sentymentu. Ci wyspiarze podróżujący od wieków po globie i przez wieki rządzący jego ogromnymi połaciami, czuli się wszędzie dobrze i na ogół nie znali tęsknoty, jaka była nieodłączną towarzyszką nas Polaków, rzucanych w obce środowiska. W licznych rozmowach z nimi starałem się rozgryźć tę tak zasadniczą różnicę między nimi a nami i to mi się nie udało, mimo, że dyskusje z nimi były zawsze przyjemne. Nie mogli rozumieć, że kilkaset lat walk o ziemię, obyczaje, ojcowiznę wyrzyło głębokie bolesne bruzdy i rany w naszym charakterze narodowym. Chodząc po pokładzie powtarzałem sobie ku pocieszeniu dowcipne słowa Heinego „*Es gibt zwei Sorten Ratten — die hungrigen und die satten*”.

Przypominałem sobie także doskonałą anegdotę, gdzie Anglik kłóci się z Francuzem, który naród był większy, Francja czy Anglia. Po zaciętrzewionej dyskusji delikatny Francuz, aby zakończyć spór mówi do Anglika — *du reste, Monsieur*, gdybym nie był Francuzem, chciałbym być Anglikiem. Na to Anglik — a ja, panie, gdybym nie był Anglikiem, chciałbym być Anglikiem.

Statek miał dłuższy postój w Lizbonie, więc zwiedziłem miasto i najbliższe okolice. Miasto zrobiło na mnie wielkie wrażenie, wszędzie był ład i skład, lecz widoczny był nadmiar policji, co zwracało moją uwagę po kilkuletnim pobycie w Anglii i republice irlandzkiej. Wyczuwało się, że tu nie wszystko musi być idealne, że jakaś żelazna ręka wisi nad tym pozornie spokojnym krajem. Gazety które kupiłem na pierwszy rzut oka zdradzały, że rządy Salazara, które z polskiej perspektywy wydawały się zachwycające, miały cienie, jakich dawniej dostrzec nie mogłem. Mówiąc z ludźmi w sklepach czy na ulicy miałem uczucie, że boją się czegoś i nie bardzo są szczerzy. Później, już w dalekiej Brazylii przekonałem się, że miałem wówczas trafne wycucie portugalskiej rzeczywistości, dyktatura, chociaż katolicka, zawsze jest dyktaturą.

Tedy stanąłem w Brazylii, gdzie miałem żonę moją i najmłodszego syna Stasia. Jak na początek września, ciepło było niezwykle. Zwiedziłem nasamprzód Rio de Janeiro, a *cidade maravilhosa*, jak mówią Brazylijczycy. Naturalnie, że to wspaniałe miasto musi zrobić wrażenie na każdym cudzoziemcu. Nad miastem unosi się jako symbol ogromna figura Chrystusa, projektowana przez Landowskiego. Robi ona potężne wrażenie i umieszczona jest na skale garbusa, Corcowado. Przed teatrem wielkim stał wtedy — przeniesiony później nad morze — pomnik Chopina, dłuta polskiego rzeźbiarza Augusta Zamoyskiego. Piękne miasto, co tu mówić, i trudno je opisać. Uderzyło mnie bogactwo wystaw, przepych samochodów, których wielki ruch policja tylko z trudem kontrolowała. Nawet w Londynie nie widziałem takich wozów, których tu jeżdżą dziesiątki tysięcy.

Kiedy jednak po południu zajechałem w dzielnicę ubóstwa, przeważnie murzyńskiego, i oglądałem budy sklezione z desek i blachy, zaczął mi świtać największy problem tego kraju — ogromna różnica między bogactwem klas posiadających a nędzą proletariatu miejskiego. Jak długo żyję, nie widziałem takiej rozpiętości między zbytkiem a biedotą. Pomyślałem sobie, że coś tu nie jest w porządku. Jednakże powoli zacząłem rozumieć powód tego zjawiska, które mnie tak boleśnie uderzyło.

Brazylia obejmuje 8,5 milionów kilometrów kwadratowych, co równa się 7% powierzchni kuli ziemskiej. Jest prawdziwą mozaiką historyczną od samego odkrycia, mieszaniną kultur, języków, religii i ras. Cały jej rozwój szedł wzdłuż Atlantyku, a że nie miała dwóch wybrzeży jak szczęśliwa Ameryka Północna, to rozwój jej nie mógł postępować tak szybko. Nie mówiąc już o tym, że dzieło kolonizatorskie potężnej ongiś Por-

tugalii nie było w najlepszych rękach, raczej przeciwnie. Dopiero oderwanie się od Portugalii i utworzenie niezależnego cesarstwa stworzyło nowoczesną Brazylię. W roku 1888 cesarstwo zniosło niewolnictwo, mimo, że tak oświeconym władcom jak Pedro II i córce jego Izabeli, która podczas choroby Pedra II dekret podpisała, było jasne, że to oznacza koniec ich panowania. Skutki bowiem gospodarcze tego nagłego zarządzenia były zwłaszcza dla wielkiej własności ziemskiej katastrofalne. Tyle nawiasem.

W Brazylii przekonałem się, jak mało Europejczycy wiedzą o sprawach pozaeuropejskich. Odczuwałem pewien wstyd z powodu tej ignorancji i zrozumiałem, że będę musiał poświęcić dużo czasu, zanim wżyję się w stosunki, które są wynikiem odmiennych warunków rozwoju historycznego, klimatu i obyczajów.

W ramach tego do ostatecznych granic ścieśnionego sprawozdania ze swej służby publicznej niepodobna opisywać ostatnich lat tułactwa wśród obcych i garstki wychodźstwa, jak zawsze na ogół rozbitego. Nie byłyby to zresztą sprawy znaczenia podstawowego, choć może interesujące.

Znalazłszy się na wygnaniu straciłem scenę, bez której żaden aktor niewiele znaczy. Nie znaczy to, że nie nie robiłem. Ale razem wzięwszy, były to rzeczy małe, codzienne, powiedziałbym prawie parafialne. Toteż raport trzeba zakończyć.

Kiedy siedemdziesiątka się zbliżała, napisałem list do dzieci i wnuków, który jest syntezą mego życia i którym zakończę moje wspomnienia:

#### Moje Dzieci i Wnuki!

Kiedy dzień się nachylił i ma się ku wieczorowi, trzeba wstecz rzucić okiem, jaką drogę się przeszło. — Patrząc na firmament, zasiany plejadą bilionów czy trylionów gwiazd, przeważnie od naszej nędznej ziemi daleko większych, mądry człowiek widzi swoją nicość tak bezmierną, że nawet do ziarenka piasku morskiego nie może się porównać. Ta nicość człowieka wyolbrzymia się jeszcze przez to, że jest on — chwilowy gość na tej ziemi — w porównaniu do milionów czy miliardów lat istnienia tego globu, jak muszka jednodniowa, która ledwo się narodzi, już ginie.

Człowiek więc jest nieopisaną małością. W tym świetle jego pycha, jego chęć panowania nad sobie równymi ma w sobie coś niepojęcie głupiego i śmiesznego zarazem. Jeżeli w ogóle można mówić o mądrości człowieka, to chyba w zrozumieniu pokory. Tylko człowiek jak robak pokorny może być mądrym. Zaś

człowiek pyszny jest głupcem w rozmiarach nie dających się opisać w ludzkich słowach. Nie wiem, czy byłem mądry — to jedno wiem, że chciałyby ten list do Was rozpocząć aktem pokory w tej świadomości, że byłem najmniejszym z małych, jeżeli mam Wam powiedzieć, do czego w mym burzliwym życiu dążyłem, co kochałem i w co wierzyłem.

Wyszedłszy z biednej a licznej rodziny, która od ust sobie odejmowała, aby mnie wykształcić, starałem się przez pracę, pilność i wytrwałość dojść do celu: wydobyć siebie i rodzinę z nędzy materialnej. To też całkiem mi się udało, bo od 21 roku życia mego pracą literacką a później gospodarczą uniezależniłem siebie i całą rodzinę na nogi postawiłem. Miałem ambicje polityczne, zostałem dwa razy posłem na Sejm, Ministrem i Wojewodą. Było to możliwe przez zmartwychwstanie Polski po pierwszej wielkiej wojnie, czasu, który wspominam jako największą łaskę Bożą, jakiej w doczesnym życiu się doczekałem. Wyszedłszy ze służby państwowej stworzyłem w trzech latach mozolnej pracy Powszechną Wystawę Krajową, za co mnie Naród odznaczył Wielką Wstęgą Polonia Restituta. Może to nieskromnie, ale muszę powiedzieć, że byłem z tego dumny. Potem byłem wielkim przemysłowcem. A czasu wielkiej wojny, która rozpoczęła się 1 września 1939 roku, powierzył mi Naród naczelne społeczne i gospodarcze stanowiska. Jedno mi się nie udało. Moim największym marzeniem było nabycie rodzinnych Smolic od Niemców, którzy je posiadali. Chciałem tam stworzyć fundację narodową i tam do snu wiecznego się położyć. Bóg świadkiem, że tylko nieubłagany bieg dziejów temu przeszkodził, bez najmniejszego mego zaniedbania.

Kochałem Matkę moją ponad wszystkich. Jej ofiarom bez granic i Jej miłości wszystko zawdzięczam, co w życiu osiągnąłem. Była Ona słońcem mej ziemskiej wędrówki, co świeci, grzeje i ożywia. Małżeństwo moje, w którym lat kilkadziesiąt szczęśliwie przeżyłem, nie było związkiem z obliczenia, a z miłości. Nigdy tego nie żałowałem i wdzięczny będę poza grób mej towarzysze do i niedoli, bo dzieliła ze mną radości i łzy, zrywy i upadki. Kochałem rodzinę z której wyszedłem i tę, którą stworzyłem.

Kochałem swój Kraj i Naród. Lata poświęciłem, będąc prawie zawsze wśród obcych na studiowanie rodzimej kultury, sztuki i literatury. Kochałem piękno, co swoi czy obcy stworzyli. Przez pilność i pracę poznałem wybornie rzymską kulturę i przepiękną literaturę łacińską, znałem również grecką, francuską, niemiecką i trochę angielską. Tę znajomość sztuki



zawdzięczam podrózom i uniwersytetom, głównie monachijskiemu. Już w stosunkowo młodych latach zgromadziłem znaczny zbiór obrazów i rzeźb. Miałem bogatą bibliotekę, którą barbarzyńcy niemieccy spalili w roku 1940. Miałem dziesiątki przyjaciół wśród wielkich artystów i literatów, czym się zawsze szczyciłem — ja, mały wobec nich talentem, przypadkowy rówieśnik w czasie.

Kochałem przyrodę, bo to odblask wiecznego, dobrego i sprawiedliwego Boga. Promień jeden z niezliczonych i nie ogarniętych jego cudów, objawiających się na ziemi, na wodzie i w powietrzu, w najmniejszej roślinie i robaczku, okiem niedostrzegalny, w materii i duchu, człowieku i zwierzęciu, w cudach fizyki i niezbadanych nigdy do końca arkanach chemii.

Kochałem ludzi, choć w ciężkich chwilach widziałem, że prawie na palcach można było policzyć tych, co potrafili być wdzięczni, a na dziesiątki, nie na setki, liczyłem tych, co okazali zwykłą przyzwoitość, dobremu stworzeniu z natury właściwą.

Kochałem zwierzęta, choćby dlatego, że były wdzięczniejsze od ludzi.

W co wierzyłem? W Boga i w Jego nieskończoną sprawiedliwość, która jest dla ludzkiego rozumu, tak nikłego, nigdy nie pojęta i która wyrówna w pozagrobowym życiu, co złość ludzka w swej przewrotności wymyśliła, łamiąc boskie i ludzkie prawa, niszcząc wolność człowieka, gwałty czyniąc na swych bliźnich, tam gdzie siła panowała nad prawem i moralnością.

Wierzyłem, że dobro znajdzie nagrodę, a zło zostanie ukarane. Wierzyłem, że dobry uczynek, jeżeli nie za życia, to w zaświatach zostanie zaliczony lub też potomnym z naddatkiem będzie zwrócony.

Wierzyłem w przyszłość swego narodu, który mimo swych błędów i przywar nigdy nie był narodem nikczemnym, natomiast szlachetnym i wielkim. Wierzyłem w lud nasz, z którego się wywodzę i którego wielkość duchowa, nieugiętość zasad i tradycja gwarantują narodową przyszłość.

Stałem całe życie przy wierze ojców, która była mi podporą w najcięższych chwilach i której się nigdy nie wyrzekłem. Szanowałem zawsze i wszędzie cudze przekonania religijne. Miałem przyjaciół wśród ewangelików czy kalwinów Polaków, miałem ich wśród tych Żydów, którzy Polsce byli wierni, uważając Ją za swoją ojczyznę. Stawałem w obronie czci ludzkiej, nigdy nie lekceważyłem ludzi innych kierunków po-

litycznych, byle swych wierzeń gwałtem czy fizyczną siłą nie narzucali.

A pod koniec jedno stwierdzenie. Byłem synem ludu i dumny z tego pozostanę do śmierci. Mogę głośno powiedzieć, że nigdy mnie z tego tytułu w Polsce nie spotkał jakikolwiek despekt, nigdy nikt mnie w kraju mym dlatego nie lekceważył, przeciwnie — zwłaszcza podczas pełnienia urzędów publicznych miałem dowody należnego szacunku. Mało, cieszyłem się przyjaźnią wielu i to najlepszych przedstawicieli najstarszych, ongiś uprzywilejowanych, jak na całym świecie, rodzin.

Było to dla mnie dowodem, że Polska Piłsudskiego, czy, jak kto chce, Traktatu Wersalskiego, Polska moich czasów, dojrzała do największego marzenia mego życia: demokracji w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu, demokracji, gdzie człowiek znaczy, a nie pochodzenie. Byłem szczęśliwy, że się tego doczekałem i że mogę dać świadectwo temu wobec tych, którzy te słowa gdzieś, kiedyś czytać by mieli.

Pisane w Sao Paulo

Stanisław WACHOWIAK

---

Jadwiga JURKSZUS-TOMASZEWSKA

## JÓZEF RYBICKI

W 1935 roku pierwsza sesja egzaminu maturalnego wyznaczona była na 13 maja. W gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Nowogródku dyrektor Józef Rybicki załamującym się głosem mówi o śmierci Marszałka Piłsudskiego. W ciszy i skupieniu czekamy na wynik rozmowy telefonicznej z kuratorium. Mamy pisać. Otwarcie kopert, tematy. Jeden z nich: „Jak się zmieniło na przestrzeni wieków pojęcie bohaterstwa w historii i literaturze”. Nie wiemy, że za kilka lat słowo „bohater” nabierze nowej treści, że są wśród nas anonimowi bohaterzy czasu wojny i że nazwisko naszego dyrektora wejdzie do najnowszej historii kraju.



Józef Rybicki urodził się 18 grudnia 1901 roku w Kołomyi nad Prutem, w ówczesnym zaborze austriackim. Pochodził z rodziny inteligentkiej — matka nauczycielka, ojciec w sądownictwie.

Gdy ważą się losy wojny i przyszłego państwa polskiego chodzi do gimnazjum im. Staszycy na Łyczakowskiej we Lwowie (z przerwą na Wadowice 1917-1919). Wraca do Lwowa, do klasy VII na rok szkolny 1919/1920. Od 7 lipca 1920 roku jest (jak i cała klasa) w Małopolskich Oddziałach Armii Ochotniczej pod dowództwem Czesława Maczyńskiego (w ramach armii generała Hallera) — przechodzi jedyne w swym życiu siedmiodniowe przeszkolenie wojskowe. Bierze udział w walkach o Busko, Kozłów, Laszki Królewskie, Chałupki, Zdworne. Niedługo było jego wojowanie — 15 października, pod Rakobutami nad Bugiem jest ranny od cięcia szabli kozackiej w prawy bark. Pozostały mu — odznaka 240 pp., Krzyż Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej oraz medal „Polska Swemu Obrońcy”. I lekkie skrzywienie prawego ramienia, w którym wywiązała się gruźlica kości, towarzysząca mu do końca dni.

Wraca do Lwowa — ostatni rok gimnazjum i matura. Właśnie dyrektor szkoły, dr Jan Oko (później znany filolog klasyczny) został mianowany profesorem nadzwyczajnym USB w Wilnie i namawia go na studia klasyczne.

Głodne i chłodne studia filologii w Wilnie nie pomagają schorzeniu — są przerwy na kurację w Szwajcarii i Włoszech (1924-1926), umożliwioną przez przyjaciół.

Wiosną 1927 kończy studia z bardzo dobrymi wynikami, zostaje młodszym, potem starszym asystentem przy katedrze filologii klasycznej. Dostaje nagrodę z Funduszu Kultury Narodowej J. Piłsudskiego za rozprawę o Kochanowskim (1929), a 17 maja 1930 — tytuł doktora filozofii za pracę „De Foricoenerium Cochano-vii fontibus antiquis”. Z tych lat datuje się podróż do Grecji, do której przygotowywał się bardzo długo, z pełnym zapalem młodego filologa na progu kariery naukowej.

W czasie studiów nie odcinał się od otoczenia — był założycielem i prezesem Koła Filologów USB, prezesem zrzeszenia asystentów, redaktorem naczelnym pisma „Włóczęga”.

Prawie całe przedwojenne życie Rybickiego upłynęło w tych dwu miastach: Lwowie i Wilnie. Ich atmosfera była szkołą dodatkową. Oba uczyły tolerancji narodowościowej w codziennym zetknięciu się z Ukraińcami, Żydami, Białorusinami, Litwinami; tolerancji religijnej — miasta katolików, greko-katolików, prawosławnych, ewangelików, wyznawców Mojżesza i Allaha<sup>1</sup>.

Tylko przez rok po doktoracie pozostaje na uniwersytecie, mimo ogromnych możliwości naukowych. Pociąga go bardziej

---

1. Wywiad przeprowadzony przez Andrzeja Romanowskiego w *Przeglądzie Katolickim*, Warszawa 10 listopada 1985.

praca wychowawcza z młodzieżą. Już się do niej przygotowuje, zdając egzamin pedagogiczny uprawniający do wykładania w szkołach średnich. Pracę nauczycielską zaczyna w 1931 roku, w gimnazjum państwowym im. A. Mickiewicza w Wilnie. Zamieszcza w tym czasie artykuły z dziedziny pedagogiki i krytyki literackiej w *Kurierze Wileńskim* i *Przeglądzie klasycznym*, używając pseudonimu Stefan Łowicki. Na wiosnę 1934 roku przechodzi dwumiesięczny kurs dyrektorów szkół średnich<sup>2</sup>. To droga do Nowogródka i gimnazjum Adama Mickiewicza, dokąd przyjeżdża na rozpoczęcie roku szkolnego 1934.

Dostaliśmy (szkoła była koedukacyjna) nie tylko naukowca dużej klasy, ale i wychowawcę młodzieży. Terminy „wodzostwo”, „charyzma” nie były jeszcze w użyciu. Odznaczał się obiema cechami — w uśmiechu, bezpośredniości, ale i w podniesieniu dyscypliny szkolnej — m.in. nauczył nas punktualności. Większość uczniów go uwielbiała, do końca życia miał kontakty z byłymi wychowankami, służąc radą, ciesząc się sukcesami.

W naszej, ostatniej klasie, wykładał łącinę. Mówił w wiele lat później, że zdecydował, że rok to za krótko, by nas nauczyć języka (czyli wyrównać kilkoletnie zaległości — do łącinników nie mieliśmy szczęścia). Skoncentrował się na kulturze antycznej, ożywiając ją i przybliżając poprzez nawiązywanie do poezji polskiej, zwłaszcza do Wyspiańskiego, którego kochał.

Znał ludzi i znał się na ludziach — za jego sprawą nuda rekolekcji przekształciła się w zafascynowanie kaznodziejstwem ks. Jana Zieji — niewiele od Rybickiego starszego. Te rekolekcje to była część wychowania.

Rybicki spostrzegał w szkole sprawy, o których nie wiedziano w kuratorium. Element uczniowski był mieszany narodowościowo; mimo napływu urzędników (i ich dzieci) z Polski centralnej, były jeszcze klasy, gdzie większość stanowili Białorusini i Żydzi. Rybicki był rzecznikiem praw mniejszości narodowych. Ale była granica. Kiedyś, zaszedłszy na lekcję religii prawosławnej, stwierdził z oburzeniem i przerażeniem, że odbywa się ona nie po białorusku, a po rosyjsku, służąc rusyfikowaniu ziem o bardzo delikatnym układzie narodowościowym. Sprawa oparła się o kuratorium — okazało się, że praktyka jest powszechna i w innych szkołach! Wielu księży prawosławnych zostało zawieszonych bądź zwolnionych. Przeprowadzone to zostało cicho i dyskretnie, tak że dopiero w wiele lat później, od niego samego, o tym się dowiedziałam. W ostatnim roku przed wojną odkrył wsie na Lubelszczyźnie, gdzie w okresie zaborczym zmuszano katolików do

---

2. Część informacji z prywatnego maszynopisu.

przechodzenia na prawosławie. Przy współpracy z episkopatem przyczynił się do powrotu tej ludności do Kościoła rzymsko-katolickiego. Uzyskał za to złoty krzyż zasługi.

Nie zamykał się w szkole i jej sprawach — był prezesem Okręgu Nowogródzkiego Towarzystwa Rozwoju Ziem Wschodnich. Interesował się żywo przeszłością miasteczka i okolicy, napisał szereg prac-przyczynków o problemach demograficznych i społecznych tych terenów (wydane były w Bibliotece Ziem Wschodnich).

Przeciwny był zlikwidowaniu w Nowogródku gimnazjum z białoruskim językiem nauczania — doprowadziło to do konfliktu z wojewodą Adamem Sokołowskim. Mógł wtedy przejść na wyższe stanowisko w kuratorium — wolał zostać z młodzieżą. W ostatnim przedwojennym roku szkolnym był dyrektorem gimnazjum w Tomaszowie Lubelskim.



Do służby wojskowej był niezdolny po ranie odniesionej w 1920 roku. Pozostać na uboczu po klęsce wrześniowej nie mógł. W listopadzie 1939 roku kontaktuje się ze Służbą Zwycięstwa Polski (wkrótce przekształconą w Związek Walki Zbrojnej) i zostaje kierownikiem pracy konspiracyjnej w powiecie Tomaszów Lubelski. W lutym 1940 przechodzi do Tajnej Organizacji Wojskowej: jest kierownikiem Okręgu TOW w Częstochowie (luty 1940), komendantem Okręgu Radomsko-Kieleckiego (1941), wreszcie od maja 1941 Komendantem Okręgu Warszawa-Miasto. Używa pseudonimu Andrzej. W ramach organizacji od początku istniała osobna komórka dywersyjna dla działalności sabotażowej w gospodarczym i administracyjnym aparacie okupanta. W późniejszym okresie grupa została przeszkolona w posługiwaniu się bronią i materiałami wybuchowymi.

Byli podwładni Rybickiego mówią: „szczególną wagę przywiązywał do zachowania u swoich żołnierzy właściwych postaw etyczno-moralnych. Stąd też m.in. kategoryczny jego zakaz udziału ludzi bardzo młodych w akcjach bojowych, w wykonywaniu wyroków itp.<sup>3</sup>”.

W marcu 1943 grupa została wcielona do Kedywu Okręgu Warszawskiego — Rybicki pozostaje dowódcą, otrzymując stopień kapitana czasu wojny (później awansowany na podpułkownika).

---

3. KOLEGIUM C, jednostka sabotażowo-dywersyjna Kedywu Okręgu Warszawa Armii Krajowej. Warszawa 1 sierpnia 1984. (Powielany maszynopis wydany poza cenzurą).

Był osobiście odpowiedzialny za przygotowanie i wykonanie szeregu słynnych zamachów, m.in. na Arbeitsamt, zdobycie posterunku na Dworcu Zachodnim, szereg wyroków wykonanych na agentach Gestapo.

W listopadzie 1943 Rybicki — kpt. Andrzej zostaje komendantem Kedywu Okręgu Warszawskiego. Jedyny cywil, ba, dr filozofii, filolog w organizacji czysto wojskowej, bojowej.

Specyficzny był jego sposób wydawania rozkazów, daleki od żargonu wojskowego: „proszę wysadzić w powietrze ten tor kolejowy i zniszczyć transport”, „proszę zlikwidować tego gestapowca”. A przecież w słowach był autorytet dowódcy, szczególna intonacja głosu; towarzyszyło „przenikliwe spojrzenie, które w decydujących momentach traciło swą normalną łagodność i stało się twarde, wymagające bezwzględного posłuchu”.

Rybicki musiał lubić tę dwoistość swojej osobowości, bo nie raz o tym opowiadał w Kanadzie, śmiejąc się, że był krytykowany przez zawodowych wojskowych.

W czasie powstania bierze bezpośredni udział w akcjach — m.in. w ataku na Pastę (3/4 sierpnia), Kościół św. Krzyża, Komendę Policji (23 sierpnia). Pod koniec sierpnia zostaje w czasie akcji postrzelony w nogę przez „gołębiarza”; przeniesiony na placówkę nie przestaje kierować kompanią. Wierna łączniczka „Honorata” (Wanda Zalutyńska) ratuje mu życie, zasłaniając podczas wybuchu pocisku.

Po upadku powstania wychodzi z Warszawy z ludnością cywilną. Za działalność konspiracyjną i Powstanie zostaje odznaczony Srebrnym Krzyżem *Virtuti Militari* i trzykrotnie Krzyżem *Walecznych*.



W czasie okupacji widywaliśmy się w Warszawie, przeważnie przypadkowo. Na ulicy, w kawiarni. Było jedno specjalne spotkanie — przeczące regułom konspiracji. Jakieś moje imienniny, małe, dobrane towarzystwo, muzykujące — na serio. Przy każdym nakryciu kartki z imionami i małym, skompilowanym z „Portretów imion” Iłakowiczówny „profilem” imienia. Przy Rybickim — „nie potrafi się podobać w salonach, za to błyszczący wśród uczynnych, mężów wojny”, „wybitny cierpliwy pedagog od uczniów serdecznie kochany”, „Rycerz, obrońca wiary i ojczyzny, wzdrygający się przed cieniem niesławy; dobry mąż, dobry ojciec, hojności niezmierniej, obywatel uczciwy i prawy”; „jeśli kocha to

---

4. Henryk i Ludwik Witkowsy, *Kedywiacy*, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1973.

bez pamięci, jeśli idzie na wojnę — to powraca krzyżami za walczność pokryty”. Przeszło 30 lat później dostałam na kanadyjskie imieniny kartkę z serii opracowań graficznych Józefa Wilkonia do wiersza Iłłakowiczówny „Jadwiga” — z portretem młodego dziewczęcia, którym już nie byłam. Rok temu wspomniał, że „zlepkowy” wierszyk o sobie zachował i ma dotąd...



Rozchodzą się nasze drogi. Na jesieni 1944 roku Rybicki jest w Częstochowie. Zaczął się zły czas dla żołnierzy AK. Choć AK została rozwiązana w styczniu 1945, lasy pozostają pełne żołnierzy, w wielu miejscach toczą się sporadyczne, niekontrolowane walki. Krótka trwa powołana przez Londyn jeszcze przed powstaniem organizacja „NIE” (Niepodległość) — zakonspirowana, obliczona na długą metę. We władzach jest Józef Rybicki — nierozszyfrowany w latach wojny (o takich ludzi chodziło).

Armia Krajowa jest prześladowana, żołnierze wywożeni w głąb Rosji, więzieni. To co na wschodnich ziemiach Polski działo się już w 1944 roku, teraz obejmuje całą Polskę.

Władze warszawskie zapowiadają amnestię, niemniej represje i aresztowania wzmagają się. Żenczykowski słusznie zauważa, że: „Liczone na to, że nawet ci — zwolnieni później na mocy amnestii — wyjdą z więzienia jako ludzie zastraszeni i zniechęceni do dalszej walki opozycyjnej<sup>5</sup>”.

Płk Rzepecki, po krótkim pobyciu w więzieniu, nawołuje Akowców do ujawnienia się, niemniej kilkadziesiąt tysięcy pozostaje w ukryciu, poza amnestią; los ich nie przestaje być troską byłych dowódców. W początkach września 1945 powstaje nowa organizacja podziemna WiN (Wolność i Niezawisłość) — przewodniczącym Głównego Komitetu Wykonawczego jest Jan Rzepecki, na czele Obszaru Centralnego staje Józef Rybicki. Celem jest przekonanie Akowców, że nie czas na rozpaczliwe akcje samopas, że należy uniknąć bratobójczych i nieobliczalnych ofiar. Chodziło też o przywrócenie im praw obywatelskich, wciągnięcie do pracy nad odbudową kraju. Odezwy mówią, że „sytuacja polityczna w kraju jest daleka od tego obrazu w imię którego ginęli żołnierze Polski podziemnej”, podkreślają konieczność utrzymania współpracy z Rosją — „należy przy tym pamiętać, by te stosunki układały się przy pełnej równorzędności i niezawisłości Polski”. WiN miał istnieć tylko do czasu wyborów do Sejmu — liczone, że uregulują one najbardziej bolesne sprawy.

5. Tadeusz Żenczykowski, *Dramatyczny Rok 1945*. Polonia, Londyn 1982.

Tzw. I-szy WiN, obchodzący nas ze względu na osobę dr. Rybickiego, istniał bardzo krótko. 5 listopada aresztowano Rzepeckiego i Sanojcę, potem resztę, jedynie Rybicki został zdekonspirowany dopiero 22 grudnia 1945. Pokazowy proces odbywa się od 6 stycznia do 3 lutego 1947. Niestety w relacjach, które w ostatnich latach ukazały się<sup>6</sup> brak nam bardzo cytat z ówczesnej prasy krajowej — przemówienia podsądnych były podawane niemal *in extenso* i stanowiły niezwyklej wagi dokument, charakteryzujący obie strony. Według Korbońskiego<sup>7</sup>, Rzepecki po aresztowaniu ujawnił wszystko i wszystkich — ludzi, adresy, broń, pieniądze. Pozostanie w konspiracji uznał za błąd. Po tej linii zeznawał, oskarżając władze AK, NSZ, rząd w Londynie; dodał jeszcze, że w WiN-ie działały wpływy obcego wywiadu. Rybicki zachował przez cały czas pełną godności postawę. Wyrokiem sądu Polaków nad Polakami, Rybicki dostał 10 lat, Rzepecki — 8, inni od 2 do 12 lat; były dwa wyroki śmierci.

Proces toczył się w czasie wyborów. Nazajutrz po wyroku, 4 lutego 1947, rozpoczęła się pierwsza sesja sejmku. Bierut ułaskawia Rzepeckiego, Szczurka i Sanojcę, dwie kary śmierci zamienia na więzienie. Wyrok Rybickiego zostaje zmniejszony do sześciu lat — za zasługi z okresu okupacji. Dodatkową perfidią nowych władz jest amnestia z 22 lutego 1947 — więźniowie polityczni, którzy uzyskali (w różnych procesach) wyroki do pięciu lat zostają ułaskawieni. Rzepecki jest już na wolności — Rybicki pozostaje w więzieniu — za nieugiętą postawę.

Po wyroku siedział w celi z kryminalistami, zdobywając ich szacunek i posłuch. Tragiczne lata osamotnionego człowieka, którego zawiedli ci w których wierzył — przywódcy, wyżsi wojskowi. Trzykrotnie był zwalniany z więzienia ze względów zdrowotnych — i znów aresztowany; ostatni raz zgłasza się sam do więzienia, by odsiedzieć wyrok do końca — z uwzględnieniem przerw na kurację. Wychodzi z więzienia w końcu 1953 roku.

Zamieszkał w Milanówku koło Warszawy, z żoną lekarką i dwojgiem dzieci, wówczas już kilkunastoletnich, pozbawionych ojca na okres wojny (nie mieszkał z rodziną, stale się ukrywając pod różnymi nazwiskami) i więzienia. W szereg lat później chciano go „rehabilitować” — odmówił, twierdząc, że nie wie z jakich przestępstw miano by go oczyszczać.

Korespondencja z zagranicą nie była wówczas wskazana, w

6. Stanisław Kluz, *W potrzasku dziejowym. WIN na szlaku AK*. Veritas, Londyn 1978. Marek Łatyński, *Nie paść na kolana. Szkice o opozycji lat czterdziestych*. Polonia, Londyn 1985.

7. Stefan Korboński, *W imieniu Kremla*, Instytut Literacki, Paryż 1956.



jego wypadku szczególnie. Pierwszy list, który otrzymałam po wyjściu z więzienia nie ma daty, wnioskować można, że pochodzi z 1954-1955 roku. Píše m.in.: „Psychicznie nie zmieniłem się wiele od tych czasów (przedwojennych — J.J.T.). Pobyt w pensjonacie odbił się nieco na siłach fizycznych. Te zabiegi wychowawcze mają to do siebie jednak, że osłabiają ciało tylko, bo reszta człowieczych składników nie chce im się jakoś poddać”; „Bazuję zawsze na etyce chrześcijańskiej, na bazie humanistycznej: nie znam nienawiści, nie potrafię uczyć nienawiści człowieka. Uczylbym tylko nienawiści do zła, do dławienia sumienia człowieka. Czy jednak te imponderabilia nie są nam konieczne do życia? Czy bez tej busoli można istnieć? Czuję głęboko, a więzienie umocniło mnie w tym jeszcze silniej, że gdy zabraknie podstaw moralnych, etycznych — musi przyjść nieunikniony proces degeneracji”.

Nie potrafiono go złamać, a słowa listu charakteryzują jego stosunek do życia, wyrażają jego credo etyczne — na każdym etapie życia. Wykładać mu nie pozwolono — i tak nie mógłby i nie chciał w tych czasach nienawiści. Mając oparcie w żonie, Stefanii, poświęca się pracy naukowej. Nawiguje kontakt z księkarnią św. Wojciecha w Poznaniu i przygotowuje nowe wydanie Słownika Kościelnego łacińsko-polskiego ks. dr. Alojzego Jougana (1938) — uzupełnił go, poprawił, pisał, że dodał około 12 tys. nowych słów — wyszedł w 1958 roku. Wkrótce potem został etatowym redaktorem działu słowników i encyklopedii, pracując nad tym w domu. Była wzmianka w prasie krajowej (1969) o słowniku łacińsko-polskim, ale w liście z 4 grudnia 1974 píše: „Mój słownik pogrzebany. Siedzę nad nim 'ale sobie a Muzom'. Znane Wam zapewne ataki na mnie zrobiły swoje”. W tych latach kontynuuje swą pasję — zbieranie pamiętników, wspomnień w różnych językach, dotyczących Polski i Polaków. W latach sześćdziesiątych zbiór jego liczył około 6 tys. tomów. Wiedzano o tym więcej w kraju niż na Zachodzie — w tej dziedzinie nazwisko jego — czasem — przestawało być „tabu”. Był wywiad, przeprowadzony przez Wilhelminę Skulską w *Przekroju* („Portret bibliofila”, 1969) i artykuł (brak daty) Antoniego Trepińskiego w *Stolicy*, w rubryce „Zbiory warszawskie”. Kupował pamiętniki już w czasach szkolnych — i przez całe życie, nawet w okresie okupacji; szczęśliwie zbiory, wywiezione w porę na prowincję, ocalały. Najstarszy pamiętnik w jego posiadaniu to były „*Rerum Moscovitarum Commentari*” z 1517 roku.

W zbiorze — zapisanym bibliotece, rzekomo na Ziemiach Odzyskanych — znajdowały się unikaty. Każdy opatrzony exlibrisem — z wagą grecką. Miał zamiar napisać monografię o pamiętni-

karstwie. Poczynił szereg odkryć w tej dziedzinie. Znany był zbieraczom prywatnym, antykwarzom, ludziom nauki, którzy udawali się do niego, gdy zabrakło pamiętnika w oficjalnych zbiorach. Należał do Towarzystwa Przyjaciół Książki, brał udział w jego pracach i wystawach.

W okresie, gdy musiał się odsunąć od spraw politycznych, zainteresował się alkoholizmem w Polsce, szkodami szerzonymi przez nałóg, zwłaszcza w młodym pokoleniu. Był członkiem Zarządu Głównego Komitetu Przeciwalkoholowego, potem Komisji Episkopalnej dla spraw trzeźwości. Opracował poradnik dla działaczy w tej dziedzinie, szereg broszur. Był to jedyny sposób oddziaływania na młodzież, jaki mu pozostał.

Był również członkiem-korespondentem Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Uprawiał działalność odczytową, brał udział w spotkaniach i seminariach poświęconych najnowszej historii Polski.



Odwiedziliśmy go w Milanówku na jesieni 1960 roku, najwięcej czasu spędzając w jego skarbcu — bibliotece. Wydawał się niemal niezmienny, nietknięty czasem, minionymi latami, ciężkimi przeżyciami.

Potem przysyłał nam jeszcze więcej książek, stale broniąc się przed paczkami — „jakiś mój opór w przyjmowaniu”. Przycho-  
dzą kartki, podpisane nieraz „b. dyrek”, są przerwy. I list z wigilijną datą — 24 grudnia 1972: „Milczałem długo, bo jakoś nie chciałem Wam pisać, że znowu zaczynają mi dokuczać, a do tego to wszystko jest oparte na zwykłej prowokacji — w ub. roku rozpoczęło się to przez ataki tzw. „asa wywiadu”<sup>8</sup> — który nie wymienił mnie per nazwisko a tylko „doktora z Milanówka”. Jednak telefony... (słowo nieodczytane — J.J.T.) wyraźnie mówiły już, że powinienem się „poprawić” itp. Wylano mnie z pracy. Rozpoczęły się śledzenia mnie: „ciekawe” jeżdżenia za mną samochodem: raz: żebym nie zauważył, dwa: bym widział, że mnie śledzą (fachowcy mówią, że to system japoński, a ja nazywam to system łobuzerski) itp., itp. Wreszcie przyszła rewizja w domu. Wielogodzinna i wieloosobowa (7). Muszę przyznać, że — poza kilkoma momentami — była prowadzona w sposób nader kulturalny, jeśli w ogóle przeprowadzanie rewizji ma coś wspólnego z kulturą. Później pismo z Prokuratury, „uzasadniające” (?) rewizję poszukiwaniem jakiejś ulotki (którą jakoby kolportowałem), której ja nie widziałem na oczy, co więcej

---

8. Chodzi o „wtyczkę” do RWE.

o niej nie słyszałem, a dopiero Prokuratura powiadomiła mnie, że taka ulotka istnieje. Później rozmowy z wiadomymi przedstawicielami<sup>9</sup>”.

Właściwie nigdy nie był przez władze pozostawiony na dłużej w spokoju. Na przesłuchania wzywano również jego żonę, typowo ubecką metodą opowiadając niestworzone rzeczy o „prowadzeniu się” męża, sugerując, że jest zarazony „dyskretną” chorobą, opluwając — zdawali sobie sprawę, jakim oparciem jest dla niego atmosfera rodzinna. Opowiadał nam o tym — z humorem (!) — w latach 1980-tych.

Znany był w kraju jego stosunek do ZBOWiD'u — jednało mu to jeszcze większy szacunek byłych żołnierzy. Opowiadał nam, śmiejąc się, jak wytłumaczył władzom tej organizacji, że ich renta mu się finansowo nie opłaca (a nie przelewało się nigdy!), odmówił odznaczenia Krzyżem Powstania.

Sledził i przeżywał ciężko wypadki w kraju. Z powstaniem we wrześniu 1976 KOR-u otworzyły się nowe możliwości działania — legalnego. To było istotne — wiedział, że nie ma możliwości powrotu do dawnych, konspiracyjnych metod.

KOR dawał mu możliwość działalności słownej, zmierzającej do poprawy losu aresztowanych, więzionych i torturowanych robotników. Rozpiętość wieku, różnica środowisk, typu wykształcenia, przekonań politycznych. Możliwość dogadania się, harmonijnej współpracy, to jedna z tajemnic psychiki polskiej, umiejętność zjednoczenia się — *in periculo mortis*. A niebezpieczeństwo to istniało — w formie gwałcenia praw człowieka.

Doświadczenia Rybickiego z AK były wykorzystane w KOR-ze. Lipski<sup>10</sup> pisze o dyrektywie nie opowiadania o konkretnych pracach KOR-u: „Tych założeń dyskrecji, wypracowanych w konspiracji AK, uczył przede wszystkim Józef Rybicki, tłumacząc, że nie chodzi o nieufność i nawet nie o racjonalnie rozumianą ostrożność, lecz o coś więcej: o budowanie w sobie i najbliższych współpracownikach poczucia odpowiedzialności za wszystko i wszystkich”. Nie bez znaczenia były na pewno jego cechy osobiste. I umiejętność spokojnego, niezacietrzewionego dyskusowania. Zauważyłam, że często w dyskusjach prywatnych zaczynał zdanie: „Ja przepraszam, ale... Ja może nie zrozumiałem, ale...”. Zrozumiał i nie przepraszał, a z taktem, bez narzucania, przedstawiał swój punkt widzenia, przekonywał rozmówców.

Ówczesną atmosferę w kraju skwitował lapidarnym dopis-

9. List otrzymany normalną drogą pocztową.

10. Jan Józef Lipski, *KOR*, Aneks, Londyn 1983.

kiem na kartce z 15 października 1976: „Zaczęła się tu era opluskwania nas”.

W październiku 1978 musiał zrezygnować z racji zdrowia z części obowiązków (Rada Funduszu Samoobrony Społecznej), pozostał do końca w Komisji Redakcyjnej. Lipski wspomina, że na wiosnę 1981 podkreślał: „że traci zainteresowanie dla nich (prac) przenosząc je na działalność związaną z kołami AK, zamierzającymi powołać własne stowarzyszenie”. Być może było to przeczucie nadchodzącej klęski; pewną rolę odgrywał wiek: w czasie ostatniego pobytu w Kanadzie najchętniej nawracał do konspiracji, AK, walk leśnych.



Pierwszy przyjazd Józefa Rybickiego do Kanady w roku 1980 był kompletną niespodzianką, starannie ukrywaną przez osobę sprowadzającą, by „nie zapeszyć”. Po dwudziestu latach niewidzenia nie wydawał się wiele zmieniony — może tylko jeszcze ciszej mówił — świadomość możliwego podstłuchu weszła w krew. Był pełen optymizmu, wiary w poprawiający się klimat polityczny, w młodzież wychowaną przez reżym, a przecież protestującą i krzyczącą... „Gestapo!” na manifestacjach. Był zadziwiająco zorientowany „kto jest kim” w polskim świecie „politycznym” w Kanadzie (nie mówiąc o Londynie); sądy, oceny pokrywały się z naszymi. Przychodzono do niego, przyjeżdżano nie tylko z Ottawy i Montrealu, ale i ze Stanów. Toczył długie rozmowy. Nie rosło mu od nich serce.

Jasne było, że kraj stoi u progu bardzo poważnych wypadków. Pewno dlatego dano mu paszport — wolano pozbyć się go w gorących miesiącach. Tu, w Toronto, toczyły się rozmowy „na wysokim szczeblu” czyli powinien wracać. Chciano go zatrzymać, obiecywano sprowadzić żonę. Oczywiście nie chciał słuchać — Polski w żadnym wypadku by nie opuścił, tam i tylko tam było jego miejsce. Człowiek niezmiernie skromny i niezależny, nigdy nie zgodziłby się na życie łatwiejsze, ani na to, by być finansowo zależnym od jakichkolwiek ośrodków politycznych. Wiedział, że mógłby za to zapłacić cenę niezgodną z jego etyką.

Drugi raz był w Toronto już po „jaruzelskiej wojnie”. W pewnym sensie tłumaczył Jaruzelskiego — był przecież janczarem, wychowanym przez Rosję, nie rozumiał polskiej racji stanu. Nie potępił ostro ludzi, którzy mieli zadawnione, wypróbowane przekonania komunistyczne; był bezlitosny wobec tych, którzy przy łada podmuchu zmieniali swe przekonania i „szmacili się” choć to nie było konieczne. Różniliśmy się niekiedy w ocenach literackich

— człowiek przesłaniał mu całkowicie pisarza, kompromis dla wygody osobistej był mu nienawistny.

Cenił pomoc materialną ze strony emigracji, ale przeciwny był wyjazdom do Polski, o ile łączyły się one z jakimiś oficjalnymi występami, kontaktami (naukowymi, czy pisarskimi). Od emigracji chciał niezafałszowanych publikacji o najnowszej historii polskiej, podręczników dla tajnego uniwersytetu, wspomnień, pamiętników.

Przerazony był odpływem wykształconych, wartościowych ludzi z kraju. Niemniej potępiał tylko jedną kategorię uchodźców — działaczy „Solidarności”, delegatów na zjazdy z okresu względnej swobody. Tak jak poprzednio był zaskoczony londyńskimi i miejscowymi rozgrywkami i frakcjami, tak teraz smutniał, mówiąc o rozłamach wśród przedstawicieli „Solidarności” za granicą.

I trzeci, ostatni przyjazd na wiosnę 1985 roku. I znów nie czuło się jego wieku, choć może nieco postarzał się psychicznie. Narzekał, że na spotkaniach towarzyskich ludzie bardziej pytają o krewnych i ceny mięsa, niż o nastroje społeczeństwa. Ale jednocześnie coraz bardziej wracał w swych opowiadaniach do spraw akowskich, powstańczych. Ten okres wolności w niewoli był mu coraz bliższy. Może czuł, że to będzie pożegnanie — pierwszy raz zgodził się wystąpić publicznie — mówił w gronie byłych żołnierzy AK o roku 1945. W pewnym sensie odpowiadał na tezy Tadeusza Żenczykowskiego, uzupełniał je wspomnieniami o swych przeżyciach. Kwestionował słowo „dramatyczny” w tytule książki — w dramacie jest światło nadziei, tragizm jest nieodwracalnym finałem.

Pesymistycznie patrzył na rozwój wypadków w Polsce, coraz silniej przewijała się nić *contra spem spero*. Tą wątłą nadzieją była myśl o wypadkach i czynnikach których nie można przewidzieć.

Osobiście był to również ciężki dla niego czas — w międzyczasie stracił ukochaną towarzyszkę życia. A przecież humor i teraz go nie opuszczał. Z zacięciem opowiadał (i to właściwie nie raz!), jak to kiedyś Bezpieka telefonowała dość późną porą, by się zgłosił na Rakowiecką na małą „konsultację”, czyli jeszcze jedno z niezliczonych przesłuchań. Odpowiedział, że nie może, bo mu właśnie żona myje plecy — ??? „Bo chcę...” i wyjaśnił niedwuznacznie co chce mieć czyste do ich pocałunku. To było nowe oblicze Rybickiego, zaskoczyło słuchaczy... Łagodnie tłumaczył, że to jest jedyny język jaki „ci panowie” rozumieją.

Kiedyś robiliśmy zdjęcia przed domem gdzie mieszkał. Stało jakieś auto. Oparł się o nie i z błyskiem w oczach powiada: „Zróbcie mi zdjęcie przed autem, będę mówił w Polsce, że mi je

emigracja dała” — w jego ustach brzmiało to jak przedni dowcip — nigdy niczego nie chciał dla siebie, potrzeby osobiste miał minimalne, rzadko wiedział co je, był bliski ascetyzmu. Jedynym luksusem były książki, manuskrypty. Gdyby żył w innych warunkach — niewątpliwie byłyby podróże.

Poczucie humoru, połączone z niebywałą skromnością, sprawiało, że w jego opowieściach nie było nigdy cierpiętnictwa, roztkliwiania się nad sobą, bohaterzczyzny. Nie było nawet żalu do losu czy siebie samego, że nie pokierował swym życiem inaczej — łatwiej by mu było przecie gdyby się zamknął w świecie antyku. Jednego żałował — że za krótka była polska niepodległość, choć przeżył ją całą pełnią swych dojrzałych lat. Jego etyka, postawa moralna była właściwie anachronizmem w naszej epoce zagubionych ideałów i zdewaluowanych wartości.

Ktoś, kto go zresztą szanował, w okresie beznadziejności przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych nazwał go „politycznym maniakiem”. Ktoś inny, w pogrudniowym czasie, wzruszył ramionami — „Rybicki nie był specjalnie znany w kraju. Michnik, Kuroń...”. Każde pokolenie ma swoje legendy i bożyszcza — na miarę czasu i ludzi.

*Jadwiga JURKSZUS-TOMASZEWSKA*

## OKRUCHY HISTORII

Piotr WANDYCZ

### O JULIUSZU MIEROSZEWSKIM

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Lektura notatki w dziesięciolecie śmierci Juliusza Mieroszewskiego (w lipcowo-sierpniowym numerze *Kultury*) nasunęła mi pewne refleksje. Jak Redakcja słusznie pisze, Mieroszewski był bardzo wybitnym publicystą, którego wpływ na kształtowanie się światopoglądów w Kraju był może większy, niż się to wydaje z emigracyjnej perspektywy. Zastępuje on na to, aby przyszły historyk emigracji uwzględnił w pełni jego wkład, styl i osobowość. Ta ostatnia z pewnością nastręczy wiele kłopotów. Nie wiem jak dużo listów Mieroszewskiego jest rozsianych po świecie, a o ile pamiętam, nie należał on do ludzi lubiących uprawiać sztukę korespondencyjną. W swej londyńskiej „pustelni” na Gainsborough Road nie przyjmował zbyt wiele osób spoza Kraju, a podejrzewam, że ilość ludzi, którzy się z nim naprawdę przyjaźnili, była wręcz znikoma. Żyjącym źródłem dla okresu londyńskiego jest oczywiście druga żona publicysty, Inka z Czechowiczów Mieroszevska, dzieląca z nim wszystkie troski i kłopoty aż po tragiczne chwile przewlekłej choroby i śmierci.

Jako historyk, uczulony na przekazy źródłowe i zawodną pamięć współczesnych, myślę nieraz o tym, aby postać Juliusza Mieroszewskiego nie uległa w przyszłości skrzywieniom, a przyszli biografowie mogli rozporządzać maximum materiału. Stąd tych parę refleksji-wspomnień, mających służyć jako zapoczątkowanie zbioru przyczynków do biografii Juliusza Mieroszewskiego jako człowieka i pisarza.

Jak Pan wie, Mieroszewski był moim ciotecznym bratem — nasze matki, z domu Dunikowskie, były siostrami. Jednakże dzieliła nas duża różnica wieku (ok. 18 lat), dlatego też moje przedwojenne wspomnienia o Mieroszewskim, to reminiscencje kilkunastoletniego chłopca, choć nad wiek zainteresowanego sprawami dorosłych i polityką. Przypominam sobie dobrze odwiedziny w Krakowie, gdzie mój kuzyn zamieszkiwał wraz z żoną, Ewą z Morawskich, i malutką córeczką, Moniką, w zacisznie położonym w ogrodzie na tyłach ordynackiego domu Mieroszewskich przy ul. Krupniczej. Mieroszewski pracował w *IKC*'u w dziale polityki zagranicznej. Ponieważ szefem jego był redaktor Rubel, rodzina i przyjaciele żartowali, iż Mieroszewski jest tylko kopiejką. W latach przedwojennych Mieroszewski był już ekspertem od zagadnień niemieckich, dostatecznie znanym w Berlinie, aby odmawiano mu wizy. Ponieważ rodzina Mieroszewskich miała dość pokaźne sumy zamrożone w banku berlińskim — część odszkodowania związanego z przejściem przez rząd pruski kopalni w Mysłowicach, należących do ordynacji Mieroszewskich — które można było użytkować tylko na terenie Rzeszy, do Berlina wyjeżdżała już tylko żona. Raz był tam młodszy brat, Sobiesław, prokurent w „Polskim Eksporcie Naftowym”; w czasie drugiej wojny podchorąży w 2-giej Dywizji Strzelców we Francji, internowany w Szwajcarii, a w ostatnim stadium wojny żołnierz *maquis* i 2-go Korpusu we Włoszech. Zmarł wkrótce po wojnie w Anglii mając zaledwie trzydzieści kilka lat.

Obaj bracia Mieroszewscy wychowywani byli głównie przez ojca — matkę stracili we wczesnym dzieciństwie. Ojciec, dr Kazimierz Mieroszewski, był lekarzem, pełniącym przez szereg lat służbę w marynarce wojennej austriackiej. Pływał po całym świecie i znał dobrze wiele kultur, choć zawsze pozostał produktem wychowania klasycznego. Był przy tym oryginałem, by nie rzecz dziwakiem. W okresie kiedy go znałem, a mieszkał wtedy we Lwowie i często u nas bywał, pasjonował się esperantem. Z usposobienia był raczej odludkiem i, rzecz mało charakterystyczna dla człowieka jego sfery, odznaczał się brakiem zainteresowania dla spraw genealogiczno-rodowych. Chłopców swych wychowywał z oddaniem i po spartańsku, usypiając ich, gdy byli mali, recytacją greckich i łacińskich heksametrów. Wpajał w nich pewną niechęć do konwenansów i dyscypliny życia towarzyskiego. Czy było to w jakimś stopniu aspołeczne wychowanie? Może. W każdym razie była w tym abnegacja, która — tak typowa dla wujka Kazimierza — została w dużym stopniu odziedziczona przez Juliusza. Pamiętam jak w okresie londyńskim odnosił się w pewną pogardą do spraw takich jak kupno dywanu czy nowej kanapy.

Jako wróg Trzeciej Rzeszy, poszukiwany listem gończym przez Gestapo zaraz po zajęciu Krakowa przez Niemców, Mieroszewski, wraz z żoną i córką, musiał ewakuować się na wschód. Pamiętnego 17 września Mieroszewscy przedostali się wraz z dużą



częścią mojej rodziny do Rumunii. Po paru miesiącach drogi nasze się rozeszły: moja prowadziła do Francji, a później do Anglii, Mieroszewskich losy rzuciły na Bliski Wschód. Juliusz będzie później żołnierzem Brygady Karpackiej i rozpocznie działalność propagandowo-dziennikarską w 2-gim Korpusie. W tym czasie nawiązany zostaje bliski kontakt między nim a Jerzym Giedroyciem, który utrzymany zostanie do śmierci Juliusza.

Mijały lata i podczas mych stosunkowo częstych wizyt w Londynie bywałem zawsze na długiej pogawędce na Gainsborough Road. Mówiliśmy o rodzinie, a z biegiem lat Juliusz odczuwał coraz silniej więzienie rodzinne. Chociaż podkreślał swą lewicowość i nie cierpiał snobizmu i kołtunerii, był równocześnie (paradoksalnie?) dumny ze swego nazwiska i ziemiańsko-szlacheckiej tradycji. W liście, który od niego dostałem w odpowiedzi na zawiadomienie o moim ślubie z Polką (z tzw. dobrej rodziny) pisał m.in., iż cieszy się, że „krew Dunikowskich, która jest mi droga, nie zmiesza się z krwią jakichś Smithów czy Brownów”. Może było w tym trochę pozy, a może atawizmu. Nawet w jego bardzo przemysłanej i do pewnego stopnia chłodno-rozumowanej publicystyce politycznej, zjawiał się czasem nagle jakiś raptowny zwrot jak błysk szabli: „bigosować!”.

O warsztacie pisarskim Mieroszewskiego wiem więcej z opowieści jego drugiej żony niż z własnych obserwacji. Wydawało mi się, że miał to co określa się często jako łatwość pióra. Był dziennikarzem i publicystą z długim stażem i wielką rutyną; pióro było jego rzemiosłem.

Jak już wspominałem, Juliusz Mieroszewski w swej londyńskiej „samotni” czuł się najlepiej bez kontaktów z lokalną Polnią, która mu to bardzo miała za złe. Moje próby ułatwienia takich kontaktów (bez cienia przekonania, iż coś z tego wyniknie) kończyły się zgrzytami. Mieroszewskiemu wystarczało najzupełniej towarzystwo żony i psa — psy bardzo lubił — spacer do lokalnego „pubu” na piwo i bardzo, bardzo rzadko spotkanie z bliskimi mu ludźmi. Do takich należeli Jerzy Giedroyc, Kazimierz Wierzyński i parę osób, których można by chyba policzyć na palcach jednej ręki. Oderwany przez tyle lat od Kraju, jakkolwiek czytał wszystko na tematy krajowe, co było dostępne, a rozmowy z wielu ludźmi, przyjeżdżającymi z Polski uzupełniały jego wiedzę, miał ogromne wyczucie problematyki krajowej. Podkreślali to zgodnie różni jego rozmówcy. Był emigrantem, który nie ulegał atmosferze emigracyjnej i pozostawał przeważnie poza zasięgiem „potępieńczych swarów”. Od momentu osiedlenia się w Londynie po zakończeniu wojny Mieroszewski nie wyjechał ani razu z Anglii. Konferencje redakcyjne odbywały się w Londynie i Londyńczyk nie był nigdy w Maisons-Laffitte. Dziwactwo? Potęgująca się niechęć do zmiany miejsca? Raz czy dwa razy, gdy byłem w Londynie, Juliusz witał mnie opowieścią o planowanym wyjeździe do Włoch czy Francji. Pokazywał mi książki kucharskie (lubił dobrze zjeść i wypić, choć z latami to zamiłowanie

stawało się raczej teoretyczne — na Gainsborough Mieroszewski nie opływał w pieniądze). Ale chyba i on i ja wiedzieliśmy, że z Londynu nie wyjedzie, nawet na krótki dystans przez Kanał, i na krótki tylko urlop.

Los tak zrządził, że mego brata ciotecznego nie widziałem już w najgorszej fazie jego choroby. Pisarz tracący wzrok, to rzecz potworna. Z opowiadań jego żony wiem tylko, z jakim stoicyzmem znosił swoje cierpienia. Ale nie był to chyba tylko stoicyzm, wyniesiony z umiłowania starożytnej Grecji i Rzymu, które wpa-jał mu jego ojciec. Mieroszewski, będący raczej agnostykiem, po koniec życia stał się głęboko i żarliwie wierzący. Miał jeszcze dużo do powiedzenia i napisania gdy umierał, ale nie my decydujemy o tym, czy śmierć jest przedwczesna czy też nie. Odejście jego, jak to Redakcja określiła, oznaczało, że umarła część *Kultury*. A może przerwany został jakiś wątek w polskiej myśli politycznej na emigracji.

Piotr WANDYCZ

Londyn, 18 czerwca 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Zeszytach Historycznych* nr 76, Czesław Jeśmian, w artykule pt. „Brytyjski eksperyment z Polakami” porusza pokrótce kwestię obozu oficerskiego w Rothesay (nie na Rothesay) na wyspie Bute. Jego naświetlenie tego haniebnego fragmentu działalności ówczesnego rządu generała Sikorskiego przypisuje raczej ignorancji tematu, niż umyślnego mijania się z prawdą.

Jako syn jednego z „zesłanych” tam oficerów, byłem świadkiem warunków w jakich się znajdowali — na zredukowanych do minimum poborach, często dorabiając pracą chałupniczą na pierwsze potrzeby. Bajka o kupowaniu samochodów — abstrahując od faktu, że benzyna na prywatny użytek nie była w tym okresie wojny sprzedawana — musiała być rozprowadzana na tych samych zasadach jak informacja, że żona ministra Becka wywiozła z Polski 562.000 dolarów (str. 217 tychże *Zeszytów Historycznych*).

Ponieważ temat „wyspy” może interesować czytelników, załączam krótki nieopublikowany szkic mojego ojca, pisany w 1943 roku. Oddaje on wiernie stosunki i nastroje tego okresu, i, jak sądzę, nie stracił na aktualności.

Łączę wyrazy szacunku

Krzysztof MUNNICH

## CERIZAY I ROTHESAY

Cerizay i Rothesay — dwie te miejscowości, pierwsza na ziemi francuskiej a druga daleko od niej na szkockiej wysepce Bute, wiążą się ze sobą nie tylko przez fonetyczne podobieństwo nazw.

Obie miały się stać miejscem szczególnego rodzaju odosobnienia dla wielu oficerów polskich, których zew dalszej walki rzucił poza granice Polski. Dążyli oni z kraju przekradając się przez wrogie kordony, uciekali z obozów internowania w Rumunii i na Węgrzech — by znaleźć się znów w szeregach naszej armii i z nią, u boku Sprzymierzonych, kontynuować walkę podjętą w kraju. Te dwie nazwy związały się nierozłącznie jako jeszcze jeden ponury objaw tych praktyk i metod, które po wrześniu 1939 roku miały zaciążyć nad polską rzeczywistością. W obu obozach znaleźli się oficerowie wszystkich stopni do generałów włącznie i tak się złożyło, że olbrzymia większość wysyłanych tam partii, które ich istnienie zapoczątkowały, składała się z oficerów legionowych, lub z ich ideologią związanych.

„Samodzielny Oddział w Cerizay”, czy też „Samodzielny Obóz w Rothesay” nie miały wprawdzie oficjalnej nazwy obozów odosobnienia. Jednak szczególne metody i praktyki tam stosowane, jak specjalne obostrzenia przywiązujące do danych miejscowości, codzienne (jak w Cerizay) meldowanie się, cały system inwigilacji, obserwacji, potajemnych rewizji i donosów, dodatkowej cenzury korespondencji, jak wreszcie specjalne zmniejszone pobory i odseparowanie od pracy wojskowej celem zaznania „męki bezczynności” — jak to zdefiniował jeden z dygnitarzy — miały wyraźny charakter represji. Wysłanie do tych miejsc uważane było oficjalnie za usunięcie poza nawias wojska, lub pracy dla niego. Na domiar, zjawisko takie sprowadzało na przebywających w tych miejscowościach oficerów — u władz cudzoziemskich i obcego społeczeństwa — krzywdzące piętno jakichś przestępców lub nawet piątokolumnistów. Zrozumiałe zaś poczucie godności Polaka zamykało postawionym w takie położenie oficerom usta dla wyjaśnienia ich sytuacji. Przydzielenie do Cerizay czy też na „wyspę” nie było poprzedzane żadnym dochodzeniem, ani też przydzieleni tam nie znali przyczyn takiego potraktowania — przynajmniej te pierwsze, wspomniane wyżej, partie oficerów. Wyjaśniło to niedwuznacznie przemówienie samego Szefa Rządu i Naczelnego Wodza wygłoszone w połowie sierpnia 1940 roku do kilkuset oficerów w jednym z obozów w Szkocji, Broughton, w kilka dni po wysłaniu na „wyspę” pierwszej partii oficerów: „Poszli tam moi przeciwnicy polityczni i naprawdę niezdolni. Mogłem ich w przeciągu 24-ch godzin zamknąć w angielskich obozach koncentracyjnych. Jestem jednak człowiekiem który ma głowę i serce i mam też dumę narodową, więc nie chciałem tych spraw wywlekać przed Anglikami. Nie są to jakieś „Wyspy Solowieckie”, będą więc tam mieli wygodny 'dekung'!”.

Stopniowo, po tak ustalonych powodach, rozpoczęło się posyłanie tak do Cerizay, jak i na „wyspę” nałogowych alkoholików, podejrzanych o przestępstwa pospolite czy o przywłaszczenie stopnia oficerskiego, degeneratów itp. Tak osiągnięta „jedność” miała swój szczególny cel, zaś w oczach miejscowego społeczeństwa jeszcze szczególniejszy oddźwięk.

Obóz w Cerizay został utworzony rozkazem M.S.Wojsk. z dnia 22 listopada 1939 roku i już 24-go tegoż miesiąca, w sposób niemal alarmowy, został tam wysłany z Paryża pierwszy transport oficerów. Z początkowej ilości około 50-ciu oficerów, w tym kilku generałów i kilkunastu oficerów sztabowych, ilość ich doszła stopniowo do 100 i do końca wahała się między cyfrą 50 do 100 oficerów. Po załamaniu się Francji, olbrzymia większość ich wśród niezwykłych przeszkód i trudności samorzutnie przedostała się do Wielkiej Brytanii, by wkrótce po przybyciu znów znaleźć się — tym razem w Rothesay.

Daleko liczniejszy miał być obóz na „wyspie”. Wśród niezwyklej zbieżności wydarzeń, wkrótce po normalnym konstytucyjnym przesileniu lipcowym w Londynie — acz może nie tak normalnie zażegnanym<sup>1</sup> — wysłana została duża grupa oficerów, w tym 10 generałów, do Rothesay. Tragicznym preludium do jego powstania był rozpaczliwy samobójczy strzał płk. dr. Mintowt-Czyża, który wolał „śmiercią ratować honor munduru gdy inni tego honoru nie szanują”. Między pierwszymi znaleźli się wszyscy byli „Cerizayczycy” z takim wysiłkiem przybyli do Wielkiej Brytanii. Po kolejnym nowym transporcie około 150-ciu oficerów, ogólna ilość pomieszczonych na „wyspie” doszła stopniowo do 600 oficerów, w tym już znaczna ilość — w odróżnieniu od pierwszych transportów — ludzi o wyraźnych kondemnatach lub wątego zdrowia, względnie podeszłych już lat. W samych początkach instalowania tego obozu w Rothesay miał miejsce wstrząsający moment aresztowania przez brytyjską policję i wywiezienia do więzienia jednego z najdzielniejszych naszych generałów<sup>2</sup>, jednego z dowódców armii w kampanii polskiej, któremu wśród niezwykłych przejść udało się wydostać z kraju do dalszej walki, którą do końca tam prowadził.

W czasie tego przymusowego pobytu na odosobnionej wyspie Bute zmarło na niej spośród pierwszych 250-ciu, 12 oficerów, w tym trzech śmiercią samobójczą. Dostało zaburzeń umysłowych i przeszło przez szpitale dla umysłowo lub nerwowo chorych około 11 oficerów. Wreszcie w grudniu 1941 roku wszyscy zesłani na „wyspę” oficerowie zostali masowo zwolnieni z wojska przez przeniesienie w stan nieczynny na dwa lata oficerów służby stałej, a urlopowanie na dwa lata oficerów rezerwy. Z tą też chwilą dotychczasowy „Samodzielny Obóz w Rothesay” został przemianowany na Stację Zborną Oficerów. Zwolnieni na dwa lata oficerowie mogli opuścić wyspę, jednak bez prawa zachowania munduru i legitymacji oficera, a jedynie jako zwykli *refugee* cywilni. Opuszczenie wyspy mogło więc nastąpić za cenę zdjęcia munduru.

Cztery lata upływały od powstania Cerizay i trzy od wejścia

---

1. Chodzi tu o wymuszenie na Prezydencie R.P. Władysławie Raczkiewiczu odwołania dymisji generała Sikorskiego ze stanowiska prezesa Rady Ministrów, w lipcu 1940 roku.

2. Generał dywizji Stefan Dąb-Biernacki.

do przeżyć żołnierza polskiego na obczyźnie nazwy Rothesay i Bute. Próżno byłoby szukać w historii podobnego zjawiska w czasie wojny w jakiegokolwiek armii. Nie zaznała czegoś podobnego nawet armia austriacka składająca się ze zleпка kilkunastu, często wyraźnie sobie wrogich narodowości. Echo Rothesay odezwało się niestety nawet w Izbie Gmin w postaci interpelacji.

W tragicznym łańcuchu przejść naszej armii, której tarcza w najcięższych nawet chwilach i w przeszłości i w obecnych zmaganiach zawsze jasno błyszczała, los nie oszczędził i tego rodzaju momentów. Odbijają się one jednak od jej blasku i nie na nią padną ich cienie.

*Tadeusz MÜNNICH, płk dypl.*

Rothesay, Bute, czerwiec 1943 r.

---

Jadwiga BECKOWA

## OSTATNIA WILIA JÓZEFA BECKA

Ciągający się od dawna cykl wypowiedzi na temat Żydów nudzi wielu czytelników. Mnie — za każdym razem — przypomina ostatnią Wilię mego męża.



Rok 1943 w Rumunii. Jesteśmy w Bukareszcie, w przydzielonej willi, pod ochroną 28 żandarmów, 2 podoficerów, 1 oficera (zmienianego co kilka dni) i 4 do 6 tajnych agentów policji. Posturunki, z bagnetem na karabinach, chodzą dzień i noc pod oknami. No więc nie wygląda się przez okna parteru. Z pierwszego piętra można patrzeć na wielkie drzewa w alei i na niebo.

W ciężkich warunkach internowania dowodem wielkiej łaski policji było udzielanie czasem pozwoleń mojej córce na zaproszenie znajomych polskich uczniów czy studentów. Zwykle działo się to 19 marca (imieniny mego męża) i na Wilię. Dawano wtedy gościom specjalne przepustki, ale tylko tym, których zapprobowała policja. W okresie, o którym piszę, mieszkał jeszcze — w tej samej willi — minister Antoni Roman z żoną, jego sekretarz i wierny sekretarz mego męża Doman Rogoyski. Minister Schaetzel był jedynym, któremu wolno było przychodzić co dzień. Warunki internowania Romana były skrajnie inne: mógł wychodzić kiedy chciał, z jednym tylko cywilnym agentem. Mężowi memu było to zabronione. Nawet wyjazd do dentysty; trzeba było go sprowadzać.

Na Wilii roku 1943 miało być 16 osób. Nasze dwie rodziny z domownikami, Emin Bey Ressel Zade z żoną Wandą — Polką. On był wysokim dygnitarzem republiki Azerbejdżanu, potem emi-

grantem osiadłym w Polsce, gdy Kaukaz zajęli bolszewicy. Ona dowcipna, inteligentna dama. Reszta: młodzież, towarzysze mojej córki. Wśród nich Pol — nazwę go tak — który już mieszkał u nas.

Wilia miała być — powiedzmy — o 8-mej. Gdzieś po 6-tej telefonuje jeden z zaproszonej trójki studentów, że przepraszają, ale na Wilię nie przyjdą. Namowy mojej córki nie pomagają, biorę słuchawkę i wyjaśniam, że chociaż jeden przyjść musi, bo nie chcę trzynastki przy wigilijnym stole. Mówią że byli już na kilku Wiliach i że są pijani. A rozmawiają — na zmianę — zupełnie trzeźwo i normalnie! Proszę ich... obiecują dać odpowiedź za godzinę — który przyjdzie.

Rozmowę tę słyszał mój mąż, którego ulubioną cyfrą była trzynastka. Dodaję natychmiast, że od czasów, gdy jeszcze nie wiedział o istnieniu Komendanta! Ja — od szkolnych lat „uwielbiałam” numer 13 — bez zastrzeżeń. Mąż mój z jednym: zawsze 13, tylko nie przy stole wigilijnym, bo to oznacza śmierć jednej z osób w następnym roku. Wszyscy wiedzieliśmy o tej jego sła-  
bstwie.

Chłopcy zatelefonowali, że stanowczo żaden z nich nie przyjdzie i wytłumaczają się po świętach.

Schaetzel, Rogoyski, moja Buba i ja zaczęliśmy szaleć, szukając sposobu, jak zaradzić tej trzynastce. Mąż mój już był bardzo ciężko chory, ale jeszcze schodził na dół na kolację. Gdyby nawet znalazł się ktoś chętny ze znajomych, to już nie otrzyma przepustki. Stół nakryty, zbliża się ósma. Schaetzel, Rogoyski ofiarowywali się iść na spacer i wrócić po Wilii. Mąż mój nie zgodził się kategorycznie, udając że sytuacja nie jest zła, bo on i ja bardzo lubimy trzynastkę!

Nastrój robi się koszmarny. Wszyscy siłą się na wesołość, dowcipy. Nikomu się to nie udaje. Nakryć sprzątnęło się dwa. Na 14-tym miejscu sadzam Hajduka. Przygarniętego, zabiedzzonego kundla, adorującego mego męża.



Pol był Żydem. Należał do przyjaciół mojej córki. Był studentem inteligentnym, wesołym, serdecznym chłopcem. Przyznał się kiedyś do wielu przykrych szykan na uniwersytecie. Mąż polecił mi pójść do Michaila Antonescu (premier, żaden krewny ich „duce”), wielkiego gentlemana i uroczego człowieka, który zawsze mi pomagał, gdy chodziłam do niego w sprawach różnych ludzi. Bezsilny był tylko, gdy chodziło o los Becka. No, ale to inne sprawy. Dość że uzyskałam dla Pola prawo mieszkania przy nas. Dzięki temu nie groziło mu już — jako Żydowi — nagłe wywiezienie z Rumunii. Moje serce ujął Pol, gdy pewnego dnia nie chciał z Bubą i Rogoyskim słuchać radia, puszczać płyt, tylko rozmawiał ze starszymi i wcześniej poszedł spać. Nazajutrz

powiedział mi, że otrzymał wiadomość o śmierci rodziców. Tragiczną wiadomość o ich barbarzyńskiej śmierci.



Po świętach trzech studentów wyjaśniło, że nie mogli zasiąść do Wigilii w towarzystwie Żyda. Celowali w Pola.

W kilka miesięcy później umarł mój mąż.

Jadwiga BECKOWA

WIADOMOŚCI Nr 1081 z 18/25 grudnia 1966.



Odbitkę artykułu Jadwigi Beckowej przysłał do *Kultury* p. Doman Rogoyski, sekretarz osobisty byłego ministra Spraw Zagranicznych. Na fotokopii Rogoyski dopisał: „Pol to prawdopodobnie Leopold Unger”.

Nie prawdopodobnie, a na pewno. Doman Rogoyski oczywiście się nie myli. Przeżyliśmy razem kilkanaście niełatwych miesięcy. Jadwiga Beckowa nie chciała zapewne — przez delikatność, a także przez rozwagę — ujawniać mojego nazwiska w chwili druku jej wspomnienia (chyba rok 1966). Byłem wówczas w Warszawie, pracowałem w gazecie i pani Beckowa mogła przypuszczać, że ujawnienie takiej „koneksji” mogłoby mi zaszkodzić. Prawdopodobnie tak było. Zresztą, tak jak ją zapamiętałem na zawsze, Jadwiga Beckowa, cudowny uśmiech, jasna myśl i szybka decyzja, z reguły miała rację. Epizodu z trójką gości nie pamiętam, nie przypuszczam zresztą, by warto próbować odtwarzać okoliczności czy nazwiska moich „kolegów”. Tyle czasu minęło, mój Boże, ludzie tak się zmienili.

Pamiętam natomiast ową wigilię, bardzo już chorego, ale ciągle piekielnie inteligentnego Józefa Becka, a przede wszystkim czułość i przyjaźń, jaką obcemu właścicieli chłopakowi okazały pani Jadwiga i jej córka Buba. Nie chodzi nawet o to — choć wtedy wydawało się to snem — że zamienię okropną norę na luksusowe warunki willi, jaką rząd rumuński oddał do dyspozycji internowanego Becka. Ważniejsze zapewne było wtedy poczucie bezpieczeństwa osobistego. Choć Żydzi polscy byli w zasadzie traktowani przez Rumunów tak samo dobrze lub tak samo źle, jak uchodźcy polscy w ogóle, choć np. jedyni maturzyści żydowscy dopuszczeni na wyższe studia w całej hitlerowskiej Europie to byli właśnie Żydzi abiturieneci polskiego gimnazjum w Bukareszcie, to jednak różnice naturalnie były, a owe czasy, lata 1943 i 1944, były niełatwe, żeby użyć eufemizmu. Miałem tzw. „problemy” z niektórymi Polakami, żyjącymi — co za paradoks — w takiej samej albo prawie takiej samej nędzy i niebezpieczeństwie, no i z władzami i niektórymi kolegami na uczelni. Nie było żadnego porównania z sytuacją młodego Żyda w okupowanej Polsce, tym niemniej byłem na żydowskich papierach i przejście do willi i grona jej mieszkańców oznaczało w dużym stopniu koniec strachu. Ale w moich warunkach — nie muszę chyba tego długo tłumaczyć — najważniejsze było odnalezienie zwykłej ludzkiej więzi i atmosfery. Beckowie dali mi wtedy, w sytuacji dla nich samych pod wielu względami tragicznej, to czego mi wtedy było najbardziej brak: sporo ciepła i bezinteresownej przyjaźni. Luksus willi i koniec strachu to bardzo ważne, ale nie ważniejsze niż serdeczne słowo na dobranoc i kanapki przygotowane

na następne rano, abym nie musiał się szwendać po kuchni i budzić chorego Becka i abym, broń Boże, nie był głodny na uczelni.

Kiedy w 1944 roku Anglicy w nocy a Amerykanie w południe zaczęli bombardować Bukareszt, często się myląc w celowaniu, władze rumuńskie wywoziły Becka wraz z rodziną na zapadłą wieś o kilkadziesiąt kilometrów od stolicy. Tam, w okropnych warunkach, znoszonych przez Jadwigę Beckową z niesłychaną godnością, mieszkali do śmierci Becka w początku czerwca 1944. Ja, oczywiście, z nimi nie pojechałem, zostałem w willi, sam z żandarmami. Oglądałem bombardowania alianckie, chyba że wiałem do schronu w sąsiadującym z willą Becków ogromnym gmazysku ambasady... ZSSR, zarekwirowanym przez Rumunów, m.in. w celu umieszczenia tam kilku internowanych polskich przedwojennych ministrów z rodzinami. Pamiętam przede wszystkim państwa Romanów (były minister Handlu), szalenie sympatycznych i bardzo kulturalnych. Byłem jeszcze w willi, kiedy dowiedziałem się, iż rodzinie i otoczeniu Becka udało się zdrowo i cało wydostać na Zachód i byłem tam ciągle jeszcze, kiedy Rumunia zmieniła front. Oglądałem przez okno, pamiętam jakby to było wczoraj, kiedy 23 sierpnia 1944 Bukareszt bombardowany był już nie przez latające fortece, a przez hitlerowskie Stukasy. Szli Rosjanie, szła wolność od Niemców, opuściłem willę i zmieniłem... okupanta.

Wróciłem do Warszawy i mój kontakt z Beckami się urwał. Nawiązałem go na nowo po przyjeździe na Zachód w 1969 roku. Panią Jadwigę spotkałem tylko raz w Londynie (zmarła w 1971 roku), potem jej córkę Bube i w USA syna Józefa Becka — Andrzeja. Bardzo żałuję, że nie udało mi się spotkać Domana Rogoyskiego, ale to jeszcze, na szczęście, jest możliwe.

Pamięć ludzka ma, jak wiadomo, skłonność do optymizmu. Większości przykrych epizodów nie pamiętam, szczegóły się zatarły, twarze mi niechętnie poznikały. Zostały natomiast w pamięci i w sercu dobroć pani Jadwigi i uśmiech Buby. I tak już zostanie. To się w życiu liczy najbardziej. „Celowali w Pola”, pisze pani Jadwiga. Spudłowali, nie trafili. Dzięki niej właśnie.

*Leopold UNGER*

Bruksela, 1 września 1986



## LISTY DO REDAKCJI

Paryż, 3 lipca 1986.

Drogi Panie Redaktorze,

Bardzo żałuję, że w moim liście (*Zeszyty Historyczne* nr 76), dotyczącym sprostowania wysokości strat ludności żydowskiej w Polsce w rezultacie hitlerowskiego ludobójstwa, Józef Garliński odczytał wiele rzeczy, jakich u mnie po prostu nie było.

1) Nie wiem np., na jakiej podstawie odczytał u mnie skierowany przeciwko niemu „zarzut złośliwej tendencji”, skoro w tekście moim żadnego słowa o „tendencji”, a cóż dopiero „złośliwej” w ogóle nie było. Nie było również zwrotu, który zarzut taki mógłby choćby sugerować.

2) Nie zarzucałem mu także, jakoby liczbę zamordowanych „tendycyjnie obniżał”. Przysłówek „tendycyjnie” zrodził się dopiero pod jego piórem. Co więcej: zdanie o „zawyższaniu” liczby ocalałych następowało w moim liście bezpośrednio po dłuższym ustępie o analogicznych (a nawet identycznych!) zapodaniach Geralda Reitlingera i to odnośnie tych samych pozycji. Czyli najzwyczajsza w świecie ilustracja informacji samego Garlińskiego, że w danym wypadku (podkreślenie „w danym wypadku” było już w moim liście) oparł się on na tym jedynym źródle.

3) Fakt, że Reitlinger, pisząc swą książkę, miał już do dyspozycji bardzo liczne dokumenty, w tym „ogromną masę dokumentów i zeznań, objętych procesem norymberskim” itd., itd., ja sam podkreśliłem, wyliczając nawet najważniejsze.

4) Podkreśliłem również, i to bardzo wyraźnie, że sposobu obliczeń Reitlingera nie tłumaczono żadną „tendycyjnością” („stronniczością”), lecz typowo brytyjską troską o *understatement*.

5) Wymieniając trzy żydowskie instytucje historyczne, z których Reitlinger korzystał, podkreśla Garliński, że „trudno je posądzać o antyżydowską stronniczość”. Mniejsza już o to, że w rzeczonych instytucjach mógł Reitlinger znaleźć co najwyżej wielką liczbę mikrofilmów i fotografii (fotokopie nie były wtedy jeszcze rozpowszechnione) z dokumentów, gdzie figurują cyfry, jakie on, inspirowany troską o *understatement*, podaje w wątpliwość. Ze zdziwieniem zadaje sobie natomiast pytanie, dlaczego Garliński uważał za

stosowne nie tylko wymienić akurat te instytucje, ale zaopatrzyć je jeszcze cytowanym zapewnieniem. U mnie przecież o jakiegokolwiek stroniczości — „antyżydowskiej” czy „prożydowskiej” — nie było ani jednego słowa. O co zatem chodzi?

6) Określenie, jakoby — moim zdaniem — książka Reitlingera była „już nieaktualna” itd. zjawilo się dopiero w odpowiedzi Garlińskiego. U mnie i tego sądu nie było. Ponieważ bardzo wielu Czytelników *Zeszytów Historycznych* może odnośnej książki nie znać, wyjaśniam: chodzi o bardzo dobrze udokumentowaną i wielką (także rozmiarami: blisko 700 stron gęstego druku) monografię, dającą wyczerpujący wykład dziejów hitlerowskiego ludobójstwa. Prehistorię samego terminu *Endlösung* („ostateczne rozwiązanie”) kwestii żydowskiej, terminu posiadającego zrazu — u późniejszych ludobójców — inną treść i inne cele; poprzez metamorfozy tego pojęcia aż do programowego ludobójstwa, wreszcie etapy, środki, drobiazgową topografię i bardzo dokładny kalendarz realizacji. Dzięki bogactwu treści dzieło to jest nadal aktualne. Natomiast cały rozdział poświęcony obliczeniom ofiar ludobójstwa w każdym z krajów okupowanych liczy (łącznie) stron 16, w tym podrozdział dotyczący Polski (więc właściwy przedmiot różnicy zdań między Garlińskim i mną) zajmuje dokładnie *dwie strony* (dwie na siedemset!). Otóż: znając już, więc *biorąc pod rozwagę*, także argumenty i hipotezy Reitlingera, wielu badaczy i instytucji badawczych pracowało długo jeszcze — jak pisałem — nad uściśleniem wielomilionowych liczb. W wyniku tych uściśleń wypadło im (z małymi wariantami) wrócić do cyfr pierwotnych.

7) Ponieważ Garliński „żałuje”, że „niestety nie podałem tytułów tych późniejszych prac”, wymieniam choćby Leona Poliakowa *Note sur le chiffre totale des victimes juives des persécutions raciales pendant la dernière guerre*, opublikowaną w specjalnym numerze uniwersyteckiej i najwybitniejszej w Europie *Revue d'Histoire de la Deuxième Guerre Mondiale* (Paris, octobre 1956). Tę, ponieważ zawiera ona m.in. przegląd różnych metod odnośnych obliczeń, zajmuje wyraźne stanowisko wobec obliczeń Reitlingera oraz — tytułem aneksu — daje pełny tekst raportu sporządzonego na rozkaz Himmlera przez główny urząd statystyczny Reichu. Paralelnie, spośród specjalistów żydowskiej demografii, można by polecić rozprawy wybitnego statystyka z Nowego Jorku, J. Leszczyńskiego.

8) J. Garliński ma rację: cieszyłbym się, gdyby liczba ocalałych okazała się większa. Lecz tylko wtedy, gdyby to „okazanie się” odpowiadało faktom, a nie polegało na sumowaniu nieistniejących lub powiększonych — tytułem hipotezy — cyfr. Nawet jeśli zabieg ten dokonany był w najlepszej intencji i z najlepszą wiarą. Jako doświadczony historyk, mający za sobą liczący się dorobek badawczy, Józef Garliński wie zresztą, że pierwszym zadaniem historyka jest ustalenie prawdziwych faktów, w danym wypadku prawdziwych liczb. Nie licząc się z tym, czy to sprawi radość lub smutek takim lub innym kategoriom czytelników. I niezależnie również od tego, jaki użytek zrobią później z tych liczb np.... publicyści.

Powyzszą konfrontacją inkryminowanych określeń pragnąłbym zwrócić uwagę na raptowną i gruntowną metamorfozę całej treści i wydźwięku mego tekstu. Ta gruntowna metamorfoza dokonana się przy tym w trakcie jednej wymiany przypadkowych i (choć na ważny skądinąd temat) ubocznych głos. Na domiar pod piórem J. Garlińskiego, o którego najlepszych intencjach jestem głęboko przekonany.

A teraz zważymy: od pewnego czasu w prasie polskiej i w prasie żydowskiej toczy się równoległe aż kilka świeżo rozpętanymi dyskusji. W jakim zatem celu mnożyć ich liczbę, dorzucając bezpodstawnie sądy o „antyżydow-

skości" etc.? Bezpodstawnie, ponieważ w odpowiedzi na tekst, w którym nie ma przecież na ten temat najmniejszej nawet wzmianki.

Inne skojarzenie dotyczy wzmiankowanych dyskusji. Chociaż śledzę je bez przesadnej uwagi, zebrałem już dobrych kilka dziesiątków gazetowych wycinków z głosami polemistów. Wystarczy je przeglądnąć, by stwierdzić, że sufflowanie przeciwnikom wymaginowanych poglądów, by siarczyście z nimi polemizować, jest mocno rozpowszechnione. Z jednej i z drugiej strony. I — sądząc z kontekstu — w większości wypadków bez złej woli. Po prostu: w ferworze dyskusji. Dyskutowany problem obrasta coraz gęstszą warstwą takich narośli. Pęcznieje, jak przysłowiowa śnieżna kula. Dla amatorów dyskusji ten sposób ich bogacenia jest niezawodny. Natomiast jeśli polemika ma na celu nie mówię już nawet uzgodnienie stanowisk, ale choćby oświetlenie dyskutowanych zagadnień....

Słowa poważania i serdeczny uścisk dłoni łączę

Michał BORWICZ



Lonsyn, 23 lipca 1986.

Drogi Panie Redaktorze,

Uprzejmie dziękuję za udostępnienie mi listu Michała Borwicza przed drukiem.

Jest on polemistą, który zachowuje wszystkie reguły kulturalnej wymiany zdań, co ułatwia dojście do wspólnych wniosków. Podzielam jego opinię, że dążeniem każdego historyka powinno być przede wszystkim ustalenie faktów. Zajmuję się tym od wielu lat. Podzielam także jego zdanie, że ferwor dyskusji prowadzi często na manowce. Przyjmuję jego list ze zrozumieniem tej prawdy i korzystam z okazji, by Go serdecznie pozdrowić.

Z wyrazami szacunku i pamięci

Józef GARLIŃSKI



Poznań, 23 czerwca 1986.

Do

Redaktora *Zeszytów Historycznych*  
w Paryżu

W *Zeszytach Historycznych* nr 75 opublikowano recenzję Kajetana Bieńczyckiego o wydanej w kraju nakładem „PAX”-u książce inż. Jędrzeja Tucholskiego „Cichociemni”.

Rozmowę o tej książce przeprowadziłem z krajowym czytelnikiem w dyskusji na łamach *Polityki* i *Kierunków*. Zasadnicze uchybienie dotyczy zniesławienia moich kolegów cc, którzy w latach 1944-1953 zostali straceni z wyroków sądów krajowych. Autor-inżynier, nie obznajomiony z elementarzem odczytywania źródeł, selekcji materiału, etc., wyroki sądowe z okresu „błędów i wypaczeń” uznał za wiarygodny materiał historyczny, podając bezkrytycznie powody straceń tam cytowane. Sprawa dotyczy Czaykowskiego, Dekutowskiego, Stefana Górskiego, Rossińskiego, Szczepańskiego, którzy — wedle postawionych zarzutów — albo walczyli po wojnie z władzą ludową, albo szykowali zamach na dygnitarza, albo oddawali się brzydkiemu szpiegostwu na szkodę państwa, dla obrony którego przylecieli z daleka. Być może lista straconych jest dłuższa — nie mam materiału dla uzupełnienia wykazu. Dostęp do akt sądowych z tamtych lat jest dla mnie praktycznie niemożliwy,

pomimo że jestem pisarzem i cichociemnym, odmiennie niż dla autora paxowskich „Cichociemnych”.

Kajetan Bieniecki nie poddaje osądowi wskazanego postępowania autora-inżyniera, postępowania warte surowego wytknięcia. Tym bardziej surowego, ponieważ pomimo przeprowadzonej w tej sprawie dyskusji, autor od pomówień o „zbrodnię stanu” wymienionej piątki odstąpić nie chce, a użyte przezeń stylistyczne formuły, zawarte w biogramach straconych, dowodzą identyfikacji autora z wyrokami sądów owych czasów.

Recenzja wytyka nieściśłości, przeinaczenia. Słusznie recenzent powiada o potrzebie sięgnięcia do archiwów brytyjskich. Ta pracownica dokonywana przez kilka lat monografia cierpi na niedokładność w szczegółach wymienionych i w niewymienionych: na przykład — Siakiewicz, Lewko, Skrowronski leżą jednak na Cytadeli Poznańskiej, misja mjr. Mackusa i przebieg i cel miała nieco inny, należy poprawić stopnie wojskowe itd. Praca cierpi na naiwność w uogólnieniach, na bardzo złą polszczyznę (pisałem o tym przy innej okazji). Archiwa British Record Office nie powinny znajdować się w sferze nie do osiągnięcia.

Przy wszystkich swoich walorach książka wyrządza zasadniczą szkodę pamięci cichociemnych. Sądzę, że opinię o moich kolegach poległych z „ręki brata”, jak powiadają, łatwo będzie można sprawiedliwie wyrazić, jeżeli właśnie sądy polskie, chyba z urzędu (innej rady nie widzę — krewni straconych poza nielicznymi wyjątkami nie żyją) wznowią sprawy, przeprowadzą ponowne obiektywne badania i wydadzą sprawiedliwy wyrok. Inaczej? Inaczej winna obowiązywać elementarna ostrożność badawcza, wyrażana w formule nie rozstrzygającej, co prawda, sprawy, atoli do przyjęcia, na przykład: oddał życie w tragicznych okolicznościach w roku takim a takim. Podobnej formuły użyłem w „Znaku cichociemnych”. W każdym innym przypadku, niezależnie od błędów szczegółowych (okazuje się coraz liczniejszych — co Kajetan Bieniecki wykazuje z zaskakującą znajomością sprawy), paxowscy „Cichociemni” przynoszą szkodę dobremu imieniu żołnierza cichociemnego, a infamia obejmująca tych, którzy sami już bronić się nie mogą, rzuca cień na wszystkich 316 skoczków spadochronowych Armii Krajowej.

Przemysław BYSTRZYCKI

Szanowny Panie Redaktorze!

W 77 numerze *Zeszytów Historycznych* zamieszczone jest „Sprawozdanie J. Kozuchowskiego — Wiceprezesa Banku Gospodarstwa Krajowego od listopada 1935 do listopada 1938 i Wiceministra Skarbu od listopada 1939 roku”.

Przypis „od Redakcji” podaje, że są to zeznania wiceministra Józefa Kozuchowskiego, znajdujące się w archiwach Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie. W jakich okolicznościach Kozuchowski składał te zeznania — nie wiemy. W zakończeniu tekstu, zamieszczonego w *Zeszytach*, pod tytułem „Uzupełniające przesłuchanie 12 lutego 1943” Kozuchowski kładąc swój podpis na „przedstawionym mi dzisiaj odpisem sprawozdania, napisanego przeze mnie w listopadzie 1939 roku w Paryżu” — podaje datę elaboratu. W zakończeniu „Uzupełnienia” czytamy: „Z tym zastrzeżeniem sprawozdanie z listopada 1939 roku podtrzymuję jako przyczynę historyczny według ówczesnej znajomości mojej i załączam do moich obecnych zeznań sądowych”.

Aby „przyczynę historyczny” nabrał odpowiedniego znaczenia warto

przytoczyć wypowiedzi szefa Kozuchowskiego — którego w tym czasie nie dopuszczano do głosu — mianowicie Ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego, trzymanego przymusowo w Rumunii, pod adresem Baile Herculane, Hot. Ferdinand 63. Na pewno dochodziły do Kwiatkowskiego odgłosy z paryskiego bruku.

W liście do Stanisława Sadkowskiego, byłego Dyr. Departamentu Ministerstwa Skarbu, a ówczesnie Dyr. Finansowego Ambasady Polskiej w Bukareszcie, data 15 luty 1940 roku, Kwiatkowski pisze:

„... Nie ma miernika cierpień osobistych, ale nie wiem czy kiedykolwiek podźwignę się z ciosów, które otrzymałem... Jeżeli nie mogę być użyteczny w bezpośredniej akcji wojskowej na rzecz Polski, to pragnę jedynie możliwości powrotu do Kraju. Niestety — jest to w tej chwili niemożliwe. Natomiast nie pragnę i wyraźnie nie chcę znaleźć się obecnie w zasięgu prac politycznych. Dlatego też żadnej prośby ani bezpośrednio ani pośrednio do nikogo nie zgłaszałem i nadal nie mam zamiaru tego czynić, obojętne, czy miałyby to skutek negatywny czy pozytywny.

Wewnętrznie jestem przekonany, że od 1935 Skarb uczynił wszystko co w warunkach Polski i założeniach politycznych, które otrzymałem — było możliwe do zrobienia dla obrony państwa. Robiliśmy to cicho i bez rozgłosu, tak, że poza najbliższym kołem nikt nie wie nawet jakie sumy pochłonęła obrona w ostatnich latach. Nie przeszłość — w zasięgu odpowiedzialności ministra skarbu — jest straszna, ale teraźniejszość i przyszłość. Przyjdzie kiedyś czas, że wszystko to stanie się jasne”.

Z listu z dn. 27 marca 1940 roku cytuję:

„W roku 1930 — poza pewnym ważkim względem politycznym, o którym nie chcę mówić — ustąpiłem z rządu i następnie odmówiłem w 1931 roku p. Prystorowi wejścia do rządu — by napisać książkę o gotującym się ataku niemieckim i rosyjskim na Polskę. Wydałem ją w roku 1931 pt. „Dysproporcje”.

W 1935 podjąłem się naprawy skarbu, by umożliwić dzieło dozbrojenia i dałem wojsku poza budżetem 20 razy więcej w okresie 1936-1939, niż w okresie 1926-1936 wszystkie rządy dały poza budżetem — łącznie, nawet z okresem 1927-1929, gdy Skarb zgromadził 650 milionów nadwyżek budżetowych. Z eksportu wojskowego, który był wykonywany całkowicie poza mną — wnioskowałem, że zasadniczo uzbrojenie jest pełne. Stąd wysiłek — który rzeczywiście forsowałem — budowy COP — jako zagadnienie ogólne uprzemysłowienia, i jako uzupełnienie na okres wojny”.

Na jesieni 1935 roku Kwiatkowski zgodził się objąć w nowotworzonym rządzie Mariana Kościałkowskiego stanowisko Ministra Skarbu i wicepremiera gospodarczego. Urzędował wtedy w gmachu Ministerstwa Skarbu przy ulicy Rymarskiej i stamtąd prowadził działalność, wynikającą z jego podwójnej funkcji. Utworzył Gabinet Ministra, którego kierownictwo powierzył Wiktorowi Martinowi.

Kwiatkowski — Zarzewiak, Peowiak i Piłsudczyk — nie dzielił ludzi „na swoich” i „nieswoich”. Był za porozumieniem rządu z opozycją i z przywódcami opozycyjnych partii utrzymywał stałe kontakty. Sytuację w Skarbie miał bardzo trudną. Na dewaluację złotego było za późno. Należało szybko kończyć procesy deflacyjne, zrównoważyć budżet, wprowadzić ograniczenia dewizowe i powoli nakręcać koniunkturę.

Z listu do Wiktora Martina z dn. 22 listopada 1966 roku cytuję:

„Sumaryczny koszt obsługi długów obciążał budżet polski w 1935/1936 roku kwotą 225 mln złotych; pomimo poważnego zadłużenia się Skarbu w latach 1936-1939 na rozbudowę COP-u i na Fundusz Obrony Narodowej — na obsługę długów na rok 1939/1940 preliminowano prawie wyjściową kwotę 225,7 mln zł. Było to w poważnej części wynikiem konwersji przeprowadzonej przez prof. dr. Adama Krzyżanowskiego”.

Budowa COP-u (Centralny Okręg Przemysłowy) miała na celu stworzenie bazy dla przemysłu wojennego, uprzemysłowienie centralnej Polski, najbardziej przeludnionej. Związana była z robotami elektryfikacyjnymi, z budową dróg, kolei, osiedli, szkół, szpitali. Kwiatkowski rzucił hasło Polski A i Polski B. Nie tylko tworzył koncepcje, ale podejmował decyzje, umiając je realizować, co nie zawsze było proste i łatwe. Swoim zapałem i energią zarażał współpracowników, zawsze każdemu przyznając jego osiągnięcia i zasługi.

Halina L. MARTINOWA

30 czerwca 1986.

Szanowny Panie Redaktorze!

Szkoda, że w wypowiedziach Iłakowicza dotyczących Narodowych Sił Zbrojnych (*vide Zeszyty Historyczne* nr 76, str. 89-112) została opuszczona końcowa notatka, która brzmiała jak następuje:

„Jerzy Olgierd Iłakowicz, urodzony 8 marca 1908 w Łaziskach na Lubelszczyźnie, zmarł na Florydzie 13 stycznia 1984 i został pochowany w Wilmington, Delaware, USA. Pozostawił po sobie w kraju córkę z przedwojennego małżeństwa, a w Stanach Zjednoczonych córkę i syna z powojennego, amerykańskiego małżeństwa”.

Pozostaję z szacunkiem

Z. S. SIEMASZKO

## SPIS TREŚCI

Tadeusz Wyrwa: <i>Historyk na obczyźnie</i> .....	3
Jan Karski: <i>Tajna dyplomacja Churchilla i Roosevelta w sprawie Polski (1940-1945)</i> .....	14
Michał Heller: <i>Wiaczesław Mołotow — najwierniejszy z wiernych</i> .....	25
Andrzej Korboński: <i>Październik 1956</i> .....	36
A. Beskid: <i>Zaolzie</i> .....	79

## WSPOMNIENIA

Stanisław Wachowiak: <i>Wojna i okupacja 1939-1945 (dok.)</i>	90
Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska: <i>Józef Rybicki</i> .....	210

## OKRUCHY HISTORII

Piotr Wandycz: <i>O Juliuszu Mieroszewskim</i> .....	223
Krzysztof Münnich: <i>List do Redakcji w związku z artykułem Cz. Jeśmana „Brytyjski eksperyment z Polakami” (Zeszyty Historyczne nr 76) z załączeniem artykułu ojca o obozach Cerizay i Rothesay</i> .....	226
Tadeusz Münnich: <i>Cerizay i Rothesay</i> .....	226
Jadwiga Beckowa: <i>Ostatnia wilia Józefa Becka</i> .....	229
Leopold Unger: <i>Uzupełnienie do artykułu J. Beckowej</i> ..	231

## LISTY DO REDAKCJI

Michał Borwicz: <i>Odpowiedź na list J. Garlińskiego w sprawie sprostowania danych, dotyczących liczby zamordowanych przez Hitlera Żydów polskich (patrz wymiana listów M. Borwicza i J. Garlińskiego, Zeszyty Historyczne nr 76)</i> .....	233
Józef Garliński: <i>Odpowiedź na powyższy list M. Borwicza</i>	235
Przemysław Bystrzycki: <i>Uwagi na marginesie artykułu K. Bienieckiego (Zeszyty Historyczne nr 75) o wydanej w Kraju książce J. T. Tucholskiego „Cichociemni”</i>	235
Halina L. Martinowa: <i>Uwagi na marginesie „Sprawozdania J. Kozuchowskiego — wiceprezesa Banku Gospodarstwa Krajowego od listopada 1935 do listopada 1938” (Zeszyty Historyczne nr 77)</i> .....	236
Z. S. Siemaszko: <i>Notka biograficzna J. O. Iłłakowicza w związku z artykułem „O Narodowych Siłach Zbrojnych” (Zeszyty Historyczne nr 76)</i> .....	238

---

Achevé d'imprimer le 27 novembre 1986  
 sur les Presses de l'Imprimerie Richard  
 24, rue Stephenson, 75018 Paris.

Dépôt légal : 4<sup>e</sup> trimestre 1986. — N<sup>o</sup> d'imprimeur 7944.



Nobelbiblioteket  
STOCKHOLM

